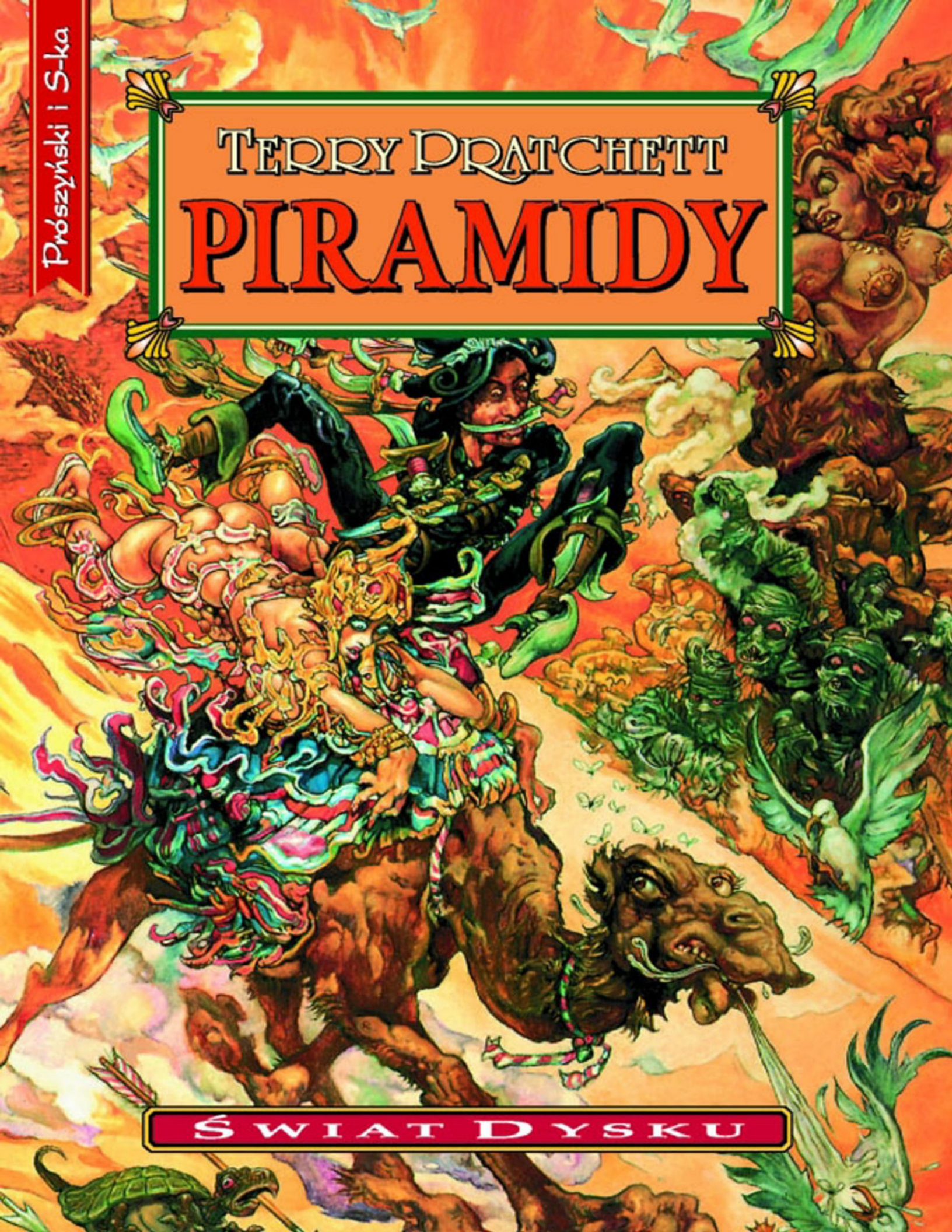


Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT PIRAMIDY

ŚWIAT DYSKU



TERRY PRATCHETT

Piramidy

CZEŚĆ I

Księga Wyjścia

Nic tylko gwiazdy, rozsypane w mroku, jakby Stwórca rozbił szybę w swoim samochodzie i nie zatrzymał się, żeby zmieść odłamki.

To otchłań między wszechświatami, lodowata głębia kosmosu, zawierająca jedynie z rzadka jakąś przypadkową molekułę, kilka zagubionych komet i...

..krąg czerni przesuwają się lekko, oko na nowo ocenia perspektywę, i to, co wydawało się niezmierzoną dalą międzygwiazdnej... czegoś międzygwiazdowego, staje się światem okrytym nocą, a jego gwiazdy to światła tego, co litościwie nazwiemy cywilizacją.

Świat sunie leniwie i okazuje się, że jest on światem Dysku -płaskim, okrągłym, niesionym przez kosmos na grzbietach czterech słoni, stojących z kolei na skorupie Wielkiego A'Tuina, jedyne żółwia, który figuruje na diagramie Hertzsprunga-Russella, żółwia długiego na dziesięć tysięcy mil, obsypanego szronem martwych komet, z krostami kraterów meteorytowych i oczami mającymi albedo. Nikt nie zna przyczyny tego stanu rzeczy, ale prawdopodobnie jest kwantowa.

Wiele z tego, co dziwne, może się zdarzyć w świecie jak ten, umieszczonym na grzbiecie żółwia.

Już się zdarza.

Gwiazdy w dole to ogniska na pustyni i światełka małych wiosek w wysokich górach. Miasteczka to niewyraźne mgławice, miasta to ogromne konstelacje. Wielkie, rozległe miasto Ankh-Morpork, na przykład, błyszczy jak zderzające się galaktyki.

Tu jednak, z dala od głównych skupisk ludności, gdzie Okrągłe Morze styka się z pustynią, błyszczy linia zimnego błękitnego ognia. Ku niebu wznoszą się płomienie lodowate jak zbocza Piekła. Upiorne światło migocze na piasku.

To piramidy w starożytnej dolinie Djelu oddają w ogniu swoją moc.

Energia spływająca z ich parakosmicznych wierzchołków może - w dalszych częściach - rozjaśnić wiele tajemnic: dlaczego żółwie nienawidzą filozofii, dlaczego przesadna religijność źle wpływa na kozy i co naprawdę robią podręczne.

Z pewnością wyjawí, co nasi przodkowie by pomyśleli, gdyby żyli do dzisiaj. Ludzie współcześni często spekulują na ten temat. Czy podobałoby im się nowoczesne społeczeństwo, pytają; czy zachwyciłyby ich nasze zdobycze? Oczywiście, pomija to kluczowe zagadnienie. Nasi przodkowie, gdyby żyli do dzisiaj, myśleliby: „Dlaczego tu jest tak ciemno?”

Najwyższy kapłan Dios otworzył oczy w chłodzie poranka. Od pewnego czasu prawie nie sypiał. Nie pamiętał już, kiedy spał po raz ostatni. Sen był zbyt podobny do tego drugiego stanu, a zresztą i tak go nie potrzebował. Wystarczyło trochę poleżeć - a w każdym razie poleżeć tutaj. Trucizny zmęczenia znikwały jak wszystko pozostałe. Na pewien czas. Ale czas dostatecznie długi.

Zsunął nogi z płyty w swojej małej komorze. Niemal bez świadomego ponaglenia mózgu, prawa dłoń chwyciła oplecioną węzami laskę, symbol jego urzędu. Dios zatrzymał się jeszcze, by wydrapać kolejny znak na ścianie, owinął się szatą i dziarsko ruszył pochylonym korytarzem na zewnątrz. W myślach układały się już słowa Inwokacji Nowego Słońca. Noc minęła, nadchodził dzień. Wiele rad i wskazówek czekało, by ich udzielił, a Dios żył tylko po to, by służyć.

Dios nie miał najdziwniejszej sypialni na świecie. Była to jedynie najdziwniejsza sypialnia, z której ktokolwiek wyszedł.

Słońce sunęło po niebie.

Wielu ludzi zastanawia się, dlaczego to robi. Niektórzy sądzą, że popycha je gigantyczny skarabeusz. Temu wyjaśnieniu brakuje jednak pewnej technicznej dokładności. Ma także tę wadę, że -jak wykazały niektóre wydarzenia - może być w istocie prawdziwe.

Słońce dotarło do zachodu i nic szczególnie nieprzyjemnego mu się nie zdarzyło[1], a jego przygasające promienie przypadkiem błysnęły przez okno w mieście Ankh-Morpork i odbiły się od lustra.

Było to lustro wysokości człowieka. Wszyscy skrytobójcy mają w pokojach takie duże lustra, ponieważ byłoby dla człowieka straszliwą obrazą, gdyby został zabity przez kogoś nieodpowiednio ubranego.

Teppic przyjrzał się sobie krytycznie. Wszystkie pieniądze wydał na kostium z czarnego jedwabiu. Kostium szeleścił bardzo cicho przy każdym ruchu. Był całkiem niezły.

Przynajmniej ból głowy ustawał. Dręczył dziś Teppica od samego rana i chłopak bał się, że wystartuje do biegu i fioletowe plamki będą mu migać przed oczyma.

Westchnął, otworzył czarne puzderko, wyjął pierścienie i wsunął je na palce. Inne pudełko mieściło w sobie zestaw noży z klatchiańskiej stali, o ostrzach przyczernionych kopciem z lampy. Rozmaite chytre i skomplikowane aparaty wysupłał z aksamitnych mieszkań i wsunął do kieszeni. Dwa *tingas* o długich ostrzach, służące do rzucania, trafiły do pochewek w butach. Cienką jedwabną linę ze składaną kotwiczka Teppic owinał wokół pasa, na kolczudze. Dmuchawkę na skórzanym rzemieniu zawiesił na plecach i ukrył pod płaszczem. Zabrał też cienki metalowy pojemnik z kompletem strzałek; ich ostrza były zabezpieczone korkiem, a drzewca oznaczone kodem Braille'a dla łatwej identyfikacji w ciemności.

Skrzywił się, sprawdził klingę rapiera i zawiesił go na bandolecie przerzuconym przez prawe ramię, by zrównoważyć ciężar worka ołowianej amunicji do procy. Po namyśle otworzył szufladę komody, wyjął pistoletową kuszę, buteleczkę oliwy, zestaw wytrychów, a po krótkim wahaniu dodał też

sztylet, mieszek różnych rozmiarów kolczastych kulek i kastet.

Sięgnął po kapelusz, sprawdził, czy pod podszewką znajduje się kawałek drutu. Potem wcisnął go zawadiacko na głowę, po raz ostatni z satysfakcją spojrzął w lustro, odwrócił się na pięcie i bardzo powoli upadł na podłogę.

W Ankh-Morpork trwało upalne lato. Właściwie było nawet bardziej niż upalne. Było cuchnące.

Wielka rzeka zmieniała się w gęstą jak lawa maź pomiędzy Ankh, częścią miasta z lepszymi adresami, i Morpork na drugim brzegu. Morpork nie miało dobrych adresów. Morpork było miastem bliźniaczym dołu ze smołą. Niewiele można było uczynić, by zmienić Morpork w gorsze miejsce. Bezpośrednie trafienie meteorytem, na przykład, zostałoby uznane za renowację.

Większą część rzecznej koryta pokrywała warstwa popękanego, zaschniętego błota. Za dnia słońce przypominało wielki miedziany gong przybity do nieba. Żar, który wysuszył rzekę, smażył miasto za dnia i dopiekał nocą, przypalał stare deski, zmieniał tradycyjne uliczne błoto w drobny, duszący pył koloru ochry.

Taka pogoda nie była typowa dla Ankh-Morpork. Ze swej natury miasto miało bowiem skłonności do mgieł i mżawek, deszczów i chłódów. Teraz dyszało ciężko niby ropucha na piecu. I nawet w tej chwili, koło północy, upał nie zelżał, okrywając ulice niczym zwęglony aksamit, przypalając powietrze i tłumiąc oddech.

Wysoko na północnej ścianie budynku Gildii Skrytobójców zabrzmiało ciche szcęknięcie i jedno z okien stanęło otworem.

Teppic, który z ciężkim sercem pozbył się co bardziej masywnych elementów uzbrojenia, głęboko wciągnął do płuc gorące, stęchłe powietrze.

Nadszedł czas.

Nadeszła ta noc.

Mówili, że człowiek ma jedną szansę na dwie, chyba że egzaminatorem będzie stary Mericet, gdyż wtedy równie dobrze można od razu poderżnąć sobie gardło.

Mericet w każdy czwartek po południu wykładał Strategię i Teorię Trucizn, a Teppic nie radził sobie z tym najlepiej. Internaty aż szumiały od plotek o Mericecie, o liczbie zabójstw, o niesamowitej technice... W swoim czasie Mericet pobił wszelkie rekordy. Podobno zabił nawet Patrycjusza Ankh-Morpork. Nie obecnego, ma się rozumieć. Jednego z nieżyjących.

Może uda się trafić na Nivora, który był wesoły i gruby, lubił dobrze zjeść, a we wtorki prowadził Pułapki i Zapadnie. Teppicowi dobrze wychodziły pułapki i mistrz go lubił. A może przyjdzie Kompt de Yoyo od Języków Współczesnych i Muzyki. Teppic nie miał uzdolnień w żadnym z tych kierunków, ale Kompt był także zapalonym wspinaczem i lubił chłopców, którzy dzielili z nim entuzjazm dla wiszenia na jednej ręce wysoko ponad ulicami miasta.

Teppic postawił nogę na parapecie, odwinął linę z kotwiczką, zaczepił ją o rynnę dwa piętra wyżej i wyśliznął się za okno.

Żaden skrytobójca nigdy nie korzysta ze schodów.

Nadeszła chyba właściwa chwila, by - dla uzasadnienia ciągłości akcji i późniejszych wydarzeń - poinformować, że największy matematyk świata Dysku leżał w tej chwili i spokojnie jadł kolację. Interesujące jest to, że ze względu na swoją przynależność gatunkową, matematyk jadł na kolację swój obiad.

Dzwony w całym Ankh-Morpork wybiły północ, gdy Teppic wspiął się na ozdobny parapet cztery piętra nad ulicą Filigranową. Serce biło mu mocno. Ostatnie resztki blasku po zachodzie słońca oświetlały jakąś ciemną sylwetkę. Teppic zatrzymał się obok wyjątkowo obrzydliwego gargulca i rozważył sytuację.

Praktycznie pewna klasowa plotka głosiła, że inhumacja egzaminatora przed testem automatycznie gwarantuje dyplom. Chłopiec wysunął z pochwy na udzie nóż numer trzy i ostrożnie zważył go w dłoni. Oczywiście, każda próba, każdy pochopny ruch, który chybiał, powodował natychmiastową porażkę i utratę przywilejów[2].

Sylwetka stała w absolutnym bezruchu. Teppic spojrzał na labirynt kominów, gargulców, otworów wentylacyjnych, mostków i drabin, tworzących dachową scenerię miasta.

No tak, myślał. To jakaś kukła. Liczy, że ją zaatakuję, a to oznacza, że obserwuje mnie skądś.

Czy potrafię go znaleźć? Nie.

Z drugiej strony, może właśnie mam pomyśleć, że to kukła. Chyba że o tym też pomyślał...

Zabębnił palcami o gargulca i szybko się opanował. Co w takiej sytuacji dyktuje rozsądek?

Daleko w dole Ilaśliwa grupa, zataczając się, przeszła przez kałużę blasku na ulicy.

Teppic schował nóż i wstał.

- Sir - oznajmił głośno. - Jestem.

- Doskonale - odpowiedział niezbyt wyraźnie oschły głos tuż koło jego ucha.

Teppic patrzył prosto przed siebie. Mericet pojawił się przed nim, ścierając w kościstej twarzy szary pył. Wyjął z ust kawałek rurki, odrzucił ją i sięgnął pod płaszcz po notatnik. Mimo upału był grubo opatulony. Mericet należał do ludzi, którzy marzną nawet we wnętrzu wulkanu.

- Aha - mruknął. Jego głos wyrażał głęboką dezaprobatę. - Pan Teppic. Dobrze.

- Piękna noc, sir - rzekł Teppic.

Egzaminator rzucił mu lodowate spojrzenie, sugerujące, że uwagi o pogodzie natychmiast zyskują punkt ujemny. Zanotował coś.

- Najpierw kilka pytań - oznajmił.

- Jak pan sobie życzy, sir.

- Jaka jest maksymalna dopuszczalna długość noża do rzutów? - warknął Mericet.

Teppic zamknął oczy. Przez ostatni tydzień czytał jedynie Cordat; teraz widział właściwą stronicę, płynącą kusząco tuż pod powiekami. Nigdy nie pytają o długości i ciężary, powtarzali studenci. Liczą, że wykujesz na blachę długości, ciężary i odległości rzutów, ale nigdy...

Groza zwarła obwody mózgu i pamięć wrzuciła bieg. Stronica wyostrzyła się.

- Maksymalna długość noża do rzutów wynosi dziesięć grubości palca; podczas deszczu dopuszczalne jest dwanaście - wyrecytował. - Odległość rzutu...

- Wymień trzy trucizny nadające się do aplikowania przez ucho.

Dmuchnął wietrzyk, ale nie ochłodził powietrza. Przemieścił jedynie żar.

- Sir... Komarzy agar, achorionowa purpura i mustyk - odparł natychmiast Teppic.

- Dlaczego nie spim? - zapytał Mericet, szybki jak wąż. Teppic otworzył usta. Przestąpił z nogi na nogę, unikając przenikliwego wzroku egzaminatora.

- S-sir, spim nie jest trucizną - wykrztusił w końcu. - To niezwykle rzadkie antidotum na jady pewnych węży, otrzymywane... -Uspokoił się trochę. Długie godziny poświęcone wertowaniu starych słowników, przyniosły jednak korzyść. - Otrzymywane z wątroby nadymającej mangusty, która...

- Co oznacza ten symbol? - przerwał mu Mericet.

- .. żyje wyłącznie w...

Teppic umilkł. Przyjrzał się skomplikowanym runom na karcie w dłoni Mericeta, po czym znowu wbił wzrok w przestrzeń za uchem egzaminatora.

- Nie mam pojęcia, sir.

Zdawało mu się, że słyszy najcichsze westchnienie, najdelikatniejszy ślad zadowolonego mruknięcia.

- Ale gdyby odwrócić ją dołem do góry, sir - podjął - byłby to złodziejski symbol, oznaczający „Hłaśliwe psy w domu”.

Przez chwilę trwała cisza. Potem, tuż przy ramieniu chłopca, głos starego skrytobójcy zapytał:

- Czy garotą mogą posługiwać się wszystkie kategorie?

- Sir, regulamin mówi o trzech pytaniach - zaprotestował Teppic.

- Aha... Więc tak brzmi twoja odpowiedź?

- Nie, sir. To była tylko uwaga. Sir, odpowiedź, której pan oczekuje, brzmi: wszystkie kategorie mogą nosić garotę, ale tylko skrytobójcy trzeciego stopnia mogą jej używać, stanowi jedną z trzech możliwości.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, sir.

- Może się jeszcze zastanowisz?

Głosem egzaminatora można by smarować osie wozów.

- Nie, sir.

- Doskonale.

Teppic odprężył się nieco. Tunika przylgnęła mu do pleców, chłodna i wilgotna od potu.

- Teraz z prędkością, jaka ci odpowiada, udasz się na ulicę Księgowych - przemówił spokojnym tonem Mericet. - Przestrzegając wszystkich znaków i tak dalej. Będę na ciebie czekał w komnacie pod dzwonnica na rogu Alei Audytu. Aha... Weź to, jeśli łaska.

Wręczył Teppicowi niewielką kopertę.

Teppic oddał pokwitowanie. Potem Mericet wstąpił w plamę cienia za kominem i zniknął.

Tyle jeśli chodzi o ceremonie.

Teppic odetchnął głęboko i wysypał na dłoń zawartość koperty. Był to czek gildii na dziesięć tysięcy ankh-morporkiańskich dolarów, wystawiony na „Okaziciela” - imponujący dokument, opatrzony pieczęcią gildii z podwójnym krzyżem i sztyletem w płaszczu.

Teraz już nie miał odwrotu. Przyjął pieniądze. Albo przeżyje, a w takim wypadku zgodnie z tradycją ofiaruje te pieniądze na fundusz pomocy wdowom i sierotom gildii, albo odbiorą ten czek jego trupowi. Czek miał trochę zawinięte rogi, ale Teppic nie znalazł na nim śladów krwi.

Sprawdził noże, przesunął pas z rapierem, obejrzał się i ruszył truchtem.

Przynajmniej tutaj sprzyjało mu szczęście. Według tradycji, podczas

testów wykorzystuje się najwyżej pół tuzina tras; latem mrowił się na nich tłum studentów, wspinających się na dachy, wieże, okapy i kolumny miasta. Wspinaczka była popularnym sportem i dziedziną współzawodnictwa między internatami. Była też jedną z nielicznych dziedzin, w których Teppic radził sobie doskonale. Został nawet kapitanem drużyny, która pokonała Dom Skorpiona w finałach Igrzysk Ścianowych. A czekała go jedna z najłatwiejszych tras.

Zeskoczył lekko z dachu, wylądował na parapecie, bez trudu przebiegł wzdłuż milczącego budynku, przesadził wąską szczelinę i znalazł się na dachówkach sali gimnastycznej Reformowanych-Kultystów-Ropiejącego-Boga-SIIamIIarotIIa Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn. Przebiegł po spadzistym dachu, bez zwalniania tempa pokonał dwunastostopową ścianę i trafił na szeroki, płaski dach świątyni Ślepego Io.

Nad horyzontem wisiał pomarańczowy księżyc w pełni. Wiała bryza, niezbyt mocna, ale odświeżająca jak prysznic. Teppic przyspieszył, ciesząc się chłodnym podmuchem na twarzy. Zeskoczył z krawędzi dachu dokładnie na wąską, drewnianą kładkę ponad Aleją Blaszaną Pokrywki.

Którą to kładkę ktoś - wbrew wszelkim oczekiwaniom - właśnie usunął.

W takich chwilach całe życie przewija się człowiekowi przed oczami...

Ciotka płakała. Dość teatralnie, uznał Teppic, gdyż starsza pani była twarda jak podeszwa hipopotama. Ojciec wyglądał surowo i godnie - jeśli tylko o tym nie zapominał - i próbował usunąć z umysłu kuszące obrazy urwisk i ryb. Służba stała w szeregach wzdłuż sali, od głównego wejścia: podręczne z jednej strony, eunuchowie i lokaje z drugiej. Dygali kolejno, gdy

przechodził, generując dość ładną sinusoidę, którą największy matematyk Dysku z pewnością by docenił, gdyby nie był akurat zajęty przyjmowaniem razów kija i słuchaniem krzyków małego człowieczka odzianego w coś w rodzaju nocnej koszuli.

- Ale... - Ciotka Teppica wytarła nos. - Ale to przecież fach...

- Nonsens, kwiecie pustyni. - Ojciec poklepał jej dłoń. - To profesja. Co najmniej profesja.

- A jaka między nimi różnica? - zatkała.

Ojciec westchnął.

- Pieniądze, jak rozumiem. Dobrze mu zrobi taka wyprawa. Pozna nowych ludzi, nabędzie ogłady... Będzie miał jakieś zajęcie i uniknie pokus.

- Ale... skrytobójstwo... Jest taki młody i nigdy nie przejawiał żadnych inklinacji... - Otarła oczy. - Nie odziedziczył tego po naszej części rodziny - dodała oskarżycielskim tonem. - Ten twój szwagier...

- Wuj Vyr - wtrącił ojciec.

- Jeździ po świecie i zabija ludzi!

- Oni chyba nie używają tego słowa. Mówią raczej: konkluduje lub anuluje. Albo inhumuje. Tak słyszałem.

- Inhumuje?

- Inhumacja to chyba coś w rodzaju ekshumacji, o płynące wody, tylko że zanim cię pochowają.

- Uważam, że to okropne. - Pociągnęła nosem. - Ale słyszałam od lady Nooni, że tylko jeden chłopiec na piętnastu zdaje końcowy egzamin. Może rzeczywiście, pozwólmy mu się wyszaleć.

Król Teppicymon XXVII smętnie pokiwał głową i oddalił się, by pomachać synowi na pożegnanie. Nie był tak mocno jak siostra przekonany o

okropnościach skrytobójstwa. Z ociąganiem, ale jednak od dawna zajmował się polityką i uważał, że choć skrytobójstwo jest gorsze od debaty, to jednak z pewnością lepsze od wojny, choć pewni ludzie uważają, że wojna to to samo, tylko głośniejsze. Trzeba też przyznać, że młody Vyrť zawsze miał mnóstwo pieniędzy i często przybywał do pałacu z kosztownymi podarkami, egzotyczną opalenizną i porywającymi opowieściami o ludziach, których poznał w obcych stronach, zwykle na krótko.

Żałował, że w tej chwili Vyrť nie może mu doradzić. Jego wysokość także słyszał, że tylko jeden student na piętnastu zostaje prawdziwym skrytobójcą. Nie był pewien, co dzieje się z pozostałą czternastką. Podejrzewał jednak, że marnych studentów w szkole skrytobójców spotyka coś więcej niż rzucanie w nich kredą przy tablicy i że szkolne obiady niosą z sobą dodatkowe zagrożenie.

Wszyscy za to zgadzali się, że szkoła skrytobójców gwarantuje najlepsze wykształcenie ogólne na świecie. Wykwalifikowany skrytobójca powinien umieć się zachować w każdym towarzystwie i grać przynajmniej na jednym instrumencie. Każdy inhumowany przez alumnów szkoły gildii mógł spoczywać usatysfakcjonowany, że anulował go ktoś o wyrobionym smaku i elegancji.

A poza tym, co chłopca czekało w domu? Królestwo szerokie na dwie mile i długie na sto pięćdziesiąt, w porze wylewu prawie całe pokryte wodą, zagrożone z obu stron przez sąsiadów, którzy tolerowali jego istnienie wyłącznie dlatego, że gdyby go tam nie było, bez przerwy walczyliby ze sobą nawzajem.

Tak, Djelibeybi[3] było kiedyś wielkie - gdy takie prymitywne kraje jak Tsort i Ephebe zamieszkiwały tylko bandy nomadów z ręcznikami na głowach. Po tych wspaniałych czasach pozostał tylko rujnująco kosztowny pałac, trochę zakurzonych ruin na pustyni i - faraon westchnął - piramidy. Zawsze te piramidy.

Jego przodkom bardzo zależało na piramidach. Faraonowi wcale. Piramidy doprowadziły kraj do bankructwa, wyssały go do sucha lepiej niż rzeka. Jedyną klątwą grobowca, na jaką obecnie mógł sobie pozwolić, było „Spadaj”.

Jedyne piramidy, jakie nie wzbudzały niechęci, były bardzo małe i stały na granicy ogrodów. Budowano je za każdym razem, gdy zdechł któryś z kotów.

Obiecał to matce chłopca.

Tęsknił za Artelą. Małżeństwo z kobietą spoza królestwa wywołało prawdziwą burzę, a niektóre jej obce zwyczaje zdumiewały i fascynowały nawet jego. Może to od niej nauczył się tej dziwnej niechęci do piramid. W Djelibeybi było to jak niechęć do oddychania. Obiecał jej jednak, że wyśle Teppica do szkoły poza granicami królestwa. Uparła się. „Ludzie tutaj niczego się nie uczą - tłumaczyła -tylko pamiętają”.

Gdyby tylko pamiętała, że nie wolno pływać w rzece...

Spojrzał na służących, ładujących bagaż Teppica do powozu, i po raz pierwszy za pamięci ich obu położył dłoń na ramieniu syna.

Nie wiedział, co ma powiedzieć. Nigdy właściwie nie mieliśmy czasu, żeby się lepiej poznać, myślał. Tak wiele mogłem mu dać... Jedno czy drugie solidne lanie z pewnością nie poszłoby na marne.

- Em... - zaczął. - Cóż, mój chłopcze...

- Tak, ojcze?

- To... tego... pierwszy raz, kiedy samotnie wyjeżdżasz z domu...

- Nie, ojcze. Jak pamiętasz, ostatnie lato spędziłem z lordem Fhem-ptahem.

- Naprawdę? - Przypomniawszy sobie, że istotnie, pałac wydawał się wtedy cichszy. Przypisywał to nowym gobelinom.

- Wszystko jedno - rzekł. - Jesteś już młodym mężczyzną, masz prawie trzynaście lat...

- Dwanaście, ojcze - poprawił Teppic.

- Jesteś pewien?

- W zeszłym miesiącu miałem urodziny. Podarowałeś mi płytę grzejną do łóżka.

- Podarowałem? To niezwykle. Czy wyjaśniłem dlaczego?

- Nie, ojcie. - Teppic spojrzał na łagodne, zakłopotane oblicze rodzica.
- To bardzo dobra płyta - dodał pocieszająco. - Bardzo ją lubię.

- Aha. Dobrze. Hm. -Jego wysokość raz jeszcze poklepał syna po ramieniu, jak człowiek, który bębni palcami po biurku i usiłuje myśleć. Jakiś pomysł chyba wpadł mu do głowy.

Służący umocowali kufer do dachu powozu, a woźnica cierpliwie przytrzymał otwarte drzwiczki.

- Kiedy młody człowiek wyrusza w świat - zaczął niepewnie władca - są pewne... no, jest bardzo ważne, by pamiętać... Chodzi o to, że świat jest jednak bardzo duży, z różnymi... Oczywiście, zwłaszcza w mieście, gdzie wiele istnieje dodatkowych...

Urwał i niepewnie machnął ręką.

Teppic przyjął to spokojnie.

- Wszystko w porządku, ojcie, Dios, najwyższy kapłan, wytłumaczył mi, że powinienem regularnie się kąpać i nie oślepnąć. Ojciec zamrugł niepewnie.

- Nie ślepniesz chyba? - zapytał.

- Raczej nie, ojcie.

- Aha. Tak. To doskonale - stwierdził król. -Absolutnie wspaniale. Naprawdę dobra wiadomość.

- Muszę już ruszać, ojcie. Niedługo skończy się przypływ. Jego wysokość skinął głową i poklepał się po kieszeniach.

- Coś tu miałem... - wymruczał, wyszedł to coś i wsunął Teppicowi do kieszeni niewielką skórzaną sakiewkę.

Znowu spróbował manewru z ramieniem.

- Mały drobiażdżek - szepnął. - Nie mów ciotce. Zresztą i tak nie możesz. Poszła się położyć. To trochę za wiele jak dla niej.

Teppicowi pozostało jeszcze złożyć kurczaka w ofierze przed posągiem Khufta, założyciela Djelibeybi, aby opiekuńcza ręka przodka kierowała jego krokami. Było to małe kurczę, i kiedy Khuft z nim skończył, król zjadł je na obiad.

Djelibeybi było niewielkim, zamkniętym w sobie krajem. Nawet jego plagi były raczej łagodne. Wszystkie szacowne rzeczne królestwa miewają potężne, nadprzyrodzone plagi, ale Stare Państwo przez ostatnie sto lat stać było jedynie na Plagę Żaby[4].

Tego wieczoru znaleźli się daleko od delty Djel i przez Okrągłe Morze zmierzali do Ankh-Morpork. Teppic przypomniał sobie o sakiewce i zbadał jej zawartość. Z miłością, ale też z typowym dla siebie roztargnieniem, ojciec dał mu na drogę korek, pół puszki smaru do siodeł, niewielką spiżową monetę nieustalonej wartości i wyjątkowo starą sardynkę.

Powszechnie wiadomo, że tuż przed śmiercią zmysły stają się niezwykle wyczulone. Ogólnie uważa się, że mają pomóc właścicielowi wykryć jakiegokolwiek możliwe wyjście z trudnej sytuacji, inne niż to najbardziej oczywiste.

To nieprawda. Fenomen ten jest klasycznym przykładem aktywności zastępczej. Zmysły rozpaczliwie koncentrują się na czymkolwiek z

wyjątkiem kluczowego problemu. W przypadku Teppica była to rozległa powierzchnia bruku leżąca jakieś piętnaście sążni pod nim i zbliżająca się szybko. Miał nadzieję, że bruk zniknie. Problem polegał na tym, że niedługo zniknie rzeczywiście. Nieważne zresztą, z jakiego powodu, ale Teppic dostrzegał wokół siebie wiele rzeczy. Promienie księżyca lśniące na dachach. Zapach świeżego chleba dobiegający z niedalekiej piekarni. Brzęczenie chrabąszcza, który przemknął w górę obok jego ucha. Głos płaczącego dziecka w oddali i szczekanie psa. Cichy powiew powietrza, ze szczególnym uwzględnieniem jego rozrzedzenia i braku zaczepów.

Tego roku prawie siedemdziesięciu wstąpiło do szkoły. Skrytobójcy nie mieli trudnych egzaminów wstępnych; do szkoły łatwo było się dostać i łatwo się było z niej wydostać (sztuka polegała na tym, żeby wydostać się w pozycji pionowej). Na dziedzińcu pomiędzy budynkami gildii tłoczyli się chłopcy, mający dwie wspólne cechy: duże kuferki, na których siedzieli, i ubrania na wyrost, w których - mniej więcej - siedzieli. Niektórzy optymiści przynosili ze sobą broń, tę jednak konfiskowano i w ciągu kilku tygodni odsyłano do domu.

Teppic obserwował ich czujnie. Doceniał teraz zyski, jakie dawało mu wychowywanie przez rodziców zbyt zajętych własnymi sprawami, żeby za bardzo się o niego martwić, a nawet dostrzegać jego istnienie.

Matka, jak ją pamiętał, była miłą kobietą, egocentryczną jak żyroskop. Lubiała koty. Nie tylko je czciła - to akurat robił każdy mieszkaniec królestwa - ale także naprawdę lubiała. Teppic wiedział, że tradycja nakazuje nadrzecznym królestwom cenić koty, podejrzewał jednak, że zwykle zwierzęta te były pełne gracji i stateczne. Koty matki były małymi, złośliwymi, płaskogłowymi i żółtookimi maniakami.

Ojciec wiele czasu poświęcał na martwienie się o królestwo. Od czasu do czasu oznajmiał, że jest mewą, choć było to pewnie wynikiem słabej pamięci. Teppic zastanawiał się niekiedy, jak doszło do jego poczęcia, gdyż rodzice rzadko znajdowali się w tym samym systemie współrzędnych, a co

dopiero w tym samym stanie ducha.

Fakt ten jakoś jednak nastąpił i życie zmusiło Teppica do wychowywania się metodą prób i błędów. Liczni wychowawcy IIamowali go lekko, ale czasem mu pomagali. Najlepsi byli ci, których przyjmował ojciec, zwłaszcza w dni, kiedy fruwał wysoko. Przez jedną cudowną zimę wychowawcą Teppica był starszy już kłusownik, polujący na ibisy. Do królewskich ogrodów trafił przypadkiem, w poszukiwaniu zabłąkanej strzały.

Były to dni szaleńczych gonitw z żołnierzami, spacerów po martwych, rozjaśnionych światłem księżyca ulicach Nekropolii, a przede wszystkim poznawania głuszaka, straszliwie skomplikowanego urzędnika, które - poważnie zagrażając operatorowi - mogło zmienić staw pełen niewinnego ptactwa wodnego w misę pasztetu.

Zbadali też bibliotekę, w tym zamknięte półki - kłusownik miał liczne talenty, zapewniające mu zyskowną rozrywkę przy niesprzyjającej pogodzie. Książki wypełniły Teppicowi wiele godzin cichej lektury. Najbardziej spodobał mu się „Zamknięty pałac”, przełożony z kIIalijskiego przez Dżentelmena, z ręcznie barwionymi ilustracjami, w ściśle ograniczonym nakładzie. Dzieło było niezwykle, ale pouczające; i kiedy kolejny wychowawca, tym razem wynajęty przez kapłanów, młody i romantyczny, zaproponował przeciwienie z chłopcem pewnych technik atletycznych, używanych przez klasycznych Pseudopolian, Teppic przez chwilę rozważał propozycję, po czym wieszakiem na kapelusze powalił młodzieńca na ziemię.

Teppic się nie kształcił. Wykształcenie samo opadało na niego niczym łupież.

W świecie na zewnątrz jego umysłu zaczęło padać: kolejne nowe doświadczenie. Oczywiście słyszał o deszczu: że woda spada z nieba w małych kawałkach. Po prostu nie spodziewał się, że będzie jej tak dużo. W Djelibeybi nigdy nie padało.

Mistrzowie spacerowali pomiędzy chłopcami niby wilgotne, trochę nastroszone czarne ptaszyska. Teppic jednak zerkał na grupkę starszych uczniów, stojących niedaleko ozdobionego kolumnami wejścia do szkoły. Ci także nosili się na czarno - w różnych kolorach czerni.

Wtedy po raz pierwszy odkrył kolory tercjalne, kolory po tamtej stronie czerni, kolory otrzymywane w wyniku rozszczepienia czerni w ośmiościennym pryzmacie. Są praktycznie nieopisywalne w niemagicznym środowisku. Gdyby ktoś próbował, pewnie najpierw poleciłby wypalić coś nielegalnego, a potem dobrze się przyjrzeć skrzydłom szpaka.

Starsi krytycznie obserwowali nowo przybyłych.

Teppic przyglądał się im. Jeśli nie liczyć koloru, ich ubrania skrojone były zgodnie z najnowszą modą - obecnie sugerującą szerokie kapelusze, podkreślone ramiona, wąskie talie i szpiczaste buty, przez co nadążający za nią sprawiali wrażenie niezwykle elegancko ubranych gwoździ.

Będę taki jak oni, powiedział sobie Teppic.

Chociaż pewnie będę się lepiej ubierał, dodał w myślach.

Przypomniawszy sobie jedną z tych krótkich, tajemniczych wizyt wuja Vyrta. Siedzieli wtedy na schodach prowadzących nad Djel.

- Atłas i skóra się nie nadają. Ani żadna biżuteria. Nie możesz nosić niczego, co błyszczy, skrzypi albo dźwięczy. Trzymaj się surowego jedwabiu i aksamitu. Nie to jest najważniejsze, ilu ludzi inhumujesz, ale to, ilu z nich nie zdoła inhumować ciebie.

Poruszał się w nierozsądnym tempie, ale teraz mogło mu to pomóc. Wygiął się nad pustką zaułka, rozpaczliwie wyciągnął ręce i poczuł, że palce muskają parapet okna. To wystarczyło, żeby go obrócić. Uderzył o popękany tynk z taką siłą, że stracił ostatnie resztki tchu. Zaczął się zsuwać po pionowej ścianie...

- Chłopcze!

Teppic podniósł głowę. Obok stał starszy skrytobójca z fioletową wstęgą nauczyciela na piersi. Był pierwszym skrytobójcą - nie licząc wuja Vyrta - którego Teppic widział z bliska. Wydawał się całkiem sympatyczny. Chłopiec mógłby go sobie wyobrazić przy produkcji kiełbas.

- Do mnie mówiłeś? - zapytał.

- Masz wstać, kiedy zwracasz się do mistrza - upomniała go rumiana twarz.

- Mam?

Teppic był zafascynowany. Zastanawiał się, jak można to osiągnąć. Dyscyplina jak dotąd nie należała do głównych elementów jego życia. Większość wychowawców tak wyprowadzał z równowagi widok władcy, siedzącego niekiedy na drzwiach, że jak najszybciej kończyli lekcje i zamykali się w pokojach.

- Mam, sir - poprawił nauczyciel. Zajrzał do trzymany w rękę papierów. - Jak ci na imię, chłopcze?

- Książę Pteppic ze Starego Państwa, Królestwa Słońca - wyjaśnił swobodnie Teppic. - Rozumiem, że jesteś ignorantem w sprawach etykiety, ale nie powinieneś mnie nazywać „sir” i powinieneś uderzać czołem o ziemię, kiedy się do mnie zwracasz.

- Pateppic? - powtórzył mistrz.

- Nie. Pteppic.

- Aha. Teppic. - Mistrz zaznaczył imię na liście. Uśmiechnął się szeroko. - Cóż, wasza wysokość - powiedział. - Jestem Grunworth Nivor, twój opiekun. Trafiłeś do Domu Żmii. Wedle mojej wiedzy, na Dysku istnieje przynajmniej jedenaście Królestw Słońca. Do końca tygodnia przedstawisz krótkie wypracowanie, opisujące ich położenie geograficzne, ustrój polityczny, stolice i główne siedziby rządu, a także sugerowaną trasę

do alkowy dowolnie wybranej głowy państwa. Jednakże na Dysku jest tylko jeden Dom Żmii. Miłego dnia, chłopcze.

Nauczyciel odwrócił się i ruszył ku kolejnemu przestraszonemu uczniowi.

- Nie jest taki zły - odezwał się głos za Teppikiem. - Zresztą wszystko to znajdziesz w bibliotece. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać. Jestem Chidder.

Teppic odwrócił się. Zwracał się do niego chłopiec mniej więcej w jego wieku i podobnego wzrostu. Jego czarny strój - zwykła czerń Pierwszego Roku - wyglądał, jakby przybijano mu go do ciała po kawałku.

Chłopiec wyciągnął rękę. Teppic przyjrzał się jej uprzejmie.

- Tak?

- Jak ci na imię, mały?

Teppic wyprostował się. Miał już dosyć takiego traktowania.

- Mały? Wiedz, że w moich żyłach płynie krew faraonów. Chłopak patrzył na niego wcale nieprzestraszony. Pochylił głowę w bok i uśmiechnął się lekko.

- A chciałbyś, żeby tam została? - zapytał.

Piekarnia była tuż obok; garstka pracowników wyszła na stosunkowo świeże przed świtem powietrze, by zapalić papierosa i chwilę odetchnąć po pustynnym żarze pieców. Ich głosy wznosiły się aż do Teppica, ukrytego w cieniu. Ścisnął błogosławiony okienny parapet i szukał wśród cegieł oparcia dla stóp.

Nie jest tak źle, powtarzał sobie. Bywałeś na gorszych ścianach. Na przykład osiowa elewacja pałacu Patrycjusza zeszłej zimy, kiedy rynny się

przepeliły i cały mur pokrywała warstwa lodu. Ta ścianka to niewiele więcej niż trójka, najwyżej 3,2. Ty i Chiddy chodziliście po takich na spacer, zamiast tupać po ulicy. To tylko kwestia perspektywy.

Perspektywa... Spojrzał w dół, na dwanaście sążni nieskończoności. Chłopie, weź się w garść. Nie, weź w garść tę ścianę... Prawa stopa znalazła wnękę po wykruszonej zaprawie; palce wsunęły się w nią niemal bez świadomego polecenia mózgu. Mózg w tej chwili był zbyt poruszony, by poświęcać wydarzeniom więcej niż tylko przelotną uwagę.

Teppic nabrał tchu, opuścił rękę do pasa, chwycił sztylet i wbił go między cegły, zanim grawitacja zauważyła, co się dzieje. Zawisł zdyszany i czekał, aż znowu o nim zapomni. Potem przesunął ciało w bok i spróbował tego samego manewru po raz drugi.

W dole jeden z piekarzy opowiedział soczysty dowcip i strzepnął z ucha kawałek tynku. Jego koledzy wybuchnęli śmiechem. Teppic tymczasem stanął w ciemności, utrzymując równowagę na dwóch igłach klatchiańskiej stali, i ostrożnie przesunął dłonie wzdłuż ściany do okna, którego parapet zapewnił mu chwilowy ratunek.

Okno było zamknięte. Porządny cios z pewnością by je otworzył, ale równocześnie pchnąłby go w tył, w pustkę. Teppic westchnął, z delikatnością zegarmistrza wyjął z sakiewki diamentowy cyrkiel i powoli wykreślił koło na zakurzonym szkle.

- Sam go nieś - powiedział Chidder. - Takie tu są zasady. Teppic spojrział na kufer. Pomysł wydał mu się intrygujący.

- W domu mamy do tego ludzi - wyjaśnił. - Eunuchów i tak dalej.

- Powinieneś jednego ze sobą przywieźć.

- Źle znoszą podróże.

W rzeczywistości twardo odrzucił sugestię, że powinien mu towarzyszyć niewielki orszak. Dios dąsał się przez kilka dni. Nie tak powinien wyruszać w świat członek królewskiego rodu, oznajmił. Teppic nie ustąpił. Był prawie pewien, że skrytobójcy nie powinni chodzić do pracy w towarzystwie podręcznych i trębaczy. Teraz jednak uznał, że pomysł nie był tak całkiem pozbawiony sensu. Szarpnął kuferek na próbę i udało mu się zarzucić go sobie na ramiona.

- Więc twoja rodzina jest bogata? - zapytał Chidder, idąc koło niego.

Teppic zastanowił się chwilę.

- Nie, właściwie nie. U nas hodują głównie melony, czosnek i takie różne. Poza tym stoją na ulicach i krzyczą „hurra”.

- Mówisz o swoich rodzicach? - zdziwił się Chidder.

- O nich? Nie, mój ojciec jest faraonem. Matka była chyba konkubina.

- Myślałem, że to jakaś roślina.

- Raczej nie. Nigdy jakoś o tym nie rozmawialiśmy. Zresztą umarła, jak jeszcze byłem mały.

- To okropne - stwierdził uprzejmie Chidder.

- Poszła popływać przy świetle księżyca w czymś, co okazało się krokodylem. - Teppic starał się nie okazywać, jak uraziła go reakcja chłopca.

- Mój ojciec pracuje w Ilandlu - powiedział Chidder, gdy przechodzili pod łukiem wejścia.

- Fascynujące - przyznał grzecznie Teppic. Przytłaczały go te wszystkie nowe doświadczenia. - Nigdy nie byłem w Ilandlu, ale słyszałem, że to wspaniali ludzie.

Przez kolejną godzinę czy dwie, Chidder - który kroczył przez życie spokojnie, jakby już dawno je rozpracował - wprowadzał Teppica w rozmaite tajemnice internatów, klas i kanalizacji. Kanalizację, z różnych powodów,

zostawił na sam koniec.

- Żadnych? - nie dowierzał.

- Mamy wiadra i inne rzeczy - odparł wymijająco Teppic. - I dużo służby.

- Trochę staromodne jest to twoje królestwo. Teppic kiwnął głową.

- To przez piramidy - wyjaśnił. - Pochłaniają wszystkie pieniądze.

- Przypuszczam, że są kosztowne.

- Niespecjalnie. Budujemy je z kamieni. - Chłopiec westchnął. - Mamy mnóstwo kamieni. I piasku. Kamień i piasek. W tym jesteśmy dobrzy. Gdybyś kiedyś potrzebował kamieni i piasku, jesteśmy właściwymi ludźmi. To wykończenie wnętrza jest naprawdę kosztowne. Wciąż nie spłaciliśmy rachunku za dziadkową, a przecież nie była wielka: tylko trzy komory.

Teppic odwrócił się i wyjrzał przez okno. Podczas rozmowy wrócili do wspólnej sypialni.

- Całe królestwo jest zadłużone - wyznał cicho. - Nawet nasze długi są zadłużone. Właściwie to z tego powodu przyjechałem. Ktoś z rodziny musi zarabiać jakieś pieniądze. Następca tronu nie może się już włóczyć po pałacu i udawać ornamentu. Musi wziąć się do pracy i zrobić coś pożytecznego dla społeczeństwa.

Chidder oparł dłoń o parapet.

- A nie moglibyście zdjąć z piramid trochę towaru? - zapytał.

- Nie żartuj.

- Przepraszam.

Teppic spoglądał posępnie w dół.

- Mnóstwo tu ludzi - zauważył, próbując zmienić temat. - Nie sądziłem,

że szkoła będzie taka duża. - Zadrżał. - I taka zimna.

- Ludzie ciągle odpadają. Nie wytrzymują nauki. Najważniejsze, to wiedzieć, co jest co i kto jest kto. Widzisz tego tam?

Wskazał palcem grupę starszych uczniów, stojących między kolumnami przy wejściu.

- Ten wysoki? Z twarzą jak czubek buta?

- To Flimoe. Uważaj na niego. Jeśli zaprosi cię w swojej pracowni na grzankę, nie idź.

- A kim jest ten dzieciak z lokami? - zapytał Teppic.

Wskazał chłopca, którym zajmowała się wyblakła z wyglądu kobieta. Lizała chusteczkę i ścierała wymaginowane ślady brudu z jego twarzy. Kiedy skończyła, poprawiła mu kołnierzyk.

Chidder wyciągnął szyję.

- Och, po prostu nowy dzieciak - wyjaśnił. - Arthur jakiś tam. Maminsynek, jak widzę. Nie przetrwa długo.

- Nie byłbym taki pewny. My też jesteśmy w pewnym sensie maminsynkami, a przetrwaliliśmy tysiące lat.

Szklany krążek wpadł do wnętrza i brzęknął o podłogę. Przez kilka minut nie zabrzmiał żaden inny dźwięk. Potem nastąpiło cichutkie puknięcie naczynia z oliwą. Cień, leżący na okiennym parapecie, cmentarzysku much, okazał się ręką, z roślinną powolnością pełznącą w stronę Ilaczyka.

Zgrzytnął metal i całe okno uchyliło się w trybologicznej ciszy.

Przez minutę czy dwie pełną kurzu przestrzeń wypełniała intensywna

nieobecność dźwięku, wywoływana przez kogoś poruszającego się z najwyższą ostrożnością. Jeszcze raz trysnęła oliwa i szepnął metal, gdy odsunął się rygiel kłapy prowadzącej na dach.

Teppic czekał, aż dogoni go własny oddech, i w tej właśnie chwili usłyszał dźwięk. Rozbrzmiewał gdzieś wśród białego szumu, na samej granicy słyszalności, ale nie było wątpliwości co do jego źródła. Ktoś czekał przy klapie i właśnie przycisnął ręką kawałek papieru, żeby nie szeleścił na wietrze.

Dłoń Teppica porzuciła rygiel. Starannie dobierając drogę, chłopiec przeszedł po brudnej podłodze i obmacując drewniane ściany, trafił na drzwi. Tym razem nie ryzykował, ale odkorkował butelkę oliwy i odczekał, aż bezgłośnie kropla spadnie na zawiasy.

W chwilę później znalazł się po drugiej stronie. Szczur, spokojnie patrolujący przewiewny korytarz, ledwie się powstrzymał od połknięcia własnego języka, gdy Teppic przepłynął obok.

Na końcu były jeszcze jedne drzwi i labirynt zakurzonych magazynów. Wreszcie znalazł schody. Oceniał, że jest o jakieś piętnaście sążni od kłapy. Po drodze nie zauważył przewodów kominowych. Nic nie powinno przeszkadzać na dachu.

Przykucnął i wyjął zawiniątko z nożami - aksamitna czerń znaczyła ciemniejszy prostokąt wśród mroku. Teppic wybrał numer pięć, nóż nie dla każdego, ale skuteczny, jeśli się opanuje posługiwanie nim.

Wkrótce potem chłopiec wysunął głowę ponad krawędź dachu, z ramieniem odciągniętym w tył, lecz gotowym, by wyprostować się nagle w skomplikowanym oddziaływaniu sił, które złożą się, wysyłając kilka uncji stali w lot pośród nocy.

Meriket siedział przy klapie i spoglądał na swój notatnik. Wzrok Teppica sięgnął podłużnego pomostu, opartego równo o parapet kilka stóp dalej.

Był pewien, że nie wydał żadnego dźwięku. Mógłby przysiąc, że

egzaminator usłyszał odgłos padającego na niego spojrzenia.

Starzec uniósł łysą głowę.

- Dziękuję, panie Teppic - powiedział. - Proszę kontynuować.

Teppic poczuł, że zimny pot występuje mu na skórę. Patrzył na pomost, na egzaminatora, potem na nóż,

- Tak jest, sir - wykrztusił w końcu. W tych okolicznościach nie wydało mu się to wystarczające. - Dziękuję panu, sir - dodał.

Na zawsze miał zapamiętać swoją pierwszą noc we wspólnej sypialni. Była dostatecznie obszerna, by pomieścić osiemnastu chłopców Domu Żmii, i dostatecznie pełna przeciągów, by zmieścić całe wielkie zewnętrzne. Jej projektant być może pamiętał o wygodzie, ale jedynie po to, żeby unikać jej, kiedy tylko było to możliwe. W rezultacie zbudował pomieszczenie, które mogło być zimniejsze niż powietrze na zewnątrz.

- Myślałem, że każdy dostanie własny pokój - mruknął Teppic. Chidder, który zajął najmniej widoczne łóżko w całej lodówce, skinął mu głową.

- Później - obiecał. Położył się i syknął. - Jak myślisz, ostrzą te sprężyny?

Teppic milczał. Łóżko było nawet wygodniejsze od tego, w którym sypiał w domu. Rodzice, jako szlachetnie urodzeni, akceptowali dla swoich dzieci warunki życia, jakie od ręki odrzuciłaby rodzina zubożałych komarów.

Wyciągnął się na cienkim materacu i przemyślał wydarzenia minionego dnia. Wpisano go na listę skrytobójców, no dobrze, uczniów skrytobójców, już ponad siedem godzin temu, a jak dotąd nie dali mu nawet noża do ręki. Oczywiście, jutro też jest dzień...

Chidder pochylił się nad nim.

- Gdzie jest Arthur? - zapytał.

Teppic zerknął na sąsiednie łóżko. Na jego środku leżał smętnie mały tobołek ubrań, ale nie było śladu właściciela.

- Myślisz, że uciekł? - zapytał, rozglądając się badawczo.

- To możliwe - zgodził się Chidder. - Często się zdarza. Wiesz, maminsynek, pierwsza noc poza domem...

Drzwi sali otworzyły się wolno i Arthur wkroczył tyłem, ciągnąc za sobą dużego i bardzo opornego kozła. Zwierzę opierało się gwałtownie przez całą drogę między dwoma rzędami łóżek.

Chłopcy przyglądali się w milczeniu. Arthur przywiązał kozia do łóżka, wysypał na koc zawartość tobołka, znalazł kilka czarnych świec, pęczek ziół, łańcuch czaszek i kawałek kredy. Z zaczerwienioną twarzą i miną człowieka, który uczyni to, co uważa za słuszne, choćby nie wiem co się działo, wykreślił wokół łóżka podwójny krąg, uklęknął i wypełnił przestrzeń między dwiema liniami zestawem symboli okultystycznych - najbardziej ponurym, jaki Teppic w życiu widział. Kiedy skończył, ustawił świece w strategicznych punktach i zapalił je; płonęły nierówno i wydzielały zapach sugerujący, że człowiek tak naprawdę wcale nie chce wiedzieć, z czego zostały zrobione.

Potem wyciągnął krótki nóż z czerwoną rękojeścią, zbliżył się do kozła...

Poduszka trafiła go w głowę.

- A niech go! Pobożniś się znalazł!

Arthur wypuścił nóż i zalał się łzami. Chidder usiadł na łóżku.

- To ty, Cheesewright! - powiedział. - Widziałem. Cheesewright, chudy chłopak o rudych włosach i twarzy, która była jednym wielkim pgiem, rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Tego już za wiele - oświadczył. - Zasnąć nie można od całej tej religii. Przecież tylko małe dzieci odmawiają paciorek przed spaniem, a my tu mamy się uczyć na skrytobójców...

- Mógłbyś uprzejmie się zamknąć, Cheesewright? - wrzasnął Chidder. - Świat byłby lepszy, gdyby więcej ludzi odmawiało pacierz. Wiem, że sam też nie modłę się tak często, jak powinienem...

Poduszka przerwała mu w pół słowa. Poderwał się z łóżka i wymachując pięściami, skoczył na rudowłosego przeciwnika.

Gdy reszta chłopców otoczyła walczącą dwójkę, Teppic wysliznął się spod koca i podszedł do Arthura, który siedział na brzegu łóżka i szlochał.

Teppic poklepał go po ramieniu, uznając, że czynność ta powinna dodawać ludziom otuchy.

- Nie masz się o co mazać, mały - rzucił szorstko.

- Ale... Ale zamazali mi wszystkie runy. Już za późno. A to znaczy, że Wielki Orm przyjdzie tu nocą i nawinie moje wnętrzności na kij! i...

- Naprawdę?

- I wyssie mi oczy. Tak mówiła mama.

- O rany... - szepnął zafascynowany Teppic. - Naprawdę? -

Dobrze się złożyło, że zajął łóżko naprzeciw Arthura i teraz będzie miał świetny widok. - A jaka to religia?

- Jesteśmy Ścisłymi Autoryzowanymi Ormitami - wyjaśnił Arthur. Wytarł nos. - A ty nie masz boga?

- Ależ mam - odparł z wahaniem Teppic. - Z całą pewnością.

- Ale jakoś nie chcesz z nim rozmawiać.

- Nie mogę. - Teppic pokręcił głową. - Nie tutaj. Nie usłyszałby mnie.

- Mój bóg słyszy mnie, gdziekolwiek jestem - zapewnił z przekonaniem Arthur.

- Cóż... Mój ma kłopoty, jeśli staniesz po przeciwnej stronie pokoju. To bywa krępujące.

- Nie jesteś chyba Offlianinem? - spytał Arthur. Offler był Bogiem Krokodylem i nie miał uszu.

- Nie.

- Więc jakiego boga czcisz?

- Trudno powiedzieć, że czczę - mruknął zakłopotany Teppic. - Nie nazwałbym tego czcią. To znaczy owszem, jest w porządku. To mój ojciec, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

Arthur szeroko otworzył zaczerwienione oczy.

- Jesteś synem boga? - wyszeptał.

- Tam, skąd pochodzę, wiąże się to z funkcją króla - tłumaczył pospiesznie Teppic. - Nie jest to zbyt ciężka praca. Wiesz, to właściwie kapłani kierują państwem. On tylko ma dopilnować, żeby co roku wylała rzeka, i wiesz, służy Wielkiej Krowie Niebiańskiej Kopuły. Kiedyś służył.

- Wielkiej...

- Mojej matce - wyjaśnił Teppic. - To trochę krępujące.

- Czy poraża ludzi?

- Chyba nie. Nigdy o tym nie mówił.

Arthur wskazał ramę łóżka. W całym zamieszaniu kozioł przegryzł sznurek i potruchtał za drzwi, obiecując sobie, że już na zawsze skończy z religią.

- Będę miał straszne kłopoty - wyznał Arthur. - Pewnie nie mógłbyś

prosić ojca, żeby wytłumaczył wszystko Wielkiemu Ormowi?

- Może mu się uda - mruknął z powątpiewaniem Teppic. - I tak miałem jutro pisać do domu.

- Wielki Orm przebywa zwykle w jednym z Niższych Piekieł, skąd obserwuje wszystko, co robimy. A w każdym razie wszystko, co ja robię. Zostaliśmy już tylko ja i mama, a ona nie robi nic, co warto by oglądać.

- Powiem mu o tym.

- Myślisz, że Wielki Orm przyjdzie dziś w nocy?

- Raczej nie. Poproszę ojca, żeby z nim porozmawiał i powiedział, żeby nie przychodził.

Na drugim końcu sali Chidder klęczał Cheesewrightowi na plecach i rytmicznie uderzał jego głową o podłogę.

- Powtórz to - rozkazał. - No już. To nic złego...

- To nic złego, że ktoś ma dość odwagi... Niech cię demony porwą, Chidder, ty draniu...

- Nie słyszę cię, Cheesewright.

- Dość odwagi, żeby odmawiać pacierz przy wszystkich, ty zgniły...

- Dobrze. I nie zapominaj o tym.

Po zgaszeniu światła, Teppic leżał w łóżku i myślał o religii. Była to z pewnością niezwykle skomplikowana kwestia.

Dolina Djel miała własnych, prywatnych bogów, nie mających nic wspólnego z zewnętrznym światem. Jej mieszkańcy zawsze byli z tego bardzo dumni. Bogowie - mądrzy i sprawiedliwi - kierowali życiem ludzi z wprawą i talentem, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Istniały jednak zagadki.

Na przykład ojciec sprawiał, że słońce wschodziło, rzeka wylewała i tak dalej. To podstawa, coś, co faraonowie robili od czasów Khufta, nie można kwestionować czegoś tak oczywistego. Problem w tym, czy sprawiał, że słońce wschodziło w Dolinie, czy wszędzie na świecie? Wschód słońca w Dolinie wydawał się rozsądniejszym założeniem, w końcu ojcu lat nie ubywało; trudno jednak sobie wyobrazić, że słońce wschodzi wszędzie, tylko nie w Dolinie, co z kolei prowadziło do niepokojącego wniosku, że słońce by wzeszło, nawet gdyby ojciec o nim zapomniał, co prawdopodobnie było zgodne z rzeczywistością. Teppic musiał przyznać, że nigdy nie widział ojca zajmującego się wschodem słońca. Można by się spodziewać przynajmniej sieknięcia z wysiłku tuż przed świtem. Ojciec nigdy nie wstawał przed śniadaniem. A słońce wschodziło i tak.

Długo nie mógł zasnąć. Łóżko, cokolwiek by mówił Chidder, było za miękkie, powietrze za zimne, a co najgorsze, niebo za oknami było za ciemne. W domu rozjaśniałyby je flary nekropolii, bezgłośnie płomienie - niesamowite, ale też znajome i uspokajające. Jakby przodkowie spoglądali na niego ponad rzeką. Teppic nie lubił ciemności. Następnego wieczoru kolejny chłopiec z ich sali, pochodzący gdzieś z dalekiego wybrzeża, trochę zawstydzony, próbował wsadzić jeszcze innego chłopca do wiklinowej klatki, którą zrobił na zajęciach Rzemiosła, i podłożyć ogień. W dzień później Snoxall, który miał łóżko przy drzwiach i pochodził z jakiegoś małego państewka wśród lasów, pomalował się na zielono i poprosił o ochotników, którzy by pozwolili owinać swoje wnętrza wokół drzewa. W czwartek wybuchła niewielka wojna między czcicielami Bogini Matki w jej aspekcie Księżyca, a jej czcicielami w aspekcie wielkiej grubej kobiety z ogromnymi pośladkami. Wtedy interweniowali nauczyciele. Wyjaśnili, że religia, choć to piękna rzecz, może doprowadzić za daleko.

Teppic podejrzewał, że niepunktualność jest niewybaczalna. Ale z pewnością Mericet musi się zjawić w wieży pierwszy, a on sam szedł najkrótszą trasą. Starzec nie mógł go przecież wyprzedzić. Nawiasem mówiąc, nie mógł też pierwszy dobiec do pomostu nad zaułkiem... Na pewno zdjął pomost przed spotkaniem, tłumaczył sobie Teppic, a potem wspiął się

na dach, kiedy ja wspinałem się po ścianie.

Nie wierzył w ani jedno słowo.

Przebiegł po szczycie dachu, uważając na obluzowane dachówki i linki potykaczy. Wyobrażenia w każdym cieniu ukazywała mu przyczajone postacie.

Przed nim wyrosła dzwonnica. Teppic przystanął, żeby ją obejrzeć. Widział ją już tysiące razy i wspinał się na nią wielokrotnie, chociaż miała najwyżej 1,8, mimo interesującego przejścia przez mosiężną kopułę na szczycie. Była zwykłym elementem krajobrazu. Przez to teraz wydawała się straszniejsza; wznosiła w górę swą krępą, groźną sylwetkę, dobrze widoczną na tle szarego nieba.

Teppic zbliżał się teraz ostrożniej, ukosem po spadzistym dachu. Przyszło mu do głowy, że tam, w górze, na kopule, są jego inicjały, a obok inicjały Chiddy'ego i setek młodych skrytobójców, i że pozostaną tam, choćby nawet zginął dziś w nocy. Ta myśl dodała mu otuchy. Tyle że nie za bardzo.

Odwinął linę i bez trudu zarzucił ją na gzyms biegnący wokół wieży tuż pod kopułą. Pociągnął i usłyszał cichy brzęk, gdy kotwiczka zaczepiła o mur. Wtedy szarpnął z całej siły, opierając nogę o komin.

Nagle, bez żadnego dźwięku, część gzymsu poruszyła się i runęła w dół.

Z trzaskiem uderzyła o dach i zsunęła się po dachówkach. Kolejną chwilę ciszy przerwał odległy huk, gdy gzyms roztrzaskał się na ulicy.

Cisza zaległa nad dachami. Tam gdzie stał Teppic, jedynie bryza poruszała rozgrzanym powietrzem.

Po kilku minutach wynurzył się z cienia komina; na ustach miał dziwny, straszny uśmiech.

Nic, co mógłby wymyślić egzaminator, nie było nieuczciwe. Klienci

skrytobójcy mieli zwykle dość pieniędzy, żeby opłacić rozmaite pomysłowe środki obronne, a nawet własnych skrytobójców[5]. Mericet nie próbował go zabić; starał się tylko skłonić go, żeby sam się zabił.

Teppic zbliżył się do podstawy wieży i znalazł rynnę. Ku jego zdumieniu, nie była pokryta maścią poślizgową, ale delikatnie badające powierzchnię palce natrafiły na zatrute igły, pomalowane na czarno i przyklejone od strony muru. Wyrwał je szczypcami i powąchał.

Destylowany nadymacz... Bardzo kosztowny i o zdumiewającym działaniu. Teppic sięgnął do pasa po szklaną fiolkę i zebrał wszystkie igły, jakie udało mu się znaleźć. Potem włożył wzmacniane rękawice i zaczął się wspinać z prędkością ślimaka.

- Może się zdarzyć, że gdy przemierzacie miasto w prawowitej misji, staniecie przeciwko kolegom z gildii, może nawet przeciwko jednemu z dżentelmenów, z którymi teraz siedzicie w jednej ławce. Jest to prawidłowe i... Co pan robi, panie Chidder? Nie, proszę nie mówić, chyba wolę nie wiedzieć, proszę się zgłosić po lekcji... właściwe. Każdy, bez żadnego wyjątku, ma prawo się bronić najlepiej, jak potrafi. Jednakże są też inni wrogowie, którzy podążają za wami, i z nimi do walki nie jesteście przygotowani... Kim oni są, panie Cheesewright?

Mericet odwrócił się od tablicy niczym sęp, który właśnie usłyszał jęk konania, i wycelował kredę w Cheesewrighta. Chłopiec wytrzeszczył oczy.

- Gildia Złodziei, sir? - wykrztusił.

- Podejdź do tablicy, chłopcze.

Wśród chłopców krążyły powtarzane szeptem historie o tym, co Mericet robił z marnymi uczniami. Historie te zawsze były niejasne, ale przerażające. Klasa się odprężyła. Mericet zajmował się zwykle tylko jedną ofiarą, więc teraz mieli tylko wyglądać na skupionych i bawić się pokazem.

Zaczerwieniony po uszy Cheesewright wstał i podreptał do tablicy.

Mistrz przyjrzał mu się uważnie.

- No tak - rzekł. - Oto mamy pana Cheesewrighta G., skradającego się po skrzypiących dachach. Widzimy jego zdeterminowane uszy. Widzimy stanowcze kolana.

Klasa zachichotała posłusznie. Cheesewright uśmiechnął się idiotycznie i przewrócił oczami.

- Ale co to za złowieszcze postacie, idące za nim krok w krok? Słucham... Ponieważ tak świetnie się pan bawi, panie Teppic, może zechce pan to wyjaśnić panu Cheesewrightowi?

Teppic zamarł roześmiany.

Wzrok Mericeta wbijał się w niego. Jest jak Dios, najwyższy kapłan, myślał Teppic. Nawet ojciec boi się Diosa.

Wiedział, co powinien teraz zrobić, ale niech go porwą demony, jeśli zrobi. Powinien się przestraszyć.

- Złe przygotowanie - powiedział. - Niedbałość. Brak koncentracji. Brak troski o narzędzia. Aha, i jeszcze nadmierna pewność siebie, sir.

Jeszcze przez chwilę Mericet patrzył mu w oczy, ale Teppic ćwiczył to z pałacowymi kotami.

Wreszcie nauczyciel uśmiechnął się lekko - co nie miało nic wspólnego z humorem - podrzucił kredę, złapał ją i stwierdził:

- Pan Teppic ma rację. Zwłaszcza w kwestii nadmiernej pewności siebie.

Trafił na gzyms prowadzący do zachęcająco otwartego okna. Na gzymsie był olej i Teppic poświęcił kilka minut, by w szczeliny między kamieniami wkręcić kilka małych IIaków. Potem ruszył dalej.

Bez wysiłku zawisł przy oknie i odczepił od pasa kilka metalowych prętów. Były nagwintowane na końcach i po kilku sekundach szybkiej pracy otrzymał z nich jeden, długi na jakieś trzy stopy. Na końcu umocował małe lusterko.

Nie pokazało mu niczego prócz mroku. Zdjął je i ponowił próbę, tym razem wsuwając w okno swój kaptur, do którego wcisnął rękawice, żeby uzyskać efekt głowy, ostrożnie pojawiającej się na tle jaśniejszego nieba. Był przekonany, że trafi go strzałka lub bełt, ale kaptur pozostał rozsądnie nieatakowany.

Robiło się chłodno, choć noc była upalna. Czarny aksamit świetnie wygląda, ale to właściwie wszystko, co można o nim powiedzieć. Podniecenie i wysiłek oznaczały, że Teppic nosił teraz ze dwie kwarty lepkiej cieczy.

Ruszył.

Na parapecie znalazł cienką czarną linkę, a na zsuwanej części okna zębate ostrze. Wystarczyła chwila, by podeprzeć okno kolejnym prętem i przeciąć linkę. Okno opadło o ułamek cala.

Teppic uśmiechnął się w ciemności.

Machnięcie dłuższym prętem ujawniło, że za oknem jest podłoga, najwyraźniej wolna od przeszkód, a także linka na wysokości piersi. Teppic umocował na pręcie mały IIaczyk, zaczepił linkę i pociągnął.

Zabrzmiało tępe stuknięcie bełtu z kuszy, wbijającego się w tynk.

Bryła gliny na końcu tego samego pręta, pchnięta delikatnie po podłodze, zdradziła obecność licznych kolców. Teppic przyciągnął je i obejrzał. Były miedziane. Gdyby użył magnesu, co jest standardową techniką, na pewno by ich nie znalazł.

Zastanowił się. Miał ze sobą parę wsuwanych kapłanów. Potwornie przeszkadzały w skradaniu się po pokoju, ale włożył je mimo wszystko (kapłany to wzmacniane metalem kalosze; ratują skórę twoich butów, jak żartowali skrytobójcy). Mericet był w końcu specjalistą od trucizn. Nadymacz! Jeśli namoczył w nim kolce, Teppic rozsmarowałby się po ścianach. Nie musieliby go grzebać, wystarczyłoby malowanie[6].

Zasady. Mericet musi przestrzegać zasad. Nie może po prostu zabić Teppica bez ostrzeżenia. Musi mu pozwolić zabić się samemu, przez nieuwagę lub nadmierną pewność siebie.

Zeskoczył lekko na podłogę w pokoju i poczekał, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Kilka badawczych machnięć prętem nie wykryło dalszych linek; coś cicho zgrzytnęło pod stopą - to kapłan zgniótł kolec.

- Kiedy tylko będzie pan gotów, panie Teppic.

Mericet stał w kącie. Coś notował - Teppic usłyszał cichy zgrzyt ołówka. Starał się zapomnieć o egzaminatorze. Starał się myśleć.

Jakiś człowiek leżał na łóżku, całkowicie zakryty kocem.

To ostatni test. W tym pokoju wszystko się wyjaśnia. O tym nie opowiadają studenci, którzy zdali. Tych, którzy nie zdali, i tak nie można zapytać.

Myśli Teppica pędziły jak oszalałe. W takich chwilach niezbędne było boskie przewodnictwo. Tato, dlaczego cię tu nie ma?

Zazdrościł kolegom, którzy wierzyli w bogów niedotykalnych, żyjących na szczycie jakiejś góry. W takich to naprawdę można uwierzyć. Ale bardzo trudno jest uwierzyć w boga, którego codziennie rano widuje się przy śniadaniu.

Zdjął z ramienia kuszę i skrzył jej dobrze naoliwione części. Nie była to najlepsza broń, ale skończyły mu się noże, a w ustach za bardzo zaschło, żeby użyć dmuchawki.

Jakiś głos dobiegł z kąta. To Mericet obojętnie stukał się ołówkiem po zębach.

Może to tylko manekin? Skąd może wiedzieć? Nie, to na pewno prawdziwy człowiek. Słyszał takie historie... Może gdyby postukał go prętem...

Potrząsnął głową, uniósł kuszę i wymierzył dokładnie.

- Kiedy tylko pan zechce, panie Teppic. To było to.

To tutaj przekonywali się, czy człowiek potrafi zabić. To właśnie to, o czym starał się nie myśleć. Wiedział, że nie potrafi.

W oktodniowe popołudnia mieli zajęcia ze Skuteczności Politycznej z lady T'malią, jedną z niewielu kobiet, które doszły w gildii do najwyższych godności. W krainach wokół Okrągłego Morza na ogół zgadzano się, że jednym ze sposobów na długie życie jest niespożywanie posiłków z tą damą. Bizuteria na jednej tylko ręce zawierała dość trucizny, by inhumować niewielkie miasteczko. T'malia była oszałamiająco piękna, tą wyrachowaną urodą, którą uzyskuje się dzięki zespołowi utalentowanych artystów, manikiurzystów, szminkarzy, gorseciarzy i krawców oraz trzygodzinnej ciężkiej pracy każdego ranka. Kiedy szła, słychać było cichy jęk fiszbinów poddanych niewiarygodnym naprężeniom.

Chłopcy uczyli się szybko. Gdy mówiła, nie patrzeli na jej figurę. Obserwowali jej pałce.

- Zatem - powiedziała - rozważmy sytuację przed stworzeniem gildii. W tym mieście, a także w wielu innych miejscach cywilizacja utrzymuje się i rozwija dzięki dynamicznej grze interesów między licznymi wielkimi i potężnymi kartelami. W dniach przed powstaniem gildii próba zyskania przewagi wśród tych konsorcjów nieodmiennie prowadziła do pożałowania godnych kontrowersji, rozwiązywanych z tragicznymi konsekwencjami.

Miało to fatalny wpływ na wspólne dobro mieszkańców miasta. Pamiętajcie, proszę, że gdzie rządzi nieład, tam upada Ilandel. A jednak...

Przycisnęła dłonie do łona. Coś zatrzeszczało, jakby galeon walczył ze szkwałem.

- W oczywisty sposób niezbędne były wyjątkowe, ale odpowiedzialne metody łagodzenia nierozwiązywalnych konfliktów. Wtedy to nakreślono podstawowe cele gildii. Jakimż błogosławieństwem!... - nagle uniesiony głos wyrwał kilkudziesięciu młodych ludzi z rozmarzenia - ...było życie w tamtych czasach, kiedy obywatele o niezłomnych zasadach moralnych postanowili wykuć ostateczne narzędzie polityki, nie licząc wojny. Jakież szczęście macie dzisiaj, ucząc się w gildii, która tak wiele wymaga w dziedzinie manier, zachowania, postawy i sztuk ezoterycznych, a przy tym ofiaruje wam władzę, zastrzeżoną niegdyś jedynie dla bogów. Świat otwiera się przed wami niby mięczak...

W czasie przerwy, za stajnią, Chidder przetłumaczył większą część wykładu.

- Wiem, co to znaczy Rozwiązywać z Tragicznymi Konsekwencjami - oznajmił z wyższością Cheesewright. - To znaczy inhumować toporem.

- Wcale nie znaczy - zaprotestował Chidder.

- A skąd wiesz?

- Moja rodzina zajmuje się Ilandlem od lat.

- Aha - mruknął Cheesewright. - Ilandlem.

Chidder nie tłumaczył szczegółowo, o jaki Ilandel mu chodzi. Miał jakiś związek z przenoszeniem obiektów w różne miejsca i zaspokajaniem potrzeb, ale jakich konkretnie obiektów i jakich potrzeb, nigdy właściwie nie wyjaśnił.

Kiedy już przyłożył Cheesewrightowi, Chidder wyjaśnił, że Rozwiązywanie z Tragicznymi Konsekwencjami wymagało nie tylko inhumacji

ofiary - w możliwie dokładny sposób - ale także włączenie do procesu jej wspólników i pracowników, terenu firmy, domu oraz sporej części okolicy. Dzięki temu każdy od razu widział, że człowiek ów był bardzo nierozsądny i zyskał sobie wrogów, którzy potrafią wpaść w wielki gniew.

- O rany - szepnął Arthur.

- To jeszcze nic - dodał Chidder. - Pewnej Nocy Strzeżenia Wiedźm mój dziadek i jego dział księgowości udali się na konferencję z ludźmi ze strony osiowej. Nigdy nie znaleziono piętnastu ciał. To bardzo nieprzyjemne wypadki. Niepokoją ludzi interesu.

- Wszystkich ludzi interesu, czy tylko tych, którzy spływają rzeką twarzą w dół? - spytał Teppic.

- Właśnie o to chodzi. Lepiej już, żeby było jak teraz. - Chidder pokręcił głową. - No wiecie: czysto. Dlatego właśnie ojciec powiedział, że powinienem wstąpić do gildii. W dzisiejszych czasach trzeba pilnować interesu i nie można całego czasu poświęcać na reklamę.

Koniec kuszy drżał lekko.

Teppicowi podobało się w szkole wszystko: wspinaczki, muzyka, rozległe wykształcenie. Ale dręczyła go świadomość, że potem ma zabijać ludzi. Nigdy jeszcze nikogo nie zabił.

Na tym rzecz polega, mówił sobie. Teraz wszyscy się dowiedzą, czy potrafisz, ciebie nie wyłączając.

Jeśli teraz mi się nie uda, zginę.

W kącie Mericet zaczął mrużyć jakąś zniechęcającą melodyjkę.

Oto jest cena, jaką płaci gildia za swoje licencje. Pilnuje, żeby nie było nieuważnych, nieprzekonanych czy też - jeśli można tak to określić -

morderczo nieskutecznych skrytobójców. Dlatego nigdy nie spotyka się nikogo, kto oblał egzamin.

Ale nie wszyscy zdają. Tyle że się ich nie spotyka. Może pod tym kocem leży jeden z nich, może nawet Chidder albo Snoxall czy którykolwiek z chłopaków. Wszyscy dzisiaj zdawali egzamin. Może, jeśli zawiedzie, on sam będzie tam leżał...

Teppic próbował zerknąć na nieruchomą postać.

- Ehm... - chrząknął egzaminator.

Teppicowi zaschło w ustach. Panika wzbierała w gardle niczym kolacja pijaka.

Zęby chciały dzwonić. Plecy przemarały, ubranie zmieniło się w stos mokrych łachmanów. Czas zwolnił.

Nie. Nie robi tego. Nagła decyzja trafiła go mocno niby cegła w ciemnym zaułku, i niemal tak samo niespodziewanie. Nie dlatego, że nienawidził gildii, czy nawet szczególnie nie lubił Mericeta. Ale w ten sposób nikogo nie powinno się egzaminować. Nie wolno.

Postanowił nie zdać. I co może mu potem zrobić jeden starzec?

Ale obleje z klasą.

Odwrócił się do Mericeta, spojrzał spokojnie w oczy egzaminatora, wyciągnął rękę z kuszą w jakimś nieokreślonym kierunku z prawej strony i nacisnął spust.

Brzdęknięło metalicznie.

I stuknęło, kiedy strzała odbiła się od gwoźdźcia w okiennym parapecie. Mericet schylił się, kiedy świsnęła mu nad głową. Trafiła w pierścień przytrzymujący pochodnię i przeleciała obok bladej twarzy Teppica. Mruczała jak rozeźlony kot.

I stuknęła głucho, wbijając się w koc.

Potem cisza.

- Dziękuję panu, panie Teppic. Zechce pan poczekać jeszcze chwilę...

Bezgłośnie poruszając wargami, stary skrytobójca pochylił się nad kartką. Chwycił ołówek, dyndający przy notesie na kawałku sznurka, i postawił na papierze kilka nowych znaczków.

- Nie proszę, żeby odebrał pan go z mych rąk bezpośrednio - powiedział. - Z tych czy innych powodów. Zostawię go na stoliku.

Nie był to szczególnie miły uśmiech; był cienki i wysuszony, a całe jego ciepło już dawno się wygotowało. Ludzie zwykle uśmiechają się w taki sposób, gdy mniej więcej od dwóch lat są martwi i leżą pod palącym słońcem pustyni.

W każdym razie Mericet się starał.

Teppic nawet nie drgnął.

- Zdałem? - zapytał.

- Jak się wydaje, ten fakt właśnie nastąpił.

- Ale...

- Wie pan, jestem pewien, że nie wolno nam omawiać testu z uczniami. Jednakże, całkiem prywatnie, muszę powiedzieć, że nie przemawiają do mnie te nowomodne, kuglarskie techniki. Miłego dnia.

I Mericet wyszedł.

Teppic podbiegł do zakurzonego stołu przy drzwiach i zdumiony spojrzał na dokument. Przyzwyczajenie kazało mu sięgnąć po szczypczyki i podnieść go ostrożnie.

Był prawdziwy. Miał pieczęć gildii i nierówny zygzak, bez wątpienia podpis Mericeta. Teppic znał dobrze ten podpis; widywał go często, zwykle pod sprawdzianami, obok uwag typu „3/10. Zgłosić się po lekcjach”.

Podszedł do figury na łóżku i ściągnął z niej koc.

Była już prawie pierwsza i w Ankh-Morpork dopiero zaczynała się noc.

Ciemność panowała nad dachami, w powietrznym świecie złodziei i skrytobójców. W dole jednak miejskie życie toczyło się ulicami niczym fala przyływu.

Teppic jak oszołomiony przeciskał się przez tłum. Ktokolwiek inny próbowałby tego w mieście, sam by prosił o wycieczkę z przewodnikiem na dno rzeki. On jednak miał na sobie czerń skrytobójców, więc tłum automatycznie rozstępował się przed nim i zamykał za jego plecami. Nawet kieszonkowcy trzymali się z daleka - nigdy nie wiadomo, na co można trafić u skrytobójcy.

Chłopiec jak ślepiec przeszedł przez bramę Domu Gildii, usiadł na ławie z czarnego marmuru i wsparł brodę na dłoni.

Jego życie dobiegło końca. Nie zastanawiał się, co zrobi potem. Nie śmiał nawet wierzyć, że w ogóle będzie jakieś potem.

Ktoś klepnął go w ramię. Obejrzał się, a Chidder usiadł przy nim i bez słowa zademonstrował kartkę różowego papieru.

- I już - rzucił po chwili.

- Też zdałeś?

Chidder uśmiechnął się.

- Bez problemów. Trafiłem do Nivora. Żadnych niespodzianek. Chociaż miałem trochę kłopotów przy Upadku Awaryjnym. Jak u ciebie?

- Co? Nie, w porządku. - Teppic starał się zapanować nad nerwami. - Nic strasznego.

- Wiesz coś o reszcie?

-Nie.

Chidder oparł się wygodnie.

- Cheesewrightowi się uda - stwierdził swobodnie. - I młodemu Arthurowi. Nie przypuszczam, żeby niektórzy z pozostałych dali radę. Damy im dwadzieścia minut. Co ty na to?

Teppic zwrócił ku niemu udręczoną twarz.

- Chiddy. Ja...

- Co?

- Kiedy doszło do tego...

- To co się stało?

Teppic wbił wzrok w kamienie posadzki.

- Nic - mruknął.

- Miałeś szczęście - stwierdził Chidder. - Dostała ci się czysta, przyjemna wycieczka po dachach. Ja miałem kanały, a potem przez wychodek do Wieży Galanteryjników. Jak tylko tu wróciłem, musiałem się przebrać.

- Miałeś manekina, prawda? - upewnił się Teppic.

- Na bogów, a ty nie?

- Ale dali nam do zrozumienia, że to ktoś prawdziwy!

- Wyglądał jak prawdziwy, to fakt.

- Właśnie!

- No widzisz. I zdałeś. Nie ma sprawy.

- A nie zastanawiałeś się, kto to może leżeć pod kocem, kim jest i dlaczego...

- Martwiłem się, że nie załatwię tego jak należy - przyznał Chidder. - Ale zaraz pomyślałem: trudno, to już nie ode mnie zależy.

- Ale ja... - Teppic urwał. Co może zrobić? Tłumaczyć? Jakoś nie wydało mu się to świetnym pomysłem. Kolega klepnął go w plecy.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Zdaliśmy! Podniósł kciuk przyciśnięty do dwóch palców prawej ręki, w starożytnym pozdrowieniu skrytobójców.

Kciuk przyciśnięty do palców i szczupła postać doktora Crucesa, głównego wychowawcy, pochylona nad zaskoczonymi chłopcami. - Nie mordujemy - mówił.

Miał cichy głos; doktor Cruces nigdy go nie podnosił, ale potrafił mu nadać taką barwę i wysokość, że byłby słyszany nawet w czasie huraganu.

- Nie wykonujemy egzekucji. Nie dokonujemy masakr. Nigdy, możecie być tego pewni, nigdy nie torturujemy. Nie mamy nic wspólnego ze zbrodniami namiętności, nienawiścią czy rabunkiem. Inhumacja nie sprawia nam przyjemności, nie zaspokaja jakichś tajemnych wewnętrznych pragnień, nie daje władzy. Jej powodem nie jest jakakolwiek wielka sprawa czy wiara. Zapewniam was, panowie, że wszelkie te motywy są w najwyższym stopniu podejrzanе. Spójrzcie w twarz człowieka, który zabiłby was dla wiary, a wasze nozdrza wypełni zapach potworności. Wysłuchajcie przemowy ogłaszającej świętą wojnę, a zapewniam was, że wasze uszy pochwycą brzęk łusek zła, szelest monstrualnego ogona ciągniętego po czystości języka.

- Nie. Robimy to dla pieniędzy.

- A ponieważ my właśnie, lepiej niż inni, znamy wartość ludzkiego życia, robimy to dla dużych pieniędzy.

- Nie ma bardziej czystych motywów, odrzućcie więc wszelkie pretensje.

- Nil mortifi, sine lucre. Pamiętajcie. Nie ma zabijania bez zapłaty. Zastanowi! się chwilę.

- I zawsze wystawiajcie pokwitowanie - dodał.

- Czyli wszystko w porządku - podsumował Chidder. Teppic smętnie pokiwał głową. Właśnie dlatego Chidder tak łatwo dawał się lubić: posiadał godną pozazdrosczenia umiejętność niezastanawiania się poważnie nad niczym, co robił.

Jakaś postać ostrożnie przekroczyła otwartą bramę[7]. Światło pochodni na portierni błysnęło na jasnych lokach.

- Czyli wam obu się udało - odezwał się Arthur, nonszalancko machając dyplomem.

Arthur zmienił się przez te siedem lat. Fakt, że Wielki Orm ciągle jakoś nie zdołał wyrzucić organicznej zemsty za brak pobożności, wyleczył go ze skłonności biegania z płaszczem naciągniętym na głowę. Drobną budową dawała mu przewagę w pewnych dziedzinach Sztuki, na przykład dobrze się spisywał w wąskich tunelach. Wrodzona zdolność panowania nad gwałtownymi odruchami wyszła na jaw pewnego dnia, gdy Fliemoe i jego kumple uznali, że dobrze się zabawią, podrzucając nowych chłopców na kocu. Pierwszego wybrali Arthura. Dziesięć sekund później dopiero wspólnym wysiłkiem wszystkich obecnych w sypialni udało się przytrzymać Arthura i oderwać mu palce od szczątków krzesła. Okazało się, że jest on synem nieżyjącego Secundusa Interparesa, jednego z najsłynniejszych skrytobójców w dziejach gildii. Synom poległych skrytobójców zawsze

przysługuje stypendium. Owszem, czasami gildia dbała o swoich członków.

Nikt nie miał wątpliwości co do wyniku egzaminu Arthura. Chłopiec chodził na dodatkowe lekcje i miał pozwolenie na użycie naprawdę skomplikowanych trucizn. Prawdopodobnie zamierzał zostać w gildii na studiach doktoranckich.

Czekali we trójkę, dopóki dzwony nie wybiły godziny drugiej. Zegarmistrzostwo nie było w Ankh-Morpork mechaniką nazbyt precyzyjną, poza tym różne społeczności w mieście miały własne poglądy na to, z czego się składa godzina, więc dzwony i gongi biły na wieżach przez dobre pięć minut.

Kiedy stało się jasne, że miasto osiągnęło konsensus i zgodziło się, że jest już po drugiej, cała trójka przestała w milczeniu wpatrywać się we własne buty.

- To by było tyle - mruknął Chidder.

- Biedny Cheesewright - dodał Arthur. - Tragiczna historia, jeśli się nad nią zastanowić.

- Owszem. Był mi winien cztery peny - zgodził się Chidder. - Chodźcie. Coś dla nas przygotowałem.

Król Teppicymon XXVII usiadł na łóżku i zasłonił rękami uszy, żeby stłumić ryk morskich fal. Dziś były wyjątkowo Hłaśliwe.

Zawsze huczały głośniejsze, kiedy czuł się nieswojo. Musiał się czymś zająć, żeby uwolnić od nich swe myśli. Mógłby posłać po Ptraci, swoją ulubioną podręczną. Była niezwykła. Jej śpiew zawsze dodawał mu otuchy. Życie wydawało się piękniejsze, kiedy milkła.

Albo wschód słońca. Zawsze go pocieszał. Przyjemnie było siedzieć opatulonym w koc na najwyższym dachu pałacu i patrzeć, jak mgły unoszą

się znad rzeki, a wokół rozlewa się złocista fala. Ogarniało go wtedy miłe poczucie satysfakcji z dobrze wykonanej pracy. Choćby nawet nie wiedział, w jaki sposób ją wykonuje...

Wstał z łóżka, wsunął sandały i wyszedł z sypialni na szeroki korytarz, prowadzący do wielkich spiralnych schodów na dach. Kilka płonących trzcinowych pochodni oświetlało posągi innych miejscowych bogów, malowidła na ścianach, gdzie ruchliwe cienie odsłaniały stwory o psich głowach, rybich ciałach i pajęczych ramionach.

Znał te postacie od zawsze. Bez nich jego dziecięce koszmary byłyby całkiem nieuksztaltowane.

Morze... Morze widział tylko raz w życiu, jako chłopiec. Niewiele z niego pamiętał - oprócz rozmiaru. I szumu. I mew.

Prześladowały go. Zdawało się, że dużo lepiej sobie wszystko poukładały, te mewy. Chciałyby powrócić kiedyś do tego świata jako jedna z nich. Oczywiście, jako faraon nie miał na to żadnych szans. Faraonowie nigdy nie wracają. Właściwie to nigdy nie odchodzą.

- Ale co to jest? - chciał wiedzieć Teppic.

- Spróbuj - zachęcił Chidder. - Tylko spróbuj. Druga okazja już ci się nie trafi. - Nie wypada tego marnować - zgodził się uprzejmie Arthur, spoglądając na delikatny wzór na talerzu. - Co to takiego te czerwone?

- To rzodkiewki - wyjaśnił lekceważąco Chidder. - Nie one są tu ważne. No, dalej.

Teppic sięgnął po drewniany widelec i nabił cienki jak papier płatek białej ryby. Szef *squishi* obserwował go czujnie z miną ojca uczestniczącego w pierwszych urodzinach syna. Podobnie, uświadomił sobie Teppic, jak wszyscy obecni w restauracji.

Przeżuwał ostrożnie. Mięso było słonawe, lekko gumowe, z delikatnym posmakiem kanału ściekowego.

- Dobrze?

Kilku gości zaczęło klaskać.

- Inne - przyznał Teppic. - Co to jest?

- Najeżka głębinowa. - wyjaśnił Chidder. - Ale spokojnie - dodał, gdy Teppic stanowczo odłożył widelec. - Jest całkiem bezpieczna, pod warunkiem że usunie się całkowicie żołądek, wątrobę i cały układ trawienny. Dlatego jest taka droga. Przy najeżce głębinowej nie ma kogoś takiego jak marny kucharz. To najdroższe danie na świecie; ludzie piszą o nim poematy.

- Eksplozja smaku - mruknął Teppic, już opanowany.

Rybę musieli przyrządzić jak należy, w przeciwnym razie zostałby już w tej restauracji jako tapeta.

Ostrożnie ukłuł widelcem krojone korzenie, zajmujące pozostałą część talerza.

- A te co mogą mi zrobić? - zapytał.

- Jeśli nie przyrządza się ich dokładnie tak jak trzeba, przez sześć tygodni katastrofalnie reagują z kwasami żołądkowymi - odparł Chidder. - Przykro mi, ale pomyślałem, że powinniśmy uczcić egzamin najlepszym jedzeniem, na jakie możemy sobie pozwolić.

- Rozumiem. Ryba z frytkami dla Prawdziwych Mężczyzn.

- Mają tu ocet? - wymamrotał Arthur z pełnymi ustami. - Trochę groszku też by się przydało.

Za to wino było dobre, chociaż nie wyśmienite i nie pochodziło z jakiegoś świetnego rocznika. Ale Teppic dowiedział się wreszcie, dlaczego przez cały dzień bolała go głowa.

Było to zjawisko prekaca. Chidder kupił cztery butelki pozornie całkiem zwykłego białego wina. Kosztowało tak dużo, gdyż winogrona, z których je zrobiono, nie zostały jeszcze zasadzone[8].

Światło na Dysku porusza się wolno i leniwie. Nigdzie się nie spieszy. Po co? Przy prędkości światła wszystko jest tym samym miejscem. Król Teppicymon XXVII obserwował złocisty dysk płynący ponad krawędzią świata. Klucz żurawi wystartował znad spowitej w mgły rzeki.

Ciąży na mnie odpowiedzialność, powiedział do siebie. Nikt mu przecież nie wyjaśnił, jak można sprawić, żeby słońce wschodziło, rzeka wylewała i zboże rosło. Skąd mogliby wiedzieć? Przecież to on był bogiem. Powinien sam się orientować. Ale się nie orientował, więc szedł tylko przez życie z nadzieją, że wszystko będzie działać jak należy. I to chyba wystarczyło. Problem w tym, że gdyby nie działało, nie wiedziałby dlaczego. Wciąż nawiedzał go koszmar: Dios, najwyższy kapłan, budzi go rankiem, tyle że to wcale nie rano, oczywiście, i wszystkie światła w pałacu płoną, a gniewny tłum pomrukuje w rozjaśnianej blaskiem gwiazd ciemności, i wszyscy patrzą na niego wyczekująco...

A on może tylko powiedzieć: „Przykro mi”.

To go przerażało. Jakże łatwo mógł sobie wyobrazić lód skuwający rzekę, szron pokrywający palmy i łamiący liście (które pękają na kawałki przy uderzeniu o zamrożoną ziemię), ptaki spadające bez życia z nieba...

Padł na niego cień. Spojrzał zamglonymi od łez oczami na szary i pusty horyzont. W przerażeniu otworzył usta.

Wstał, odrzucił koc i błagalnie wznosił ręce. Ale słońce zniknęło. Był bogiem, to było jego zadanie, jedyna rzecz, dla której żył na świecie. Zawiodł swój lud.

Słyszał w duchu gniewne okrzyki tłumu; wściekły ryk wypełniał

umysł, aż jego rytm stał się równy, znajomy, dotarł do punktu, kiedy już nie przygniatał, ale pociągał go do siebie, w słoną błękitną pustynię, gdzie zawsze świeci słońce i gdzie smukłe kształty przemykają po niebie.

Faraon stanął na palcach, odchylił głowę, rozpostarł skrzydła. I skoczył.

Wznosząc się w niebo, ze zdziwieniem usłyszał za sobą głucho uderzenie. A słońce wynurzyło się zza chmur.

Później faraon był w związku z tym bardzo zakłopotany.

Trzech świeżo upieczonych skrytobójców zataczało się na ulicy, wciąż na granicy upadku, ale nigdy jakoś jej nie przekraczając. Próbowali śpiewać „Laska maga ma na czubku gałkę” równo, a przynajmniej w tej samej tonacji.

- I wielka jess i krągła, i waży trzy... - zawodził Chidder. - Do licha, w co wdepnąłem?

- Ktoś wie, gdzie jesteśmy? - zapytał Arthur.

- My... szliśmy do Domu Gildii - odparł Teppic. - Tyle że... Musieliśmy chyba źle skręcić, bo przed nami jest rzeka. Czuję ją. Czujność przebiła się przez alkoholowy pancerz Arthura.

- O tej porze nocy można tu spotkać niepse... niepie... groźnych ludzi - oznajmił.

- Tajest - odparł z satysfakcją Chidder. - Nas. I mamy na to papier. Zdaliśmy egzamin i w ogóle. Chciałbym zobaczyć takiego, który by z nami zaczął.

- Właśnie - potwierdził Teppic, pochylając się ku niemu w poszukiwaniu swego rodzaju oparcia. - Rozprujemy ich od tego, jakmutam, do cosia.

- Otóż to.

Niepewnym krokiem wkroczyli na Mosiężny Most.

Tymczasem istotnie niebezpieczni ludzie czaili się w mroku przedświt. Obecnie znajdowali się o dwadzieścia kroków za trójką przyjaciół.

Złożony system przestępczych gildii nie uczynił Ankh-Morpork miastem bezpieczniejszym, a raczej zracjonalizował zagrożenie i zagwarantował mu stabilne i trwałe podstawy. Najważniejsze gildie pilnowały porządku na ulicach bardziej stanowczo i na pewno bardziej skutecznie, niż kiedykolwiek udało się to straży miejskiej. Faktem jest, że każdy niezależny i nielicencjonowany złodziej, schwytany przez Gildię Złodziei, szybko trafiał do aresztu w celu przeprowadzenia wywiadu środowiskowego i zbitcia kolan gwoździami razem[9]. Jednakże zawsze znajdzie się kilka niespokojnych duchów, które wolą niepewne życie poza bezprawiem. Pięciu mężczyzn pasujących do tego opisu zbliżało się czujnie do trójki przyjaciół, by zaproponować im ofertę specjalną tego tygodnia: poderżnięcie gardła, rabunek i pogrzeb w rzeczonym mule do wyboru.

Ludzie na ogół schodzą skrytobójcom z drogi, ze względu na instynktowne przekonanie, iż zabijanie ludzi za wielkie kwoty pieniędzy nie cieszy się aprobatą bogów (którzy na ogół wolą, by ludzie byli zabijani za niewielkie sumy albo całkiem za darmo) i może doprowadzić do chaosu czy dnia sądu. Bogowie głęboko wierzą w sprawiedliwość, w każdym razie sprawiedliwość dotyczącą istot ludzkich, i niekiedy wymierzają ją tak entuzjastycznie, że ludzie oddaleni o całe mile zmieniają się w butelki.

Jednakże czerń skrytobójców nie wszystkich przeraża, a w pewnych warstwach społeczeństwa zabicie skrytobójcy jest powodem do chwały. Podobnie jak w kulkach wygranie od mistrza jego zapasu.

Ogólnie rzecz biorąc, po deskach Mosiężnego Mostu zataczała się trójka pijanych jak beły skrytobójców. Ludzie podążający za nimi zamierzali zmienić ich w skrytobójców martwych jak kłody.

Chiddera zniosło na jednego z heraldycznych hipopotamów[10],

stojących szeregiem na brzegu mostu od strony morza. Odbił się i zawisł na balustradzie.

- Niedobrze mi - poinformował.

- Nie krępuj się - zachęcił go Arthur. - Po to przecież są rzeki.

Teppic westchnął. Czuł przywiązanie do rzek, które - jego zdaniem - zostały stworzone, by mieć na wierzchu lilie wodne, a krokodyle w głębi. Ankh zawsze budziła w nim przygnębienie, ponieważ włożona do niej lilia wodna na pewno by się rozpuściła. Ankh zbierała ścieki z rozległych piaszczystych równin, sięgających aż do Ramtopów, a kiedy docierała do Ankh-Morpork (milion mieszkańców), można było ją nazwać płynną tylko dlatego, że poruszała się szybciej niż grunt wokół niej. Gdyby Chidder do niej zwymiotował, stałaby się pewnie minimalnie czystsza.

Spojrzał na cienką strużkę sączącą się między filarami mostu, po czym skierował wzrok ku szaremu horyzontowi.

- Słońce wschodzi - oznajmił.

- Nie pamiętam, żebym jadł coś takiego - wybełkotał Chidder.

Teppic odstąpił o krok, a nóż przemknął tuż koło jego nosa i wbił się w pośladek najbliższego hipopotama.

Pięć postaci wynurzyło się z mgły. Trzej skrytobójcy instynktownie zbliżyli się do siebie.

- Podejdźcie do mnie, a pożałujecie - jęknął Chidder. - Rachunek z pralni będzie potworny.

- No, no... Co my tu mamy? - rzucił główny rabuś. Są to słowa, jakie zwykle wypowiada się w podobnych okolicznościach.

- Jesteście z Gildii Złodziei, prawda? - zapytał Arthur.

- Nie - odparł herszt. - Jesteśmy niewielką, niereprezentatywną mniejszością, która psuje pozostałym dobre imię. Oddajcie nam, co macie

cennego i broń, jeśli można. Oczywiście, w niczym nie zmieni to rezultatu, ale grabienie trupów jest nieprzyjemne i poniżające.

- Moglibyśmy się na nich rzucić - zauważył niepewnie Teppic.

- Nie licz na mnie - rzekł Arthur. - Nie dałbym rady znaleźć własnego tyłka, nawet z atlasem w ręku.

- Pożałujecie, jak zwymiotuję - dodał Chidder.

Teppic pamiętał o nożach ukrytych w rękawach. I o doprawdy minimalnej szansie, że zdąży chwycić któryś z nich na czas, by jeszcze nim rzucić.

W takich chwilach niezwykle istotna jest pociecha religijna. Odwrócił się i spojrzał na słońce, które właśnie wyłoniło się zza chmur.

Pośrodku dostrzegł maleńki czarny punkcik.

Zmarły król Teppicymon XXVII otworzył oczy. - Latałem - wyszeptał. - Pamiętam, że miałem skrzydła. Co ja tutaj robię? Spróbował wstać. Przez chwilę odczuwał ciężar, który nagle zniknął, i wtedy niemal bez wysiłku stanął. Spojrzał w dół, by sprawdzić, co wywołało taki efekt.

- Ojej - powiedział.

Kultura rzeczno-królestwa miała wiele do powiedzenia na temat śmierci i tego, co dzieje się później. Co więcej, miała bardzo mało do powiedzenia o życiu, uznając je za coś w rodzaju nieprzyjemnego preludium głównego spektaklu, przez które trzeba przejść jak najszybciej i tak uprzejmie, jak to tylko możliwe. Dlatego też faraon szybko doszedł do wniosku, że jest martwy. Podstawową przesłanką był widok własnego okaleczonego ciała na piasku.

Wszystko okrywała szarość. Okolica wyglądała widmowo, jakby mógł

przez nią przejść na wylot.

Oczywiście, pomyślał. Prawdopodobnie mogę. Zatarł odpowiedniki rąk. To jest to, pomyślał. Teraz dopiero będzie ciekawie; teraz zacznę prawdziwe życie.

DZIEŃ DOBRY, odezwał się głos za jego plecami. Król odwrócił się.

- Witam - powiedział. - Ty pewnie jesteś... ŚMIERĆ, wyjaśnił Śmierć. Król był wyraźnie zdziwiony.

- Zawsze sądziłem, że Śmierć przybywa jako ogromny trójgłowy skarabeusz.

Śmierć wzruszył ramionami. TERAZ JUŻ WIESZ.

- Co to jest, co trzymasz w ręce? TO? TO KOSA.

- Dziwny przedmiot, prawda? Myślałem, że Śmierć nosi Bicz Łaski i Rwący Ilak Sprawiedliwości.

Śmierć wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał. W CZYM? zapytał.

- Słucham?

NADAL MOWA O GIGANTYCZNYM ŻUKU?

- Aha. W czułkach, jak przypuszczam. Chociaż zdaje mi się, że na którymś z fresków w pałacu miał ręce. - Król zawahał się. - Głupio to brzmi, kiedy się o tym opowiada. Niby jak, wielki żuk z rękami? I głową ibisa, o ile sobie przypominam.

Śmierć westchnął. Nie był istotą Czasu, zatem przeszłość i przyszłość stanowiły dla niego jedno, jednak w pewnym okresie starał się pojawiać w takiej formie, jakiej oczekiwał klient. Nie szło mu łatwo, gdyż nie dało się ustalić, czego klient oczekuje, dopóki nie umarł. W końcu Śmierć zdecydował, że ponieważ i tak nikt nie oczekuje własnego zgonu, równie dobrze można się trzymać wygodnego czarnego płaszcza z kapturem - eleganckiego, znajomego i przyjmowanego wszędzie, jak najlepsze karty

kredytowe.

- Zresztą mniejsza z tym - zakończył faraon. - Musimy już iść, jak sądzę. DOKĄD?

- Nie wiesz?

MAM TU JEDYNNIE DOPILNOWAĆ, BYŚ UMARŁ W WYZNACZONYM CZASIE. CO DALEJ, TO JUŻ TWOJA SPRAWA.

- No tak... - Król odruchowo poskrobał się w podbródek. - Pewnie muszę zaczekać, aż zakończą przygotowania i tak dalej. Zmumifikują mnie. I zbudują tę przeklętą piramidę. Hm... Czy mam tkwić tutaj i czekać na to wszystko?

TAK PRZYPUSZCZAM.

Śmierć pstryknął palcami. Wspaniały biały rumak przerwał skubanie jakichś liści w ogrodzie i podbiegł truchtem.

- Aha. No cóż, najwyżej będę patrzył w drugą stronę. Wiesz, najpierw wyciągają człowiekowi wszystkie miękkie części.

Niewielka zmarszczka pojawiła mu się na czole. Sprawy, które za życia uważał za bardzo rozsądne, teraz wydawały się nieco podejrzone.

- To w celu zachowania ciała, żeby mogło zacząć nowe życie w Świecie Zmarłych - dodał, nieco oszołomiony. - A potem owijają cię bandażami. Przynajmniej to wydaje się logiczne.

Potań nos.

- Ale później wkładają ci do piramidy całe to jedzenie i picie... Trochę bez sensu, mam wrażenie.

A GDZIE WTEDY ZNAJDUJĄ SIĘ ORGANY WEWNĘTRZNE?

- I to jest najzabawniejsze. Są w dzbanach w sąsiedniej komorze. - W głosie króla zabrzmiało zwątpienie. - Do piramidy taty włożyliśmy nawet

wściekle wielki model powozu. - Zmarszczył czoło. -Solidne drewno - dodał, na wpół do siebie. - Cały pozłacany. I czternaście drewnianych wołów, żeby go ciągnęły. A potem przywaliliśmy wejście strasznie ciężkim kamieniem...

Spróbował się zastanowić i odkrył, że to zaskakująco łatwe. Chłodną, czystą strugą wlewały się do umysłu nowe idee. Dotyczyły gry światła na kamieniach, głębokiego błękitu nieba, niezliczonych możliwości, jakie proponował rozciągający się wokół świat. Teraz, kiedy nie miał już ciała, nękającego swoimi potrzebami, ów świat wydawał się pełen niespodzianek. Niestety, jedną z pierwszych był fakt, że większość z tego, co uważał za prawdę, teraz było tak pewne i niezmiennie jak gaz bagienny. A także wiedza, że teraz kiedy mógł wreszcie tym światem się cieszyć, miał zostać pochowany w piramidzie.

Kiedy człowiek umiera, po pierwsze traci życie. A zaraz potem złudzenia.

WIDZĘ, ŻE MASZ WIELE DO PRZEMYŚLENIA, zauważył Śmierć, wskazując na siodło. A TERAZ, JEŚLI POZWOLISZ...

- Zaczekaj chwilę! TAK?

- Kiedy... kiedy spadałem, mógłbym przysiąc, że latam.
NATURALNIE BOSKA CZĘŚĆ CIEBIE LATAŁA. TY SAM JESTEŚ
TERAZ W PEŁNI ŚMIERTELNIKIEM.

- Śmiertelnikiem?

MOŻESZ MI WIERZYĆ. ZNAM SIĘ NA TYM.

- Hm... Słuchaj, jest jeszcze kilka pytań...

ZAWSZE JEST. PRZYKRO MI.

Śmierć uderzył konia piętami i zniknął.

Król został sam. Po chwili kilku służących przybiegło wzdłuż muru pałacu. Zwolnili, widząc ciało, i podeszli bardzo ostrożnie.

- Czy dobrze się czujesz, o wysadzany klejnotami władco słońca? - odezwał się jeden z nich.

- Nie, wcale nie - burknął król, którego podstawowe przekonania na temat wszechświata doznały właśnie poważnego wstrząsu, a to nikomu nie poprawia nastroju. - W tej chwili jestem akurat martwy. Zadziwiające, nieprawdaż - dodał z goryczą.

- Czy nas słyszysz, o boski stwórco poranka? - zapytał drugi służący, podchodząc bliżej.

- Właśnie spadłem na głowę ze stustopowego muru! - wrzasnął król.

- On nas chyba nie słyszy, Jahmecie - doszedł do wniosku jeszcze inny.

- Słuchajcie - powiedział król, którego niecierpliwości dorównywała jedynie całkowita niezdolność służących do usłyszenia choćby jednego słowa. - Musicie odszukać mojego syna i przekazać mu, żeby dał sobie spokój z piramidą, przynajmniej dopóki sobie tego nie przemyśle. W całym tym systemie życia po śmierci jest jedna czy dwie kwestie, które wydają się wzajemnie sprzeczne i...

- Może krzyknę? - zaproponował Jahmet.

- Nie sądzę, żebyś zdołał krzyknąć tak głośno. Myślę, że on nie żyje.

Jahmet spojrzał z uwagą na sztywniejące zwłoki.

- Niech to piekło... - rzucił po chwili. - To znaczy, że jutro demony wzięły.

Słońce, nieświadome faktu, że to jego ostatnie wystąpienie, nadal płynęło swobodnie ponad krawędzią świata. A od strony jego tarczy, szybciej niż powinien latać porządny ptak, mewa frunęła do Ankh-Morpork, do Mosiężnego Mostu i ośmiu nieruchomych postaci, do jednej zapatrzonej

twarzy...

Mewy spotykało się w Ankh-Morpork dość często. Ta jednak, przelatując nad grupą, wydała jeden długi, gardłowy krzyk. Słyszając go, trzej rabusie wypuścili noże. Nic, co nosi pióra, nie powinno być zdolne do takich głosów. Ten dźwięk miał w sobie pazury.

Ptak zatoczył ciasny krąg, zatrzepotał skrzydłami i przysiadł na poręcznym drewnianym hipopotamie, skąd obłąkanymi, czerwonymi oczkami spoglądał na całą grupę.

Herszt bandytów oderwał od mewy zafascynowany wzrok akurat na czas, by usłyszeć Arthura.

- To jest nóż do rzutów numer dwa. Moja celność przy rzutach nożem sięga dziewięćdziesięciu sześciu procent. Które oko nie jest ci potrzebne?

Herszt spojrzał na niego. Co do pozostałych młodych skrytobójców, to jeden wciąż wpatrywał się w ptaka, a drugi pracowicie i głośno wymiotował do rzeki.

- Jesteś tylko jeden - powiedział herszt. - A nas jest pięciu.

- Ale już niedługo będzie was czterech - odparł Arthur.

Powoli, jak w oszołomieniu, Teppic wyciągnął rękę. Z normalną mewą efektem byłaby strata kciuka, ale to ptaszysko wskoczyło mu na palec z wyniosłą miną właściciela wracającego na starą plantację.

Ten fakt zaniepokoił złodziei jeszcze bardziej. Uśmiech Arthura też nie poprawiał im nastroju.

- Ładny ptaszek - stwierdził herszt, bezsensownie wesołym tonem człowieka głęboko zatroskanego.

Teppic jak we śnie gładził głowę ptaka.

- Myślę, że jeśli sobie pójdziecie, będzie to świetny pomysł - poradził Arthur.

Mewa przeniosła się Teppicowi na nadgarstek. Ściskając przegub łapami z błoną pławną i rozkładając skrzydła dla zachowania równowagi, powinna wyglądać zabawnie. Ale nie; sprawiała wrażenie wypełnionej ukrytą mocą, jakby była orłem incognito. Kiedy otworzyła dziób, odsłaniając śmiesznie fioletowy język, można było wyczytać w tym sugestię, że potrafi o wiele więcej, niż tylko zagrozić pozostawionej na plaży kanapce z pomidorem.

- To czary? - zapytał jeden z rabusiów, ale koledzy szybko go uciszyli.

- To już pójdziemy - oznajmił herszt. - Przepraszam za nieporozumienie...

Teppic rzucił mu ciepły, roztargniony uśmiech.

I wtedy wszyscy usłyszeli cichy, narastający dźwięk. Sześć par oczu zwróciło się w dół. Chidder już wcześniej zajął właściwą pozycję.

Pod nimi, sunąc mrocznie po wyschniętym błocie, wzbierała Ankh.

Dios, premier i najwyższy spośród najwyższych kapłanów, nie był człowiekiem z natury religijnym. U najwyższego kapłana nie jest to cecha pożądana - wpływa na oceny i czyni człowieka mało stanowczym. Niech tylko zacznie wierzyć w różne rzeczy, a całe rządy zmieniają się w farsę.

Nie znaczy to, że miał coś przeciwko wierze. Ludzie potrzebują wiary w bogów, choćby dlatego, że tak trudno jest wierzyć w ludzi. Bogowie są niezbędni. Wymagał tylko, żeby trzymali się z daleka i pozwolili mu działać po swojemu.

Trzeba przyznać, że wyglądał odpowiednio do swojej roli. Jeśli geny uznały za stosowne dać komuś wysoki wzrost, łysą głowę i nos, którym można kuć skały, z pewnością miały w tym jakiś określony cel.

Instynktownie nie ufał ludziom, którym religia przychodziła zbyt

łatwo. Religijni z natury, uważał, są chwiejni, skłonni do wędrówek po pustyni i doznawania objawień -jakby bogowie zniżali się do takich aktów. Tacy ludzie niczego nie potrafią zrobić porządnie. Przychodzi im na przykład do głowy, że rytuały nie są ważne. Albo że można rozmawiać z bogami bezpośrednio. Dios wiedział -miał tę nieugiętą, niezmienną pewność - że bogowie Djelibeybi lubią rytuały, tak jak wszyscy. W końcu bóg przeciwny rytuałom byłby jak ryba przeciwna wodzie.

Dios siedział na stopniach tronu z laską na kolanach i przekazywał rozkazy króla. Fakt, że aktualnie nie były wydawane przez króla, nie stanowił problemu. Dios był najwyższym kapłanem przez... tak, przez więcej lat, niż chciał pamiętać. Wiedział doskonale, jakie rozkazy może wydawać rozsądny król. I je przekazywał.

W każdym razie na tronie leżało Oblicze Słońca, a to najważniejsze. Oblicze Słońca było wykutą ze złota, osłaniającą całą głowę maską, noszoną przez władców podczas publicznych wystąpień. Miała wyraz - według bluźnierców - dobrodusznego lenistwa. Od tysięcy lat symbolizowała władzę Djelibeybi. Z jej powodu bardzo trudno było odróżnić jednego króla od drugiego.

Ten fakt także był niezwykle symboliczny, chociaż nikt już nie pamiętał, co symbolizuje.

W Starym Państwie istniało wiele takich zjawisk. Na przykład laska, którą Dios trzymał na kolanach, ze swoimi wyjątkowo symbolicznymi węzłami, zwiniętymi symbolicznie wokół alegorycznego kija do poganiania wielbłądów. Ludzie wierzyli, że daje ona najwyższym kapłanom władzę nad bogami i umarłymi, ale była to prawdopodobnie metafora, to znaczy kłamstwo.

Dios zmienił pozycję.

- Czy przeprowadzono króla do Komnaty Wyjścia? - zapytał. Stojący kręgiem niżsi kapłani skinęli głowami.

- Bardzo dobrze. Czy budowniczy piramid otrzymał już instrukcje?

Wystąpił Hoot Koomi, najwyższy kapłan Khefina o Dwóch Twarzach, Boga Bram.

- Pozwoliłem sobie dopilnować tego osobiście, o Diosie - wyszeptał.

Dios zabębnił palcami po lasce.

- Tak. Nie wątpię, że sobie pozwoliłeś.

Stan kapłański oczekiwał powszechnie, że Koomi zostanie następcą Diosą, gdyby Dios naprawdę umarł, chociaż czekanie na jego śmierć nigdy nie było satysfakcjonującym zajęciem. Jedyna opinia przeciwna pochodziła od samego Diosą, który - gdyby miał przyjaciół - wyjawiłby im pewne warunki, jakie musiałyby być spełnione wcześniej, na przykład kaktusy rosnące na rękach, latające świny i on, Dios, widziany osobiście w Piekło. Zapewne dodałby także, że jedyną różnicą między Koomim a świętym krokodylem jest zasadnicza uczciwość celów krokodyla.

- Bardzo dobrze - powiedział Dios.

- Jeśli wolno mi przypomnieć waszej eminencji... - odezwał się znowu Koomi.

Twarze pozostałych kapłanów były przyjemnie bez wyrazu.

- Słucham, Koomi.

- Książę, o Diosie. Czy został wezwany?

- Nie.

- Więc skąd będzie wiedział?

- Będzie wiedział - rzekł stanowczo Dios.

- Jakże się to stanie?

- Będzie wiedział. A teraz jesteście wolni. Idźcie, zajmijcie się swoimi bogami.

Wyszli pospiesznie, pozostawiając samotnego Diosa na stopniu tronu. Zajmował tę pozycję od tak dawna, że wyżłobił nawet wgłębienie w kamieniu. Pasował do niego doskonale.

Oczywiście, że książę się dowie. To właśnie jest porządek rzeczy.

Ale w zakamarkach umysłu, wyżłobionych głęboko przez lata rytuałów i przestrzegania tradycji, Dios dostrzegł pewien niepokój. Nie był tam na swoim miejscu. Niepokój to coś, co przytrafia się innym. Dios nie zaszedłby tak wysoko, gdyby pozwalał sobie na zwątpienie. A jednak w głębi tkwiła maleńka myśl, maleńka pewność, że z nowym królem będą kłopoty.

No cóż, chłopiec się nauczy. Wszyscy się uczyli.

Zmienił pozycję i skrzywił się. Wróciły bóle i zdrętwienie, a na to nie mógł pozwolić. Przeszkadzały mu w wypełnianiu obowiązków, a obowiązki są święte.

Znów musi odwiedzić nekropolię. Jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Nie jest sobą, to chyba jasne.

- Więc kim jest? - zdziwił się Chidder. Chociaż już nie pijani, chlapiąc, brnęli ulicą, tym niezgrabnym krokiem dwóch ludzi, próbujących sterować trzecim. Teppic szedł między nimi, ale w sposób pozwalający wierzyć, że jego umysł nie ma z tym nic wspólnego.

Wokół nich otwierały się drzwi, padały przekleństwa, słychać było przeciągane na piętro meble.

- W górach musiała szaleć potworna burza - zauważył Arthur.

- Nawet wiosną nie ma takiej powodzi.

- Może powinniśmy mu spalić jakieś pióra pod nosem? - zaproponował

Chidder.

- Najlepiej tej przeklętej mewy - burknął Arthur.

- Jakiej mewy?

- Przecież ją widziałeś.

- Ale co z nią?

- Widziałeś, prawda? - W oczach Arthura zapłonęła mroczna niepewność. W całym zamieszaniu mewa zniknęła.

- Byłem zajęty czymś innym - przypomniał skromnie Chidder.

- To pewnie przez te miętowe płatki, które nam podali do kawy. Od razu pomyślałem, że są trochę nieświeże.

- Stanowczo niesamowity był ten ptak - stwierdził Arthur. -Wiesz co? Postawmy go gdzieś, bo muszę wylać wodę z butów.

Niedaleko zauważyli piekarnię. Drzwi były otwarte, żeby świeże bochenki ostygły w porannym chłodzie. Oparli Teppica o ścianę.

- Wygląda, jakby ktoś walnął go w głowę - ocenił Chidder. - Ale nie walnął, prawda?

Arthur pokręcił głową. Twarz Teppica stężała w łagodnym uśmiechu. W cokolwiek wpatrywały się jego oczy, nie przebywało to w normalnym układzie wymiarów.

- Trzeba go doprowadzić do gildii^ do medyka...

Arthur urwał. Wokół rozlegał się niezwykle, szeleszczący dźwięk. Bochenki chleba podskakiwały na blachach. Jeden czy dwa leżały na podłodze i wirowały jak przewrócone na grzbiet chrabąszcze.

I nagle skórki pękły i z chleba strzeliły setki zielonych pędów.

W ciągu kilku sekund na blachach falował łan młodego zboża; zaczynało się już kłosić i zginać pod ciężarem ziarna. Arthur i Chidder przemaszerowali między nimi z kamiennymi twarzami, pokonując stumetrówkę nonszalanckim spacerkiem i mocno trzymając między sobą Teppica.

- Czy on to wszystko robi?

- Mam przeczucie... - Arthur obejrzał się na wypadek, gdyby jacyś rozgniewani piekarze wyszli na ulicę i zauważyli swoje agresywnie pełnoziarniste wypieki. I zatrzymał się tak nagle, że dwaj pozostali zakręcili się wokół niego jak ster wokół osi.

Przyjrzeni się uważnie brukowi.

- Niecodziennie widuje się coś takiego - zauważył po chwili Chidder.

- Chodzi ci o to, jak trawa i różne zieleńki wyrastają w każdym miejscu, którego dotknął stopą?

- Tak.

Spojrzeni na siebie. Potem, jak jeden mąż, spuścili wzrok na buty Teppica. Przyjaciół stał już po kostki w zieleni; młode pędy przeciskały się przez pękające, wiekowe brukowce.

Bez słowa chwycili go pod łokcie i unieśli nad ziemię.

- Medyk - oświadczył Arthur.

- Medyk - zgodził się Chidder.

Ale już wtedy wiedzieli, że sprawa wymaga czegoś więcej niż gorących kompresów.

Doktor odsunął się.

- Prosta sprawa - oświadczył, po krótkim zastanowieniu.
- Przypadek mortis portalis tackulatumz komplikacjami. - Co to znaczy? - zapytał Chidder. Doktor prychnął pogardliwie.
- W języku laików - wyjaśnił - jest martwy jak kłoda.
- A jakie są te komplikacje? Doktor rozejrzał się nerwowo.
- Ciągłe oddycha - stwierdził. - Patrzcie, jego puls aż brzęczy, a temperaturę ma taką, że można by na nim smażyć jajka.

Zawahał się, świadom, że tłumaczenie jest zapewne zbyt jasne i zrozumiałe. Medycyna na Dysku była nową sztuką i nie zajdzie daleko, jeśli ludzie będą ją rozumieli.

- Pyrocerebrum ouerfculinaire - oznajmił, wyszukawszy w pamięci odpowiednie słowa.

- Ale co pan może na to poradzić? - zapytał Arthur.

- Nic. On jest martwy. Wszystkie badania medyczne o tym świadczą. Zatem, hm... pochowajcie go w chłodnym miejscu i niech w przyszłym tygodniu zgłosi się na badania kontrolne. Za dnia, jeśli można.

- Przecież on oddycha!

- To odruchowe skurcze, mogące zmylić laika - wyjaśnił swobodnie doktor.

Chidder westchnął. Podejrzewał, że gildia - mająca w końcu bardzo szerokie doświadczenia z ostrymi nożami i złożoną wewnętrzną budową organizmu - o wiele lepiej potrafiła stawiać podstawowe diagnozy niż medycy. Owszem, gildia zabijała ludzi, ale nie oczekiwała za to wdzięczności.

Teppic otworzył oczy.

- Muszę wracać do domu - powiedział.

- Martwy, tak? - mruknął Chidder. Doktor okazał się chlubą swej profesji.

- Często się zdarza, że zwłoki wydają po śmierci odgłosy - tłumaczył dzielnie. - Mogą przstraszyć krewnych i... Teppic usiadł gwałtownie.

- Zdarza się również, że skurcze mięśni sztywniejącego ciała w pewnych okolicznościach... - zaczął doktor, ale stracił do tego serce.

Nagle przyszedł mu do głowy inny pomysł.

- To rzadkie i tajemnicze schorzenie - oznajmił. - Ostatnio często spotykane. Wywołane przez... przez... przez coś tak małego, że w żaden sposób nie da się wykryć - dokończył z pełnym satysfakcji uśmiechem. Świetne wytłumaczenie, sam musiał to przyznać. Trzeba je zapamiętać.

- Bardzo dziękujemy. - Chidder otworzył drzwi i pchnął go za próg. - Następnym razem, kiedy będziemy się czuli naprawdę doskonale, na pewno pana wezwiemy.

- To prawdopodobnie wyraz - mówił doktor, łagodnie lecz stanowczo wypychany za próg. - Złapał wyraża, mnóstwo ich teraz... Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Teppic zsunął nogi z łóżka i chwycił się za głowę.

- Muszę wracać do domu - powtórzył.

- Dlaczego? - spytał Arthur.

- Nie wiem. Królestwo mnie potrzebuje.

- O ile pamiętam, nie tęskniłeś za nim... - zaczął Arthur. Teppic Zamachał rękami.

- Proszę - powiedział. - Nie chcę, żeby ktoś mi podawał rozsądne argumenty. Nie chcę, żebyście mi tłumaczyli, że powinienem odpocząć. To bez znaczenia. Wrócę do kraju jak najszybciej. Nie „muszę wrócić”, rozumiecie. Wrócę. A ty możesz mi pomóc, Chiddy.

- Jak?

- Twój ojciec ma niezwykle szybki statek, który wykorzystuje do przemytu - odparł spokojnie Teppic. - Wypożyczy mi go w zamian za przychylne rozważenie przyszłych umów IIandlowych. Jeśli odpłyniemy w ciągu godziny, dotrę na miejsce na czas.

- Mój ojciec jest uczciwym kupcem!

- Wręcz przeciwnie. Siedemdziesiąt procent jego zeszłorocznych przychodów pochodziło z nieopodatkowanego IIandlu następującymi towarami... - Teppic wbił wzrok w pustkę. - Z nielegalnego przewozu gullan i leucharów, dziewięć procent. Z przemytu nie-opodatkowanych...

- No dobrze, w trzydziestu procentach uczciwym - zgodził się Chidder.
- To o wiele bardziej niż większość. Lepiej mi powiedz, skąd o tym wiesz. I to szybko.

- Ja... nie mam pojęcia. Kiedy... spałem, zdawało mi się, że wiem wszystko. Wszystko o wszystkim. Myślę, że mój ojciec nie żyje.

- Och - westchnął Chidder. - Niech to... Strasznie mi przykro.

- Nie, to nie tak. On właśnie tego pragnął. Mam wrażenie, że na to czekał. W naszej rodzinie śmierć jest chwilą, w której zaczynamy, no wiesz, cieszyć się życiem. Przypuszczam, że on się cieszy.

Tymczasem faraon siedział na rezerwowym bloku kamienia w ceremonialnej komnacie przygotowań i patrzył, jak jego miękkie części są delikatnie wyjmowane z ciała i wkładane do specjalnych naczyń zwanych kanopami.

Tę scenę nieczęsto oglądają ludzie - a w każdym razie ludzie osobiście zainteresowani.

Faraon trochę się zirytował. Co prawda oficjalnie nie zamieszkiwał już swego ciała, jednak wciąż był z nim połączony rodzajem okultystycznych więzów. Trudno mu zatem było patrzeć spokojnie na dwóch rzemieślników z rękami po łokcie w jego wnętrznościach. Ich żarty też go nie śmieszyły.

Zwłaszcza że był, co oczywiste, ich celem.

- Spójrzcie, mistrzu Dilu - zawołał Gern, pulchny, rumiany młody człowiek i, jak król się zorientował, nowy uczeń. - Patrzcie... tutaj... zaraz, zaraz... jest: wasze imię w podrobach... Miał was na wątrobie, rozumiecie?

- Włóż ją do kanopy, chłopcze - odparł znużony Dii. - A skoro już o tym mowa, to nie przepadam za dowcipami Gufla Giwa.

- Przepraszam, mistrzu.

- Przy okazji, podaj Ilak płucny numer trzy, masz go pod ręką.

- Już podaję, mistrzu.

- I nie szturchaj mnie. To delikatna część.

- Pewno.

Król zajrzał Dilowi przez ramię.

Gern tymczasem działał po swojej stronie. Nagle gwizdnął przeciągle.

- Patrzcie, jaki to ma kolor! - zawołał. - Kto by pomyślał... Czy oni coś jedzą, i to dlatego? Dii westchnął.

- Odłóż to do dzbana, Gern.

- Już się robi, mistrzu. Mistrzu?

- Słucham, chłopcze.

- Który kawałek ma w sobie boga?

Dii zerknął w głąb królewskiego nozdrza. Starał się skoncentrować.

- Takie rzeczy załatwia się, zanim tu się trafi - tłumaczył cierpliwie.

- Zastanawiałem się, bo nie ma dla niego naczynia.

- Nie. Niemożliwe. To musiałyby być bardzo dziwne naczynie, Gern.

Gern był nieco rozczarowany.

- Aha... To znaczy, że jest całkiem zwyczajny?

- W ściśle organicznym sensie - odparł Dii stłumionym głosem.

- Nasza mama mówi, że był całkiem dobrym królem - oznajmił Gern. - Jak myślicie?

Dii znieruchomiał z kanopą w dłoni. Po raz pierwszy zastanowił się nad odpowiedzią.

- Nie myślę o tym, dopóki ich tu nie przyniosą - przyznał po chwili. - Przypuszczam, że był lepszy niż większość. Ładna para płuc, czyste nerki, piękne, duże zatoki, a to u królów cenię najbardziej. - Dii zerknął na stół i wydał wyrok profesjonalisty. - Sama przyjemność przy nim pracować.

- Nasza mama mówi, że miał serce na właściwym miejscu - dodał Gern.

Król, siedzący ponuro w kącie, smętnie pokiwał głową. Owszem, pomyślał. Słój trzeci, górna półka.

Dii wytarł szmatą ręce i westchnął. Prawie trzydzieści pięć lat w pogrzebowym interesie dało mu pewną rękę, filozoficzne podejście i silne zainteresowanie wegetarianizmem, a także zmysł słuchu czulszy niż u zwykłych ludzi. Teraz był niemal pewien, że tuż za jego uchem ktoś także westchnął.

Król powlókł się ponuro na drugi koniec komnaty i spojrzał w głąb mętnej cieczy w kadzi przygotowawczej.

Zabawne... Kiedy żył, wszystko to wydawało mu się rozsądne, wręcz oczywiste. Teraz, po śmierci, widział w całej ceremonii zwykłe marnowanie energii.

Poza tym zaczynał się denerwować. Patrzył, jak Dii i jego uczeń sprzątają warsztat, spalają jakieś ceremonialne żywice, unoszą go... je... w górę, z szacunkiem niosą przez komnatę i delikatnie wsuwają w oleisty odmęt konserwantu.

Teppicymon XXVII spoglądał przez zamgloną głębię na własne ciało leżące na dnie jak ostatni marynowany korniszon w słoiku.

Obejrzał się na ułożone w kącie worki. Były pełne siana. Nikt nie musiał mu tłumaczyć, do czego miało posłużyć.

Łódź nie sunęła. Przewijała się przez wodę, tańcząc po falach na czubkach dwunastu wiosł, mknąc jak plama ropy, szybując jak ptak. Była matowoczarna i miała kształt rekina.

Nie było dobosza, który by wybijał rytm. Łódź nie potrzebowała dodatkowego obciążenia. Poza tym dobosz chciałby pewnie zabierać kompletne wyposażenie, razem z batem.

Teppic siedział między rzędami milczących wiosłarzy, w wąskim zagłębieniu służącym za ładownię. Lepiej nie zgadywać, na jaki towar. Łódź sprawiała wrażenie przeznaczonej do przewożenia niewielkich ilości czegoś, za to bardzo prędko i tak, żeby nikt tego nie zauważył. Wątpił, czy Gildia Przemysłników wie o jej istnieniu. Nie spodziewał się, że Ilandel jest tak interesującym zajęciem.

Trafili do delty z podejrzaną łatwością. Ile razy, zastanowił się Teppic, ten bezgłośny cień przemykał w górę Djelu? Wśród aromatów tajemniczego poprzedniego ładunku wyczuwał zapachy domu. Krokodyle łajno. Pyłek trzciny. Kwiaty lilii wodnych. Brak kanalizacji. Ostry odór lwów i cuchnący

hipopotamów.

Pierwszy wiosłarz stuknął go lekko w ramię, każąc wstać. Przytrzymał Teppica, gdy ten zstąpił przez burtę w płytką wodę. Zanim chłopiec dobrnął do brzegu, łódź zawróciła i teraz była tylko cieniem cienia, ledwie widocznym po stronie ujścia.

Jako że był z natury ciekawy, Teppic zastanowił się, gdzie łódź się ukryje za dnia. Wyglądała, jakby zaprojektowano ją do podróży wyłącznie pod osłoną ciemności. Uznał, że prawdopodobnie przyczai się gdzieś w wysokich trzcinach na płyciznach delty.

A że był teraz królem, zanotował w pamięci, żeby polecić regularne patrolowanie tych trzcin. Król powinien wiedzieć, co się dzieje w państwie.

Zatrzymał się, po kostki w mętnej wodzie. Kiedyś już wiedział wszystko.

Arthur paplał coś o mewach, rzekach i bochenkach wypuszczających pędy, co sugerowało, że za dużo wypił. Teppic pamiętał tylko, że przebudził się z uczuciem ogromnej straty, gdy pamięć rozsypała nowe skarby, nie mogąc ich utrzymać. To było jak coś, co przychodzi w snach i znika rankiem. Wiedział wszystko, ale gdy tylko próbował coś sobie przypomnieć, natychmiast wyciekało mu z głowy jak z dziurawego wiadra.

Pozostało jednak nowe uczucie. Przedtem jego życie toczyło się wolno, pod wpływem okoliczności. Teraz mknęło po lśniących szynach. Może nie nadawał się na skrytobójcę, ale wiedział, że potrafi być królem.

Stopy wyczuły twardy grunt. Łódź dobiła do brzegu trochę poniżej pałacu. Błękitne w świetle księżyca flary piramid rozjaśniały mrok znajomym blaskiem.

Mieszkania szczęśliwie zmarłych występowały we wszelkich rozmiarach, choć oczywiście nie we wszystkich kształtach. W pobliżu miasta stały gęsto, jakby umarli szukali towarzystwa.

I nawet te najstarsze były całe. Nikt nie pożyczył z nich kamieni do

budowy domów czy dróg. Teppic czuł z tego powodu niejasną dumę. Nikt nie złamał pieczęci na drzwiach i nie zawędrował do wnętrza, by sprawdzić, czy umarli nie mają jakichś starych, niepotrzebnych skarbów. I codziennie, niezawodnie, przynoszono żywność do niewielkich antyszambrów; jadalnie umarłych zajmowały dużą część pałacu.

Czasami żywność znikła, czasami nie. Kapłani jednak nie dopuszczali żadnych wątpliwości. Niezależnie od tego, czy żywność została skonsumowana, czy nie, była zjadana przez umarłych. Zapewne im smakowała - nigdy nie narzekali, choć nigdy też nie przychodzili po dokładkę.

Dbajcie o zmarłych, powtarzali kapłani, a oni zadbają o was. W końcu to ich jest więcej.

Teppic rozsunał trzciny. Obciągnął ubranie, strzepnął trochę błota z rękawa i ruszył w stronę pałacu.

Przed nim, ciemny na tle światła flar, stał ogromny posąg Khufta. Siedem tysięcy lat temu Khuft wyprowadził swój lud z... Teppic nie pamiętał, ale prawdopodobnie z jakiegoś miejsca, gdzie im się nie podobało, i to z rozsądnych powodów - w takich chwilach żałował, że nie zna lepiej historii. W każdym razie Khuft modlił się na pustyni i bogowie tego miejsca ukazali mu Stare Państwo. Wkroczył w nie oto i wziął je w posiadanie, by stało się siedzibą dla zrodzonych z jego nasienia. W każdym razie coś w tym stylu. Było tam chyba więcej „oto” i jeszcze kilka „zaprawdę”, z dodatkiem mleka i miodu. Ale widok wielkiego oblicza patriarchy, jego wyciągniętej ręki, podbródka, którym można by kruszyć kamienie, dumnie rysującego się w blasku flar, powiedział Teppicowi to, czego się domyślał.

Był w domu i nigdy go już nie opuści.

Zaczęło wschodzić słońce.

Największy żyjący matematyk na Dysku, a przy tym ostatni w Starym Państwie, położył się w swoim boksie i przeliczył źdźbła słomy w podściółce. Potem oszacował liczbę gwoździ w ścianach. Następnie poświęcił kilka minut na dowiedzenie, że ciało rezonansów automorficznych ma półskończoną liczbę nierozwiązalnych ideałów pierwszych. Później, żeby jakoś zabić czas, raz jeszcze zjadł swoje śniadanie.

CZĘŚĆ II

Księga Umarłych

Minęły dwa tygodnie. Dopełniane w odpowiednim czasie rytuały i ceremonie podtrzymywały świat pod niebem i gwiazdy na ich szlakach. To zdumiewające, czego mogą dokonać rytuał i ceremonia.

Nowy władca przyjrzał się sobie w lustrze i zmarszczył brwi.

- Trochę mętne - zauważył. - Z czego jest zrobione?

- Z brązu, sire. Z wypolerowanego brązu - wyjaśnił Dios, wręczając mu Bicz Łaski.

- W Ankh-Morpork mieliśmy szklane lustra, posrebrzane od tyłu. Były bardzo dobre.

- Tak, sire. Tutaj mamy brązowe.

- Czy naprawdę muszę nosić tę złotą maskę?

- Oblicze Słońca, sire. Od wieków przekazywane z pokolenia na pokolenie. Tak, sire. Podczas wszystkich publicznych wystąpień.

Teppic spojrzał przez szczeliny w masce. Przedstawiała dość przystojną twarz. Uśmiechała się lekko. Pamiętał, jak ojciec zajrzał kiedyś do pokoju dziecinnego i zapomniał ją zdjąć; Teppic narobił wrzasku na cały pałac.

- Jest ciężka.

- Ciężą na niej stulecia.

Dios podał mu Rwący IIak Sprawiedliwości.

- Długo jesteś kapłanem, Dios?

- Przez wiele lat, od mężczyzny do eunucha. Teraz...

- Ojciec mówił, że byłeś najwyższym kapłanem już w czasach jego dziadka. Jesteś chyba bardzo stary.

- Dobrze zakonserwowany, sire. Bogowie byli dla mnie łaskawi - przyznał Dios wobec niezbitych dowodów. -A teraz, sire, jeśli zechcesz wziąć to również...

- Co to jest?

- Miodowy Plaster Wzrostu, sire. Bardzo ważny. Teppic przeżonglował Plaster we właściwe miejsce.

- Domyślam się, że oglądałeś wiele zmian - rzucił uprzejmie. Wyraz bólu przemknął po twarzy kapłana, ale pospiesznie, jakby chciał uciec jak najprędzej.

- Nie, sire - odparł gładko Dios. - Miałem niezwykle szczęście.

- Aha. Co to?

- Snop Obfitości, sire. Niezwykle istotny, niezwykle symboliczny.

- Wsadź mi go może pod pachę, to... Słyszałeś kiedy o kanalizacji, Dios?

Kapłan pstryknął palcami na jednego z pomocników.

- Nie, sire - odpowiedział, pochylając się. - To Żmija Mądrości. Wsadzę ją tutaj, dobrze?

- To coś w rodzaju wiader, tylko nie tak, hm... pachnące.

- Brzmi straszliwie, sire. Zapach, jak zawsze rozumiałem, odpycha złe wpływy. To, sire, jest Tykwa Wód Niebiańskich. Gdybyś zechciał unieść brodę...

- To wszystko jest konieczne, tak? - wymamrotał niewyraźnie Teppic.

- To tradycja, sire. Pozwolisz, że trochę inaczej to ułożę... Oto Trójzębna Włócznia Wód Ziemskich; myślę, że uda się nam chwycić ją tym palcem. Musimy pomyśleć o naszym małżeństwie, sire.

- Obawiam się, Dios, że nie pasujemy do siebie. Najwyższy kapłan uśmiechnął się samymi ustami.

- Sire raczy żartować - rzekł dwornie. - Jednakże jest rzeczą bardzo ważną, abyś się ożenił.

- Niestety, wszystkie dziewczęta, które znam, zostały w Ankh-Morpork - rzucił swobodnie Teppic, wiedząc w głębi serca, że to ogólne stwierdzenie obejmuje panią Collar, która sprzątała mu pokój w szóstej klasie, oraz jedną z podkuchennych, która chyba się w nim zadurzyła i zawsze dawała mu dodatkową porcję sosu. Ale... serce mocniej zabiło na to wspomnienie... co roku odbywał się Bal Skrytobójców, a że młodzi adepci swobodnie poruszali się w towarzystwie, umieli tańczyć, i ponieważ dobrze skrojony czarny jedwab i długie nogi pociągały pewien typ starszych kobiet, przez całą noc kręcili się w kadrylach, galiardach i powolnych pawoninach, dopóki powietrze nie zgęstniało od piżma i żądz. Chidder, którego szczerą twarz i swobodne maniery gwarantowały sukces, przez wiele dni po balu wracał do internatu bardzo późno i miał skłonności do zasypiania na lekcjach...

- Całkiem nieodpowiednie, sire. Potrzebujemy małżonki dobrze znającej obowiązki. Oczywiście, nasza ciotka jest wolna, sire.

Żałomotało. Dios westchnął i skinął na służących, by podnieśli rzeczy z podłogi.

- Czy zaczniemy jeszcze raz, sire? Oto Kapusta Roślinnego Wzrostu...

- Przepraszam - powiedział Teppic. - Nie mówiłeś chyba, że powinienem poślubić swoją ciotkę?

- Mówiłem, sire. Interfamilijne małżeństwa są dumną tradycją naszego rodu.

- Ale moja ciotka jest moją ciotką!

Dios przewrócił oczami. Niejednokrotnie doradzał zmarłemu królowi w kwestii edukacji syna, ale ten był uparty, uparty... Teraz trzeba będzie załatwiać to na bieżąco. Bogowie wystawiają go na próbę, uznał. Wykształcenie monarchy wymaga dziesięcioleci, a on musi tego dokonać w ciągu tygodni.

- Tak, sire - zgodził się z niezwykłą cierpliwością. - Oczywiście. Jest także twoim wujem, twoją kuzynką i twoim ojcem.

- Chwileczkę! Mój ojciec... Kapłan uspokajająco uniósł dłoń.

- Techniczny szczegół - wyjaśnił. - Twoja praprababka ogłosiła kiedyś, że jest królem. Decyzja polityczna, ale edykt nigdy nie został odwołany.

- Ale przecież była kobietą.

Dios był zaszokowany.

- Ależ nie, sire. Jest mężczyzną. Sama tak zarządziła.

- Posłuchaj, przecież czyjaś ciotka...

- Rzeczywiście, sire. Całkowicie się zgadzam.

- No cóż... Dziękuję - mruknął Teppic.

- To wielka szkoda, że nie mamy sióstr.

- Sióstr!

- Nie należy rozcieńczać boskiej krwi, sire. Słońcu mogłoby się to nie

spodobać. A to, sire, Łopatka Higieny. Gdzie chciałbyś ją umieścić?

Król Teppicymon XXVII przyglądał się, jak wypychają go słomą. Dobrze, że ostatnio w ogóle nie bywał głodny; już chyba nigdy nie zjadłby kurczaka. - Piękny ścieg, mistrzu.

- Nie ruszaj palcem, Gern.

- Moja mama tak szyje. Ma fartuch z takim ściegiem - mówił dalej Gern.

- Nie ruszaj, mówię.

- Cały Ilaftowany w kury i kaczki - dokończył Gern.

Dii skoncentrował się na pracy. Owszem, musiał przyznać, że dobrze ją wykonywał. Gildia Balsamistów i Rzemiosł Pokrewnych przyznała mu liczne medale.

- Na pewno jesteście dumni - powiedział Gern.

-Co?

- Nasza mama twierdzi, że po całym tym wypychaniu i szyciu król żyje dalej, mniej więcej. W takim jakby podziemnym świecie. Z waszymi szwami.

A także z paroma workami słomy i dwoma wiadrami smoły, pomyślał król ze smutkiem. I z opakowaniem drugiego śniadania Gerna, chociaż nie miał pretensji do chłopaka, który zwyczajnie zapomniał, gdzie je odłożył. Cała wieczność z opakowaniem czyjegoś drugiego śniadania zamiast organów wewnętrznych... Została tam również połówka kielbaski.

Zdążył się przywiązać do Dila, a nawet do Gerna. Był też chyba nadal związany z ciałem - w każdym razie czuł się niepewnie, jeśli oddalił się od niego więcej niż sto, dwieście sążni. Oczywiście przez ostatnie kilka dni

dobrze poznał mistrza i ucznia.

Właściwie to zabawne. Przez całe życie rozmawiał tylko z paroma kapłanami i jeszcze kilkoma osobami. Teoretycznie wiedział, że wokół mieszkają inni ludzie - służba, ogrodnicy i tak dalej, ale w jego życiu istnieli jako niewyraźne plamy. On sam był na szczycie, potem jego rodzina, niżej kapłani i arystokracja, a dalej już tylko plamy. Piękne plamy, oczywiście, jedno z najwspanialszych na świecie, żaden król nie pragnąłby bardziej lojalnych plam. Ale jednak plamy.

Za to teraz całkowicie pochłonięły go szczegóły codziennego życia Dila, jego skromne nadzieje na awans w gildii, a także niekończąca się opowieść o niezręcznych zalotach Gema do Glwendy, córki mieszkającego w pobliżu hodowcy czosnku. Z fascynacją i zdumieniem słuchał o świecie tak pełnym subtelnych rozróżnień stopni i pozycji jak ten, który niedawno opuścił. Przerażała go myśl, że może nigdy się nie dowie, czy Gern przekonał niechętnego ojca i zdobył ukochaną, albo czy dzięki pracy - pracy nad nim - Dii uzyska rangę Wielkiego Granda Dziewięćdziesięciostopniowej Zmienności Łoży Natrońskiej w Gildii Balsamistów i Rzemiosł Pokrewnych.

Miał wrażenie, że śmierć jest jakimś niezwykłym urządzeniem optycznym, które nawet kroplę wody zmienia w siedlisko złożonego życia.

Odczuwał przemożną chęć, by wyjaśnić Dilowi elementarne kwestie polityki albo przekonać Gerna do zalet mycia i poważnego wyglądu. Wiele razy próbował. Wyczuwali go bez wątpienia. Ale sądzili, że to przeciągi.

Teraz Dii pochylił się nad długim blatem z bandażami. Potem wrócił z wielkim kłębem, który przyłożył w zadumie do tego, o czym nawet król przyzwyczaił się myśleć jako o swoich zwłokach.

- Myślę, że płótno - doszedł w końcu do wniosku. - Pasuje mu ten kolor.

Gern przechylił głowę.

- Nieźle wyglądałby w jucie - ocenił. - A może perkal?

- Nie perkal. Stanowczo nie perkal. Zbyt szerokie jak na niego.

- Mógłby się dopasować. Naciągnąć...

- Naciągnąć? - parsknął Dii. - Już ty mi nie mów o perkalu i naciąganiu. A jeśli za tysiąc lat ktoś zechce okraść jego grobowiec, a on będzie w perkalu? Co wtedy? Przejdzie do połowy korytarza, może i zadusi któregoś, to prawda, ale zaraz wszystko się porozwija. Od razu się przetrze na łokciach. Nie przeżyłbym tego.

- Przecież będziecie już martwi, mistrzu!

- Martwy? A co to ma do rzeczy? - Dii przebierał w próbkach. - Nie, jednak juta. Juta może się rozciągnąć w miarę potrzeby. I jest szorstka. Będzie mógł szybciej sunąć przez korytarze, gdyby miał na to ochotę.

Król westchnął. Osobiście wolałby coś lekkiego, z tafty.

- I zamknij drzwi - dodał Dii. - Stale te przeciągi...

- A teraz - oznajmił najwyższy kapłan - pora, byśmy odwiedzili naszego zmarłego ojca. - Pozwolił sobie na dyskretny uśmiech. - Jestem pewien, że nie może się doczekać. Teppic zastanowił się. On sam nie spieszył się do tego, ale może przynajmniej przestaną mówić o jego małżeństwie z krewnymi. Wyciągnął rękę w królewskim - miał nadzieję - geście i pogłaskał jednego z pałacowych kotów. Nie było to rozsądne posunięcie. Zwierzak powąchał jego rękę, zrobił zeza z wysiłku umysłowego i ugryzł Teppica w palec.

- Koty są święte - przypomniał Dios, zaszokowany słowami, jakich użył Teppic.

- Długonogie koty o srebrzystym futrze i zachowaniu pełnym godności, owszem. - Teppic roztarł bolący palec. - Ale o takich nie słyszałem. Jestem pewien, że święte koty nie zostawiają pod łóżkiem martwych ibisów. Myślę

także, Diosie, że święte koty żyjące pośród nieskończonych piasków nie wracają do komnat, żeby to zrobić w królewskie sandały.

- Wszystkie koty są kotami - orzekł filozoficznie Dios. - A teraz, gdybyśmy zechcieli pójść...

Wskazał odległy łuk przejścia.

Teppic ruszył za nim powoli. Zdawało mu się, że wrócił do domu całe wieki temu, ale wciąż nie czuł się najlepiej. Powietrze było za suche. Ubranie go drażniło. Stale panował upał. Nawet budynki wydawały się nie takie jak trzeba. Na przykład kolumny. W do... w gildii kolumny były żłobione, pełne gracji, z kiściami kamiennych winogron i różnych takich u szczytu. Tutaj kolumny to masywne, gruszkowate bryły, którym cały kamień spłynął do dołu.

Pół tuzina służących podążało za nim, dźwigając różnorakie elementy regaliów.

Starał się naśladować chód Diosy i odkrył, że przypomina sobie odpowiednie ruchy. Trzeba odwrócić tors o tak, potem skrócić głowę tak, wyciągnąć ręce pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ciała, dłońmi w dół, i wreszcie spróbować się ruszyć.

Laska najwyższego kapłana, uderzała o posadzkę, budząc echa. Ślepiec mógłby przejść boso po pałacu, wyczuwając stopami zagłębienia, jakie wyryła przez lata.

- Obawiam się, że nasz ojciec zmienił się, odkąd ostatni raz go widzieliśmy - odezwał się konwersacyjnym tonem Dios, kiedy przesuwali się pod freskiem przedstawiającym Królową KIIaphut przyjmującą hołd od Królestw Świata.

- Chyba tak - przyznał zdziwiony Teppic. - Jest przecież martwy.

- To również - zgodził się Dios, i Teppic zrozumiał, że kapłan nie mówił o czymś tak trywialnym jak obecny fizyczny stan władcy.

Ogarnął go lękliwy podziw. Chodzi nie o to, że Dios był szczególnie okrutny czy obojętny, ale o to, że śmierć traktował jako irytujący okres przejściowy w wiecznej egzystencji. Fakt, że ludzie umierają, był dla niego tylko niewygoda, podobną do sytuacji, gdy nie ma ich pod ręką, kiedy akurat są potrzebni.

To dziwny świat, pomyślał. Cały w cieniu. Nie zmienia się, a ja jestem jego częścią.

- Kto to jest? - zapytał, wskazując niezwykle wielki fresk. Przedstawiał mężczyznę w podobnym do komina nakryciu głowy, z brodą jakby uplecioną z powrozów. Rozjeżdżał swoim rydwanem innych, o wiele mniejszych ludzi.

- Jego imię wyryto w kartuszu u dołu - odparł z godnością Dios.

- W czym?

- Ten niewielki owal, sire.

Teppic przyjrzał się gęsto stłoczonym hieroglifom.

- *Chudy orzeł, oko, linia falista, człowiek z kijem, siedzący ptak, linia falista* - przeczytał.

Dios skrzywił się.

- Sądzę, że musimy więcej czasu poświęcić na naukę języków współczesnych - rzeki. - Jego imię brzmi Pta-ka-ba. Jest królem, kiedy Imperium Djel rozciąga się od Okrągłego Morza do Oceanu Krawędziowego, gdy niemal połowa kontynentu płaci nam lenno.

Teppic zrozumiał, co go dziwiło w mowie Diosy. Kapłan nagiął zdania do granic wytrzymałości, byle tylko uniknąć czasu przeszłego.

Wskazał inny fresk.

- A ona?

- To królowa KIIat-leon-ra-pta - odparł Dios. - Zdobywa podstępem

królestwo Howandalandu. To okres Drugiego Imperium.

- Ale umarła? - upewnił się Teppic.

- Tak sędzę - zgodził się kapłan po krótkiej pauzie. Tak. Czas przeszły wyraźnie sprawiał Diosowi przykrość.

- Poznałem kilka języków - oznajmił Teppic, pewien, że stopnie, jakie uzyskał w trzech z nich, pozostaną ukryte w kronikach gildii.

- Doprawdy, sire?

- Tak. Morporski, Vanglemesztu, Efebu, laotatioński i... jeszcze parę.

- Och. - Dios uśmiechnął się i ruszył dalej korytarzem, kulejąc lekko, ale nadal odmierzając krok niczym zegar wieków. - Barbarzyńskie krainy.

Teppic spojrzał na ojca. Balsamiści wykonali dobrą robotę. Czekali, żeby im to powiedział.

Część jego umysłu, która nadal przebywała w Ankh-Morpork, mówiła: oto martwe ciało owinięte w bandażę, przecież chyba nie wierzą, że to mu w czymś pomoże. W Ankh umierasz i chowają cię albo palą, albo rzucają krukowi. Tutaj oznacza to tyle, że trochę zwalniasz i że dostajesz najlepsze jedzenie. To śmieszne; jak można rządzić takim państwem? Im się chyba wydaje, że być martwym to jak być głuchym: trzeba po prostu głośniej mówić.

Ale inny, starszy głos mówił: rządźmy tym królestwem od siedmiu tysięcy lat. Najuboższy rolnik ma drzewo genealogiczne, przy którym królowie w innych krainach są niczym jętki jednodniówki. Kiedyś władaliśmy całym kontynentem, ale sprzedaliśmy go, żeby zapłacić za piramidy. My nawet nie myślimy o innych królestwach, młodszych niż trzy tysiące lat. I wszystko jakoś działa.

- Cześć, tato - powiedział Teppic.

Cień Teppicymona XXVII, który przyglądał mu się z uwagą, teraz podbiegł bliżej.

- Świetnie wyglądasz! - zawołał. - Dobrze cię znowu widzieć! Posłuchaj, to bardzo ważne, chodzi o śmierć...

- Mówi, że cieszy się twoim widokiem - oznajmił Dios.

- Słyszysz go? - zdziwił się Teppic. - Ja niczego nie słyszałem.

- Umarli, ma się rozumieć, przemawiają poprzez kapłanów - wyjaśnił kapłan. - Taki jest zwyczaj, sire.

- Ale on mnie słyszy, prawda?

- Oczywiście.

- Zastanawiałem się nad całą tą imprezą z piramidami, i wiesz, nie jestem przekonany.

Teppic pochylił się nad ciałem.

- Ciocia przesyła ucałowania - powiedział głośno. Pomyślał chwilę. - To znaczy moja ciocia, nie twoja. Mam nadzieję, dodał w duchu.

- Hej! Hej tam! Słyszysz mnie?

- Śle ci pozdrowienia ze świata poza zasłoną - rzekł Dios.

- No... Tak, chyba rzeczywiście ślę, ale SŁUCHAJ, nie rób sobie kłopotów i nie buduj...

- Zbudujemy ci wspaniałą piramidę, ojcze. Spodoba ci się w niej. Ludzie będą się o ciebie troszczyć i w ogóle. - Szukając wsparcia, Teppic zerknął na Diosa. - Będzie zadowolony, prawda?

- Nie chcę piramidy! - wrzasnął król. - Jest cała ciekawa wieczność,

której jeszcze nie widziałem! Zakazuję ci zamykać mnie w piramidzie!

- Mówi, że tak być powinno i że jesteś dobrym synem.

- Czy ty mnie widzisz? Ile pokazuję palców? Myślisz pewnie, że to zabawne, spędzić resztę śmierci pod milionem ton skały i patrzeć, jak sam rozpadasz się w pył? Tak sobie wyobrażasz udaną epokę?

- Trochę tu wietrznie, sire - zauważył Dios. - Lepiej idźmy dalej.

- Zresztą i tak cię na nią nie stać!

- Włożymy do niej twoje ulubione freski i posągi. Na pewno będziesz zadowolony - ciągnął desperacko Teppic. - Wszystkie twoje drobiazgi wokół ciebie.

- To mu się spodoba, prawda? - zapytał Dios, kiedy wracali już do sali tronowej. - Chociaż... Sam nie wiem... Mam przeczucie, że nie będzie z tego powodu szczęśliwy.

- Zapewniam cię, sire - oświadczył Dios - że nie może mieć żadnego innego pragnienia.

W komnacie balsamowania król Teppicymon XXVII próbował stuknąć Gerna w ramię, ale bez skutku. Zrezygnował i usiadł smętnie w kącie.

- Nie rób tego, chłopcze - szepnął z goryczą. - Nigdy nie miej potomków.

A dalej stała sama Wielka Piramida. Echo kroków Teppica na marmurowej posadzce rozbrzmiewało głośno, gdy chłopiec obchodził model dookoła. Nie był pewien, co właściwie ma tu robić. Ale królowie, jak podejrzewał, często znajdują się w takiej sytuacji. Zawsze pozostawała najprostsza droga ratunku, to znaczy uprzejme zainteresowanie.

- No no... - powiedział. - Jak długo projektujesz piramidy? Ptaclusp, architekt i budowniczy piramid dla arystokracji, skłonił się nisko.

- Przez całe życie, o blasku południa.

- To musi być fascynujące zajęcie.

Ptaclusp zerknął pytająco na najwyższego kapłana. Ten skinął głową.

- Ma swoje zalety, o fontanno wód - spróbował.

Nie był przyzwyczajony do władców zwracających się do niego tak, jakby był istotą ludzką. Niejasno wyczuwał, że to nie jest właściwe.

Teppic machnął ręką w stronę modelu ma podwyższeniu.

-Tak - rzucił niepewnie. - No tak. Świetne. Cztery ściany i ostry wierzchołek. Doskonała. Pierwsza klasa. Mówi wszystko. -Wciąż słyszał zbyt wiele ciszy. Brnął dalej. - Znakomicie wygląda.

Znaczy... Nie ma żadnych wątpliwości. Oto... piramida. Ale co za piramida! Doprawdy.

Wciąż nie wystarczało. Poszuka! czegoś innego.

- W wiekach, które nadejdą, ludzie będą patrzeć na nią i mówić... to jest piramida. Hm... Odchrząknął.

- Ściany ładnie pochylone - wykrztusi!. - Ale... - dodał. Dwie pary oczu skierowały się ku niemu.

- Hm - powiedział. Dios uniósł brew.

- Sire?

- Mam wrażenie, że ojciec powiedział kiedyś, no wiecie, że kiedy umrze, chciałby tak jakby być pochowany w morzu. Nie rozległ się jęk oburzenia, jakiego oczekiwał, f

- Miał na myśli deltę - stwierdził Ptaclusp. - Grunt w delcie jest miękki. Całe miesiące potrwa wykopanie przyzwoitych fundamentów. I zawsze jest ryzyko zatonięcia. I wilgoć. We wnętrzu piramidy wilgoć jest bardzo szkodliwa.

- Nie - zaprotestował Teppic, ociekając potem pod spojrzeniem Dios. - Myślę, że miał na myśli, no wiecie, morze. Ptaclusp zmarszczył czoło.

- Ciekawe - rzekł z namysłem. - Interesujący pomysł. Myślę, że gdyby zbudować coś małego, miliontonówkę, i postawić ją na pontonach albo czymś takim...

- Nie. - Teppic z trudem Iłamował śmiech. - On mówił o pochowaniu bez...

- Teppicymon XXVII chciał powiedzieć, że życzy sobie być pochowany bez zwłoki. - Głos Dios przypominał polany oliwą jedwab. - I nie ma chyba wątpliwości, że wymaga on uhonorowania najlepszym, co potrafisz zbudować, architekcie.

- Nie, źle zrozumiałeś...

Dios zmartwiał. Ptaclusp zrobił minę człowieka, który nagle nie ma nic do roboty. Zaczął wpatrywać się w posadzkę, jakby jego życie zależało od zapamiętania jej w najdrobniejszych szczegółach.

- Żle? - spytał Dios.

- Bez urazy. Na pewno miałeś dobre zamiary - uspokoił go Teppic. - Chodzi o to, że... no... Stwierdził wtedy bardzo wyraźnie,

- Miałem dobre zamiary? - powtórzył Dios, smakując każde słowo niby kwaśne winogrono.

Ptaclusp odkaslnął. Skończył z posadzką i teraz wziął się do sufitu.

Dios nabrał tchu.

- Sire - rzekł. - Zawsze byliśmy budowniczymi piramid. Wszyscy nasi

królowie spoczywają w piramidach. Tak rozwiązujemy te sprawy, sire. Tak powinno sieje rozwiązywać.

- Tak, ale...

- Rzecz nie podlega dyskusji. Kto mógłby pragnąć czegoś innego? Wedle wszelkich wskazówek sztuki chroniony przed bluźnierczym działaniem Czasu... - Oleisty jedwab zmienił się w zbroję, twardą jak stal i groźną jak włócznie. - Po wieczność osłonięty przed obelgą Zmiany.

Teppic zerknął na kostki kapłana. Były białe; kość naciskała od wewnątrz na skórę, jakby chciała się wyrwać.

Wzrok prześliznął się wzdłuż okrytego szarą szatą ramienia na twarz Dios. Bogowie, pomyślał Teppic, to prawda: rzeczywiście wygląda tak, jakby zmęczyli się czekaniem na jego śmierć i zakonserwowali go za życia.

Wtedy jego oczy napotkały oczy kapłana - z hukiem. Takie miał wrażenie.

Czuł się tak, jakby coś bardzo powoli zdzierało mu ciało z kości. Czuł, że nie jest ważniejszy od muchy. Niezbędnej muchy, to prawda, muchy, której nikt nie odmawia należnego szacunku, ale jednak owada z odpowiednio przysługującymi mu prawami. I z taką wolną wolą, jaką ma skrawek papirusu w huraganie.

- Wolą króla jest, by został złożony w piramidzie - oznajmił Dios takim tonem, jakiego musiał używać Stwórca, kiedy szkicował księżycy i gwiazdy.

- Ehm... - powiedział Teppic.

- Najwspanialsza z piramid dla króla - zarządził Dios. Teppic zrezygnował.

- No... - zaczął. - Dobrze. Świetnie. Tak. Najlepsza, oczywiście,

Ptaclusp rozpromienił się z ulgi, zamaszystym gestem wydobyl woskową tabliczkę, a w zakamarkach peruki odnalazł rysik. Wiedział, że najważniejszą sprawą jest jak najszybsze dobiecie targu. W tej sytuacji

wystarczy drobiazg, by człowiek wylądował z półtora milionem ton zamówionego piaskowca na głowie.

- Zatem, powiedzmy, model standardowy, o wodę na pustyni?

Teppic zerknął na Dios, który stał i patrzył gniewnie na nic konkretnego, wzrokiem i siłą woli jedynie zmuszając do posłuszeństwa buldogi Entropii.

- Może coś większego? - zaproponował Teppic bez przekonania.

- Model luksusowy - odpowiedział Ptaclusp. - Bardzo elegancki, o podstawie nieskończonej kolumny. Wystarczy na całą wieczność. W tej erze mamy specjalną ofertę: wbudowane w strukturę rozmaite wymiary o parakosmicznym znaczeniu. Bez dodatkowych opłat.

Spojrzał na Teppica wyczekująco.

- Tak, tak. Bardzo chętnie. Dios nabrał tchu.

- Król wymaga czegoś więcej - oświadczył.

- Wymagam? - spytał z powątpiewaniem Teppic.

- W samej rzeczy, sire. Twoim stanowczym życzeniem jest, by dla twego ojca wzniesiono największy z pomników - wyjaśnił gładko Dios.

To jest gra, zrozumiał Teppic; nie znał zasad, nie znał rozgrywki, i z pewnością przegra.

- Jest? Aha. Tak. Tak, rzeczywiście. Tak.

- Piramida nie mająca sobie równych wzdłuż całego Djelu. Taka jest wola króla. To jest właściwe i słuszne.

- Tak, coś w tym rodzaju. Hm... Dwa razy większa niż normalnie - rzucił w desperacji Teppic i przeżył chwilę satysfakcji, widząc, że Dios na moment stracił spokój.

- Sire? - wykrztusił.

- Tak będzie właściwie i słusznie.

Kapłan otworzył usta, by zaprotestować, zauważył jednak wyraz twarzy Teppica i zrezygnował.

Ptaclusp notował pilnie, aż podskakiwała mu grdyka. Coś takiego zdarzało się raz w czasie całej kariery zawodowej.

- Możemy wykonać bardzo ładne marmurowe licowanie - zaproponował, nie podnosząc głowy. - Może akurat wystarczy nam materiału w kamieniołomach. O królu ciał niebieskich - dodał po-; spieszenie.

- Doskonale - zgodził się Teppic. Ptaclusp sięgnął po nową tabliczkę.

- Może wierzchołek z elektum? Taniej wychodzi wbudować od razu, przecież nie chcemy używać zwykłego srebra, a potem mówić: żałuję, że nie zamówiłem...

- Elektum, tak.

- I normalne gabinety?

- Co?

- Komora grobowa, znaczy, i komora zewnętrzna. Sugeruję zestaw Memphis, niezwykle gustowny, w komplecie jest dopasowany skarbiec o większej powierzchni. Bardzo poręczny na te wszystkie drobiazgi, których nie moglibyśmy tak po prostu zostawić. - Ptaclusp odwrócił tabliczkę i zaczął pisać na drugiej stronie. -1 oczywiście podobny apartament dla królowej, jak rozumiem? O królu, który będzie żył wiecznie.

- Co? A tak, tak sędzę. - Teppic zerknął na Diosę. - Wszystko. Najlepsze.

- Są jeszcze labirynty - przypomniał Ptaclusp, starając się panować nad własnym głosem. - Bardzo popularne w tej erze. Taki labirynt jest bardzo ważny; za późno się decydować, kiedy rabusie już odwiedzili piramidę.

Może jestem staroświecki, ale zawsze wstawiałbym labirynt. Jak to mówimy: mogą wejść bez kłopotów, ale nigdy nie wyjdą. To kosztuje dodatkowo, ale czym są pieniądze w takiej chwili, o władco wód?

Czymś, czego nie mamy, odezwał się ostrzegawczy głos z głębi umysłu. Chłopiec nie zwrócił na niego uwagi. Znalazł się w szponach przeznaczenia.

- Tak - rzeki, prostując się. - Labirynt. Dwie sztuki. Rysik Ptacluspa migotał po tabliczce.

- Dla niego i dla niej, o kamieniu kamieni - wychrypiał. - Bardzo rozsądnie, bardzo wygodnie. Z wyborem pułapek z naszej szerokiej oferty? Proponujemy spadające ciężary, zapadnie, pochylnie, toczące kule, wylatujące włócznie, strzały...

- Tak, tak - przerwał mu Teppic. - Weźmiemy je. Weźmiemy wszystkie. Wszystkie pułapki.

Architekt odetchnął głęboko.

- Oczywiście, niezbędne też będą zwykłe stele, alejki, sfinksy...

- Mnóstwo. Zostawiamy to tobie.

Ptaclusp otarł czoło.

- Doskonale - powiedział, - Cudownie. - Wytarł nos. - Ojciec twój, jeśli wybaczysz mi zuchwałość, o siewco nasion, jest szczęśliwym człowiekiem, mając tak posłusznego syna. Jeśli wolno dodać...

- Wolno odejść - rzekł Dios. - Spodziewamy się, że natychmiast rozpoczniesz prace.

- Bez zwłoki, zapewniam. - Ptaclusp skłonił się. - Ehem. - Zdawał się walczyć z poważnym problemem filozoficznym.

- Słucham? - rzucił chłodno Dios.

- Chodzi o eee. Jest jeszcze sprawa eee. Co nie oznacza eee. Oczywiście, najstarszy klient, cenny zleceniodawca, ale prawdą jest, że eee. W żadnym razie nie podaję w wątpliwość zdolności kredytowej eee. Nie chciałbym żadną miarą sugerować, że eee.

Dios rzucił mu spojrzenie, które nawet sfinksa zmusiłoby do zamknięcia oczu, po czym odwrócił głowę.

- Chcesz coś powiedzieć? - zapytał. - Czas jego wysokości jest mocno ograniczony.

Ptaclusp nerwowo poruszał szczęką, ale wynik był z góry wiadomy. Nawet bogowie pokornie spuszczały głowy, stojąc twarzą w twarz z Diosem. A rzeźbione węże z jego łaski też zdawały się mu przyglądać.

- Eee. Nie, nic. Przepraszam. Po prostu głośno myślałem. Oddalę się teraz, dobrze? Czeka mnie wiele pracy. Ehem. Pokłonił się. Był już w połowie drogi do łukowego wyjścia, gdy Dios dodał:

- Zakończenie prac za trzy miesiące. Na Porę Wylewu[11].

- Co?!

- Mówisz do tysięcy trzysta dziewięćdziesiątego ósmego monarchy - przypomniał lodowato Dios. Ptaclusp przełknął ślinę.

- Przepraszam - szepnął. - Chciałem powiedzieć: Co?! O wielki władco. Przecież sam transport bloków zajmie eee.

Wargi mu zadrżały; próbował w myślach różnych uwag i w wyobraźni rzucał je w twarz Diosowi.

- Nie od razu Tsort zbudowano - wymamrotał.

- Nie przypominamy sobie, żebyśmy składali zamówienie na tę pracę - odparł kapłan. Rzucił Ptacluspowi uśmiech. W pewnym sensie było to gorsze niż wszystko inne. - Oczywiście, zapłacimy dodatkowo.

- Przecież nigdy nie pła... - zaczął Ptaclusp i zgarbił się.

- Kary za niedotrzymanie terminu będą naturalnie straszliwe. Zwykle zastrzeżenie.

Ptaclusp nie miał odwagi protestować.

- Oczywiście - zgodził się, całkowicie pokonany. -To zaszczyt. Czy wasze eminencje zechcą mi wybaczyć? Zostało jeszcze kilka godzin dziennego światła.

Teppic kiwnął głową.

- Dzięki - powiedział na pożegnanie architekt. - Niech wasze lędźwie wydadzą owoc. Za pańskim przeproszeniem, lordzie Diosie. Usłyszeli, jak zbiega po stopniach.

- Będzie wspaniała. Za wielka, ale wspaniała - przyznał Dios. Spojrzał między kolumnami na panoramę nekropolii z drugiej strony Djelu.

- Wspaniała - powtórzył.

Skrzywił się, czując ukłucie bólu w nodze. Ach, dziś wieczorem musi znowu przepłynąć przez rzekę. Nierozsądnie postąpił, o tyle dni odkładając tę wyprawę. Ale byłoby rzeczą nie do pomyślenia, gdyby nie był obecny, by właściwie służyć królestwu...

- Coś się stało, Dios? - zaniepokoił się Teppic.

- Sire?

- Mam wrażenie, że trochę zbladłeś.

Wyraz paniki przemknął po twarzy Diosa. Kapłan wyprostował się.

- Zapewniam cię, sire, że cieszę się najlepszym zdrowiem. Najlepszym zdrowiem, sire.

- Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz? Tym razem zgroza była wyraźnie widoczna.

- Z czym przesadzam, sire?

- Zawsze się krzątasz, Dios. Pierwszy wstajesz, ostatni się kładziesz. Powinieneś trochę zwolnić.

- Istnieję tylko po to, by służyć, sire - odparł stanowczo Dios. - Tylko po to, by służyć.

Teppic stanął przy nim na tarasie. W blasku zachodzącego słońca lśniło stworzone rękami ludzi górskie pasmo. Widzieli tylko masyw centralny - piramidy ciągnęły się od delty aż po drugą kataraktę, gdzie Djel zniknął w prawdziwych górach. I zajmowały najlepsze ziemie, tuż nad rzeką. Nawet rolnicy uznaliby za bluźnierstwo sugestię, że może być inaczej.

Niektóre piramidy były małe, zbudowane z grubo ociosanych bloków, i wyglądały na starsze od gór, odgradzających dolinę od pustyni. W końcu góry zawsze tam były. Takie określenia jak „młode” czy „stare” nie odnosiły się do nich. Ale te pierwsze piramidy zostały wzniesione przez istoty ludzkie, niewielkie worki myślącej wody, przez krótki czas podtrzymywane kruchymi strukturami wapnia. To istoty ludzkie pocięły skały na bloki, by złożyć je znowu w innym kształcie. Piramidy były stare.

Przez tysiąclecia zmieniały się mody. Późniejsze piramidy były gładkie i ostre, albo spłaszczone i wyłożone miką. Nawet te najbardziej strome, myślał Teppic, w skali trudności wspinaczki miały najwyżej 1,0. Za to niektóre stele i świątynie, skupione wokół podstaw piramid niby holowniki wśród pancerników wieczności, warte były uwagi.

Pancerniki wieczności, myślał, żeglujące dumnie przez mgły czasu. I każdy pasażer podróżuje pierwszą klasą...

Błysnęło kilka zbyt wczesnych gwiazd. Teppic spojrzał na nie. Może, pomyślał, gdzieś tam, wysoko, żyją inne istoty. Jeśli to prawda, że istnieją miliardy wszechświatów ustawionych jeden obok drugiego, o grubość myśli od siebie, to gdzieś muszą żyć ludzie.

Ale kimkolwiek są, jakkolwiek mężnie by się starali, jakkolwiek wspaniały byłby ich wysiłek, z pewnością nie zdołają osiągnąć głupoty tak

niebotycznej jak my. My nad tym pracujemy. U zarania dano nam iskrę, ale przez setki tysięcy lat zmieniliśmy ją w płomień.

Zwrócił się do Diosa, czując, że powinien choć w części naprawić krzywdy.

- Czuje się promieniującą z nich starość, prawda? - zapytał uprzejmie.

- Słucham, sire?

- Piramidy, Dios. Są takie stare.

Dios zerknął obojętnie za rzekę.

- Doprawdy? - zdziwił się. - Tak, myślę, że tak.

- Będziesz miał swoją?

- Piramidę? Sire, już ją mam. Jeden z twoich przodków zechciał zadbać o mnie w tym względzie.

- To z pewnością wielki zaszczyt - uznał Teppic. Dios z godnością skinął głową. Kajuty na okrętach wieczności były zwykle zarezerwowane dla królów.

- Jest, oczywiście, bardzo mała. Bardzo prosta. Ale wystarczy na moje skromne potrzeby.

- Naprawdę? - Teppic ziewnął. - To miło. A teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu, chyba się położę. To był długi dzień.

Dios skłonił się, jakby w pasie był umocowany na zawiasach. Teppic zauważył, że Dios ma co najmniej pięćdziesiąt perfekcyjnie dopracowanych sposobów składania pokłonu. Ten wyglądał na numer 3, Jestem Twym Uniżonym Sługą.

- A także udany dzień, jeśli wolno mi dodać, sire. Przez chwilę Teppic na próżno szukał właściwych słów.

- Tak myślisz? - zapytał w końcu.
- Efekt chmur o świcie był niezwykle efektowny.
- Naprawdę? Och. Czy muszę też robić coś w sprawie zachodu?
- Wasza wysokość zechciał zażartować - stwierdził Dios. - Zachód słońca następuje sam z siebie, sire. Ila, Ila.
- IIAha - powtórzył Teppic. Dios splótł palce.
- Cała sztuka to wschód - wyjaśnił.

Zmurszałe pergaminy z Yeshch twierdziły, że wielka pomarańcza słońca jest co wieczór zjadana przez Co, boginię nieba, która pozostawia jedną pestkę, by następnego ranka wyrosło z niej świeże słońce. I Dios wiedział, że tak jest w istocie.

„Księga Pozostawiania w Otchłani” informowała, że słońce to Oko boga Yoko, wędrującego codziennie po niebie w nieskończonym poszukiwaniu Swych paznokci u nóg[12]. I Dios wiedział, że tak jest w istocie.

Tajemne rytuały Dymiącego Zwierciadła dowodziły, że słońce jest okrągłą dziurą w wirującej błękitnej bańce mydlanej bogini Nesh, otwierającą się na ognisty, rzeczywisty świat zewnętrzny, gwiazdy natomiast to małe otworki, przez które wpada deszcz. I Dios wiedział, że tak jest w istocie.

W ludowych mitach powtarzano, że słońce jest ognistą kulą, która codziennie okrąża świat, a świat ten płynie przez wieczną pustkę na grzbiecie ogromnego żółwia. I Dios wiedział, że tak również jest w istocie, choć miał z tym nieco kłopotów.

Dios wiedział, że Net jest Najwyższym Bogiem i że Fon jest Najwyższym Bogiem, podobnie jak Ilast, Set, Bin, Sot, Io, Dhek i Ptoois. Że Herpetine Triskeles jako jedyny włada krainą umarłych, tak samo jak Syncope i Silur, Bóg o Głowie Suma, i Orexis-Nupt.

Dios był absolutnie najwyższym kapłanem narodowej religii, która fermentowała, osadzała i wrzała przez siedem tysięcy lat, nigdy nie

odrzucając żadnego boga, na wypadek gdyby okazał się przydatny. Wiedział, że prawdziwe jest bardzo wiele wzajemnie sprzecznych stwierdzeń. Gdyby nie, to wiara i rytuały straciłyby wszelką wartość, a gdyby były bez wartości, to świat by nie istniał. W wyniku takiego podejścia, kapłani znad Djelu przechowywali w umysłach taki zestaw idei, przy którym nawet mechanika kwantowa musiałaby zrezygnować i oddać swoje narzędzia.

Echo powtarzało stuk łaski Dios, gdy utykając, szedł w ciemności rzadko odwiedzanymi korytarzami, aż dotarł do niewielkiego mola. Odcumował łódź, wsiadł nie bez trudu, wysunął wiosła i wypłynął na mętne, ciemne wody Djelu.

Dłonie i stopy miał zimne, za zimne. Głupio, niemądrze... Powinien to zrobić już dawno.

Łódka wpłynęła wolno na środek rzeki. Noc okryła dolinę. Na drugim brzegu, zgodnie ze starożytnymi prawami, piramidy zaczynały rozświetlać niebo.

Światło paliło się też do późna w siedzibie Ptacluspa i Spółki, Nekropolitalnych Budowniczych dla Dynastii. Ojciec i dwójka bliźniaczych synów dyskutowali, pochyleni nad wielką, woskową deską kreślarską.

- I nie, żeby kiedykolwiek płacili - odezwał się Ptaclusp IIa. - Tu nawet nie chodzi o to, że nie są w stanie. Oni chyba w ogóle nie rozumieją tej idei. Przynajmniej takie dynastie jak w Tsorcie płacą mniej więcej w ciągu stu lat. Dlaczego nie zażądałeś...

- Od trzech tysięcy lat budujemy nad Djelem piramidy - przypomniał sztywno ojciec. - I nie straciliśmy na tym, prawda? Nie, nie straciliśmy. Ponieważ inne królestwa spoglądają na Djelibeybi i widzą, że jest tam rodzina, która naprawdę zna się na piramidach. Koneserzy mówią: chcemy to, co oni mają, z guziczkami na wierzchu. Poza tym to prawdziwie królewski ród - dodał. - Nie jak niektórzy, co to ich ostatnio pełno: dziś są, za

tysiąc lat już ich nie ma. W dodatku nasi to półbogowie. Nie spodziewasz się chyba, że król będzie za siebie płacił. To jedna z oznak królewskości: brak pieniędzy.

- W takim razie nie można być już bardziej królewskim niż oni. Potrzebne jest inne słowo - odparł Ila. - Zresztą w takim wypadku my też jesteśmy prawie królami.

- Nie znasz się na interesach, synu. Myślisz, że to tylko księgowość. Otóż nie.

- To problem masy. I stosunku siły do ciężaru. Obaj spojrzeli na Ptacluspa IIb, który wpatrywał się w szkice. Obracał w palcach rysik, a dłonie drżały mu z podniecenia.

- Na niższych poziomach trzeba będzie użyć granitu - powiedział sam do siebie. - Piaskowiec nie wytrzyma. Przy takich wpływach energii... Będą, uaaa, będą potężne. Nie mówimy tu o żyłkach. Taka sztuka może naostrzyć nawet belkę.

Ptaclusp wzniósł oczy do nieba. Jego dynastia trwała dopiero jedno pokolenie, a już miał z nią kłopoty. Jeden syn urodzony księgowy, drugi zakochany w tej nowomodnej mechanice kosmicznej. Za jego młodych lat nikt nie myślał o takich rzeczach. Wtedy to była architektura. Człowiek kreślił plany, potem ściągał dziesięć tysięcy chłopaków za półtorej dniówki, podwójna stawka w weekendy. Mieli tylko ułożyć cały materiał w stos. Nie trzeba było od razu zajmować się kosmosem.

Potomkowie! Bogowie uznali za stosowne obdarzyć go synem, który wystawia rachunki za oddech wypuszczony przy powiedzeniu „dzień dobry”, i drugim, który czci geometrię i nie śpi do rana, bo projektuje akwedukty. Człowiek odmawia sobie wszystkiego, oszczędza, żeby ich posłać do najlepszych szkół, a 6ni czym mu odpłacają? Wykształceniem.

- O czym ty mówisz? - burknął.

- Sam ładunek... - IIb wyjął abakus i zastukał glinianymi paciorkami na sznurkach. - Powiedzmy, że ustalimy wysokość na dwa razy większą niż w

modelu luksusowym, co daje masę... plus dodatkowo zaszyfrowane wymiary o znaczeniu okultystycznym, jak w specyfikacji... Czegoś takiego, chyba rozumiecie, nie moglibyśmy zbudować nawet sto lat temu. Technika była wtedy zbyt prymitywna...

Jego palce migotały tak szybko, że oczy nie nadążały.

Ila parsknął pogardliwie i wyjął własny abakus.

- Piaskowiec po dwa talenty za tonę... - wymruczał. - Zużycie i amortyzacja narzędzi... Demurrage... Zniszczenia... O bogowie święci... koszty bieżące... czarny marmur po cenie zbytu...

Ptaclusp westchnął. Dwa abakusy stukotały w tandemie przez cały dzień. Jeden zmieniał kształt świata, drugi oceniał koszty. Gdzie się podziały dwa kawałki drewna i pion?

Ostatnie paciorki stuknęły o ramy.

- To będzie kwantowy skok w piramidologii - oznajmił IId z mesjanistycznym uśmiechem na twarzy.

- To będzie kwa... - zaczął Ila.

- Kwantowy - odpowiedział IId, rozkoszując się brzmieniem tego słowa.

- To będzie kwantowy skok w bankructwie - rzekł Ila. - Na to też będą musieli wymyślić nowe słowo.

- Będzie tego warta jako reklama.

- Pewnie. Tylko wtedy już nie będziemy mieli czego reklamować.

- Będzie świecić! Przez milenia, które nadejdą, ludzie będą patrzeć na nią i mówić: „Ten Ptaclusp znał się na piramidach”.

- Nazwą ją „Szaleństwem Ptacluspa”, chciałeś chyba powiedzieć.

Bracia stali naprzeciw siebie, niemal stykając się nosami.

- Kłopot z tobą, krewniaku, polega na tym, że znasz cenę każdej rzeczy, ale wartość żadnej.

- Kłopot z tobą to... to... że nie znasz.

- Ludzkość musi iść drogą postępu!

- Tak, ale na solidnym finansowym nasypie, na Khufta!

- Dążenie do wiedzy...

- Dążenie do wypłacalności...

Ptaclusp zostawił ich i wyszedł na dziedziniec, gdzie w świetle pochodni pracownicy dokonywali gorączkowego remanentu.

Kiedy ojciec przekazał mu firmę, była niewielka: dziedziniec pełen kamiennych bloków, rozmaitych sfinksów, iglic, stel i innych elementów, a także gruby plik niezapłaconych rachunków, w większości adresowanych do pałacu i z szacunkiem sugerujących, że nasza faktura przedstawiona dziewięćset lat temu została zapewne przeoczona i z góry dziękujemy za szybkie uregulowanie płatności. Ale wtedy to była radość. Tylko on, pięć tysięcy robotników i pani Ptaclusp pilnująca rachunków.

Musisz robić piramidy, powiedział mu ojciec. Cały zysk tkwi w mastabach, niewielkich grobowcach rodzinnych, iglicach pamiątkowych i różnych nekropolitalnych drobiazgach. Ale jeśli nie robisz piramid, to nic nie robisz. Najędźniejszy hodowca czosnku, który szuka czegoś eleganckiego i trwałego, może z kawałkami zielonego marmuru dla ozdoby, ale niezbyt drogo, nie pójdzie do człowieka, który nie może się pochwalić piramidą.

Dlatego robił piramidy. Dobre piramidy. Nie takie, jakie się teraz widuje, które mają nieprawidłową liczbę ścian, w dodatku takich, że można je przebić kopniakiem. I owszem, jakoś to szło...

Zbudować największą piramidę...

W trzy miesiące...

Przy straszliwych karach, jeśli nie zdąży w terminie. Dios nie wyjaśnił jak straszliwych, ale Ptaclusp znał swojego klienta i wiedział, że prawdopodobnie wiążą się z krokodylami. Owszem, to byłoby straszliwe, nie ma co...

Spoglądał na migotliwe światła w długich alejach rzeźb, w tym przekłętą posąg Hata, Sępiogłowego Boga Niespodziewanych Gości, kupionego okazyjnie lata temu. Klient zrezygnował, gdyż dziób mu się nie spodobał. Od tego czasu Ptaclusp nie mógł się pozbyć posągu, nawet ze zniżką.

Największa piramida...

A kiedy człowiek straci siły na pilnowaniu, żeby arystokracji zapewnić bilet do wieczności, czy pozwalali mu osobiście wykorzystać zdobyte doświadczenie, postawić bijou piramidetkę dla siebie i pani Ptaclusp, by zabezpieczyć spokojną podróż do świata zmarłych?

Pewnie, że nie. Nawet tato dostał zgodę tylko na mastabę, choć trzeba przyznać, że jedną z najlepszych nad rzeką, z czerwono żyłkowanego marmuru, zamówionego aż w Howonderlandzie. Wiele osób prosiło o podobny, więc firma na tym skorzystała, właśnie tak, jak chciałby tato...

Największa piramida...

I nie będą pamiętać, kto pod nią leży.

Nieważne, czy nazwą ją „Szaleństwem Ptacluspa”, czy „Chwałą Ptacluspa”. Będzie Ptacluspa.

Wynurzył się z oceanu marzeń i usłyszał, że synowie nadal się kłóć.

Jeśli to mają być jego potomkowie, to wolałby próbować z sześć-settonowymi blokami piaskowca. Przynajmniej są spokojne.

- Zamknijcie się obaj - zawołał. Umilkli i usiedli, wciąż naburmuszeni.

- Podjąłem decyzję - oznajmił ojciec.

Ilb nerwowo bawił się rysikiem. Ila brzdąkał na abakusie.

- Bierzemy się do tego - rzekł Ptaclusp i wyszedł z komnaty. - Jeśli jakiemuś synowi się to nie spodoba, zostanie strącony w zewnętrzną ciemność, gdzie będą tylko jęki i szczękane zębów - rzucił jeszcze przez ramię.

Dwaj bracia zostali sami. Patrzyli na siebie gniewnie. Wreszcie odezwał się Ila.

- A co to właściwie znaczy „kwantowy”? - zapytał. Ilb wzruszył ramionami.

- To znaczy, że dodajesz jeszcze jedno zero.

- Aha... I to wszystko?

W całej dolinie Djelu flary piramid jaśniały w ciszy nocy, rozładowując zakumulowaną energię dnia. Ogromne, bezgłośnie płomienie strzelały z wierzchołków i wiły się ku górze - zygzakowate jak błyskawice i zimne jak lód.

Przez setki mil pustynia migotała konstelacjami umarłych, zorzą starożytności. Ale w całej dolinie Djelu światła łączyły się w jedną nieprzerwaną wstęgę ognia.

Leżało na podłodze i na jednym końcu miało poduszkę. Musiało zatem być łóżkiem.

Teppic nie potrafił stłumić wątpliwości, gdy kręcił się i przewracał, próbując znaleźć jakąś skłonność do kompromisu części materaca. Przecież to bez sensu, myślał. Dorastałem na takich łóżkach. I poduszkach wykutych ze skały. Urodziłem się w tym pałacu, to jest moje dziedzictwo, muszę być gotów je przejąć...

Muszę zamówić normalne łóżko i puchową poduszkę z Ankh. Zaraz rano. Ja, król, powiadam, że tak ma się stać.

Przewrócił się; głowa ze stukiem uderzyła o poduszkę.

I kanalizacja. Cóż to za wspaniały wynalazek. Zdumiewające, czego można dokonać z dziurą w ziemi.

Tak, kanalizacja. I te przeklęte drzwi. Teppic nie był przyzwyczajony do grupy służących, czekających przez cały czas, by wypełniać jego wolę. Wykonywanie porannych ablucji w sypialni stało się niesłychanie krępujące. I ludzie. Stanowczo powinien zapoznać się z ludźmi. Pora skończyć z tym kryciem się po pałacach.

No i jak można zasnąć, kiedy niebo nad rzeką gorzeje niby sztuczne ognie?

W końcu zmęczenie wciągnęło ciało w jakąś strefę pomiędzy snem a jawą. Obrazy przekradały się do oczu.

Widział wstyd swoich przodków, gdy przyszli archeolodzy przetłumaczą kartusze pod jeszcze nie namalowanymi freskami z okresu jego panowania: *Zygzak, orzeł z obstrukcją, linia falista, zad hipopotama, zygzak*. „W roku Cyklu Cephmeta, Bóg Słońca Teppic Nakazał Zainstalować Kanalizację i Wzgardził Poduszkami Swych Przodków”.

Śnił o Khufcie. Potężny, brodaty, przemawiający błyskawicami i gromem, przyzywał gniew niebios na tego potomka, który zdradził szlachetną przeszłość.

Dios przepłynął przez pole widzenia, tłumacząc, że - w następstwie edyktu wydanego kilka tysięcy lat temu - niezwykle ważne jest, by Teppic

poślubił kota.

Różnogłowi bogowie kłócili się, którego z nich powinien wysłuchać, i tłumaczyli szczegóły boskości, gdy w tle odległy głos usiłował zwrócić na siebie uwagę i wrzeszczał, że nie chce być pochowany pod masą kamieni. Jednak Teppic nie miał czasu się nad tym zastanowić, ponieważ zobaczył siedem krów tłustych i siedem krów chudych, a jedna z nich grała na puzonie.

Ale ten sen był stary, śnił mu się niemal każdej nocy...

A potem jakiś człowiek strzelał z łuku do żółwia...

Później Teppic szedł przez pustynię i znalazł malutką piramidę, wysoką na parę cali. Powiał wiatr i zdmuchnął piasek, ale to już nie był wiatr, to piramida rosła, a piasek zsypywał się z jej lśniących ścian. Rosła coraz większa i większa, aż wreszcie była tak ogromna, że cały świat stał się punkcikiem w jej środku.

I właśnie w środku piramidy zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

A potem piramida zmaląła, zabierając ze sobą świat. Zniknęła...

Oczywiście, kiedy się jest faraonem, miewa się niejasne sny pierwszej klasy.

Wstał kolejny dzień, dzięki uprzejmości króla, który leżał na łóżku, używając zwiniętego ubrania jako poduszki. W kamiennym labiryncie pałacu zaczęli się budzić słudzy królestwa.

Łódź Diosa prześliznęła się po wodzie i uderzyła dziobem w molo. Kapłan wysiadł i ruszył do pałacu, przeskakując po trzy stopnie naraz i zacierając ręce na myśl o czekającym go nowym dniu, o godzinach i rytuałach odmierzających równo czas. Tyle spraw do zorganizowania, tyle spraw, do których był niezbędny...

Główny rzeźbiarz i wytwórca sarkofagów złożył swoją miarkę.

- Wykonaliście dobrą robotę, mistrzu Dilu - pochwalił. Dii kiwnął głową. Między profesjonalistami nie było miejsca na fałszywą skromność.

Rzeźbiarz szturchnął go w bok.

- Niezły z nas zespół, co? - stwierdził. - Wy ich marynujecie, ja pakuję.

Dii znów skinął głową, tym razem wolniej. Rzeźbiarz spojrzał na trzymaną w rękach woskową owal.

- Chociaż z maski pośmiertnej nie jestem zadowolony - oświadczył.

Przy narożnym bloku Gern pracował nad jednym z kotów Królowej. Dii pozwolił mu przygotować zwierzę samodzielnie. Teraz uczeń przerażony podniósł głowę.

- Zrobiłem ją bardzo starannie - zauważył ponuro.

- W tym sęk - wyjaśnił rzeźbiarz.

- Wiem - westchnął smętnie Dii. - To jego nos, prawda?

- Raczej podbródek.

- I podbródek.

- Tak.

- Tak.

W posępnym milczeniu spoglądali na woskową podobiznę faraona. Faraon również.

- Czego chcecie od mojego podbródka?

- Mógłbyś dołożyć brodę - zaproponował po chwili Dii. - Taka broda zakryje większą jego część.

- Zostaje jeszcze nos.

- Można by ściąć z pół cala. I zrobić coś z policzkami.

- Tak.

- Tak.

Gern był oburzony.

- Mówicie o obliczu naszego zmarłego króla - przypomniał. - Nie można robić takich rzeczy! Poza tym ludzie zauważą. - Zawahał się. - Zauważą, prawda?

Dwaj mistrzowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Gern - tłumaczył cierpliwie Dii - z pewnością zauważą. Ale nie powiedzą ani słowa. Oczekują od nas, że trochę... hm... poprawimy sytuację.

- W końcu - dodał główny rzeźbiarz - nie sądzisz chyba, że ktoś wystąpi i zawoła: „To nie pasuje, tak naprawdę on miał twarz krótkowzrocznego kurczaka”, prawda?

- Bardzo dziękuję! Naprawdę bardzo dziękuję!

Faraon usiadł obok kota. Doszedł do wniosku, że ludzie ukazują zmarłym szacunek tylko wtedy, gdy sądzą, że zmarli ich słuchają.

- Rzeczywiście - przyznał niepewnie uczeń. - Był chyba trochę brzydszy niż na freskach.

- O to właśnie chodzi - powiedział z naciskiem Dii.

Szeroka, szczera, piegowata twarz Gerna zmieniła się powoli, jak

pejzaż pełen kraterów, nad którym płyną chmury. Uświadomił sobie, że to, co się dzieje, określa się jako „wprowadzenie w starożytne tajemnice profesji”.

- Chcecie powiedzieć, że nawet malarze zmieniają... - zaczął. Dii zmarszczył groźnie czoło.

- Nie mówimy o tym głośno.

Gern spróbował zmusić swe rysy do przyjęcia wyrazu godności i powagi.

- Aha - powiedział. - Tak. Rozumiem, mistrzu. Rzeźbiarz klepnął go w plecy.

- Bystry z ciebie chłopak, Gern - pochwalił. - Szybko się orientujesz. Przyznasz, że być brzydkim za życia to już wielkie nieszczęście. Pomyśl, jak strasznie byłoby pozostać brzydkim w świecie umarłych.

Król Teppicymon XXVII pokręcił głową. Musimy wyglądać podobnie, póki żyjemy, myślał, a teraz pilnują, żebyśmy po śmierci byli identyczni. Co za królestwo... Rozejrzał się i zobaczył duszę zdechłego kota. Mył się. Za życia król nienawidził kotów, ale teraz zwierzak wydał mu się miłym towarzystwem. Poglaskał go lekko po płaskiej głowie. Kot mruczał przez chwilę, po czym spróbował obdrzeć mu rękę z ciała. Królowi wyraźnie szczęście dziś nie sprzyjało.

Z rosnącym przerażeniem uświadamiał sobie, że trójka rzemieślników dyskutuje o piramidzie. O jego piramidzie. Będzie największa ze wszystkich. Zostanie wzniesiona na wyjątkowo żyznym kawałku ziemi, w najlepszym punkcie nekropolii. Największa z istniejących wcześniej piramid będzie przy niej wyglądać jak coś, co zbudowało dziecko w piaskownicy. Otoczą ją marmurowe alejki i granitowe obeliski. Będzie największym pomnikiem, jaki kiedykolwiek syn zbudował dla ojca.

Król jęknął.

Ptaclusp jęknął.

Za czasów jego ojca było lepiej. Człowiek potrzebował tylko wściekle wielkiego stosu belek do przetaczania bloków i dwudziestu lat, co było użyteczne, ponieważ ludzie mieli co robić i nie szukali kłopotów w Porze Wylewu, kiedy pola były zalane. Teraz wszystko załatwia bystry chłopak z kawałkiem kredy i właściwe inkantacje.

Choć trzeba przyznać, że robiło to wrażenie, jeśli ktoś lubił takie rzeczy.

Ptaclusp IIb obszedł wielki kamienny blok, tu poprawiając jakieś równanie, tam podkreślając niezrozumiałą inskrypcję. Potem obejrzał się i skinął ojcu głową.

Ptaclusp pędem wrócił do króla, który wraz z orszakiem stał na urwisku ponad kamieniołomem. Złota maska błyszczała jasno w słońcu. Królewska wizyta, jakby za mało miał kłopotów...

- Jesteśmy gotowi, kiedy tylko zechcesz, o łuku niebios - powiedział zlany potem, wbrew nadziei mając nadzieję, że...

O bogowie. Król znowu zamierzał Być Przyjacielski.

Ptaclusp zerknął czujnie na najwyższego kapłana, który najłżejszym grymasem dał mu do zrozumienia, że nic na to nie poradzi. Tego już za wiele. Ptaclusp nie był jedynym tak traktowanym. Ledwie wczoraj Dii, mistrz balsamista, musiał przez pół godziny Rozmawiać o Swojej Rodzinie. Tak być nie powinno, ludzie oczekiwali, że król zostanie w pałacu, to zbyt...

Król zbliżył się ku niemu nonszalanckim krokiem, który powinien przekonać mistrza budowniczego, że jest wśród przyjaciół. O nie, pomyślał Ptaclusp, zamierza Pamiętać Moje Imię.

- Muszę przyznać, że przez te dziewięć tygodni dokonaliście niezwykłych rzeczy. Dobry początek, mistrzu... ehm... Ptaclusp, tak? -

odezwał się król.

Ptaclusp przełknął ślinę. Teraz nie było już dla niego ratunku.

- Tak, o rękę nad wodami - wykrztusił. - O fontanno...

- Sądzę, że wystarczy „wasza wysokość” albo „sire” - oświadczył Teppic.

Ptaclusp spojrzał przerażony na Diosą, który skrzywił się, ale znów skinął głową.

- Król życzy sobie, abyś zwracał się do niego... - wyraz cierpienia przemknął po twarzy kapłana - ...nieformalnie. Na modłę barba... obcokrajowców.

- Musisz uważać się za człowieka bardzo szczęśliwego, skoro masz takich utalentowanych i pracowitych synów - powiedział Teppic, spoglądając na ruchliwą panoramę kamieniołomów.

- Będę, o... sire - wymamrotał Ptaclusp, pojmując słowa władcy jako rozkaz.

Dlaczego królowie nie mogą ludziom rozkazywać, jak za dawnych lat? Człowiek wiedział przynajmniej, na czym stoi. Nie chodzili dookoła, nie byli uprzejmi i nikogo nie traktowali, jakby był im równy, jakby też potrafił sprawić wschód słońca.

- To musi być fascynujące zajęcie - mówił dalej Teppic.

- Jak wasz sire sobie życzy, sire - odparł Ptaclusp. - Wystarczy, że wasza wysokość powie słowo...

- Ale jak to właściwie działa?

- Słucham, wasz sire? - Ptaclusp był wstrząśnięty.

- Zmuszacie kamienne bloki do latania, tak?

- Tak, o sire.

- To bardzo ciekawe. Jak to robicie?

Ptaclusp niemal odgryzł sobie wargę. Zdradzać Sekrety Profesji? Był przerażony. Na szczęście niespodziewanie na pomoc przybył mu Dios.

- Korzystając z pewnych tajemnych znaków i symboli, sire - wyjaśnił - w których początki mądrzej jest nie wnikać. To wiedza... - zawahał się - ...współczesnych.

- To o wiele szybsze niż przepychanie tych ciężarów - zauważył Teppic.

- Tamto miało w sobie pewną glorię, sire. A teraz, jeśli wolno...

- Ach... Tak, oczywiście. Pracujcie dalej. Ptaclusp otarł czoło i pobiegł na krawędź urwiska. Zamachał kawałkiem tkaniny.

Wszystkie rzeczy definiowane są przez swoje nazwy. Wystarczy zmienić nazwę, a zmienia się obiekt. Oczywiście, nie jest to takie proste, ale w sensie parakosmicznym o to właśnie chodzi.

Ptaclusp IIb lekko postukał w blok swoją laską. Powietrze nad kamieniem zafalowało w upale, po czym, zsypując ze ścian piasek, blok podniósł się powoli i zakołysał kilka stóp nad ziemią, przytrzymywany przez liny cumownicze.

I to wszystko. Teppic spodziewał się gromu, a przynajmniej strugi ognia. Ale robotnicy okrążali już następny blok, a paru ludzi ciągnęło pierwszy na plac budowy.

- Robi wrażenie - przyznał smętnie Teppic.

- W samej rzeczy, sire - zgodził się Dios. - A teraz musimy już wracać

do pałacu. Wkrótce nadejdzie czas Ceremoniału Trzeciej Godziny.

- Tak, tak. Oczywiście. Dobra robota, Ptaclusp. Tylko tak dalej. Ptaclusp zgiął się wpół, podekscytowany i zmieszany.

- Tak jest, wasz sire - powiedział i postanowił iść na całość. - Czy wolno mi waszemu sire pokazać najnowsze plany?

- Król zaaprobował plany - przypomniał Dios. - Wybacz, jeśli się mylę, ale odnoszę wrażenie, że budowa piramidy jest już dość zaawansowana.

- Tak, tak, ale przyszło nam do głowy, że ta alejka, o tutaj, tuż przy wejściu, cóż za miejsce, pomyśleliśmy, na posąg, powiedzmy, Hata, Sępiogłowego Boga Niespodziewanych Gości, praktycznie po kosztach...

Dios zerknął na szkic.

- To niby mają być skrzydła? - zapytał.

- Nawet nie po kosztach, nie po kosztach, może załatwimy to... - tłumaczył rozpaczliwie Ptaclusp.

- Czy to nos?

- Raczej dziób, tak, dziób, o kapłanie. A może...

- Raczej nie - zdecydował Dios. - Nie, stanowczo nie.

Rozejrzał się po kamieniołomie w poszukiwaniu Teppica, jęknął, wcisnął budowniczemu plany i ruszył biegiem.

Teppic szedł wolno ścieżką w stronę czekających rydwanów, spoglądając melancholijnie na krzątanie wokół. Przystanął obok grupy robotników obrabiających narożnik. Znieruchomieli, kiedy go zauważyli; stali zawstydzeni i patrzyli na niego.

- Całkiem całkiem - oświadczył Teppic, oglądając uważnie kamień, choć wszystko, co wiedział o kamieniarstwie, można by wykuć w ziarenku piasku. - Piękny kawał skały.

Zwrócił się do najbliższego stojącego robotnika, który aż usta rozdziawił.

- Jesteś kamieniarzem, prawda? - zapytał. - To z pewnością bardzo ciekawe zajęcie.

Robotnik wytrzeszczył oczy. Upuścił dłuto.

- Erk - powiedział.

Pięćdziesiąt sążni od nich Dios pędził ścieżką, aż szata powiewała mu wokół nóg. Przystanął, chwycił jej skraj i ruszył dalej, tupiąc sandałami.

- Jak się nazywasz? - zapytał Teppic.

- Aaaargl - odpowiedział robotnik.

- To świetnie - uznał Teppic, chwycił za bezwładną dłoń i mocno ją uściskał.

- Sire! - ryknął Dios. - Nie!

Kamieniarz odwrócił się, ściskając rękę za nadgarstek, szarpiąc ją, krzycząc...

Teppic ścisnął poręcz tronu i spojrzał na najwyższego kapłana.

- To przecież tylko gest przyjaźni, nic więcej. Tam, skąd pochodzę...

- Skąd pochodzisz, sire, jest tutaj! - huknął Dios.

- Ale odcinać? To zbyt okrutne.

Dios zbliżył się o krok. Jego głos powrócił do swego zwykłego gładkiego brzmienia.

- Okrutne, sire? Będzie to zrobione precyzyjnie i dokładnie, z lekami, które uśmierzą ból. Na pewno przeżyje.

- Ale dlaczego?

- Tłumaczyłem już, sire. Nie mógłby już używać tej dłoni, nie bezczeszcząc jej przy tym. To człowiek pobożny i wie to dobrze. Jesteś przecież bogiem, sire.

- Ale przecież ty możesz mnie dotykać. I służba.

- Ja jestem kapłanem, sire - przypomniał łagodnie Dios. - A służba ma specjalną dyspensę. Teppic przygryzł wargę.

- To barbarzyństwo - oświadczył. Dios nawet nie drgnął.

- Tak się nie stanie - rzekł Teppic. - Jestem królem. Zakazuję tego, rozumiesz?

Dios skłonił się. Teppic poznał numer 49, Urażonej Godności.

- Twoje życzenie będzie z pewnością spełnione, o fontanno wszelkiej mądrości. Choć oczywiście jest możliwe, że człowiek ów weźmie sprawy, wybacz porównanie, we własne ręce.

- O co ci chodzi?

- Sire, gdyby koledzy go nie powstrzymali, zrobiłby to sam. Dłutem, jak rozumiem.

Teppic patrzył na niego i myślał: jestem obcym w znajomym kraju.

- Rozumiem - mruknął po chwili. Pomyślał jeszcze trochę.

- Zatem ta... operacja ma zostać wykonana z nadzwyczajną troską, a człowiek ów ma potem otrzymać rentę. Czy to jasne?

- Jak rozkażesz, sire.

- I to odpowiednią rentę.
- Oczywiście, sire. Pójdziemy mu na rękę - odparł Dios z kamienną twarzą.
- Można też znaleźć mu jakąś lekką pracę i zatrudnić w pałacu.
- Jako jednorękiego kamieniarza, sire? - Lewa brew Diosy uniosła się odrobinę.
- Jako kogokolwiek, Dios.
- Oczywiście, sire. Jak sobie życzysz. Osobiście sprawdzę, czy nie brakuje nam rąk do pracy.

Teppic spojrzał na niego groźnie.

- Jestem królem, pamiętaj - powiedział.
- Świadomość tego nie opuszcza mnie ani na chwilę, sire.
- Dios - rzucił Teppic, gdyż najwyższy kapłan już się odwracał.
- Sire?
- Parę tygodni temu zamówiłem w Ankh-Morpork puchowe łóżce. Przypuszczam, że nie masz pojęcia, co się z nim stało? Dios szerokim gestem rozłożył ręce.
- Słyszałem, sire, że piraci często ostatnio napadają w okolicach khalianckiego wybrzeża.
- Z pewnością piraci są też odpowiedzialni za nieprzybycie eksperta z Gildii Hydraulików i Szambonurków[13]? - zapytał kwaśno Teppic.
- Tak, sire. Albo może bandyci, sire.
- A może gigantyczny dwugłowy ptak sfrunął z nieba i go porwał.

- Wszystko jest możliwe, sire. - Twarz najwyższego kapłana promieniowała wręcz uprzejmością.

- Możesz odejść, Dios.

- Sire, czy wolno ci przypomnieć, że emisariusze z Tsortu i Efebu staną przed tobą w piątej godzinie?

- Tak. Możesz odejść.

Teppic został sam, a przynajmniej sam w takim stopniu, w jakim to było możliwe. To znaczy siedział w komnacie sam jeden, jeśli nie liczyć dwóch służących machających wachlarzami, lokaja, dwóch ogromnych howonderlandzkich strażników przy drzwiach i pary podręcznych.

A tak. Podręczne. Z podręcznymi nie doszedł jeszcze do ładu. Zapewnił to Dios je wybierał, ponieważ - jak się zdawało - nadzorował wszystko w pałacu. Wykazał się przy tym zadziwiająco dobrym gustem w kwestii, na przykład, oliwkowej skóry, nóg i łon. Odzienie, jakie miały na sobie te dwie razem, wystarczyłoby może do przykrycia talerzyka. Co dziwne, zmieniało je to w dwa atrakcyjne i ruchome meble, tak aseksualne jak kolumny. Teppic westchnął, wspominając kobiety w Ankh-Morpork, które mogły okrywać się od szyi po kostki, a jednak u całej klasy chłopców wywoływać rumieniec sięgający cebulek włosów.

Sięgnął do misy z owocami. Jedna z dziewcząt natychmiast chwyciła go za rękę, odsunęła ją delikatnie i wzięła winogrono.

- Proszę cię, nie obieraj - powiedział Teppic. - Skórka jest najlepsza. Pełno w niej ważnych witamin i minerałów. Chociaż pewnie o nich nie słyszałaś, wymyślili je całkiem niedawno - dodał, raczej do siebie. - To znaczy w ciągu ostatnich siedmiu tysięcy lat - dokończył z irytacją.

Tyle czasu upływa. Wszędzie to robi, ale tutaj jakoś nie potrafi. Tutaj tylko się spiętrza, jak śnieg. Całkiem jakby piramidy nas przytrzymywały, jak te rzeczy, których używają na statkach, jak im było, jak kotwice. Jutro jest tym samym co wczoraj, odgrzane po raz kolejny.

Jednak obrała winogrono, a śnieżne płatki sekund spływały wolno.

Na budowie wielkiej piramidy ogromne kamienne bloki spływały na miejsca, przypominając oglądaną od końca eksplozję. Płynęły pomiędzy kamieniołomem a placem budowy, sunęły bezgłośnie nad ciemnymi, prostokątnymi cieniami.

- Muszę przyznać - zwrócił się Ptaclusp do syna - że to zadziwiające. Kiedyś ludzie będą się zastanawiać, jak tego dokonaliśmy.

Stali razem w wieży obserwacyjnej.

- Cała ta sprawa z drewnianymi belkami do przetaczania i z batami to już przeszłość - odparł IIb. - Możemy o nich zapomnieć.

Młody architekt uśmiechnął się, ale uśmiech przypominał raczej grymas maniaka.

To rzeczywiście było zadziwiające. Bardziej niż powinno. Wciąż miał wrażenie, że piramida sama...

Otrząsnął się. Powinien się wstydzić takich myśli. W tej pracy, jeśli człowiek nie uważał, łatwo mógł się stać zabobonny.

Jest rzeczą naturalną, że rzeczy układają się w piramidę... No, w każdym razie w stożek. Dziś rano przeprowadził doświadczenia. Ziarno, piasek, sól... Ale nie woda, to była pomyłka. A piramida to przecież równy stożek, stożek, który postanowił wyglądać trochę lepiej.

Może trochę przesadził, troszeczkę tylko, w parakosmicznych wymiarach?

Ojciec klepnął go w ramię.

- Dobra robota - powtórzył. - Wiesz, to wygląda prawie tak, jakby sama

się budowała.

Ilb jęknął i ugryzł się w nadgarstek - dziecięca reakcja, która zawsze powracała, kiedy się zdenerwował. Ptaclusp tego nie zauważył, ponieważ w tej właśnie chwili jeden z majstrów podbiegł do stóp wieży, wymachując swoim ceremonialnym prętem mierniczym.

Ptaclusp wychylił się.

- Co? - zapytał.

- Mówilem: przyjdź zaraz, proszę, o mistrzu.

Widziana z poziomu roboczego, mniej więcej w połowie wysokości, gdzie wykonywano precyzyjne prace w wewnętrznych komorach, piramida nie wyglądała już imponująco. To słowo przestało ją opisywać. Słowo „przerażająca” pasowało o wiele lepiej.

Bloki kamienia unosiły się wysoko, mijały się i okrężały, kornacy wrzeszczeli na siebie i na pechowych kontrolerów, którzy z dołu, ze szczytu piramidy, próbowali przekrzyczeć hałas.

Ptaclusp wszedł między robotników zebranych pośrodku. Przynajmniej tutaj panowała cisza. Martwa cisza.

- No dobrze, jestem - zawołał. - Co się... Oj.

Ptaclusp Ilb zerknął ponad ramieniem ojca i podniósł dłoń do ust.

Przedmiot był pomarszczony. Starożytny. Kiedyś był chyba czymś żyjącym. Leżał na płycie jak obsceniczna suszona śliwka.

- To moje drugie śniadanie - wyjaśnił główny tynkarz. - Moje przekłete drugie śniadanie. Naprawdę miałem apetyt na jabłko.

- Przecież jeszcze nie mogło się zacząć - wyszeptał Ilb. - Ona wciąż nie potrafi formować ognisk temporalnych. Znaczy, skąd ona wie, że będzie piramidą?

- Sięgnąłem po nie i poczułem... poczułem coś bardzo nieprzyjemnego
- tłumaczył tynkarz.

- W dodatku ognisko ujemne - dodał I Ib. - Takie w ogóle nie powinny się zdarzać.

- Ciągle tam jest? - spytał Ptaclusp. - Powiedz, że tak.

- Zniknie, kiedy więcej bloków trafi na miejsca - wyjaśnił syn i rozejrzał się nerwowo. - Ogniska się przesuwają przy zmianie środka ciężkości.

Ptaclusp odciągnął go na bok.

- Teraz mi to mówisz? - zapytał jawnym szeptem[14].

- Trzeba założyć wierzchołek - wymamrotał I Ib. - Wypalić uwieczniony czas. Wtedy nie będzie problemów...

- Jak możemy ją nakryć? Przecież nie jest skończona. Czego się uczyłeś? Piramidy nie akumulują, póki nie są gotowe. Póki nie są piramidami, to chyba jasne. Energia piramid, jasne? Nazwana tak od piramid. Dlatego właśnie nazywa się energią piramid.

- To musi być związane z masą albo czymś innym - zaryzykował architekt. - I tempem budowy. Czas jest chwytny w osnowę. To znaczy, owszem, w teorii można już podczas budowy uzyskać niewielkie ogniska, ale są tak małe, że niezauważalne. Gdyby ktoś stanął w takim, może odmłodziłby albo postarzał o kilka godzin, albo... - Zaczynał bełkotać.

- Pamiętam, że kiedy robiliśmy grobowiec Khenetha XIV, malarz fresków twierdził, że przez dwie godziny wymalował komnatę królowej, a my stwierdziliśmy, że to trzy dni, i musiał zapłacić karę - powiedział wolno Ptaclusp. - Było sporo Hałasu w gildii, pamiętam.

- Już to mówiłeś - zauważył I Ib.

- Co mówiłem?

- O malarzu fresków. Przed chwilą.

- Nie, nie mówiłem. Nie mogłeś tego słyszeć.

- Mógłbym przysiąc, że to powiedziałeś. Zresztą to jest jeszcze gorsze. I pewnie zdarzy się znowu.

- Spodziewasz się więcej takich ognisk?

- Tak - potwierdził Iib. - Nie powinniśmy uzyskiwać ognisk ujemnych, ale wygląda na to, że ich nie unikniemy. Można przewidzieć, że powstaną szybkie przepływy zwykłe i odwrotne, a nawet krótkie pętle. Obawiam się, że natrafimy na wszystkie możliwe anomalie czasowe. Lepiej ściągnijmy ludzi z budowy.

- Pewnie nie dałbyś rady tak załatwić, żeby posyłać ich do pracy w szybkim czasie, a płacić w wolnym? - zapytał Ptaclusp. - Twój brat na pewno coś takiego zaproponuje.

- Nie! Trzymaj ludzi z daleka. Najpierw podciągniemy resztę bloków i położymy kamień na szczycie.

- Dobrze, dobrze. Tak tylko pomyślałem. Jakbyśmy nie mieli dosyć kłopotów...

Ptaclusp wszedł między robotników zebranych pośrodku. Przynajmniej tutaj panowała cisza. Martwa cisza.

- No dobrze, jestem - zawołał. - Co się... Oj.

Ptaclusp Iib zerknął ponad ramieniem ojca i podniósł dłoń do ust.

Przedmiot był pomarszczony. Starożytny. Kiedyś był chyba czymś żyjącym. Leżał na płycie jak obsceniczna suszona śliwka.

- To moje drugie śniadanie - wyjaśnił główny tynkarz. - Moje przekłete drugie śniadanie. Naprawdę miałem apetyt na jabłko.

Ptaclusp zawahał się. Wszystko to wydało mu się znajome. Miał już

takie uczucie: przytłaczające wrażenie reja vu[15].

Spojrzał w pełne grozy oczy syna. Razem, bojąc się, co mogą zobaczyć, odwrócili się powoli.

Zobaczyli za sobą siebie, kłócących się o coś, co Iib przysięgał, że już słyszał.

I słyszał, uświadomił sobie przerażony Ptaclusp. To ja tam stoję. Z zewnątrz wyglądam całkiem inaczej. A tam to też ja. Także. Również.

To pętla. Jak maleńki wir na rzece, tyle że w nurcie czasu. Właśnie okrążyłem go dwa razy.

Drugi Ptaclusp spojrzał na niego.

Nastąpiła długa, dręcząca chwila temporalnego napięcia, odgłos jakby mysz dmuchała balonik z gumy do żucia, i pętla zerwała się, a postać zniknęła.

- Wiem, skąd się to bierze - wymamrotał Iib niewyraźnie, z powodu nadgarstka w zębach. - Piramida nie jest jeszcze gotowa, ale będzie, więc efekty tak jakby odbijają się wstecz. Tato, powinniśmy przerwać, natychmiast, jest za wielka, nie miałem racji...

- Cicho bądź. Potrafisz wyliczyć, gdzie uformują się ogniska? I chodź tutaj. Chłopcy na ciebie patrzą. Weź się w garść, synu. Iib odruchowo sięgnął do abakusa u pasa.

- No tak, właściwie... - szepnął. - To tylko funkcja rozkładu masy i...

- Dobrze - przerwał mu ojciec. - Bierz się do pracy. A potem zawołaj do mnie majstrów.

Oczy błyszczały mu jak mika. Szczeka przypominała blok granitu. Może to dzięki piramidzie potrafię tak myśleć, uznał. A myślę szybko.

- I sprowadź tu swojego brata - dodał.

To działanie piramidy. Pamiętam pomysł, na który dopiero wpadnę.

Lepiej nie zastanawiać się nad tym za długo. Najważniejsza jest praktyka.

Rozejrzał się po placu budowy. Bogowie wiedzieli, że nie zdążymy w terminie. Teraz już nie musimy. Możemy budować, jak długo chcemy.

- Dobrze się czujesz? - spytał Iib. - Tato, dobrze się czujesz?

- Czy to była ta twoja pętla czasu? - rzucił rozmarzony Ptaclusp.

Co za pomysł. Nikt już nigdy nie odbierze im kontraktu. Będą dostawać premie za dokończenie przed terminem i nieważne, jak długo to potrwa.

- Nie. Tato, trzeba...

- Ale jesteś pewien, że umiesz przewidzieć, gdzie one powstaną?

- Tak, chyba tak, ale...

- To dobrze.

Ptaclusp aż drżał z podniecenia. Może trzeba będzie więcej ludziom płacić, ale warto. Zresztą Iia na pewno coś wymyśli, finanse są równie potężne jak magia. Chłopcy z pewnością się zgodzą. Stale przecież narzekają, że muszą pracować razem z wolnymi ludźmi, narzekają, że muszą pracować z tymi z Howonderlandu, narzekają, że muszą pracować z kimkolwiek oprócz właściwie opłacanych członków gildii. Nie będą chyba narzekać, że pracują ze sobą.

Iib cofnął się i chwycił abakus dla dodania sobie odwagi.

- Tato - spytał ostrożnie. - O czym ty myślisz? Ptaclusp uśmiechnął się promiennie.

- O Doppelgangach - oświadczył.

Polityka była stanowczo ciekawsza. Teppic czuł, że w tej sprawie może się przydać.

Djelibeybi było stare. Szanowane. Ale także małe i jeśli postawić tę kwestię na ostrzu miecza - a tylko takie kwestie liczą się w dzisiejszych czasach - nie miało siły. Nie zawsze tak się działo, jak twierdził Dios. Kiedyś Djelibeybi władało światem dzięki potędze swego pochodzenia, właściwie nie potrzebowało stałej armii dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, jaką wtedy dysponowało.

Teraz dzierżyło subtelniejszą władzę jako wąskie państewko pomiędzy potężnymi i agresywnymi imperiami Tsortu i Efebu; każde z nich było jednocześnie zagrożeniem i osłoną. Od ponad tysiąca lat królowie znad Djelu, dzięki inteligentnej dyplomacji, wspaniałych manierach i cierpliwości godnej stonogi wkładającej sandały, utrzymywali pokój w całej opacznej części kontynentu. Samo istnienie od siedmiu tysięcy lat może być skuteczną bronią, jeśli tylko wiedzieć, jak ją zastosować.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy neutralni? - upewnił się Teppic.

- Tsort jest cywilizacją pustynną, jak my. - Dios splótł palce. - Przez lata pomagaliśmy im ją tworzyć. Efeb... - Skrzywił się. - Mają tam bardzo dziwne wierzenia.

- Co to znaczy?

- Wierzą, że światem rządzi geometria, sire. Same linie, kąty i liczby. Takie rzeczy, sire... - Dios zmarszczył czoło - ..mogą prowadzić do nierozsądnych idei.

- Aha. - Teppic postanowił możliwie szybko dowiedzieć się jak najwięcej o nierozsądnych ideach. - Zatem sekretnie wspieramy Tsort, tak?

- Nie. Ważne jest, by Efeb pozostał silny.

- Ale więcej mamy wspólnego z Tsortem?
- Pozwalamy im w to wierzyć, sire.
- Przecież są cywilizacją pustynną. Dios uśmiechnął się lekko.
- Obawiam się, że nie traktują piramid dostatecznie poważnie, sire.

Teppic rozważył to.

- Więc po czyjej stronie jesteśmy?
- Po naszej, sire. Zawsze jest jakiś sposób. Pamiętaj, sire, że twoja rodzina tworzyła już trzecią dynastię, zanim nasi sąsiedzi odkryli, skąd się biorą dzieci.

Delegacja Tsortu istotnie sprawiała wrażenie, jakby kulturę Djelu studiowali pilnie, niemal fanatycznie. Było też jasne, że nie zaczęli nawet jej pojmować; pożyczili jedynie tyle fragmentów, ile uznali za użyteczne, i poskładali je w subtelnie niewłaściwy sposób. Na przykład wszyscy jak jeden mąż używali Trójskrętnego Kroku, stosowanego na dworze Djelibeybi jedynie przy pewnych wyjątkowych okazjach. Od czasu do czasu na ich twarzach pojawiały się grymasy bólu, gdy protestowały kręgosłupy.

Nosili także Khrły Poranka, bransolety Wyjścia, kilty Yet oraz - nic dziwnego, że podręczne z wachlarzami skrywały uśmiechy - nagolenniki w tych samych kolorach[16].

Nawet Teppic musiał zakaszleć pospiesznie. Ale przecież, pomyślał, oni nie potrafią lepiej. Są jak dzieci.

Za tą myślą pojawiła się kolejna, która dodała: te dzieci w ciągu godziny mogłyby zetrzeć nas w proch.

Po gorących synapsach przemknęła trzecia myśl: to tylko ubrania; wielkie nieba, zaczynasz traktować je poważnie.

Grupa z Efebu rozsądnie ubrała się w białe togi. Byli do siebie dziwnie podobni, jakby w ich kraju działała gdzieś mała mennica, wyciskająca

niskich łysych mężczyzn z kędzierzawymi brodami.

Obie grupy zatrzymały się przed tronem i skłoniły nisko.

- Witam - powiedział Teppic.

- Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woźnica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzony, Nieśmiertelny Król, wita was i nakazuje, byście napili się z nim wina - zawołał Dios i klasnął w ręce, by przywołać lokaja.

- A tak - powiedział Teppic. - Siadajcie proszę.

- Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woźnica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzony, Nieśmiertelny Król rozkazuje wam usiąść - przekazał jego wolę Dios.

Teppic szukał w pamięci odpowiedniej przemowy. W Ankh-Morpork słyszał ich wiele. Prawdopodobnie na całym świecie brzmiały podobnie.

- Jestem pewien, że pamiętając o...

- Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woźnica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzony, Nieśmiertelny Król, prosi, byście zważyli! - huknął Dios.

- ...długiej historii przyjaznych stosunków...

- Zważcie na mądrość Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazującego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla!

Echa ucichły z wolna.

- Mogę cię prosić na stówko, Dios? Najwyższy kapłan pochylił się.

- Czy to konieczne? - syknął Teppic.

Orla twarz Diosa przybrała stężały wyraz człowieka, który stał się z nieznaną koncepcją.

- Oczywiście, sire. To tradycyjne - odparł w końcu.

- Myślałem, że mam porozmawiać z tymi ludźmi. No wiesz, o granicach, handlu i tak dalej. Sporo o tym myślałem i mam kilka propozycji. I wiesz, trochę to będzie trudne, jeśli stale będziesz tak krzyczał.

Dios uśmiechnął się uprzejmie.

- Ależ nie, sire. To wszystko zostało już ustalone, sire. Spotkałem się z nimi dziś rano.

- To co ja właściwie mam robić?

Dios zatoczył niewielki krąg prawą dłonią.

- Co tylko zechcesz, sire. Zwykle wystarczy uśmiech, żeby lepiej się poczułi.

- I to wszystko?

- Sire, mógłbyś ich zapytać, czy podoba im się praca dyplomatów - zaproponował Dios. Na gniewny wzrok Teppica odpowiedział spojrzeniem oczu tak pozbawionych wyrazu jak lustra.

- To ja jestem królem - szepnął Teppic.

- Z pewnością, sire. Lecz nie warto obciążać urzędu zwykłymi, nudnymi sprawami państwa, sire. Jutro, sire, będziesz sprawował sądy. To bardzo odpowiednia funkcja dla monarchy, sire.

- Aha. No tak.

Sprawa nie była prosta. Teppic uważnie wysłuchał obu stron. Chodziło o domniemaną kradzież bydła, komplikowaną dodatkowo przez cebulowo wielowarstwowe prawo Djelibeybi. I o to własne chodzi, pomyślał. Nikt już nie dojdzie, kto jest właścicielem tego nieszczęsnego wołu. Takie rzeczy muszą załatwiać królowie. Pomyślmy... Pięć lat temu on sprzedał wołu jemu, ale okazało się...

Przyjrzał się obu zmartwionym rolnikom. Obaj przyciskali do piersi wystrzępione słomkowe kapelusze, obaj mieli na twarzach ten sam martwy wyraz prostych ludzi, którzy szukając rozstrzygnięcia swego drobnego konfliktu, trafili na marmurową posadzkę wielkiej sali i stanęli przed swoim bogiem spoczywającym na tronie. Teppic nie miał wątpliwości, że każdy z nich chętnie zrezygnowałby ze swych praw do zwierzęcia, byleby tylko znaleźć się jak najdalej stąd.

To już stary wół, myślał. Pora, żeby go zarznąć. Nawet jeśli należy do niego, to przez tyle lat pasł się na ziemi sąsiada. Po połowie dla każdego, tak będzie w porządku. Zapamiętaj ten wyrok.

Uniósł Sierp Sprawiedliwości.

- Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woźnica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzony, Nieśmiertelny Król, wyda sąd! Ukorzcie się przed sprawiedliwością króla Teppii...

Teppic przerwał Diosowi wpół słowa.

- Wysłuchawszy obu stron tego sporu - oznajmił stanowczo, z powodu maski nieco głuchym głosem - i rozważywszy wszelkie argumenty i kontrargumenty, uważamy, że sprawiedliwie będzie, aby sporne zwierzę zarznąć bez zwłoki i podzielić po równo między pozwanego i powoda.

Odetchnął. Nazwą mnie Teppikiem Mądrym, pomyślał. Prostý lud uwielbia takie rzeczy.

Rolnicy popatrzeni na niego tępo. Potem, jakby obaj stali na obrotowej podłodze, równocześnie odwrócili się w stronę, gdzie na stopniach tronu, w otoczeniu niższych kapłanów siedział Dios.

Najwyższy kapłan wstał, wygładził szatę i stuknął laską.

- Wysłuchajcie interpretacji mądrości Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazującego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla - zawołał. - Wedle naszego boskiego wyroku, sporne zwierzę jest własnością Rhumushputa. Wedle naszego boskiego wyroku, sporne zwierzę ma być złożone w ofierze na ołtarzu Zgromadzenia Bogów w podzięcie za poświęcenie Naszej boskiej uwagi. Dalej nakazujemy, by zarówno Rhumushput, jak i Ktoffle wspólnie przepracowali dodatkowe trzy dni na polach Króla, by zapłacić za ten wyrok.

Dios uniósł głowę, aż spojrzał wzdłuż swego przerażającego nosa wprost na maskę Teppica. Wzniósł rękę.

- Wielka jest mądrość Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazującego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla!

Rolnicy aż podskoczyli z wdzięczności i lękliwie, otoczeni przez strażników, wycofali się sprzed oczu władcy.

- Dios - rzucił chłodno Teppic.

- Sire?

- Zbliź się tu na chwilę, proszę,

- Sire? - powtórzył Dios, materializując się obok tronu.

- Trudno nie zauważyć, Dios... wybaczyć, jeśli się mylę... pewnej kwiecistości tłumaczenia. Kapłan zdziwił się wyraźnie.

- Ależ skąd, sire. Z absolutną dokładnością przekazałem twoją decyzję, dopracowując jedynie szczegóły w zgodzie z precedensami i tradycją.

- Jak to? Przecież to nieszczęsne stworzenie naprawdę należało do nich obu!

- Ale Rhumushput znany jest ze swej pobożności, sire, i przy każdej okazji sławi i wynosi bogów. Tymczasem Ktoffle miewa nierozsądne myśli.

- Co to ma wspólnego ze sprawiedliwością?

- Wszystko, sire - odparł gładko Dios.

- Przecież teraz żaden nie ma tego wołu!

- W istocie, sire. Ale Ktoffle go nie ma, ponieważ na to nie zasługuje, Rhumushput zaś, dzięki swej ofierze, zapewnił sobie wyższą pozycję w świecie zmarłych.

- A wy wszyscy będziecie pewnie jeść na kolację wołowinę - mruknął Teppic.

To było jak cios. Równie dobrze Teppic mógłby podnieść tron i uderzyć nim kapłana. Dios cofnął się o krok, wzburzony; oczy zmieniły mu się w dwa jeziora cierpienia. Kiedy przemówił, w jego głosie brzmiał ból.

- Nie jadam mięsa, sire - oznajmił. - Osłabia i kała duszę. Czy mogę rozpocząć następną sprawę, sire?

- Proszę. - Teppic skinął głową.

Następna sprawa okazała się sporem o czynsz dzierżawny z trzydziestu sążni kwadratowych ziemi nad rzeką. Żyzna ziemia była w Djelibeybi cenna, ponieważ tak wiele jej zajmowały piramidy. Problem nabierał wagi.

Wagi tym większej, że dzierżawca gruntu był najwyraźniej człowiekiem uczciwym i ciężko pracującym, gdy tymczasem właściciel ewidentnie bogatym i budzącym niechęć[17]. Niestety, jakkolwiek by zestawiać fakty, miał także rację.

Teppic zamyślił się głęboko. Po chwili zerknął na Diosa. Kapłan skinął mu głową.

- Wydaje mi się... - zaczął Teppic, jak najszybciej potrafił, ale nie dość szybko.

- Wysłuchajcie sądu Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazującego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla!

- Wydaje mi się... - powtórzył Teppic - ...to znaczy nam, że po uwzględnieniu wszelkich argumentów, także tych przekraczających ludzkie jedynie rozumienie, słuszna i sprawiedliwa decyzja w tej sprawie...

Przerwał. Król tak nie przemawia, pomyślał.

- Racje właściciela zważone zostały i za niedostateczne uznane - zahuczał przez szczelinę ust maski. - Rozstrzygamy na korzyść dzierżawcy.

Jak jeden mąż, cały dwór zwrócił się ku Diosowi, który szeptem przeprowadził krótką naradę z innymi kapłanami, po czym wstał.

- Wysłuchajcie teraz interpretacji słów Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazującego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla! Rolnik Ptorne natychmiast zapłaci księciu Imtebosowi osiemnaście toonów! Księżę Imtebos natychmiast wpłaci dwanaście toonów jako dar dla świątyni bóstw rzeki! Niech żyje król! Przystąpmy do kolejnej sprawy! Teppic znowu przywołał Diosa.

- Czyja w ogóle jestem tu potrzebny? - zapytał gorączkowym szeptem.

- Proszę, uspokój się, sire. Gdyby cię nie było, skąd ludzie mieliby wiedzieć, że dokonana się sprawiedliwość?

- Ale przekręcasz wszystko, co powiem!

- Nie, sire. Sire wydaje osąd człowieka. Ja interpretuję wyrok króla.

- Rozumiem - mruknął ponuro Teppic. - Zatem od tej chwili...

Przed salą nastąpiło jakieś zamieszanie. Najwyraźniej któryś z więźniów nie ufał w pełni królewskiej sprawiedliwości. Król wcale mu się nie dziwił. Jemu też się nie podobała.

Więźniem okazała się ciemnowłosa dziewczyna; wrywała się dwóm strażnikom, zadając im rękami i piętami takie ciosy, przy których mężczyźna musiałby się zarumienić. Nie miała też na sobie odpowiedniego kostiumu. Jej ubranie ledwie wystarczało, by w nim leżeć i obierać winogrona.

Dostrzegła Teppica i - ku jego tajemnej radości - posłała mu spojrzenie pełne czystej nienawiści. Po całym dniu traktowania jak ograniczony umysłowo posąg, przyjemnie mu było, że ktoś się nim zainteresował.

Nie wiedział, co takiego zrobiła, ale sądząc po ciosach wymierzanych strażnikom, można było przypuszczać, że zrobiła to do granic swych możliwości.

Dios pochylił się do poziomu szczelin usznych maski.

- Ma na imię Ptraci - wyjaśnił. - Podręczna twojego ojca. Odmówiła przyjęcia napoju.

- Jakiego napoju? - zdziwił się Teppic.

- Tradycja nakazuje zmarłemu królowi do świata umarłych zabierać ze sobą służbę, sire.

Teppic smętnie kiwnął głową. Dios mówił o zazdrośnie strzeżonym przywileju, jedynym sposobie, by ubogi sługa mógł zapewnić sobie nieśmiertelność. Teppic pamiętał pogrzeb dziadka i dyskretne spory jego osobistych służących. Na długie dni zepsuło mu to nastrój.

- Tak, ale przecież to nie jest obowiązkowe - powiedział.

- Tak, sire. Nie jest obowiązkowe.

- Ojciec miał mnóstwo sług.
- Jak rozumiem, ta była jego ulubienicą, sire.
- Więc co ona właściwie zrobiła?

Dios westchnął jak ktoś, kto niezbyt roztępiętemu dziecku próbuje tłumaczyć ważne sprawy.

- Odmówiła przyjęcia napoju, sire.
- Przepraszam. Mówiłeś, zdawało mi się, że to nie jest obowiązkowe.
- Tak, sire. Nie jest, sire. Jest całkowicie dobrowolne. To akt wolnej woli. A ona odmówiła, sire.
- Aha... To jedna z tych sytuacji... - mruknął Teppic.

Djelibeybi było zbudowane na tego rodzaju sytuacjach. Próba ich zrozumienia mogła człowieka doprowadzić do szaleństwa. Gdyby któryś z jego przodków zadekretował, że noc jest dniem, ludzie chodziliby i macali drogę przed sobą w pełnym świetle.

Wyprostował się.

- Podejdz, panienko - rozkazał. Zerknęła na Diosa.
- Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII...
- Czy za każdym razem musimy tego słuchać?
- Tak, sire... Pan Niebios, Woźnica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzony, Nieśmiertelny Król nakazuje ci wyznaczyć swoją winę!

Dziewczyna wyrwała się strażnikom i drżąc z przerażenia, stanęła przed Teppikiem.

- On mówił, że wcale nie chce być pochowany pod piramidą - oświadczyła. - Mówił, że sama myśl o tych milionach ton kamieni nad nim wywołuje koszmary. Nie chcę jeszcze umierać!

- Odmawiasz radosnego przyjęcia trucizny? - zapytał Dios.

- Tak.

- Ależ, dziecko, wtedy król i tak będzie musiał skazać cię na śmierć. Z pewnością lepiej jest odejść z godnością, do lepszego życia w krainie umarłych.

- Nie chcę być sługą w krainie umarłych.

Jęk grozy wyrwał się zebranych kapłanom. Dios pokiwał głową.

- Zatem porwie cię Pożeracz Dusz - orzekł. - Sire, czekamy na twój wyrok.

Teppic uświadomił sobie, że wpatruje się w dziewczynę. Było w niej coś niepokojąco znajomego, czego nie mógł do końca zidentyfikować.

- Wypuście ją - powiedział.

- Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woźnica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzony, Nieśmiertelny Król przemówił! Jutro o świcie zostaniesz rzucona krokodylom w rzecę. Wielka jest mądrość króla!

Ptraci odwróciła się i spojrzała z nienawiścią na Teppica. Milczał. Nie śmiał się odezwać ze strachu, w co zmieniały się jego słowa.

Odeszła w milczeniu, gorszym niż krzyki czy szlochy.

- To już ostatnia sprawa, sire - poinformował Dios.

- Udam się do moich pokojów - oświadczył lodowato Teppic. - Wiele spraw muszę przemyśleć.

- Zatem przyślę ci obiad, sire - zapewnił kapłan. - Smażone kurczę.
- Nienawidzę kurcząt. Dios uśmiechnął się.
- Ależ skąd, sire. W środy król zawsze rozkoszuje się kurczęciem.

Piramidy płonęły. Światło, jakie rzucały na ziemię, było przyćmione, słabe, niemal szare, lecz z każdego wierzchołka z trzaskiem strzelał w niebo jaskrawy zygzak. Cichy stuk metalu o kamień wyrwał Ptraci z niespokojnej drzemki. Wstała bardzo ostrożnie i na palcach podeszła do okna.

W przeciwieństwie do klasycznych okien w celach - które powinny być duże, przewiewne i dla zapewnienia więźniom drogi ucieczki wymagać jedynie usunięcia kilku niewygodnych prętów - to okno było zaledwie szczeliną szerokości sześciu cali. Siedem tysięcy lat nauczyło władców państwa nad Djelem, że cela służy do zatrzymania więźnia wewnątrz. Przez tę szczelinę człowiek mógł się wydostać tylko w kawałkach.

Na zewnątrz jakiś cień przesłonił blask piramid i głos szepnął:

- Psst.

Ptraci przycisnęła się do ściany i spróbowała dosięgnąć szczeliny.

- Kim jesteś?

- Jestem tu, żeby ci pomóc. A niech ich... Oni nazywają to oknem? Uważaj, spuszcza linę.

Gruby, jedwabny powróż, z węzłami w równych odstępach, opadł jej na ramię. Przyglądała mu się przez sekundę czy dwie, po czym zrzuciła buciki z zawiniętymi noskami i wspięła się w górę.

Oblicze po drugiej stronie szczeliny było częściowo zasłonięte czarnym kapturem, Ptraci zauważyła jednak wyraz niepokoju.

- Nie martw się - powiedziało.
- Nie martwiłam się. Próbowałam się trochę zdrzemnąć.
- Och. W takim razie przepraszam. Pójdę sobie i zostawię cię tutaj, dobrze?
- Ale rano obudzę się i wtedy zacznę się martwić. Na czym stoisz, demonie?
- Wiesz, co to są nity?
- Nie.
- No więc stoję na dwóch. Spoglądali na siebie w milczeniu.
- No dobrze - rzekło w końcu oblicze. - Muszę przebiec dookoła i wejść przez drzwi. Nie odchodź.

Z tymi słowami zniknęło w górze.

Ptra ci zsunęła się na chłodne kamienie posadzki. Wejść przez drzwi! Nie wiedziała, jak ono potrafi tego dokonać. Istoty ludzkie muszą je najpierw otworzyć.

Skuliła się w najdalszym kącie celi i wpatrzyła w niewielki prostokąt drewna.

Mijały minuty. W pewnej chwili miała wrażenie, że coś słyszy - jakby ciche westchnienie.

Jeszcze później zabrzmiał cichy szcęk metalu, tak delikatny, że niemal poniżej granicy słyszalności.

Jeszcze trochę czasu nawinęło się na szpulkę wieczności i cisza za drzwiami, będąca ciszą wywoływaną przez brak Hałasu, z wolna zmieniła się w ciszę wywoływaną przez kogoś nie wydającego żadnego dźwięku.

Jest tuż za drzwiami, pomyślała.

Nastąpiła chwila wyczekiwania, kiedy Teppic oliwił wszystkie bolce i zawiasy, a kiedy przystąpił do ostatecznego ataku, drzwi otworzyły się z chwytającą za serce bezgłośnością.

- Jesteś tu? - odezwał się głos z ciemności. Ptraci wcisnęła się głębiej do kąta.

- Słuchaj, przyszedłem cię uratować.

Dostrzegła wreszcie czarny cień w słabym blasku piramid. Posuwał się do przodu bardziej niepewnie, niżby się tego spodziewała po demonie.

- Idziesz czy nie? - zapytał. - Ogłuszyłem tylko strażników, to przecież nie ich wina. Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Rano mam zostać rzucona krokodylom - szepnęła Ptraci. - Sam król to nakazał.

- Prawdopodobnie się pomylił.

Ptraci z niedowierzaniem i lękiem otworzyła szeroko oczy.

- Pożeracz Dusz mnie porwie! - oznajmiła.

- A chcesz tego? Zawahała się.

- No widzisz - powiedziała postać i chwyciła ją za rękę. Wyprowadziła ją z celi, gdzie Ptraci niemal się przewróciła o nieruchome ciało strażnika.

- Kto siedzi w pozostałych celach? - zapytał demon, wskazując szereg drzwi wzdłuż korytarza.

- Nie wiem.

- Sprawdźmy, dobrze?

Demon przyłożył puszkę do zawiasów sąsiednich drzwi i pchnął. Stały otworem. Blask z wąskiego okna ukazywał mężczyznę w średnim wieku, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

- Przyszedłem cię uratować - oznajmił demon. Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

- Uratować? - zdziwił się.

- Tak. Dlaczego tu trafiłeś? Więzień zwiesił głowę.

- Błędziłem przeciwko królowi.

- Jak to się stało?

- Upuściłem sobie kamień na nogę. Teraz wyrwą mi język.

- Kapłan cię usłyszał, co? - Ciemna postać współczująco pokiwała głową.

- Nie. Sam powiedziałem kapłanowi. Takie słowa nie powinny ująć karze - wyznał szczerze więzień.

W tym jesteśmy dobrzy, pomyślał Teppic. Zwykłe zwierzęta z pewnością nie mogłyby się tak zachowywać. Trzeba się urodzić człowiekiem, żeby osiągnąć prawdziwą głupotę.

- Chyba powinniśmy o tym porozmawiać. Na zewnątrz - zaproponował. - Może wyjdiesz ze mną?

Mężczyzna cofnął się i spojrzał wystraszony.

- Chcesz, żebym uciekł?

- To chyba dobry pomysł, nie sądzisz?

Więzień patrzył mu w oczy i bezgłośnie poruszał wargami. Wreszcie najwyraźniej podjął decyzję.

- Straż! - wrzasnął.

Krzyk odbił się echem w uśpionym pałacu. Niedośzły wybawiciel spoglądał na więźnia z niedowierzaniem.

- Szaleńcy - stwierdził. - Wszyscy jesteście szaleni.

Wybiegł z pokoju, złapał Ptraci za rękę i ruszył mrocznymi korytarzami. Za nimi więzień wykorzystywał swój język, póki go jeszcze posiadał, do wykrzykiwania ciągu przekleństw.

- Gdzie mnie zabierasz? - spytała Ptraci, kiedy skręcili za róg i ruszyli przez otoczony gęsto kolumnami dziedziniec.

Teppic zawahał się. Właściwie jeszcze się nad tym nie zastanawiał,

- Dlaczego w ogóle męczą się ryglowaniem drzwi? - rzucił, zerkając na kolumny. - To właśnie chciałbym wiedzieć. Dziwię się, że nie wróciłaś do celi, kiedy cię zostawiłem.

- Ja... ja nie chcę umierać - wyznała cicho.

- Trudno się dziwić.

- Nie wolno ci tak mówić! To grzech nie chcieć umierać. Teppic spojrział na dach wokół dziedzińca i rozwinął linę z kotwiczką.

- Myślę, że powinnam wrócić do celi - uznała Ptraci, nie podejmując jednak żadnych kroków w tym kierunku. - Nie wolno nawet myśleć o nieposłuszeństwie wobec króla.

- Tak? A co się wtedy dzieje?

- Coś złego - odparła niezbyt precyzyjnie.

- Chcesz powiedzieć, że coś gorszego niż wydanie na pastwę krokodylom albo oddanie duszy na pożarcie Pożeraczowi Dusz? - spytał Teppic i rzucił kotwiczkę, która chwyciła mocno jakąś ukrytą nierówność dachu.

- To interesująca uwaga - przyznała Ptraci, zdobywając Nagrodę Teppica za bystrość.

- Warto ją przemyśleć, prawda? - Teppic z całej siły szarpnął linę.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli najgorsze i tak ma ci się zdarzyć, równie dobrze możesz się więcej nie przejmować - wyciągnęła wniosek Ptraci. - Jeśli Pożeracz Dusz dostanie cię, bez względu na to, co zrobisz, możesz przynajmniej uniknąć krokodyli. O to chodzi?

- Idziesz pierwsza - rozkazał Teppic. - Zdaje się, że ktoś się zbliża.

- Kim ty jesteś?

Teppic sięgnął do mieszka. Wrócił do Djelibeybi wieki temu, w tym tylko, co miał na sobie, ale miał na sobie to, w czym zdawał egzamin. Zważył w dłoni nóż do rzutów numer dwa. Stał błysnęła w świetle flar piramid. Być może była to jedyna stal w kraju. Nie chodzi o to, że Djelibeybi nie słyszało o stali, ale jeśli miedź była dobra dla twojego pra-pra-pra-pradziadka, to i tobie powinna wystarczyć.

Nie, strażnicy nie zasługiwali na noże. Przecież nie zrobili nic złego.

Dłoń sięgnęła do niewielkiej siatkowej sakiewki z kolcami. Były nieduże, ledwie calowe. Kolce nikogo nie zabijają, najwyżej spowalniają odrobinę. Jeden czy dwa w podeszwie stopy wywołuje niezwykłą powolność i ostrożność u wszystkich oprócz wyjątkowych entuzjastów.

Rozrzucił kilka kolców przy wyjściu na dziedziniec, biegiem wrócił do liny i podciągnął się szybkimi ruchami. Był już na dachu, gdy pierwszy strażnik wynurzył się z korytarza. Odczekał, aż zabrzmie pierwsze przekleństwo, po czym zwinął linę i ruszył za dziewczyną.

- Złapią nas - powiedziała.

- Nie sądzę.

- A wtedy król każe nas rzucić krokodylom.

- Nie, nie są... - Teppic urwał. Bardzo intrygujący problem. - Może - przyznał. - Trudno mieć pewność.

- Co teraz zrobimy?

Teppic spojrział za rzekę, gdzie piramidy stały w ogniu. Przy Wielkiej Piramidzie wciąż trwała praca w blasku flar. Roje kamiennych bloków, maleńkich z tej odległości, krążyły wokół wierzchołka. Zdumiewała liczba robotników, których Ptaclusp przysyłał na budowę.

Ależ będzie miała flarę, pomyślał Teppic. Zobaczą ją aż w Ankh.

- Okropne są, prawda? - odezwała się z tyłu Ptraci.

- Tak sądzisz?

- Aż dreszcz przechodzi. Stary król ich nie cierpiał, wiesz? Mówił, że przybiły państwo do przeszłości.

- Powiedział dlaczego?

- Nie. Po prostu ich nienawidził. Był miłym staruszkiem. Bardzo łagodnym. Nie to, co ten nowy.

Wytarła nos i schowała chusteczkę w wyraźnie zbyt małą przestrzeń pod zdobionym cekinami stanikiem.

- Ehm... A co właściwie robiłaś? Znaczy, jako podręczna? -Teppic, by ukryć swoje zakłopotanie, zbadał wzrokiem panoramę dachów.

Zachichotała.

- Nie pochodzisz stąd, prawda?

- Nie, właściwie nie.

- Głównie z nim rozmawiałam. Albo tylko słuchałam. Naprawdę potrafił opowiadać, chociaż skarżył się, że nikt nigdy nie słucha tego, co ma do powiedzenia.

- Rozumiem - przyznał z uczuciem Teppic. -1 to wszystko? Spojrzała na niego i zachichotała znowu.

- Ach, to... Nie, był bardzo łagodny. Nie żebym miała coś przeciw

temu, rozumiesz. Odebrałam należne wykształcenie. Właściwie trochę mnie rozczarował. Kobiety w mojej rodzinie od wieków służyły pod różnymi królami.

- Tak? - wykrztusił.

- Nie wiem, czy widziałeś taką książkę, nazywa się „Zamknięty...

- ...pałac" - dokończył odruchowo Teppic.

- Przypuszczałam, że taki dżentelmen jak ty powinien ją znać. - Ptraci szturchnęła go znacząco. - To rodzaj podręcznika. Moja pra-prababka pozowała do niektórych rysunków. Nie ostatnio - dodała na wypadek, gdyby nie całkiem zrozumiał. - To by już była przesada, w końcu nie żyje od dwudziestu pięciu lat. Kiedy była młodsza. Wszyscy mówią, że jestem do niej bardzo podobna.

- Urk - zgodził się Teppic.

- Była sławna. Mogła sięgnąć stopami za głowę, wiesz? Ja też potrafię. Mam Trzeci Stopień.

- Urk?

- Stary król powiedział mi kiedyś, że bogowie dali ludziom poczucie humoru, żeby wynagrodzić im jakoś to, że dali im seks. Mam wrażenie, że był wtedy trochę zdenerwowany.

- Urk.

Z oczu Teppica widać było tylko białka.

- Nie jesteś rozmowny, co?

Nocny podmuch niósł w jego stronę perfumy Ptraci. Używała zapachu jak tarana.

- Musimy ci znaleźć jakąś kryjówkę - przypomniał, koncentrując się na każdym słowie. - Nie masz rodziców albo kogoś?

Starał się ukryć fakt, że w bezcieniowym blasku flar zdawała się lśnić. Nie wychodziło mu to najlepiej.

- Moja matka nadal pracuje gdzieś w pałacu. Ale nie sędzę, żeby zrozumiała...

- Musimy cię stąd wydostać - oświadczył stanowczo Teppic. - Jeśli dzisiaj się gdzieś ukryjesz, ukradnę konie albo łódź, albo cokolwiek. Potem możesz wyjechać do Tsortu albo Efebu, albo gdzieś.

- Czyli za granicę? Nie wiem, czy mi się tam spodoba.

- W porównaniu ze światem umarłych?

- Cóż, jeśli tak to ująć... - Chwyciła go za rękę. - Dlaczego mnie uratowałeś?

- Co? Chyba dlatego, że żyć jest lepiej, niż być martwym.

- Doczytałam do numeru 46, Kongresu Pięciu Szczęśliwych Mrówek - oświadczyła Ptraci. - Gdybyś miał trochę jogurtu, moglibyśmy. ..

- Nie! To znaczy: nie. Nie tutaj. Nie teraz. Na pewno już nas szukają. Prawie świta.

- Nie musisz tak krzyczeć. Chciałam tylko być uprzejma.

- Tak. Oczywiście. Dziękuję. - Teppic wyrwał się i z rozpaczą zajrzał przez parapet w jeden z licznych pałacowych szybów oświetleniowych.

- Tędy można przejść do warsztatu balsamistów - zawołał. - Na pewno jest tam mnóstwo kryjówek. Raz jeszcze odwinął linę.

Do szybu przylegało kilka komnat. Teppic znalazł taką, gdzie pod ścianami stały ławy, a podłogę zaścielały wióry drewna. Drzwi prowadziły do następnego pomieszczenia, zastawionego sarkofagami. Na każdym tkwiła ta sama złocista lalkowata twarz, którą zdążył już poznać i znienawidzić. Zastukał w kilka i uniósł pokrywę najbliższego.

- Nie ma nikogo w domu - stwierdził. - W środku możesz odpocząć. Zostawię pokrywę uchyloną, żebyś miała powietrze.

- Nie myślisz chyba, że się zgodzę. A jeśli nie wrócisz?

- Będę wieczorem - obiecał Teppic. - I... i spróbuję wrzucić ci tu trochę jedzenia i wody.

Podeszła; jej bransolety na kostkach brzęczały na strunach Teppicowego libido. Odruchowo spuścił głowę i zobaczył, że Ptraci ma pomalowane wszystkie paznokcie u nóg. Przypomniawszy sobie, jak w czasie przerwy Cheesewright opowiadał im kiedyś za stajnią, że dziewczęta, które malują paznokcie u nóg są... Nie całkiem pamiętał, ale wtedy wydawało się to niewiarygodne.

- Jest strasznie twardy - zauważyła.

- Co?

-Jeśli mam w tym leżeć, potrzebne mi będą poduszki.

- Wrzucę trochę wiórów, zobacz... Ale pośpiesz się! Proszę!

- No dobrze. Ale wrócisz po mnie, prawda? Obiecujesz?

- Tak, tak! Obiecuję!

Zasunął pokrywę sarkofagu, wciskając pod nią kawałek drewna, żeby zapewnić dopływ powietrza. Potem wybiegł. Duch króla spoglądał za nim.

Wzeszło słońce. Żłociste światło spłynęło w żyzną dolinę Djelu, a flary piramid pobladyły i zmieniły się w widmowych tancerzy na tle jaśniejącego nieba. Teraz towarzyszył im dźwięk. Rozbrzmiewał cały czas, zbyt wysoki dla uszu śmiertelnych, lecz o świcie opadał z dalekich ultradźwięków... CCChhhhhheeee...

Ulatywał w niebo: cienka powłoka dźwięku przypominająca przeciągnięcie smyczkiem po nagiej powierzchni mózgu. ...ccchhheeeee...

Albo wilgotny paznokieć drapiący obnażony nerw, jak twierdzą niektórzy. Można by według niego nastawiać zegarek, mówiliby, gdyby ktoś wiedział, co to jest.

...heeee...

Rozbrzmiewał głębiej i głębiej, w miarę jak słoneczny blask obmywał kamienie, przechodził od kociego pisku do psiego warkotu.

...ee... ee... ee...

Flary zgasły.

...ops.

- Piękny ranek, sire. Ufam, że dobrze spałeś? Teppic pomachał Diosowi ręką, ale milczał. Golibroda dopełniał Ceremonii Wyjścia Ogolonym. Golibroda trząsł się ze strachu. Do niedawna był jednorękim, bezrobotnym kamieniarzem. A potem ten straszliwy najwyższy kapłan przywołał go i rozkazał zostać królewskim golibrodą, chociaż wymaga to dotykania króla, ale nie szkodzi, bo kapłani wszystko już ustalili i nie trzeba odcinać żadnych części ciała. Ogólnie rzecz biorąc, wszystko ułożyło się lepiej, niż mógł się spodziewać, zresztą to wielki zaszczyt własnoręcznie troszczyć się o królewską brodę, jakakolwiek by była.

- Nic cię nie zaniepokoiło, sire? - zapytał najwyższy kapłan. Jego oczy skanowały komnatę rastrem podejrzenia; zadziwiające, że na ścianach nie pojawiły się wąskie strużki stopionej skały.

- Barr...

- Gdybyś zechciał się nie ruszać, o nigdy nie umierający - odezwał się

golibrodą błagalnym tonem człowieka, któremu obiecano wycieczkę po przewodzie pokarmowym krokodyla, jeśli choćby za-drapie ucho.

- Nie słyszałeś dziwnych odgłosów, sire? Dios cofnął się nagle i zajrzał za złocony parawan z pawich piór, do drugiej części komnaty.

- Nie.

- Wasza wysokość słabo dzisiaj wygląda - zauważył Dios. Usiadł na ławie rzeźbionej z obu końców w lamparty. Siadanie w obecności władcy, poza oficjalnymi ceremoniami, było w zasadzie

niedozwolone, jednak w ten sposób kapłan mógł zerknąć pod niskie łoże Teppica.

Dios był poruszony. Mimo obolałych mięśni i niewyspania, Teppic czuł się dziwnie radosny. Otarł twarz.

- To łóżko - powiedział. - Chyba o nim wspominałem. No wiesz, materace. Mają w środku pióra. Jeśli taka koncepcja wydaje ci się niezwykłą, porozmawiaj z piratami z Khali. Co drugi musi już spać na materacu z gęsiego puchu.

- Jego wysokość raczył zażartować - mruknął Dios. Teppic wiedział, że nie powinien przesadzać, ale nie mógł się powstrzymać.

- Coś się stało, Dios?

- Jakiś złoczyńca wdarł się nocą do pałacu, sire. Zniknęła ta dziewczyna, Ptraci.

- To bardzo niepokojące.

- Istotnie, sire.

- Zapewne zalotnik albo kochanek... Twarz Diosa przypominała głaz.

- To możliwe, sire.

- Święte krokodyle będą więc głodne...

Ale nie na długo, myślał Teppic. Wystarczy przejść się po jednym z niewielkich pomostów na brzegu, wystarczy, żeby cień padł na powierzchnię, a mętnożółta woda magicznie staje się mętnożółtymi cielskami. Wyglądają jak duże, nasiąknięte wodą belki, a główna różnica polega na tym, że belki nie otwierają się z jednego końca, żeby odgryźć człowiekowi nogi. Święte krokodyle Djelu były dla królestwa wysypiskiem śmieci, patrolem rzeczny, a czasem i kostnicą.

Trudno by je nazwać zwyczajnie wielkimi. Gdyby jeden z samców ustawił się w poprzek nurtu, zatamowałby rzekę.

Golibroda wyszedł na palcach. Na palcach weszła para sług dbających o ciało.

- Przewidziałem naturalną reakcję waszej wysokości - mówił dalej Dios, głosem jak krople wody kapiące w głębokiej jaskini.

- Doskonale. - Teppic obejrzał przeznaczone na ten dzień ubranie. - A jakaż ona była?

- Sire polecił dokładnie przeszukać cały pałac, komnata po komnacie.

- Absolutnie. Bierz się do dzieła, Dios.

Moja twarz jest całkowicie szczerą, powtarzał sobie. Nie drgnął mi żaden mięsień. Wiem, że nie drgnął. Może we mnie czytać jak w steli. Wytrzymam jego spojrzenie.

- Dziękuję, sire.

- Podejrzewam, że są już o całe mile stąd - rzucił Teppic. - Kimkolwiek by byli. Ona to zwykła podręczna, prawda?

- To nie do pomyślenia, żeby ktoś mógł okazać nieposłuszeństwo wobec twego wyroku! Nikt w całym królestwie by się na to nie odważył! Ich dusze będą potępione! Zostaną schwytam, sire! Schwytani i unicestwieni!

Słudzy skryli się za Teppikiem. To nie był zwykły gniew. To była wściekłość. Prawdziwa, dojrzała wściekłość. Przybierająca niczym garść księżyców.

- Dobrze się czujesz, Dios?

Kapłan odwrócił się i spojrzał na drugi brzeg rzeki. Wielka Piramida była prawie gotowa. Ten widok chyba go uspokoił, a przynajmniej ustabilizował na jakimś nowym poziomie emocjonalnym.

- Tak, sire - odparł. - Dziękuję. Odetchnął głęboko.

- Jutro, sire - powiedział - z radością będziesz świadkiem położenia kamienia szczytowego piramidy. Niezwykła okazja. Oczywiście, minie jeszcze nieco czasu, zanim zakończą się prace w komorach wewnętrznych.

- Dobrze, dobrze. A dziś rano, jak sądzę, chciałbym zobaczyć się z ojcem.

- Jestem pewien, że zmarły król ucieszy się na twój widok, sire. Twoim życzeniem jest, bym ci towarzyszył.

- Aha.

Jest faktem niepodważalnym niczym Trzecie Prawo Soda, że nie istnieje coś takiego jak dobry Wielki Wezyr. Skłonność do chichotu i intryg wchodzi zapewne w zakres obowiązków na tym stanowisku.

Najwyżsi kapłani zwykle zaliczani są do tej samej kategorii. Muszą godzić się z przyjmowanym z góry założeniem, że do niczego nie dojdą, póki nie zaczną wydawać dziwacznych rozkazów, np. żeby przywiązać do skały księżniczkę, wydaną na pożarcie wędrownego morskiego potwora, albo żeby dziecko wrzucić w odmęty.

To straszliwe oszczerstwo. W całej historii Dysku najwyżsi kapłani

byli w większości ludźmi poważnymi, pobożnymi i odpowiedzialnymi, którzy starali się jak najlepiej interpretować życzenia bogów, czasami wypruwając flaki albo paląc żywcem setki ludzi dziennie, aby tylko mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumieli.

Sarkofag króla Teppicymona XXVII czekał gotowy. Rzeźbiony był z foryfii, smaragdiny, skelsy i delfinetu, wykładany różowym nefrytem i stargitem, perfumowany i okadzany wieloma rzadkimi żywicami i perfumami...

Wyglądał imponująco, ale - zdaniem króla - nie warto było dla niego umierać. Zrezygnowany wyszedł na dziedziniec.

Nowy aktor wkroczył na scenę dramatu śmierci: Grinjer, wytwórca modeli.

Króla zawsze zastanawiały modele. Nawet skromny rolnik oczekiwał pochówku ze zbiorem sztucznej trzody, która w świecie zmarłych zmieni się jakoś w prawdziwą. Wielu było takich, którzy za życia radzili sobie z jedną chudą krową, by po śmierci wymagać stada rasowego bydła. Arystokraci i królowie otrzymywali pełny komplet, razem z modelami wozów, domów, statków i wszystkiego, co było zbyt duże lub zbyt nieporęczne i nie dało się wnieść do grobu. Po tamtej stronie w jakiś sposób modele zmieniały się w rzeczywiste obiekty.

Król zmarszczył czoło. Za życia wiedział, że to prawda. Nie wątpił ani przez moment.

Grinjer wysunął z ust czubek języka, z wielką starannością mocując szczypcami malutkie wiosło w doskonałym modelu rzecznej triremy w skali 1:80. Każdą płaską powierzchnię w przydzielonym mu kącie pracowni pokrywały maleńkie zwierzęta i przedmioty; niektóre co bardziej udane wisiały na nitkach z sufitu.

Król dowiedział się już z podsłuchanej rozmowy, że Grinjer ma dwadzieścia sześć lat, nie znalazł nic, co mogłoby zahamować niepowstrzymany rozwój trądziku, i że mieszka razem z matką. W domu wieczorami wykonuje modele. W głębi serca ma nadzieję, że pewnego dnia spotka miłą dziewczynę, która zrozumie, jak ważne jest

idealne odwzorowanie wszystkich detali ceremonialnego sześciokołowego wozu, która potrzyzyma mu słoik z klejem i zawsze chętnie użyczy kciuka, gdy niezbędny będzie stały nacisk, póki klej nie wyschnie.

Słyszał trąby i ogólny gwar za plecami, jednak nie zwrócił na to uwagi. Ostatnio stale trwało zamieszanie. Doświadczenie podpowiadało mu, że chodzi o sprawy trywialne. Ludzie po prostu mają niewłaściwie dobrane priorytety. On na przykład czekał już dwa miesiące na parę uncji gumy varneti, a jakoś nikt się tym nie przejął. Poprawił monokl i wsunął na miejsce maleńki rudel.

Ktoś przy nim stanął. I dobrze, może się na coś przyda...

- Przyłóż tu palec - poleciał, nie odwracając głowy. - Tylko na chwilę, póki klej nie złapie.

Nastąpił nagły spadek temperatury. Grinjer spojrzał prosto w uśmiechniętą złotą maskę. Za nią twarz Diosa zmieniała odcień, w fachowej opinii Grinjera, z nr 13 (Błada Skóra) na nr 37 (Fiolet Zachodu Słońca, połysk).

- Oj - powiedział Grinjer.

- Świetne - pochwalił Teppic. - Co to jest?

Grinjer zamrugał do niego. Potem zamrugał do łodzi.

- To osiemdziesięciostopowa rzeczna trirema w stylu khalijskim, z podwójnym pokładem dla włóczników i taranem na dziobie - wyjaśnił odruchowo.

Odniósł wrażenie, że oczekują od niego czegoś więcej. Rozejrzał się za

czymś odpowiednim.

- Ma ponad pięćset części - dodał. - Każda deska pokładu była wycięta osobno. Proszę spojrzeć.

- Fascynujące - stwierdził Teppic. - Cóż, nie będziemy przeszkadzać. Pracujcie dalej.

- Żagle naprawdę się rozwijają - mówił Grinjer. - O tutaj, trzeba pociągnąć tę nitkę...

Maska odsunęła się i jej miejsce zajęło oblicze Dios. Kapłan rzucił Grinjerowi spojrzenie sugerujące, że to jeszcze nie koniec, po czym ruszył za królem. Podobnie uczynił duch Teppicymona XXVII.

Teppic rozglądał się dyskretnie spod maski. Dostrzegł otwarte drzwi do pokoju, gdzie stały sarkofagi. Widział nawet ten, w którym ukryła się Ptraci: pod pokrywą wciąż tkwił drewniany klinik.

- Nasz ojciec wszakże znajduje się tam, sire - odezwał się Dios. Poruszał się bezgłośnie jak duch.

- Aha. Tak.

Teppic zawahał się chwilę, po czym ruszył w stronę dużego sarkofagu stojącego na drewnianych kozłach. Przyjrzał mu się. Złocone oblicze na pokrywie wyglądało jak wszystkie inne maski.

- Świetnie uchwycone podobieństwo, sire - podpowiedział Dios.

- Taak... - zgodził się Teppic. - Tak przypuszczam. Stanowczo wydaje się bardziej zadowolony.

- Witaj, mój chłopcze! - zawołał król.

Wiedział, że nikt go nie słyszy, ale przyjemnie było coś do nich mówić. Lepsze to niż mówienie do siebie. Na to będzie miał czasu aż nadto.

- Myślę, że wydobyłem z niego to, co najlepsze, o wodzu niebios -

oświadczył główny rzeźbiarz.

- Wyglądam jak woskowa lalka z bólem brzucha. Teppic przechylił głowę.

- Tak - przyznał niezbyt pewnie. - Tak. Hm. Dobra robota.

Odwrócił się i znowu spojrzał w drzwi.

Dios skinął na stojących przy wejściu strażników.

- Zechciej mi wybaczyć, sire - rzucił wytwornie.

- Hm?

- Strażnicy będą kontynuować przeszukanie.

- Dobrze. Oj...

Dios w otoczeniu strażników ruszył do sarkofagu Ptraci. Chwycił pokrywę, zsunął ją na bok i zawołał:

- Spójrzcie! Co my tu mamy?

Dii i Gern podeszli bliżej. Zajrzeli do wnętrza.

- Wióry - stwierdził Dii. Gern pociągnął nosem.

- Ale ładnie pachną - zauważył.

Dios zabębnił palcami o pokrywę. Teppic nigdy jeszcze nie widział, by kapłan nie miał pojęcia, co robić. Zaczął nawet opukiwać ściany sarkofagu w poszukiwaniu tajnych schowków.

Potem zasunął pokrywę i spojrzał tępo na Teppica, który po raz pierwszy cieszył się, że maska ukrywa wyraz twarzy.

- Nie ma jej tam - wyjaśnił stary król. - Natura ją wezwała i wyszła, kiedy ci ludzie poszli zjeść śniadanie.

Musiała się wydostać, myślał Teppic. Gdzie jest teraz?

Dios rozejrzał się czujnie, kołysząc się lekko w przód i w tył jak igła kompasu. Jego wzrok padł na wewnętrzny sarkofag z mumią króla. Był duży. Był przestronny. Miał w sobie pewnego rodzaju nieuniknioność...

Dios w kilku krokach przeszedł przez pokój i otworzył sarkofag.

- Nie musisz pukać - mruknął król. - W końcu nigdzie się nie wybieram.

Teppic zaryzykował spojrzenie. Mumia króla była zupełnie sama.

- Jesteś pewny, że dobrze się czujesz, Dios? - zapytał.

- Tak, sire. Nie można być zbyt czujnym, sire. Najwyraźniej nie ma ich tutaj, sire.

- Wyglądasz, jakby przydał ci się łyk świeżego powietrza - zatroszczył się Teppic. Ganił się za to, ale nie mógł inaczej. Zagubiony Dios był widokiem, który budził zachwyt, ale też pewien niepokój. Człowiek instynktownie obawiał się o stabilność świata.

- Tak, sire. Bardzo dziękuję, sire.

- Usiądź i odpocznij. Ktoś przyniesie szklankę wody. A potem obejrzymy piramidę. Dios usiadł. Rozległ się przeraźliwy trzask.

- Usiadł na łodzi - oznajmił król. - Pierwsza zabawna rzecz, jakiej dokonał za mojej pamięci.

Piramida nadawała nowego znaczenia słowu „masywny”. Zaginała wokół siebie krajobraz. Teppic miał wrażenie, że sam jej ciężar deformuje kształt rzeczy, rozciąga królestwo jak ołowiana kulka na gumowej membranie.

Wiedział, że to bezsensowny pomysł. Piramida była duża, ale przecież maleńka w porównaniu do - powiedzmy - góry.

Ale wielka, bardzo wielka w porównaniu do czegokolwiek innego. Poza tym góry powinny być ogromne, osnowa universum była do tego przyzwyczajona. Piramida została zbudowana i okazała się o wiele większa, niż cokolwiek zbudowanego być powinno.

Była też bardzo zimna. Mimo słonecznego żaru czarny marmur ścian pobielał od szronu. Teppic nierozsądnie spróbował go dotknąć i zostawił na kamieniu warstwę skóry.

- Jest lodowata!

- Już magazynuje, o oddechu rzeki - wyjaśnił spocony Ptaclusp. - To ten, jak mu tam, efekt graniczny.

- Zauważyłem, że przerwaliście prace w komorach grobowych - wtrącił Dios.

- Ludzie... temperatura... efekty graniczne... trochę za wielkie ryzyko...
- wymamrotał Ptaclusp. - Hm.

Teppic przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

- O co chodzi? - zapytał. - Jakieś kłopoty?

- Ehm... - odpowiedział Ptaclusp.

- Wyprzedzacie plan. Wspaniała robota - pochwalił go Teppic. - Wykorzystujecie ogromną ilość siły roboczej.

- Ehm. Tak. Tylko...

Zapadła cisza, zakłócana jedynie przytłumionym gwarem pracujących ludzi i cichym skwierczeniem powietrza dotykającego piramidy.

- Wszystko będzie dobrze, kiedy założymy wierzchołek - zapewnił po chwili budowniczy piramid. - Kiedy zacznie się wypalać jak należy,

problemy znikną. Ehm.

Wskazał wierzchołek z elektrum. Był zadziwiająco mały, o krawędzi długości stopy. Spoczywał na dwóch drewnianych kozłach.

- Powinniśmy założyć go już jutro - zapewnił Ptaclusp. - Czy wasz sire nadal zamierza nas zaszczyścić podczas ceremonii zwieńczenia? - Ujął skraj szaty i zaczął miąć go w palcach. - Będą drinki - wyjąkał. - I srebrna kielnia, którą można zabrać do domu. Wszyscy krzyczą „hurra!” i podrzucają kapelusze.

- Z pewnością - odparł Dios. - To wielki zaszczyt.

- Dla nas również, wasz sire - oświadczył lojalnie Ptaclusp.

- O ciebie mi chodziło - wyjaśnił najwyższy kapłan.

Spojrzał na szeroki dziedziniec pomiędzy podstawą piramidy a rzeką. Otaczały go posągi i stele upamiętniające bohaterskie czyny króla Teppicymona[18]. Wyciągnął rękę.

- A tego możesz się pozbyć - rzeki. Ptaclusp zerknął na niego niewinnie.

- Tego posągu - wyjaśnił Dios. - O niego mi chodzi.

- Aha. Hm. No tak. Pomyśleliśmy, że kiedy zobaczysz go na miejscu, w odpowiednim oświetleniu... W dodatku Hat, Sępiogłowy Bóg Niespodziewanych Gości jest...

- Ma stąd zniknąć.

- Tak jest, wasza szacowność - odparł żałośnie Ptaclusp. W tej chwili był to najmniejszy z jego problemów, ale zaczynał już podejrzewać, że posąg go prześladowuje. Dios nachylił mu się do ucha.

- Czy gdzieś na placu budowy nie widziałeś może młodej kobiety? - zapytał.

- Na moim placu nie ma kobiet, panie. Przynoszą pecha.

- Ta była prowokująco ubrana.

- Nie. Żadnych kobiet.

- Pałac stoi przecież niedaleko, a na pewno jest tu mnóstwo kryjówek - nie ustępował Dios.

Ptaclusp przełknął ślinę. Wiedział to dobrze. Co go opętało...

- Zapewniam, wasza szacowność - powiedział. Dios zmarszczył brwi i zwrócił się w stronę, gdzie -jak się okazało - Teppica już nie było.

- Poproś go, panie, żeby nikomu nie podawał ręki - zawołał jeszcze Ptaclusp.

Dios pospieszył za dalekim błyskiem słońca na złocie. Król wciąż jakoś nie mógł zrozumieć, że ostatnie, czego chce lud, to żeby władca się z nim bratał. Ci z robotników, którzy nie zdążyli uciec, chowali ręce za plecami.

Samotny Ptaclusp powachlował się dłonią i niepewnie wszedł w cień swego namiotu.

Gdzie czekali na niego Ptaclusp IIa, Ptaclusp IIa, Ptaclusp IIa i Ptaclusp IIa. Ptaclusp zawsze czuł się trochę niepewnie w towarzystwie księgowych, a czterej równocześnie doprowadzali go niemal do szaleństwa, zwłaszcza że wszyscy byli tą samą osobą. W namiocie było też trzech Ptacluspów IIb. Pozostała dwójka - chyba że już trójka - pracowała na budowie.

Ptaclusp uspokajająco Zamachał rękami.

- Dobrze, dobrze! - zawołał. -Jakie mamy dziś kłopoty?

Jeden z IIa przysunął mu stos tabliczek.

- Czy wiesz, ojcie - zapytał tym ostrym, wysokim głosem, jakiego używają księgowi, gdy chcą zakomunikować coś nieoczekiwanego i bardzo kosztownego - co to jest rachunek różniczkowy?

- Ty mi to powiedz - odparł Ptaclusp, siadając ciężko na stołku.

- To coś, co wymyśliłem, żeby rozwiązać problem listy płac, ojciec - wyjaśnił inny Ila.

- Zdawało mi się, że to była algebra.

- Algebrę przeszliśmy w zeszłym tygodniu - oświadczył trzeci Ila. - Teraz to rachunek różniczkowy. Cztery razy musiałem się zapętląć, żeby go opracować. A trzech mnie zajmuje się... - zerknął na braci - ...księgowością kwantową.

- A na co ona? - zapytał znużonym tonem ojciec.

- Na przyszły tydzień. - Główny księgowy spojrzał na leżącą na wierzchu tabliczkę. - Na przykład - zaczął - czy znasz Rthura, malarza fresków?

- Co z nim?

- On... to znaczy oni... przedstawili rachunek za dwa lata pracy.

- O...

- Twierdzą, że wykonali ją we wtorek. Powiedzieli, że w związku z fraktalną naturą czasu.

- Tak powiedzieli? - zdziwił się Ptaclusp.

- Zdumiewające, jak szybko się uczą - mruknął jeden z księgowych, rzucając gniewne spojrzenie parakosmicznym architektom.

Ptaclusp zawahał się.

- Ilu ich jest?

- Skąd mamy wiedzieć? Wiemy tylko, że było ich pięćdziesięciu trzech. Potem przekroczyli krytyczną. Fakt, że często go ostatnio widywaliśmy. - Dwóch Ila usiadło i złożyło razem palce, co zawsze jest złym

znakiem u kogoś, kto ma do czynienia z pieniędzmi. - Chodzi o to - podjął jeden z nich - że po okresie początkowego entuzjazmu, wielu robotników powieli się nieoficjalnie, żeby móc siedzieć w domu i posyłać siebie do pracy.

- Przecież to śmieszne - zaprotestował Ptaclusp. - Nie stają się innymi ludźmi, po prostu sami siebie zamęczają.

- To nigdy nikogo nie powstrzymało, ojcie - stwierdził Ila. - Ilu ludzi przestało upijać się do nieprzytomności w wieku lat dwudziestu, żeby ocalić tego czterdziestoletniego obcego człowieka, umierającego na marskość wątroby?

Przez chwilę trwała cisza. Wszyscy zastanawiali się intensywnie.

- Obcego...? - odezwał się niepewnie Ptaclusp.

- To znaczy siebie, tylko starszego - warknął Ila. - To jest filozofia - dodał.

- Jeden z murarzy wczoraj sam siebie pobił - wtrącił ponuro jeden z IIb. - Pokłócił się ze sobą o swoją żonę. Teraz szaleje, bo nie wie, czy to była jego wcześniejsza wersja, czy ktoś, kto jeszcze nie zaistniał. Boi się, że na siebie napadnie. Ale gorsze jest co innego, tato. Płacimy czterdziestu tysiącom ludzi, a zatrudniamy tylko dwa tysiące.

- Zbankrutujemy. To chcesz powiedzieć? Wiem. To moja wina. Chciałem wam coś po sobie zostawić. Nie przewidziałem tego wszystkiego. Od początku było za łatwo.

Jeden z Ila odchrząknął.

- To... tego... nie jest aż tak źle - oznajmił cichym głosem.

- Niby dlaczego?

Księgowy położył na stole kilkanaście miedzianych monet.

- No więc.... - zaczął. - Widzicie, przyszło mi do głowy, że jeśli już w

czasie panuje taki ruch, to nie tylko ludzi można zapętląć. Ee... Widzicie te miedziaki?

Jedna zniknęła.

- To ta sama moneta, prawda? - domyślił się jeden z jego braci.

- No tak - przyznał Ila, bardzo zakłopotany, gdyż interwencja w święty obieg pieniądza kłóciła się z jego osobistą religią. - Ta sama moneta w pięciominutowych odstępach.

- I wykorzystujesz tę sztuczkę, żeby im płacić? - zapytał oszołomiony Ptaclusp.

- To nie jest żadna sztuczka! - zaprotestował z godnością Ila. - Daję im pieniądze. Co się z nimi dzieje potem, to już nie moja sprawa. Prawda?

- Nie podoba mi się to - uznał jego ojciec.

- Nie przejmuj się. W końcu wszystko się wyrówna - uspokoił go inny Ila. - Każdy dostanie to, na co zasłużył.

- Owszem. I tego właśnie się obawiam.

- To po prostu metoda, żeby twoje pieniądze na ciebie pracowały - stwierdził kolejny syn. - Prawdopodobnie kwantowa.

- To dobrze - westchnął ciężko Ptaclusp.

- Nie martw się. Dzisiaj w nocy założymy blok - zapewnił jeden z IIb. - Piramida wypali energię i wszystko się uspokoi.

- Powiedziałem królowi, że zrobimy to jutro. Ptacluspowie IIb zbledli jednocześnie. Mimo upału, w namiocie zrobiło się o wiele chłodniej.

- W nocy, ojczu. Na pewno miałeś na myśli noc.

- Jutro - odparł stanowczo Ptaclusp. - Zorganizowałem baldachim i ludzi do rzucania płatków lotosu. Będzie orkiestra, dzwonki, trąby i cymbały.

Będą przemowy, a na zakończenie herbatka i przekąski. Zawsze tak to załatwialiśmy. Żeby przyciągnąć nowych klientów. Lubią najpierw się trochę rozejrzeć.

- Ojcie, sam widziałeś, jak ona nasiąka... Widziałeś szron...

- A niech nasiąka. My, Ptacluspowie, nie będziemy kłaść kamieni szczytowych piramid, jakbyśmy skończyli mur wokół ogródka. Nie zachowamy się jak ten, jak mu tam, nocą. Ludzie oczekują ceremonii.

- Ale...

- Nie chcę tego słuchać. I tak już za długo wysłuchiwałem tych nowomodnych teorii. Jutro. Kazałem przygotować tablicę z brązu, aksamitne kotary i wszystko.

Jeden z Ila wzruszył ramionami.

- Nie warto się z nim kłócić - stwierdził. -Jestem z trzeciej godziny do przodu i pamiętam tę rozmowę. Nie mogliśmy go przekonać.

- Ja jestem z drugiej godziny do przodu - dodał jeden z jego klonów. - Pamiętam, że to powiedziałeś.

Poza ścianami namiotu piramida skwierczała od akumulowanego czasu.

W energii piramid nie ma nic tajemniczego. Piramidy są jak tamy w strumieniu czasu. Wielka masa kamieni wytwarza potencjał temporalny, który przy właściwym ukształtowaniu i orientacji, z odpowiednimi wymiarami parakosmicznymi właściwie wbudowanymi w strukturę, może być skierowany tak, by na bardzo małym obszarze przyspieszał albo odwracał bieg czasu, w taki sam sposób, w jaki tłok hydrauliczny może pompować wodę pod prąd.

Pierwsi budowniczy, którzy naturalnie byli starożytni, a zatem mądrzy, wiedzieli doskonale, że funkcją poprawnie wzniesionej piramidy jest wytworzenie absolutnego czasu zerowego w komorze centralnej, tak że ułożony tam konający król w istocie żył wiecznie, a przynajmniej nigdy nie umierał. Czas, jaki powinien upłynąć w komorze, podlegał akumulacji w masie piramidy i raz na dwadzieścia cztery godziny uchodził z flarą.

Po kilku epokach ludzie całkiem o tym zapomnieli i uznali, że ten sam efekt można osiągnąć poprzez a) rytuał, b) marynowanie ludzi i c) przechowywanie ich miękkich organów wewnętrznych w kanopach.

To rzadko się udaje.

I tak sztuka strojenia piramid zaginęła, a cała wiedza stała się garścią niezrozumiałych reguł i niejasnych wspomnień. Starożytni byli o wiele za mądrzy, by wznosić bardzo duże piramidy. Mogły bowiem spowodować bardzo dziwne zjawiska, wobec których zwykłe fluktuacje czasu wydałyby się drobnostką.

Przy okazji: wbrew popularnym wierzeniom, piramidy nie ostrzą żyletek. Po prostu przenoszą je w czasie do chwili, kiedy jeszcze nie były tępe. Przyczyny tego faktu są prawdopodobnie kwantowe.

Teppic leżał na warstwach osadowych swego łóżka i nasłuchiwał.

Dwaj strażnicy stali przy drzwiach, dwaj na tarasie, a jeden - Teppic był pełen podziwu dla zapobiegliwości Diossa - na dachu. Słyszał, jak starają się nie wydawać żadnego dźwięku.

Właściwie nie mógł protestować. Jeśli czarno odziani złoczyńcy przedostają się do pałacu, to osoba króla musi być chroniona. Trudno zaprzeczyć.

Zsunął się z twardego materaca i przemknął przez mrok do posągu

Kociogłowego Boga Basta w kącie; odkręcił mu głowę i wyjął swój kostium skrytobójcy. Przebrał się szybko, przeklinając brak luster, po czym skrył się za filarem przy drzwiach.

Jedynym problemem - jeśli mógł to ocenić - było powstrzymanie się od śmiechu. Funkcja żołnierza w Djelibeybi nie była zawodem wysoce ryzykownym. Nigdy nie nastąpił nawet cień wewnętrznej rebelii, a że każdy z sąsiadów mógł natychmiast zbrojnie zgnieść królestwo, nie miało sensu dobieranie żołnierzy spośród zacieklej wojowników. Kapłanom z pewnością nie zależało na entuzjastycznych żołnierzach. Entuzjastyczni żołnierze nie mający okazji do walki mogliby się znudzić i zacząć myśleć o rzeczach niebezpiecznych, na przykład o ile lepiej potrafiliby sami rządzić krajem.

Praca ta przyciągała zatem dużych, ciężkich mężczyzn, którzy potrafili godzinami stać bez ruchu i się nie nudzić, mężczyzn o budowie wołu i odpowiedniej do tego inteligencji. Doskonałe panowanie nad pęcherzem także było w cenie.

Teppic wyszedł na taras.

Nauczył się nie poruszać ukradkowo. Miliony lat pożerania przez stwory poruszające się ukradkowo wyrobiły u ludzkości zdolność zauważania ukradkowych poruszeń. Niewydawanie dźwięku też wcale nie pomagało, ponieważ ruchome obszary ciszy wzbudzały podejrzenia. Sztuka polegała na tym, by sunąć przez noc ze spokojną pewnością siebie, tak jak to robi powietrze.

Tuż przed drzwiami stał wartownik. Teppic przepłynął obok niego i ostrożnie wspiął się na mur. Mur dekorowały liczne płaskorzeźby upamiętniające tryumfy dawnych władców, więc Teppic skorzystał przy wchodzeniu z pomocy rodziny.

Wietrzyk dmuchnął od strony pustyni, gdy Teppic przerzucił nogi przez parapet i cicho ruszył po ciągle gorącym dachu. Powietrze pachniało tak, jakby ktoś niedawno je ugotował z dodatkiem przypraw.

To dziwne uczucie, sunąć tak przez dach własnego pałacu, starając się

unikać własnych strażników, z misją bezpośrednio naruszającą własny wyrok, i wiedzieć, że w razie schwytania trzeba będzie samemu skazać się na rzucenie świętym krokodylom. W końcu sam chyba wydał polecenie, że gdyby go pojmano, nie wolno mu okazywać żadnej litości.

Wszystko to budziło tylko dreszcz podniecenia.

Tutaj, na dachu, miał swego rodzaju swobodę -jedyną odmianę swobody dostępną władcy Doliny. Teppicowi przyszło na myśl, że chłopci bez ziemi, mieszkający nad deltą, mają więcej swobody od niego. Buntowniczy i niekrólewski fragment umysłu podpowiedział: tak, swobodę zarażenia się dowolnie wybraną chorobą, swobodę głodowania do woli i śmierci od takiej straszliwej zarazy, na jaką przyjdzie im ochota. Ale jednak swobodę.

Cichy dźwięk wśród ciszy nocy ściągnął go na krawędź dachu od strony rzeki. Djel rozlewał się w blasku księżyca, szeroki i lśniący.

Na wodzie Teppic dostrzegł łódź, płynącą z drugiego brzegu, z nekropolii. Nie mógł nie rozpoznać postaci u wiosł. Światło flar odbijało się od łysej czaszki.

Pewnego dnia, pomyślał Teppic, pójdę za nim. Dowiem się, co tam robi. Jeśli tylko popłynie w dzień.

Za dnia nekropolia była zwyczajnie posępna, jak gdyby cały wszechświat zgasił światła. Teppic zbadał ją nawet, wędrował po ulicach i zaułkach, które wciąż pokrywał pył, a powietrze było nieruchome, niezależnie od pogody po drugiej, żyjącej stronie rzeki. Zawsze miał wrażenie, że brakuje mu tchu. Wolał się nad tym nie zastanawiać. Skrytobójcy w zasadzie lubią noc, ale noc w nekropolii to coś zupełnie innego. A raczej to samo, tylko o wiele bardziej. Poza tym było to jedyne miasto na Dysku, gdzie skrytobójca nie mógłby znaleźć pracy.

Teppic dotarł do świetlika prowadzącego do warsztatu balsamistów i spojrzał w dół. W chwilę później wylądował delikatnie na posadzce i przemknął do pokoju z sarkofagami.

- Witaj, mój chłopcze.

Teppic odsunął pokrywę. Sarkofag był pusty.

- Jest w którymś z tych na tyłach - odpowiedział król. - Nigdy nie miała wyczucia kierunku.

Pałac był ogromny. Teppic z trudem znajdował w nim drogę za dnia. Zastanowił się nad szansami poszukiwań w absolutnej ciemności.

- To u nas rodzinne. Twój dziadek musiał mieć „lewy” i „prawy” wypisane na sandałach, tak było z nim źle. Masz szczęście, że orientację odziedziczyłeś po matce.

To dziwne. Ona nie mówiła, ona paplała. Nie potrafiła chyba nawet prostej myśli utrzymać w głowie dłużej niż dziesięć sekund.

Całkiem jakby mózg miała podłączony bezpośrednio do ust, więc kiedy tylko jakaś myśl wpadała jej do głowy, wygłaszała ją na głos. W porównaniu do spotykanych na przyjęciach w Ankh dam, które uwielbiały zabawiać młodych skrytobójców, karmić ich kosztownymi frykasami i rozmawiać o sprawach ważnych a delikatnych, gdy oczy błyszczały im jak korundowe wiertła, a wargi zaczynały lśnić... W porównaniu z nimi była pusta jak, no, jak coś pustego. Mimo to odkrył, że rozpaczliwie chce ją znaleźć. Jej całkowity brak wymagań działał jak narkotyk. Wspomnienie jej łona nie miało tu nic do rzeczy.

- To ładnie, że po nią wróciłeś - pochwalił go król. - Jest twoją siostrą, wiesz? W każdym razie przyrodnią siostrą. Czasem żałuję, że się nie ożeniłem z jej matką, ale widzisz, nie pochodziła z królewskiego rodu. Była bardzo inteligentną kobietą.

Teppic nasłuchiwał czujnie. Znowu to samo: ciche tchnienie, słyszalne tylko w ciszy nocy. Przeszedł w głąb komnaty, posłuchał jeszcze chwilę i uniósł pokrywę sarkofagu.

Ptraci zwinęła się w kłębek na dnie. Spała mocno, z głową wspartą na ramieniu.

Ostrożnie oparł pokrywę o ścianę i dotknął jej włosów. Wymruczała

coś i zmieniała pozycję.

- Ehm... Chyba powinnaś się obudzić - szepnął. Raz jeszcze przewróciła się i wyszeptała coś w rodzaju:

- Wstfgl.

Teppic zawahał się. Ani nauczyciele, ani Dios nie przygotowali go na taką sytuację. Znał przynajmniej siedemdziesiąt różnych sposobów zabicia śpiącej osoby, ale ani jednego sposobu obudzenia jej najpierw.

Pchnął lekko w coś, co wyglądało jak najmniej krępujący obszar jej skóry. Ptra-ci otworzyła oczy.

- A - powiedziała. - To ty. I ziewnęła.

- Przyszedłem cię stąd zabrać - wyjaśnił Teppic. - Spałaś cały dzień.

- Słyszałam jakieś głosy - oświadczyła i przeciągnęła się tak, że Teppic pospiesznie odwrócił wzrok. - To był ten kapłan, ten z twarzą łyszego orła. Jest okropny.

- To prawda - zgodził się Teppic, z ulgą słuchając jej opinii.

- Więc siedziałam cicho. Był jeszcze król. Nowy.

- On też tu przyszedł? - spytał słabo Teppic. Gorycz w jej głosie była niby sztylet numer cztery wbity w serce.

- Wszystkie dziewczęta mówią, że jest dziwny - dodała, kiedy pomagał jej wyjść i sarkofagu. - Możesz mnie dotknąć, wiesz? Nie jestem z porcelany.

Podtrzymał jej ramię. Wiedział, że przydałaby mu się zimna kąpiel i szybka przebieżka po dachach.

- Jesteś skrytobójcą, prawda? - mówiła dalej. - Przypomniałam sobie, jak już odszedłeś. Skrytobójca z obcych stron. Cały w czerni. Przybyłeś zabić króla?

- Chciałbym to zrobić - odparł Teppic. - Naprawdę zaczyna mi już działać na nerwy. Słuchaj, czy nie mogłabyś zdjąć swoich bransolet?

- Dlaczego?

- Strasznie Hałasują.

Nawet kolczyki Piraci przy każdym ruchu głowy zdawały się wybijać godziny.

- Nie chcę - oświadczyła. - Bez nich czuję się naga.

- Z nimi też jesteś prawie naga - syknął Teppic. - Proszę!

- Umie grać na harfie - odezwał się duch króla Teppicymona XXVII. - Chociaż niezbyt dobrze. Doszła do piątej strony „Krótkich melodii dla małych paluszków”.

Teppic przeczołgał się do korytarza prowadzącego z warsztatu balsamistów. Wyteżył słuch. W pałacu panowała cisza, jeśli nie liczyć ciężkiego oddechu i z rzadka metalicznego brzęku. To Piraci pozbywała się biżuterii.

- Pospiesz się - rzucił. - Nie mamy zbyt wiele... Ptraci płakała.

- Hm... - powiedział Teppic. - Hm...

- Niektóre dostałam w prezencie od babci - szlochała Ptraci. - A parę dał mi stary król. Te kolczyki są w mojej rodzinie już strasznie dawno. Jakby ci było, gdybyś musiał zrobić coś takiego?

- Widzisz, synu, biżuteria nie jest dla niej po prostu czymś, co się nosi - wyjaśnił duch Teppicymona XXVII. - To część jej samej.

Niech mnie, dodał do siebie, to chyba Mądrość. Dlaczego łatwiej jest myśleć po śmierci?

- Ja żadnej nie noszę - przypomniał Teppic.

- Ale masz te sztylety i różne takie...

- Potrzebne mi są do pracy.

- No właśnie.

- Wiesz co? Nie musisz tu tego zostawiać. Włóż wszystko do mojej sakwy. Ale musimy już iść. Proszę!

- Do widzenia! - zawołał ze smutkiem król, patrząc, jak wymykają się na dziedziniec. Potem poszybował z powrotem do swego ciała, które jednak nie było najlepszym towarzystwem.

Kiedy dotarli na dach, wiatr był silniejszy. Było też bardziej gorąco. I sucho.

Za rzeką jedna czy dwie piramidy zapaliły już swoje flary, jednak bardzo małe i wyglądające inaczej niż zwykle.

- Coś mnie swędzi - stwierdziła Piraci. - Co się dzieje?

- Chyba zbiera się na burzę - odparł Teppic, spoglądając na Wielką Piramidę. Absolutnie czarna, wydawała się trójkątem głębszej ciemności wśród nocy. Jacyś ludzie biegali wokół podstawy niczym szaleńcy, patrzący, jak płonie ich szpital.

- Co to jest burza?

- Trudno ją opisać - rzucił z roztargnieniem. - Czy widzisz, co oni tam robią?

Piraci spojrzęła za rzekę.

- Są bardzo zapracowani - uznała.

- Mnie to raczej wygląda na panikę.

Błysnęło jeszcze kilka piramid, ale zamiast wznieść się prosto w niebo, płomienie migotały i kołysały się na boki, szarpane nieistniejącym wichrem.

Teppic otrząsnął się.

- Chodźmy - powiedział. - Pora cię stąd zabrać.

- Mówiłem, że powinniśmy ją nakryć wieczorem! - wrzasnął Ptaclusp IIb, przekrzykując wycie piramidy. - Teraz już go nie podniosę! Muszą być potworne turbulencje!

Lód dnia parował z czarnego marmuru, ciepłego już w dotyku. IIb zerknął na ułożony na kozłach kamień szczytowy, po czym zwrócił się do brata, który przybiegł tu w nocnej koszuli.

- Gdzie ojciec? - zapytał.

- Posłałem jednego z nas, żeby go obudził - odparł IIa.

- Kogo?

- Jednego z ciebie.

- Aha. - IIb znowu popatrzył na kamień. - Nie jest ciężki - zauważył. - We dwóch moglibyśmy go wnieść. Spojrzał na brata pytająco.

- Chyba zwariowałeś. Poślij tam paru robotników.

- Wszyscy uciekli.

W dole rzeki jakaś piramida spróbowała zapalić flarę, zatrzeszczała, po czym strzeliła skwierczącym, nierównym płomieniem, który łukiem przemknął po niebie i uziemił się tuż pod wierzchołkiem Wielkiej Piramidy.

- Ona już oddziałuje z innymi! - krzyknął I Ib. - Chodź! Musimy ją odpalić, to jedyny sposób!

Mniej więcej w jednej trzeciej wysokości piramidy błękitny zygzak z trzaskiem strzelił ze ściany i uderzył w kamiennego sfinksa. Powietrze nad nim zawrzało.

Obaj bracia chwycili kamień szczytowy i podbiegli chwiejnie do rusztowania. Pył wokół nich układał się w dziwaczne kształty.

- Słyszysz coś? - zapytał I Ib, kiedy, potykając się, dotarli do pierwszej platformy.

- Chodzi ci o ośnowę czasu i przestrzeni, przepuszczaną przez zgrzeblarkę? - upewnił się I Ia.

Architekt rzucił bratu spojrzenie wyrażające pewien podziw. Potem jego twarz na nowo przybrała wyraz lekkiego przerażenia.

- Nie, nie to.

- A może o głos samego powietrza poddawane straszliwym torturom?

- Nie, to też nie - odparł nieco zirytowany I Ib. - Chodzi mi o te trzaski.

Trzy kolejne piramidy strzeliły wyładowaniami, które z piskiem przebiły kłęby chmur i wlały się w czarny marmur.

- Nic takiego nie słyszę - oświadczył I Ia.

- Mam wrażenie, że dobiega z piramidy.

- Możesz przyłożyć do niej ucho, aleja nie mam zamiaru. Rusztowanie chwiało się w porywach wichury. Wspięli się na następną drabinę. Ciężki kamień kołysał się między nimi.

- Mówiłem, że nie powinniśmy tego robić - mruknął księgowy, gdy kamień zsunął mu się łagodnie na palce. - Nie powinniśmy jej budować.

- Zamknij się i podnieś swój koniec, dobrze?

I tak, pokonując kolejne chwiejne drabiny, bracia Ptacluspowie wspinali się wśród sporów na ścianę Wielkiej Piramidy. Pomniejsze grobowce wzdłuż Djelu odpalały jeden po drugim, a niebo przecinały pasma skwierczącego ognia.

Mniej więcej w tej chwili największy matematyk na świecie, leżąc w smrodliwym zaciszu swego boksu, przerwał przeżuwanie i uświadomił sobie, że coś złego dzieje się z liczbami. Ze wszystkimi liczbami.

Wielbłąd spoglądał wzdłuż nosa na Teppica. Wyraz mordy świadczył wyraźnie, że ze wszystkich jeźdźców na świecie, których najmniej chciałby nosić, chłopak trafił na szczyt listy. Co prawda wielbłądy patrzą tak na każdego. Mają niezwykle demokratyczny stosunek do ludzkiej rasy. Nienawidzą wszystkich jej przedstawicieli, bez względu na pozycję społeczną czy wyznanie. Ten wielbłąd wyglądał, jakby przeżuwał mydło. Teppic zerknął nerwowo w głąb mrocznych królewskich stajni, mieszczących niegdyś setki wielbłądów. Oddałby cały świat za konia, a średnich rozmiarów kontynent za kucyka. W stajni jednak pozostało jedynie kilka gnijących rydwanów bojowych, pamiątek po dawnej chwale, podstarzały słoń, którego obecność stanowiła zagadkę, oraz ten wielbłąd. Wyglądał na zwierzę wyjątkowo nieefektywne. Przecierał się już na kolanach.

- Nie mamy wyboru - zwrócił się Teppic do Ptraci. - Nie ośmielę się przemierzać nocą rzeki. Mógłbym spróbować przerzucić cię przez granicę.

- Czy to jest siodło, to po prawej? - spytała Ptraci. - Strasznie dziwnie wygląda.

- Bo to strasznie dziwne stworzenie. Jak mamy wsiąść?

- Widziałam kiedyś woźniców przy pracy - odparła. - Myślę, że trzeba je bardzo mocno uderzyć bardzo grubym kijem.

Wielbłąd uklęknął i spojrzał na nią z wyższością.

Teppic wzruszył ramionami, otworzył wrota do zewnętrznego świata i spojrzał prosto w twarze pięciu strażników.

Cofnął się. Oni postąpili naprzód. Trzech ściskało ciężkie, djelibeybiańskie łuki, których strzała może przebić drzwi albo zmienić szarżującego hipopotama w trzy tony ruchomego kebabu. Strażnicy nigdy jeszcze nie musieli z nich strzelać do bliźnich, ale wyglądali na gotowych do rozważenia tego pomysłu.

Kapitan straży stuknął jednego z nich w ramię.

- Idź zawiadomić najwyższego kapłana - polecił. Potem zwrócił się do Teppica.

- Rzuć broń - rozkazał.

- Znaczy: całą?

- Tak. Całą.

- To może chwilę potrwać - uprzedził Teppic.

- I trzymaj ręce tak, żebym je widział - dodał kapitan.

- Zaje się, że osiągnęliśmy impas - stwierdził Teppic.

Przyglądał się strażnikom. Znał wiele metod walki wręcz, jednak wszystkie opierały się na fakcie, że przeciwnik nie może przebić człowieka strzałą przy najmniejszym ruchu. Prawdopodobnie mógłby odskoczyć w bok, a wtedy pod osłoną wielbłądzich boksów grałby na czas...

Ale taki manewr pozostawiłby Ptraci odsłoniętą. Poza tym nie powinien chyba walczyć z własnymi strażnikami. Takie zachowanie jest niedopuszczalne, nawet dla króla.

Za plecami strażników zrobił się jakiś ruch i po chwili w polu widzenia pojawił się Dios, milczący i nieunikniony jak zaćmienie księżyca. Trzymał

płonącą pochodnię, rzucającą szaleńcze błyski na jego łysinę.

- Aha - rzekł. - Złoczyńcy zostali schwytani. Dobra robota. -Skinął kapitanowi głowę. - Rzućcie ich krokodylom.

- Dios? - odezwał się Teppic, gdy dwaj strażnicy ruszyli w jego stronę z wymierzonymi łukami.

- Czy coś powiedziałeś?

- Wiesz, kim jestem, człowieku. Nie żartuj sobie. Kapłan uniósł pochodnię.

- Masz nade mną przewagę, chłopcze - stwierdził. - W sensie metaforycznym, naturalnie.

- To wcale nie jest zabawne. Rozkazuję ci powiedzieć im, kim jestem.

- Jak sobie życzysz. Ten skrytobójca... - głos Diosa ciął i parzył niby palnik acetylenowy - ..zabił króla.

- Ja jestem królem, do licha - zawołał Teppic. -Jak mogłem sam siebie zabić?

- Nie jesteśmy głupcami - oświadczył Dios. - Ci ludzie wiedzą, że król nie włóczy się nocą po pałacu ani nie przebywa w towarzystwie skazanych przestępców. Pozostaje nam tylko odkryć, w jaki sposób pozbyłeś się ciała.

Wbił wzrok w twarz Teppica i chłopiec uświadomił sobie, że najwyższy kapłan jest naprawdę i całkowicie obłąkany. Był to rzadki rodzaj obłądu, wywołany przez bycie sobą tak długo, że zwyczajne normalności trwale wyryły się w mózgu. Ciekawe, ile naprawdę ma lat, pomyślał.

- Ci skrytobójcy to chytne sztuki - ostrzegł Dios. - Uważajcie na niego.

Coś uderzyło o ziemię obok kapłana. To Ptraci próbowała go trafić kijem na wielbłądy i chybiła.

Kiedy wszyscy znowu spojrzeli w jego stronę, Teppic zniknął.

Strażnicy obok byli zajęci jękami i powolnym osuwaniem się na podłogę. .

Dios uśmiechnął się złowieszczo.

- Weźcie kobietę - warknął.

Kapitan podskoczył i chwycił Ptraci, która nie próbowała nawet uciekać. Dios schylił się po kij.

- Na zewnątrz czeka więcej straży - poinformował. - Jestem przekonany, że zdajesz sobie z tego sprawę. Wyjdź. W swoim własnym interesie.

- Po co? - zapytał z cienia Teppic. Sięgnął do buta po dmuchawkę.

- By z rozkazu króla zostać rzucony świętym krokodylom.

- Jest się do czego spieszyć, co? - Teppic gorączkowo skręcał elementy.

- Z pewnością jest to rozwiązanie przyjemniejsze od niektórych innych
- wyjaśnił Dios.

W ciemności Teppic przesunął palcami po maleńkich wypukłościach kodu na strzałkach. Większość doskonałych trucizn z pewnością już wyparowała albo rozłożyła się i stała nieszkodliwa, miał jednak kilka słabszych, mających klientom zapewnić co najwyżej mocny sen. Skrytobójca musi czasem w drodze do swego inhumowanego minąć kilku czujnych strażników. Inhumowanie ich także uważane jest za dowód złych manier.

- Mógłbyś nas wypuścić - zawołał. - Przypuszczam, że na tym właśnie ci zależy, prawda? Żebym odjechał i już nigdy nie wrócił. Mnie to odpowiada.

Dios wahał się.

- Powinieneś powiedzieć: I wypuście dziewczynę - podpowiedział.

- A tak. To również.

- Nie. Nie dopełniłbym wtedy mojego obowiązku wobec króla.
- Na rany bogów, Dios, przecież wiesz, że to ja jestem królem!
- Nie. Mam bardzo dokładny wizerunek króla i ty nim nie jesteś.

Teppic wyrzwał nad brzegiem ścianki boksu. Wielbłąd spojrzał mu przez ramię.

I wtedy cały świat oszalał.

Dobrze: oszalał bardziej.

Wszystkie piramidy płonęły, przesłaniając niebo migotliwym blaskiem. Bracia Ptacłuspowie wspięli się na główną platformę roboczą. Ila osunął się na deski, dysząc jak zepsute miechy. Kilka stóp od niego wznosiła się ukośnie gorąca ściana. Teraz nie miał już wątpliwości, że piramida naprawdę trzeszczy jak żaglowiec w szkwale. Nigdy nie zwracał uwagi na mechanikę, w przeciwieństwie do kosztów budowy, ale był całkiem pewien, że ten dźwięk jest nieprawidłowy, jak II i II dające V.

Jego brat wyciągnął rękę, by dotknąć kamienia, ale cofnął ją natychmiast, gdy iskry strzeliły mu z palców.

- Czujesz, jaka jest ciepła? - zapytał. - To zdumiewające.
- Dlaczego?
- Podgrzać taką masę? Wiesz, sam ciężar...
- Nie podoba mi się to, Dwa-be - zająknął się Ila. - Może zostawimy kamień tutaj? Na pewno nic się nie stanie, a rano pošlemy tu robotników, oni lepiej się na tym...

Kolejna flara zagłuszyła jego słowa: zatoczyła łuk na niebie i uderzyła

w kolumnę drżącego powietrza, pięćdziesiąt stóp nad nimi. Ila przytrzymał się rusztowania.

- Niech Sod to porwie - rzekł. -Ja schodzę.

- Zaczekaj chwilę - zawołał Iib. - Pomyśl, co tak trzeszczy? Przecież kamień nie może trzeszczeć.

- To całe przekłete rusztowanie się rusza. Nie bądź durniem. - Ila wytrzeszczył oczy na brata. - Powiedz, że to rusztowanie -błagał.

- Nie. Jestem tego pewien. Dźwięk dochodzi z wnętrza.

Spojrzeni po sobie, potem na rozchwianą drabinę prowadzącą na wierzchołek, a raczej do miejsca, gdzie wierzchołek powinien się znaleźć.

- Idziemy! - zarządził Iib. - Ona nie może odpalić i szuka innych dróg rozładowania...

Zahuczał głos potężny jak siekniecie kontynentów.

Teppic poczuł to. Miał wrażenie, że jego skóra stała się o kilka numerów za mała. Miał wrażenie, że ktoś trzyma go za uszy i odkręca głowę. Zobaczył, jak kapitan straży osuwa się na kolana i usiłuje zdjąć hełm. Wyskoczył z boku.

Próbował wyskoczyć z boku. Wszystko było nie tak, i wylądował ciężko na podłodze, która wyraźnie nie mogła się zdecydować, czy stać się ścianą. Zdołał się poderwać i coś szarpnęło go w bok. Tańczył niezgrabnie, starając się utrzymać równowagę.

Stajnia rozciągała się i kurczyła jak obraz w krzywym zwierciadle. Widział już takie w Ankh, gdzie we trójkę poświęcili po pół miedziaka, by zobaczyć cuda Zapierającego Oddech Wędrownego Lunaparku Dra Moonera. Ale wtedy wiedział, że to tylko nierówne szkło wyciąga mu głowę na kształt

kielbasy, a nogi zmienia w piłki. Teppic chciałby mieć pewność, że to, co dzieje się teraz, także ma jakieś niewinne wytłumaczenie. Trzeba by chyba bardzo krzywego lustra, żeby wszystko wyglądało normalnie.

Podbiegł na miękkich nogach do Ptraci i najwyższego kapłana, a świat wokół niego rozciągał się i zaciskał. Odczuł satysfakcję widząc, jak Ptraci wyrzywa cię z uścisku Diosa i celnym ciosem trafia go za ucho.

Sunął jak we śnie, a odległości zmieniały się, jakby rzeczywistość nabrała elastyczności. Jeden krok i wpadł z rozpędu na walczącą parę. Chwycił Ptraci za ramię i zatoczył się do boksu wielbłąda. Zwierzę wciąż przeżuwało i obserwowało całą scenę z czymś, co u wielbłądów najbliższe jest lekkiego zaciekawienia. Teppic szarpnął uprząż.

Nikt nie próbował ich zatrzymywać, kiedy wybiegli za bramę, prosto w obłąkaną noc.

- Pomaga, jeśli zamkniesz oczy - powiedziała Ptraci.

Teppic spróbował. Udało się. Dziedzinięć, widoczny jako rozdygotany prostokąt, którego boki wibrowały jak cięciwy łuku, pod stopami stał się, no, stał się zwykłym dziedzińcem.

- To było sprytne - stwierdził z uznaniem. - Jak na to wpadłaś?

- Zawsze zamykam oczy, kiedy się czegoś boję.

- Dobry plan.

- Ale co się dzieje?

- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Myślę, że wyjazd stąd to pomysł zdumiewająco rozsądny. Mówiłaś, że jak zmusić wielbłąda do ukłęknięcia? Mam przy sobie mnóstwo ostrych przedmiotów.

Wielbłąd, który w zakresie gróźb wystarczająco opanował ludzką mowę, ukłękął z godnością. Wspięli mu się na grzbiet i okolica zafalowała raz jeszcze, gdy zwierzę stanęło.

Wielbłąd doskonale wiedział, co się dzieje. Trzy żołądki i system trawienny niczym zakład przetwórstwa chemicznego gwarantują dość czasu na myślenie.

Nie bez powodu wyższa matematyka powstaje zwykle w krajach gorących. To dzięki rezonansowi morficznemu wszystkich wielbłądów, których pogardliwa mina i słynna wywinięta warga są naturalnym skutkiem umiejętności rozwiązywania równań kwadratowych.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z naturalnych zdolności matematycznych wielbłądów, zwłaszcza w dziedzinie balistyki. Zdolność ta powstała w drodze ewolucji jako ułatwiająca przetrwanie, podobnie jak u człowieka koordynacja ręki i oka, barwy maskujące kameleona, czy słynna skłonność delfinów do ratowania tonących, jeśli tylko istnieje ryzyko, że przegryzienie ich na połowy może być zauważone i nieprzychylnie skomentowane przez innych ludzi.

Faktem jest, że wielbłądy są o wiele inteligentniejsze od delfinów[19]. Są tak mądre, że szybko odkryły najrozsądniejszą rzecz, jaką może zrobić każde inteligentne zwierzę, jeśli nie chce, by jego potomkowie spędzali czas na stole operacyjnym z elektrodami podłączonymi do mózgu, albo mocując miny do statków, albo pod rozkazami tępych zoologów. Chodzi o to, żeby ludzie się nie dowiedzieli. Dlatego wielbłądy już dawno przyjęły taki styl życia, który w zamian za pewne usługi transportowe i za okładanie kijem gwarantuje im dostateczną ilość pożywienia, czesanie zgrzeblę, a czasem także możliwość bezkarnego splunięcia człowiekowi w oko.

Ten konkretny wielbłąd, wynik milionów lat działania doboru naturalnego, który stworzył istotę mogącą w biegu policzyć ziarenka piasku pod nogami, świadomie zamykać nozdrza i wiele dni przeżyć bez wody pod gorącym słońcem, nazywał się Ty Draniu.

Był też największym matematykiem na świecie.

Ty Draniu myślał: pojawiła się chyba narastająca niestabilność wymiarowa, z amplitudą - na oko - od zera do czterdziestu pięciu stopni. Bardzo ciekawe. Zastanawiam się, jakie są przyczyny. Niech V równe 3. Niech τ równe $\chi/4$. żujżujżuj Niech κ/y będzie różniczkową

dziedziną tensorową Cuchnącego Łobuza[20] z czterema urojonymi współczynnikami spinu...

Ptraci przyłożyła mu w głowę sandałem.

- No już, rusz się! - krzyknęła.

Ty Draniu myślał: zatem H do potęgi generatora równe jest V/s , żujżujżuj, co w notacji hipersylogicznej daje...

Teppic obejrzał się. Niezwykłe zakrzywienia terenu gasły, a Dios...

Dios wybiegł z pałacu i zdołał nawet znaleźć kilku strażników, u których strach przez skutkami nieposłuszeństwa pokonał grozę wywołaną tajemniczymi zniekształceniami świata.

Ty Draniu stał ze stoickim spokojem i przeżuwał... żujżujżuj ...co daje interesującą malejącą oscylację. Jaki może mieć okres? Niech okres = x . żujżujżuj Niech t = czas. Niech okres początkowy...

Ptraci podskakiwała mu na szyi i z całej siły kopła piętami, co u każdego antropoidalnego samca spowodowałoby wycie i walenie głową w mur.

- Nie chce się ruszyć! Możesz go czymś uderzyć?

Teppic z całej siły klepnął dłonią w skórę Ty Drania, unosząc chmurę kurzu i tracąc czucie w palcach. Zdawało mu się, że uderzył duży worek wypchany wieszakami.

- No już... - mruknął. Dios uniósł rękę.

- Stójcie, w imieniu króla! - zawołał.

Strzała stuknęła o garb Ty Drania.

...równa się 6,3, rekurencyjnie. Zredukujemy. To daje nam... auu... 314 sekund...

Ty Draniu odwrócił głowę na długiej szyi. Wielkie, włochate brwi wygięły się oskarżycielsko, a zmrużone żółte oczy namierzyły kapłana. Na chwilę zapomniał o ciekawym problemie i sięgnął do znajomych, starożytnych formuł, opracowanych przez jego rasę przed wiekami:

Niech odległość będzie równa czterdzieści jeden stóp. Niech prędkość wiatru wynosi 2. Wektor jeden-osiem. Niech lepkość wynosi 7...

Teppic chwycił nóż.

Dios nabrał tchu. Za chwilę rozkaże do nas strzelać, pomyślał Teppic. W moim imieniu, w moim własnym królestwie. Zastrzelą mnie.

...Kąt dwa-pięć. żuj Ognia.

To był wspaniały strzał. Gruda mazi osiągnęła godną podziwu prędkość i moment pędu i trafiła z dźwiękiem... z dźwiękiem pół funta przeżutej mazi trafiającej kogoś w twarz. Nic innego nie może brzmieć podobnie.

Cisza, jaka nastąpiła, była niczym oklaski na stojąco.

Krajobraz znowu się odkształcił. Najwyraźniej nie był miejscem, w którym należałoby się zatrzymywać na dłużej. Ty Draniu spojrzał na swoje przednie nogi.

Niech nogi równe cztery...

Ruszył biegiem. Wydaje się czasem, że wielbłądy mają więcej kolan niż jakiegokolwiek inne stworzenie; Ty Draniu pędził niczym lokomotywa, z licznymi dodatkowym wahaniami pod kątem prostym do kierunku ruchu, z towarzyszeniem przeraźliwej kanonady odgłosów trawiennych.

- Durny zwierzak - westchnęła Ptraci, kiedy oddalili się od pałacu. - Ale chyba w końcu zrozumiał, o co chodzi.

...ekstremalnie niezmienniczy poziom iteracyjny $3,5/z$. O czym ona mówi? Durny Zwierzak mieszka w Tsorcie...

Chociaż nogi Ty Drania poruszały się jak ściągnięte sparciałą gumą, pokonywały spory dystans. Po chwili wielbłąd pędził już po uśpionych, piaszczystych ulicach miasta.

- Znowu się zaczyna, prawda? - spytała Ptraci. - Zamknę oczy.

Teppic przytaknął. Domki z palonej cegły wokół nich znowu zaczynały swoje numery z krzywym zwierciadłem, a droga wznosiła się i opadała w sposób, jakiego żaden stały łąd nie miał prawa stosować.

- To jest jak morze - powiedział.

- Może tak, ale nic nie widzę - oświadczyła stanowczo Ptraci.

- Morze. Ocean. No wiesz. Fale.

- Słyszałam o nich. Czy ktoś nas ściga? Teppic obejrzał się.

- Nikogo nie widać - uspokoił ją. - Wygląda na to...

Ze swojego miejsca dostrzegał długą, niską sylwetkę pałacu, a za rzeką Wielką Piramidę. Niemal całkowicie przesłaniały ją ciemne chmury, ale to, co widział, było stanowczo niewłaściwe. Wiedział przecież, że piramida ma cztery ściany, a dostrzegał wszystkie osiem.

Zdawało się, że piramida rozmywa się trochę. Instynktownie zgadywał, że dla miliona ton skały jest to niebezpieczne zjawisko. Ogarnęło go silne pragnienie, by znaleźć się możliwie daleko stąd. Nawet taki tępy stwór jak wielbłąd wpadł chyba na ten sam pomysł.

Ty Draniu myślał: ...Delta kwadrat. Zatem ciśnienie wymiarowe k spowoduje dziewięćdziesięciostopniową transformację w $\text{Chi}(16/x/pu)t$ dla K-wiązki każdej z trzech niezmienniczych. Albo w czterech minutach plus-minus dziesięć sekund...

Wielbłąd spojrzał na swoje szerokie stopy.

Niech prędkość równa się galop.

- Jak to zrobiłaś? - zdziwił się Teppic.

- Nie zrobiłam! On tak sam z siebie! Trzymaj się!

Nie było to łatwe. Teppic założył siodło, ale zapomniał o uprzęży. Ptraci trzymała się garści sierści. Teppic miał do dyspozycji garście Ptraci. Gdziekolwiek próbował położyć dłonie, napotykały miękkie, jędrne ciało. W jego długiej edukacji nic nie przygotowało go na coś takiego, podczas gdy w edukacji Ptraci najwyraźniej wszystko. Jej długie włosy smagały mu twarz i kusząco pachniały rzadką perfumą[21].

- Wszystko w porządku? - zawołał, przekrzykując wicher.

- Trzymam się kolanami!

- To musi być bardzo trudne!

- Odebrałam specjalne przeszkolenie!

Wielbłądy galopują, wyrzucając stopy jak najdalej od siebie i biegnąc za nimi, żeby nie zostać w tyle. Z kolanami stukającymi jak obłąkane kastaniety Ty Draniu gnał drogą pod górę i z doliny, przemknął przez wąski parów prowadzący pod stromymi wapiennymi urwiskami na pustynię.

Za nimi, udręczona ponad miarę potężną falą geometrii, niezdolna wyładować swego brzemienia Czasu, Wielka Piramida jęknęła i uniosła się z fundamentów. Jej ogromna bryła ze świstem rozcinała powietrze, niepowstrzymanie jak coś niepowstrzymanego. Obróciła się dokładnie o dziewięćdziesiąt stopni i zrobiła coś perwersyjnego z osnową czasu i przestrzeni.

Ty Draniu pędził parowem, z szyją wyciągniętą do przodu, z chrapami rozszerzonymi jak wloty powietrza odrzutowca.

- Przestraszył się! - krzyknęła Ptraci. - Zwierzęta zawsze wyczuwają takie rzeczy!

- Jakie rzeczy?!

- Pożar lasu i inne!

- Nie mamy drzew!

- No to powodzie i... i inne! Mają jakiś niezwykle naturalny instynkt!

...Fi 1700 [u/v]. Boczna e/v. Zawarta w przedziale od siedmiu do dwunastu...

Uderzył dźwięk. Był bezgłośny, jak słoneczny zegar wybijający północ, ale miał ciśnienie. Przetoczył się po nich, duszący jak aksamit i mdlący jak stare salami.

I zniknął.

Ty Draniu zwolnił do kłusa, co było procedurą skomplikowaną i wymagającą dokładnych instrukcji dla każdej z nóg.

Panowała atmosfera uwolnienia, wrażenie rozładowanego napięcia.

Ty Draniu zatrzymał się. W szarości przedświtu dostrzegł kępę kolczastych syfacji, rosnących wśród przydrożnych kamieni.

...kął lewy, x równe 37, y równe 19, z równe 43. Gryźć...

Zapadł spokój. Nie słychać było żadnego dźwięku prócz warkotu systemu trawienego wielbłąda i dalekiego pohukiwania pustynnej sowy.

Ptraci zsunęła się z siodła i ciężko wylądowała na ziemi.

- Moje siedzenie - oznajmiła, zwracając się do pustyni jako takiej - to jeden wielki bąbel.

Teppic zeskoczył i na wpół pobiegł, na wpół zatoczył się po rumowisku przy drodze, by - skacząc po wapiennym wzniesieniu - dotrzeć do miejsca, skąd miał dobry widok na dolinę.

Nie było jej.

Dil, mistrz balsamista, zbudził się. Wciąż panował mrok. Ciało Dila aż wibrowało przeczuciem, że stało się coś niedobrego. Wstał szybko, ubrał się i odsunął kotarę, pełniącą obowiązki drzwi.

Noc była cicha i aksamitna. Oprócz cykania owadów słyszał inny dźwięk, odgłos smażenia, ciche skwierczenie na granicy słyszalności.

Może to właśnie go zbudziło.

Powietrze było ciepłe i wilgotne. Kłęby mgły unosiły się nad rzeką i...

Nie płonęły flary piramid.

Wychował się w tym domu, od tysięcy lat należącym do mistrzów balsamowania. Flary piramid oglądał tak często, że przestał je zauważać, tak samo jak nie zauważał własnego oddechu. Teraz jednak były ciemne i milczące; milczenie krzyczało, a ciemność oślepiała.

Ale nie to było najgorsze. Kiedy przerażonym wzrokiem spojrzał na puste niebo nad nekropolią, zobaczył gwiazdy i to, do czego były umocowane.

Dii był przerażony. A potem, kiedy się chwilę zastanowił, zawstydydził się. W końcu, pomyślał, zawsze mi powtarzano, że tam jest. To rozsądne. Po prostu pierwszy raz w życiu to widzę.

Właśnie. I czy czuję się od tego lepiej?

Nie.

Odwrócił się i pobiegł ulicą, klapiąc sandałami. Dotarł do domu Gerna i jego licznej rodziny. Ściągnął protestującego ucznia ze wspólnej maty do spania, wywłókł go na ulicę i skierował jego twarz ku niebu.

- Powiedz, co widzisz - syknął. Gern zmrużył oczy.

- Widzę gwiazdy, mistrzu.

- A na czym one są, chłopcze? Gern odprężył się lekko.

- To proste, mistrzu. Wszyscy wiedzą, że gwiazdy tkwią na ciele bogini Nept, która otacza łukiem... A niech to demony!

- Też ją widzisz?

- Mamusiu... - szepnął Gern i osunął się na kolana.

Dii pokiwał głową. Był człowiekiem religijnym. Wielką pociechą była dla niego świadomość, że gdzieś są bogowie. Wiedza, że są tutaj, była straszna.

W górze całe sklepienie nieba obejmowało wygięte w łuk kobiece ciało, lekko niebieskawe, lekko mgliste w słabym świetle wodnistych gwiazd.

Była gigantyczna, a jej wymiary międzygwiazdne. Cień między galaktycznymi piersiami był ciemną mgławicą, brzuch wielką chmurą lśniącego gazu, pępek wrzącym, mrocznym żarem, w którym rodzą się nowe gwiazdy. Nie podtrzymywała nieba. Ona była niebem.

Jej potężne, smutne oblicze, odwrócone brodą do góry na obrotowym horyzoncie, wpatrywało się prosto w Dila. A Dii zaczynał sobie uświadamiać, że niewiele jest rzeczy, które mogą zachwiać wiarą tak jak zobaczenie wyraźnie i na własne oczy obiektu tej wiary. Zobaczyć bowiem, wbrew powszechnym przekonaniom, wcale nie znaczy uwierzyć. Wtedy właśnie wiara się kończy, ponieważ nie jest więcej potrzebna.

- Na Soda... -jęknął Gern. Dii uderzył go w ramię.

- Przestań - polecił. - I chodź ze mną.

- Ale mistrzu, co my teraz zrobimy?

Diii rozejrzał się po śpiącym mieście. Nie miał najmniejszego pojęcia.

- Pójdziemy do pałacu - rzekł stanowczo. - To pewnie tylko złudzenie, załamanie tego, no... ciemności. Zresztą niedługo wszędzie słońce.

Ruszył pospiesznie, żałując, że nie może zamienić się z Gernem i okazać choćby odrobiny tępego przerażenia. Uczeń szedł za nim krokiem, który był połączeniem czołgania i galopu.

- Widzę cienie padające na gwiazdy, mistrzu! Też je widzicie, mistrzu? Przy krawędzi świata, mistrzu!

- To tylko mgła, chłopcze - odparł Dii. Przezornie patrzył wprost przed siebie, zachowując pełną godności postawę, jaka przystoi Strażnikowi Lewych Drzwi Łoży Natrońskiej i zdobywcy licznych nagród za technikę szycia.

- Tam - wyciągnął rękę. - Spójrz, Gern, słońce już wschodzi. Przystanęli, żeby popatrzeć. Potem Gern zaskowyczał cichutko.

Po niebie wolno sunęła wielka płomienna kula. Popychał ją skarabeusz większy niż światy.

CZĘŚĆ III

Księga Nowego Końca

Słońce wstało, a że nie działo się to w Starym Państwie, było zwykłą kulą płonących gazów. Fioletowa noc na pustyni wyparowała V pod jego

gorącym spojrzeniem. Jaszczurki przemykały do szczelin w skałach, a Ty Draniu ułożył się w skąym cieniu tego, co pozostało z krzewów syfacji, rozejrzał się pogardliwie i zaczął przeżuwać, obliczając pierwiastki kwadratowe przy podstawie siedem.

Teppic i Ptraci znaleźli wreszcie skrawek cienia pod skalną przewieszką i siedzieli, smętnie wpatrzeni w fale żaru unoszące się nad kamieniami.

- Nie rozumiem - oświadczyła Ptraci. - Wszędzie szukałeś?
- Przecież to kraj! Nie mógł przecież wpaść do jakiejś dziury w ziemi!
- To gdzie jest? - zapytała spokojnie Ptraci.

Teppic jęknął. Choć żar uderzał jak młotem, ruszył szukać między kamieniami, jakby trzysta mil kwadratowych mogło się ukryć pod jakimś odłamkiem czy za krzakiem.

Szlak opadał między urwiska i niemal natychmiast wznosił się znowu i prowadził dalej przez wydmy do tego, co w oczywisty sposób było Tsortem. Teppic poznał nawet wygładzonego wiatrem sfinksa, postawionego jako znak graniczny. Legenda głosiła, że w czasie największej potrzeby czai się na granicach, choć nie tłumaczyła po co.

Teppic wiedział, że galopowali do Efebu. Powinien teraz spoglądać na żyzną, nakrapianą piramidami dolinę Djelu, leżącą pomiędzy dwoma krajami.

Szukał jej przez całą godzinę.

Rzecz była niewytłumaczalna. Niesamowita. A także bardzo kłopotliwa.

Oślonił oczy i po raz tysięczny zbadał wzrokiem cichą, przypiekaną słońcem okolicę. Przesunął głowę. I zobaczył Djelibeybi.

Na moment pojawiło się w polu widzenia. Powrócił wzrokiem w to samo miejsce i zobaczył je znowu: błysk mglistego koloru, który zniknął, gdy

tylko skupił na nim wzrok.

Kilka minut później Ptraci wyrzała z cienia i zobaczyła Teppica na czworakach. Kiedy zaczął odwracać kamienie, uznała, że powinien schować się przed słońcem.

Strząsnął z ramienia jej dłoń i niecierpliwie Zamachał rękami.

- Znalazłem je!

Wyjął z buta nóż i zaczął stukać w kamienie.

- Gdzie?

- Tutaj!

Przyłożyła mu dłoń do czoła.

- Oczywiście - powiedziała. - Rozumiem. Tak. A teraz lepiej chodźmy do cienia.

- Nie, naprawdę! Tutaj! Popatrz!

Przykucnęła i - żeby mu sprawić przyjemność - spojrzała na kamień.

- Widzę pęknięcie - oświadczyła w powątpiewaniu.

- Przyjrzyj mu się, dobrze? Musisz odwrócić głowę i patrzeć tak jakby kątem oka.

Sztylet Teppica uderzył w ryse, będącą zaledwie cieniutką linią na kamieniu.

- Daleko się ciągnie - zauważyła Ptraci, spoglądając na rozpaloną nawierzchnię szlaku.

- Od Drugiej Katarakty aż do Delt. Pomaga, jeśli zakryjesz jedno oko ręką. Proszę cię, spróbuj. Proszę.

Z wahaniem podniosła dłoń do oka i posłusznie spojrzała z ukosa na kamień.

- Nic z tego - stwierdziła po chwili. - Nic nie... Widzę!

Przez chwilę trwała bez ruchu, po czym rzuciła się w bok. Teppic zrezygnował z prób wbicia w rysę sztyletu i podczołgał się do niej.

- Byłam na samej krawędzi! - łkała.

- Widziałaś? - zapytał z nadzieją.

Pokiwała głową, po czym bardzo ostrożnie wstała i wycofała się.

- Czy miałaś wrażenie, jakby oczy wywróciły się na drugą stronę? - spytał Teppic.

- Tak - odparła chłodno Ptraci. - Czy mogę dostać moje bransolety?

- Co?

- Bransolety. Schowałeś je do kieszeni. Chcę je z powrotem.

Teppic wzruszył ramionami i sięgnął do sakiewki. Bransolety były głównie miedziane, z kawałkami spękanej emalii. Tu i tam rzemieślnik bez większych sukcesów próbował stworzyć coś interesującego z kawałków pociętego drutu i grudek kolorowego szkła. Ptraci zaczęła, wsuwać je kolejno.

- Czy mają jakieś znaczenie okultystyczne? - zapytał Teppic.

- A co to znaczy?

- Aha. Więc po co są ci potrzebne?

- Mówiłam przecież. Bez nich nie czuję się ubrana. Teppic wzruszył ramionami i zajął się wciskaniem noża w rysę na kamieniu.

- Po co to robisz? - spytała. Przerwał i zastanowił się.

- Sam nie wiem - przyznał. - Ale przecież widziałaś dolinę, prawda?

-Tak.

- No właśnie.

- Co właśnie?

Teppic wzniósł oczy do nieba.

- Nie wydaje ci się, że to trochę, no, niezwykle? Cały kraj nagle zniknął. Czegoś takiego nie widuje się codziennie, do licha.

- Skąd mogę wiedzieć? Nigdy dotąd nie opuszczałam doliny. Nie mam pojęcia, jak powinna wyglądać z zewnątrz. I nie przeklinaj.

Teppic pokręcił głową.

- Chyba położę się w cieniu - postanowił. - W tym, co z niego zostało - poprawił się, gdyż mosiężnej barwy światło słońca wypalało cienie. Potykając się, dotarł pod skałę i usiadł.

- Cała dolina się zamknęła - oświadczył po chwili. - Wszyscy ludzie...

- Widziałam ogniska - pocieszyła go, siadając obok.

- To ma jakiś związek z piramidą - stwierdził. - Dziwnie wyglądała, kiedy uciekaliśmy. Na pewno magia albo geometria, albo jedno i drugie. Jak myślisz, czy możemy wrócić?

- Nie chcę wracać. Po co miałabym wracać? Czekają mnie krokodyle. Nie wrócę tylko dla krokodyli.

- Hm... Mógłbym cię ułaskawić albo co...

- A tak. - Ptraci oglądała swoje paznokcie. - Rzeczywiście, mówiłeś, że jesteś królem.

- Bo jestem! Moje królestwo jest... - zawahał się, nie wiedząc, w którą

stronę wyciągnąć rękę - ...gdzieś. Jestem jego władcą.

- Nie wyglądasz na króla - zauważyła Ptraci.

- Dlaczego nie?

- On nosił złotą maskę.

- To byłem ja!

- I rozkazałeś rzucić mnie krokodylom?

- Tak. To znaczy nie. - Teppic zająknął się. - To znaczy król rozkazał, ale nie ja. W pewnym sensie. Zresztą to przecież ja cię uratowałem - dodał rycersko.

- No właśnie. A gdybyś był królem, to byłbyś też bogiem. W tej chwili nie zachowujesz się bosko.

- Tak? Właściwie... Hm. - Teppic znów się zawahał. Dosłowny umysł Ptraci wymagał dużej staranności w konstruowaniu prostych zdań, zanim zostaną wysłane w świat.

- W zasadzie dobrze sobie radzę ze wschodem słońca - zauważył. - Chociaż nie wiem jak. I rzeki. Jeśli chcesz, żeby jakaś rzeka wylała, to jestem odpowiednim człowiekiem. Znaczy: bogiem.

Urwał, poruszony nagłą myślą.

- Zastanawiam się, co się tam dzieje beze mnie - mruknął. Ptraci wstała i ruszyła w głąb wąwozu.

- Gdzie idziesz? Obejrzała się.

- No cóż, panie królu, boże, skrytobójco czy co tam jeszcze. Potrafisz stworzyć wodę?

- Co? Tutaj?

- Do picia. Może w tej szczelinie ukrywa się rzeka, a może nie, ale i tak się do niej dostaniemy. Dlatego musimy dotrzeć gdzieś, gdzie to się uda. To proste. Moim zdaniem nawet król powinien to zrozumieć.

Pobiegł za nią do osypiska, gdzie z szyją wyciągniętą na ziemi leżał Ty Draniu, strzygąc z gorąca uszami i stosując teorię całek przestępnych Złośliwego Bydlaka do ciągu obiecujących liczb cisoidalnych. Ptraci kopnęła go ze złością.

- A wiesz, gdzie jest woda? - zapytał Teppic.

...e/27. Jedenaście mil...

Ptraci spojrzała na niego gniewnie, spod pomalowanych henną powiek.

- To znaczy, że ty nie wiesz? Chciałeś mnie wywieźć na pustynię i nie wiesz, gdzie jest woda?

- Wiesz, spodziewałem się raczej, że zdołam zabrać trochę ze sobą!

- Nawet o tym nie pomyślałeś!

- Słuchaj, nie możesz się tak do mnie odzywać! Jestem królem! - Teppic urwał. - Masz rację - przyznał po chwili. - Nie pomyślałem. Tam skąd pochodzę, codziennie pada deszcz. Przepraszam.

Ptraci zmarszczyła czoło.

- Jaki spada wieszcz?

- Nie, deszcz. No wiesz... Bardzo rzadka woda spadająca z nieba.

- Bezsensowny pomysł. A skąd pochodzisz? Teppic zrobił nieszczęśliwą minę.

- Pochodzę z Ankh-Morpork. Ale urodziłem się tutaj.

Spojrzał na szlak. Tutaj, jeśli człowiek wiedział, gdzie szukać; wtedy mógł znaleźć ledwie widoczną rysę na skale. Przecinała urwiska po obu

stronach: skaza grubości linii, przypadkiem mieszcząca w sobie całe nadrzeczne państwo i siedem tysięcy lat historii.

Nienawidził każdej spędzonej tam minuty. A teraz zamknęło się przed nim. I ponieważ nie mógł, bardzo pragnął tam wrócić.

Wrócił, pochylił się i zasłonił dłonią oko. Wystarczyło przekrzywić głowę, o tak...

Mignęło w polu widzenia i znikło. Spróbował jeszcze, ale już go nie zobaczył.

A gdyby rozłupać skały? Nie, głuptasie, pomyślał. To przecież linia. Nie można się dostać do wnętrza linii. Linia nie ma grubości. To dobrze znany fakt geometryczny.

Usłyszał, że Piraci podchodzi do niego i w następnej chwili poczuł jej dłonie na karku. Przez moment zastanawiał się, skąd zna Morderczy Chwyt Cathartiego, ale potem jej palce zaczęły delikatnie masować mięśnie; pod ich fachową pieśczętą kurcze znikły niczym tłuszcz na gorącym nożu. Zadrżał, gdy spłynęło z niego napięcie.

- To miłe - powiedział.

- Uczymy się tego. Na ścięgnaх masz supły jak kulki na drucie.

Teppic z wdzięcznością opadł na jeden z głązów zaścielających podstawę urwiska i pozwolił, by rytmiczne ruchy jej palców dawały zapomnienie o problemach nocy.

- Nie wiem, co robić - wymruczał. - To bardzo przyjemne.

- Bycie podręczną nie sprowadza się tylko do obierania winogron - odparła Ptraci. - Na pierwszej lekcji uczą nas, że kiedy pan wraca po długim i ciężkim dniu, nie jest to najlepsza chwila, by mu zaproponować Kongres Lisa i Persymony. Kto powiedział, że musisz cokolwiek robić?

- Czuję się odpowiedzialny. - Teppic zmienił pozycję niczym kot.

- Gdybyś znalazł gdzieś harfę, mogłabym ci zagrać coś uspokajającego. Doszłam aż do „Wycieczki Goblinów” w Księdze I.

- Rozumiesz, król nie powinien pozwolić, żeby jego królestwo tak sobie zniknęło.

- Inne dziewczęta znały akordy i w ogóle - westchnęła z żalem Ptraci. - Ale stary król zawsze powtarzał, że woli słuchać mnie. Mówił, że go rozweselał.

- Nazwą je Zaginionym Królestwem - powiedział sennym głosem Teppic. - Jak się wtedy poczuje? No jak?

- Mówił też, że lubi mój śpiew. Wszyscy inni uważali, że przypomina skrzeczenie stada sępów, które znalazły zdechłego osła.

- Król Zaginionego Królestwa. To będzie straszne. Muszę je odzyskać.

Ty Draniu wolno obrócił masywną głowę, śledząc lot zabłąkanej muchy; w głębi umysłu migotały długie kolumny czerwonych cyferek, określające wektory prędkości i wznoszenia. Rozmowy istot ludzkich rzadko go interesowały, lecz przyszło mu do łba, że samce i samice najlepiej radzą sobie ze sobą, gdy żadne nie słucha uważnie tego, co mówi drugie. U wielbłądów wszystko wygląda prościej.

Teppic wpatrzył się w linię na skałach. Geometria... To jest to.

- Pojedziemy do Efebu - postanowił. - Oni tam znają się na geometrii i mieli kilka bardzo nierozsądnych idei. Nierozsądne idee to coś, czego teraz najbardziej nam potrzeba.

- Po co nosisz te wszystkie noże i w ogóle? To znaczy... tak naprawdę?

- Hmm... Słucham?

- Wszystkie te noże. Po co? Teppic zastanowił się.

- Przypuszczam, że bez nich nie czuję się odpowiednio ubrany - wyjaśnił.

- Aha.

Ptraci pilnie szukała nowego tematu rozmowy. Otwieranie Tematów Dowcipnego Dyskursu także było częścią obowiązków podręcznej. Nie radziła sobie z tym najlepiej. Inne dziewczęta wymyślały zdumiewające kombinacje: wszystko od zwyczajów godowych krokodyli po spekulacje o życiu w krainie umarłych. Dla niej trudny był każdy krok, poczynając od rozmowy o pogodzie.

- Wiesz - zaczęła - zabiłeś pewnie mnóstwo ludzi.

- Mm?

- Jako skrytobójca. Płacą ci za zabijanie ludzi. Wielu ich zabiłeś? Wiesz, że stale napinasz mięśnie karku?

- Chyba nie powinienem o tym mówić - odparł.

- Chcę wiedzieć. Skoro mamy razem pokonać pustynię i w ogóle... Więcej niż stu?

- Wielkie nieba, nie!

- No to mniej niż pięćdziesięciu? Teppic przewrócił się na plecy.

- Posłuchaj. Nawet najsłynniejsi skrytobójcy nie zabili w życiu więcej niż trzydziestu ludzi.

- Czyli mniej niż dwudziestu?

- Tak.

- Mniej niż dziesięciu?

- Myślę - oznajmił Teppic - że najlepiej określić to jako liczbę pomiędzy zerem a dziesiątką.

- Bo powinnam wiedzieć. Takie rzeczy są ważne.

Podeszli do Ty Drania. Teraz Teppic był czymś wyraźnie przejęty.

- Cały ten senat... - zaczął.

- Kongres - poprawiła go Ptraci.

- Ty... tego... więcej niż pięćdziesięciu ludzi?

- Takie kobiety inaczej się nazywają - oświadczyła Ptraci, choć bez gniewu.

- Przepraszam. Mniej niż dziesięciu?

- Powiedzmy, że liczbę pomiędzy zerem a dziesiątką. Ty Draniu splunął. Z dwudziestu stóp strącił muchę i przykleił ją do skały.

- Zadziwiające, że mu się udało - mruknął Teppic. - Pewnie zwierzęcy instynkt.

Ty Draniu spojrzał na niego z wyższością spod rzęs nadających się do zamiętania pustyni.

...Niech $z = eiO$, myślał, żujżujżuj Niech $dz = ie[iO]dO = izdO$ albo $dO = dz/iz...$

Ptaclusp, wciąż w nocnej koszuli, snuł się bez celu wśród gruzów u podstawy piramidy.

Szumiała jak turbina. Ptaclusp nie wiedział dlaczego, nie miał pojęcia o gigantycznej energii, która skręciła wymiary o dziewięćdziesiąt stopni i utrzymywała je tak, mimo straszliwych naprężeń. Przynajmniej ustały te niepokojące wiry temporalne. Wokół siebie widział mniej synów niż zwykle. Właściwie to chętnie by znalazł jednego czy dwóch.

Najpierw jednak znalazł kamień szczytowy, popękany, z łuszczącą się

powłoką elektrum. Spadając z piramidy, uderzył w posąg Hata, Sępiogłowego Boga Niespodziewanych Gości, zginając go wpół i nadając jego obliczu wyraz lekkiego zaskoczenia.

Cichy jęk kazał Ptacluspowi podbiec do zwalonego namiotu. Szarpnął za ciężkie płótno i odsłonił I Ib, który zamrugał niepewnie w szarym świetle.

- Nie udało się, tato! - jęknął. - Prawie go tam donieśliśmy, a potem ona cała się tak jakby skręciła! Budowniczy podniósł belkę z nóg syna.

- Złamałeś coś? - spytał.

- Nie, potłukłem się tylko. - Młody architekt skrzywił się i rozejrzał dookoła.

- Gdzie Dwa-a? - zainteresował się. - Był wyżej ode mnie, prawie na wierzchołku...

- Znalazłem go - rzekł Ptaclusp.

Architektom nie przypisuje się zdolności do odczytywania subtelnych odcieni znaczeń, ale I Ib usłyszał w głosie ojca ołowianą nutę.

- Nie zginął chyba? - szepnął.

- Chyba nie. Nie jestem pewien. Żyje. Ale. Porusza się... porusza się... lepiej sam zobacz. Myślę, że przydarzyło mu się coś kwantowego.

Ty Draniu szedł z prędkością około 1,247 metra na sekundę i by jakoś bronić się przed nudą, przeliczał złożone współrzędne sprzężone. Piasek chrzęścił pod jego wielkimi, talerzowatymi stopami.

Brak palców był kolejnym czynnikiem przyspieszającym rozwój intelektualny wielbłądów. Rozwój matematyczny ludzi zawsze był hamowany przez powszechną instynktowną skłonność, by wobec czegoś

naprawdę skomplikowanego - jak choćby wielomiany trój-foremne czy różniczki parametryczne - liczyć na palcach. Wielbłądy od samego początku liczyły na liczbach.

Pustynie także pomogły. Niewiele rzeczy rozpraszało uwagę. Jeśli chodzi o wielbłądy, najlepszą metodą osiągnięcia błyskawicznego rozwoju intelektu jest brak zajęć i brak jakichkolwiek możliwości, by się nimi zajmować.

Wspiął się na szczyt wydmy, z aprobatą spojrzął na falujące piaski przed sobą i zaczął myśleć logarytmami. - Jak jest w Efebii? - zapytała Ptraci.

- Nigdy tam nie byłem. Słyszałem, że rządzi nimi Tyran.

- Mam nadzieję, że się z nim nie spotkamy.

Teppic pokręcił głową.

- To nie tak - wyjaśnił. - Co pięć lat mają nowego Tyrana i najpierw coś z nim robią. - Zawahał się. - To chyba się nazywa eelekcja.

- Czy chodzi o to, co się robi kotom, bykom i różnym takim?

- Ehm...

- No wiesz. Żeby przestały walczyć i były spokojniejsze. Teppic skrzywił się.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien - przyznał. - Ale nie przypuszczam. Mają coś, czym to robią, mówią na to mokracja, i to znaczy, że każdy w całym kraju może powiedzieć, kim będzie nowy Tyran. Jeden człowiek, jeden... - Urwał. Lekcje historii polityki wydawały się bardzo odległe, poza tym wprowadzały koncepcje, o jakich w Djelibeybi nawet nie słyszano. Zresztą w Ankh-Morpork również. Spróbował jednak mimo wszystko. - Jeden człowiek, jeden krzyk.

- Krzyczą na tę eelekcję?

Wzruszył ramionami. Całkiem możliwe.

- Chodzi o to, rozumiesz, że każdy ma prawo. Są z tego bardzo dumni. Każdy ma... - zająknął się znowu, pewien już, że coś pomylił - ...prawo do krzyku. Oprócz kobiet, naturalnie. I dzieci. I przestępców. I niewolników. I głupich. I cudzoziemców. I takich, którzy zostali potępieni z ee... różnych powodów. I jeszcze wielu innych. Ale poza nimi, wszyscy. To bardzo postępową cywilizacja.

Ptraci przemyślała tę sprawę.

- I to jest ta mokracja, tak?

- Wymyślili ją w Efebie, rozumiesz. - Teppic miał niejasne uczucie, że powinien jej bronić.

- Założę się, że mają kłopoty z eksportem - oświadczyła stanowczo Ptraci.

Słońce nie było tylko kulą płonącego nawozu popychaną po nieboskłonie przez gigantycznego żuka. Było także łodzią. Zależy, jak kto na nie patrzył. Słoneczne światło różniło się od zwykłego. Było przymglone, jak woda pozostawiona na długie tygodnie w szklanym naczyniu. Nie niosło w sobie radości. Oświeślało, ale bez życia.; przypominało raczej jasny blask księżyca niż światło dnia.

Ptaclusp jednak bardziej niepokoił się o syna.

- Wiesz, co się z nim stało? - zapytał.

Drugi syn żałośnie gryzł rysik. Bolała go ręka. Spróbował dotknąć brata, ale iskra wyładowania spaliła mu skórę na palcach.

- Może... - odpowiedział.

- Umiesz to wyleczyć?

- Raczej nie.

- Więc co to jest?

- Widzisz, tato, kiedy weszliśmy z nim na piramidę... kiedy nie mogła odpalić, rozumiesz... jestem pewien, że odwróciła się... czas, widzisz, to tylko kolejny wymiar... um.

Ptaclusp przewrócił oczami.

- Dość tego architektonicznego gadania, synu - oświadczył. -Co z nim jest?

- Myślę, że jest wymiarowo niedopasowany, tato. Czas i przestrzeń trochę mu się pomieszały. Dlatego ciągle porusza się w bok. Ptaclusp IIb uśmiechnął się męźnie.

- Zawsze przemykał bokiem - przypomniał Ptaclusp. Jego syn westchnął.

- Owszem, tato - przyznał. - Ale to było normalne. Wszyscy księgowi to robią. Teraz chodzi bokiem, ponieważ, no, ponieważ dla niego to czas.

Ptaclusp zmarszczył czoło. Powolne dryfowanie w bok nie stanowiło jedynego problemu IIa. Był także płaski. Nie płaski jak karta, z przodem, tyłem i krawędzią, ale płaski z każdej strony.

- Przypomina mi tych ludzi z fresków. Gdzie ma głębokość czy jak to się nazywa?

- Myślę, że w czasie - odparł bezradnie IIb. - Naszym, nie jego. Ptaclusp okrążył syna i dostrzegł, jak płaskość za nim podąża. Poskrobał się w podbródek.

- Czyli może poruszać się w czasie, tak? - zapytał powoli.

- Tak, to możliwe.

- A może by go namówić, żeby przespacerował się parę miesięcy wstecz i uprzedził nas przed budową tej przeklętej piramidy?

- Nie ma z nim kontaktu, tato.

- Czyli pod tym względem się nie zmienił...

Ptaclusp usiadł ciężko na kawałku gruzu i ukrył twarz w dłoniach. Do czego to doszło... Jeden syn normalny i głupi, drugi płaski jak cień. Jakie życie czeka tego płaskiego biedaka? Przyjdzie mu otwierać zamki, oczyszczać z lodu szyby samochodowe i sypiać tanio w prasowalnicach spodni w pokojach hotelowych[22]. Umiejętność przechodzenia pod drzwiami i czytania książek bez ich otwierania nie wynagrodzi wszystkich strat.

Ila przesunął się w bok - płaska naklejka na pejzażu.

- Czy nic nie można zrobić? - zawołał Ptaclusp. - Zrolować go albo co...?

Ilb wzruszył ramionami.

- Moglibyśmy postawić mu coś na drodze. To nawet niezły pomysł. Dzięki temu na pewno nie przydarzy mu się nic gorszego, ponieważ, hm, nie będzie czasu na przydarzenie. Tak myślę.

Przepchnęli na ścieżkę zgiętą statwę Hata, Sępiogłowego Boga. Po minucie czy dwóch powolny boczny dryf doprowadził Ila do posągu. Strzeliła gruba niebieska iskra i nadtopiła kamień, ale ruch ustał.

- Skąd iskra? - spytał Ptaclusp.

- Myślę, że to coś w rodzaju flary.

Ptaclusp nie stałby się tym, kim był dzisiaj... nie, musiał się poprawić... nie stałby się tym, kim był wczoraj wieczorem, gdyby nie potrafił dostrzec zysku w najbardziej nawet nieprawdopodobnym zbiegu okoliczności.

- Zaoszczędzi na ubraniach - zauważył. - Patrz, można je na nim

namalować.

- Chyba nie całkiem zrozumiałeś, tato. - Ilb westchnął ciężko, usiadł obok ojca i spojrzał w stronę pałacu za rzeką.

- Coś się tam dzieje - mruknął Ptaclusp. - Myślisz, że zauważyli piramidę?

- Wcale bym się nie zdziwił. Przekręciła się przecież o dziewięćdziesiąt stopni.

Ptaclusp obejrzał się przez ramię i pokiwał głową.

- Zabawne - oświadczył. - Chyba niewielka destabilizacja strukturalna.

- Tato, to przecież piramida! Powinniśmy ją odpalić! Mówiłem ci! Energia zaangażowana... Nie, to zbyt...

Padł na nich cień. Rozejrzeli się dookoła. Spojrzeli w górę. Popatrzyli chwilę.

- Wielkie niebiosy... - szepnął Ptaclusp. - To przecież Hat, Sępiogłowy Bóg...

Efeb leżał przed nimi niczym klasyczny poemat wykuty w białym marmurze, rozpostarty wokół skały nad zatoką jaskrawego błękitu... - Co to jest? - spytała Ptraci po chwili obserwacji.

- To morze - wyjaśnił Teppic. - Mówiłem ci, pamiętasz? Fale i różne takie.

- Mówiłeś, że jest zielone i poszarpane.

- Czasem jest.

- Hmm.

Jej ton sugerował, że nie aprobeje morza. Zanim jednak zdołała wytłumaczyć dlaczego, usłyszeli podniesione głosy. Dobiegały z pobliskiej wydmy.

Na wydmie stała tablica.

Napis w kilku językach głosił: OŚRODEK TESTOWANIA AK-SJOMATÓW.

Poniżej, mniejszymi literami, dodawał: UWAGA - NIEROZ-STRZYGNIĘTE POSTULATY

Kiedy czytali, a przynajmniej kiedy Teppic czytał, za wydumą coś brzęknęło, potem stuknęło, a potem strzała świsnęła im nad głowami. Ty Draniu zerknął na nią, po czym odwrócił głowę i wpatrzył się w niewielki obszar piasku.

Sekundę później strzała wbiła się w ów piasek.

Ty Draniu ocenił obciążenie stóp i wykonał niewielki rachunek, który doprowadził go do wniosku, że dwoje ludzi zostało odjętych od jego grzbietu. Dalsze obliczenia wykazały, że ludzie ci zostali dodani do wydmy.

- Czemu to zrobiłeś? - spytała Ptraci, wypluwając z ust piasek.

- Ktoś do nas strzelał!

- Nie przypuszczam. Przecież nie wiedzieli, że tu jesteśmy. Nie musiałeś mnie zrzucić.

Teppic bez entuzjazmu uznał jej argumentację i ostrożnie podczołgał się po sypkiej powierzchni wydmy. Głosy znów się kłóciły:

- Zrezygnować?

- Po prostu nie ustaliliśmy poprawnie wszystkich parametrów.

- Powiem ci, co tu jest niepoprawne.

- A cóż takiego?

- To, że nie mamy więcej tych przeklętych żółwi. To jest niepoprawne.

Teppic ostrożnie wysunął głowę nad szczyt wydmy.

Zobaczył rozległy otwarty plac, otoczony rzędami skomplikowanych znaczników i chorągiewek. Stały tam jeden czy dwa budynki, złożone głównie z klatek, i kilka dziwnych konstrukcji, których zastosowania się nie domyślał. Pośrodku zobaczył dwóch mężczyzn: jeden niski, gruby i rumiany, drugi wysoki, smukły, z wyraźnie władcą miną. Ubrani byli w prześcieradła. Wokół nich tłoczyła się grupka niewolników, ubranych w prawie nic. Jeden trzymał łuk.

Kilku zaś trzymało żółwie na patykach. Wyglądały żałośnie, jak żółwiowe lizaki.

- Poza tym to okrutne - powiedział wyższy mężczyzna. - Biedne zwierzątka. Tak smutnie wyglądają ze zwisającymi łapkami.

- To logicznie niemożliwe, żeby strzała w nie trafiała! - Gruby mężczyzna rozłożył ręce. - Nie powinna! Pewnie dostarczasz mi nieodpowiednich żółwi - dodał oskarżycielskim tonem. - Powinniśmy spróbować jeszcze raz, z szybszymi.

- A może wolniejsze strzały?

- Możliwe, możliwe.

Teppic poczuł jakiś ruch przy policzku. Obok przebiegał truchtem nieduży żółw. Miał na skorupie kilka śladów po rykoszetach.

- Spróbujemy ostatni raz - zdecydował gruby. Zwrócił się do niewolników: - Hej, wy. Idźcie poszukać żółwia.

Nieduży gad spojrzał na Teppica z nadzieją i błaganiem. Chłopak patrzył przez chwilę, po czym podniósł zwierzę i starannie ukrył za

kamieniem.

Zsunął się z wydmy do Ptraci.

- Tam się dzieje coś dziwnego - szepnął. - Strzelają do żółwi.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Myślą chyba, że żółw powinien uciec.

- Co? Przed strzałą?

- Przecież mówiłem, że to dziwne. Zostań tu. Gwizdnę, kiedy uznam, że możesz bezpiecznie iść za mną.

- A co zrobisz, jeśli nie będzie bezpiecznie?

- Będę wrzeszczał.

Raz jeszcze wdrapał się na wydmy, strzepnął z ubrania jak najwięcej piasku, wstał i pomachał kapeluszem. Strzała wyjęła mu go z rąk.

- Oj! - przestraszył się grubas. - Przepraszam. Podbiegł po zdeptanym piasku do Teppica, który stał nieruchomo i wpatrywał się w piękne palce.

- Sam wystrzelił - sapał grubas. - Strasznie przepraszam, nie wiedziałem, że jest naładowany. Co sobie o mnie pomyślisz? Teppic nabrał tchu.

- Jestem Xenon - przedstawił się grubas, zanim Teppic zdążył się odezwać. - Nie zostałeś ranny? Postawiliśmy tablice ostrzegawcze, jestem tego pewien. Przyjechałeś od strony pustyni? Na pewno jesteś spragniony. Napijesz się czegoś? Kim jesteś? Nie widziałeś tu przypadkiem żółwia? Wściekle szybkie bestie, pędzą jak naoliwione błyskawice. Nie można łobuzów zatrzymać.

Teppic wypuścił powietrze.

- Żółwie? - zdziwił się. - Czy mówimy o tych, no, o kamieniach z

nózkami?

- Zgadza się, właśnie o nich - potwierdził Xenon. - Wystarczy je spuścić z oka i zziut!

- Zziut? - powtórzył Teppic.

Znał żółwie. Żyły w Starym Państwie. Można je było określić na wiele sposobów: jako wegetarian, okazy cierpliwości, myślicieli, nawet upartych i niezmożonych maniaków seksualnych... Ale nigdy, przynajmniej do tej chwili, nie jako szybkobiegaczy. Słowo „szybkość” kojarzy się z żółwiami, ponieważ nigdy takie nie są.

- Jesteś pewien? - zapytał.

- Taki zwykły żółw to najszybsze zwierzę na powierzchni Dysku - oświadczył Xenon, choć minę miał odrobinę niepewną. - To znaczy logicznie rzecz biorąc - dodał[23].

Wyższy z mężczyzn skinął Teppicowi głową.

- Nie zwracaj na niego uwagi, chłopcze - poradził. - Próbuje się wytłumaczyć. To przez ten wypadek w zeszłym tygodniu.

- Ale żółw prześcignął zająca - oświadczył z uporem Xenon.

- Zając był martwy, Xenonie - tłumaczył cierpliwie wysoki. - Ponieważ go zastrzeliłeś.

- Celowałem w żółwia. Wiesz, chciałem połączyć dwa eksperymenty, skrócić kosztowny czas badań, w pełni wykorzystać dostępne środki... - Xenon machnął łukiem, w którym tkwiła już kolejna strzała.

- Przepraszam - wtrącił Teppic. - Czy mógłbyś odłożyć go na chwilę? Ja i moja przyjaciółka przybywamy z daleka i miło by nam było, gdyby nikt do nas nie strzelał.

Ci dwaj wyglądają na nieszkodliwych, pomyślał i niemal w to uwierzył.

Gwizdnął. Na ten sygnał Ptraci wyszła zza wydmy, prowadząc za sobą Ty Drania. Teppic wątpił, czyjej strój mógł mieć jakiegolwiek kieszenie, ale wyraźnie zdołała jakoś poprawić makijaż, umalować oczy i uczesać włosy. Sunęła w stronę całej trójki miękko jak wąż na saniach, zdecydowana uderzyć obcych pełną mocą swej osobowości. Trzymała coś w dłoni.

- Znalazła żółwia! - zawołał Xenon. - Zuch dziewczyna!

Gad błyskawicznie skrył się w skorupie. Ptraci zmarszczyła czoło. Na tym świecie nie miała prawie nic oprócz siebie, i nie podobało się jej, że witają w niej jedynie trzymak żółwiowatych.

Wyższy mężczyzna westchnął.

- Wiesz, Xenonie - powiedział - nie mogę pozbyć się myśli, że źle się zabierasz do całej tej sprawy z żółwiem i strzałą. Niski spojrzał na niego z urazą.

- Kłopot z tobą, Ibidzie - odparł - polega na tym, że uważasz się za największy przekłety autorytet we wszystkim.

Bogowie Starego Państwa budzili się wolno. Wiara to potęga. Niewielka potęga w porównaniu - na przykład - z grawitacją; kiedy przychodzi do przesuwania gór, grawitacja za każdym razem wygrywa. Jednak wiara istnieje, a teraz gdy Stare Państwo zamknęło się w sobie, odizolowane od reszty wszechświata, dryfując coraz dalej od powszechnej ugody, zaszczycanej mianem rzeczywistości, potęga wiary zaczynała się uze-wnętrznić.

Od siedmiu tysięcy lat lud Djelibeybi wierzył w swoich bogów.

Teraz bogowie zaistnieli. I to w pełnym zestawie.

A mieszkańcy Starego Państwa odkrywali, że - na przykład - Vut, Psiogłowy Bóg Wieczoru, o wiele lepiej wygląda wymalowany na amforze,

niż kiedy wyprostowany na pełne siedemdziesiąt stóp, warczący i cuchnący idzie chwiejnie ulicą.

Dios siedział w sali tronowej ze złotą maską króla na kolanach i spoglądał przed siebie. Grupka pomniejszych kapłanów przy drzwiach zebrała się w końcu na odwagę i zbliżyła do niego; ich nastrój przypominał nastrój człowieka zbliżającego się do wściekłego lwa. Realna manifestacja bóstw nikogo nie martwi bardziej niż kapłanów. To tak, jakby nagle w firmie pojawiła się kontrola finansowa.

Jedynie Koomi stał w pewnym oddaleniu od pozostałych. Myślał intensywnie. Niezwykłe, oryginalne myśli tłoczyły się na rzadko używanych ścieżkach neuronowych, podążając w nieprzewidzianych kierunkach.

- O Diosie - wyszeptał najwyższy kapłan Keta, Ibisogłowego Boga Sprawiedliwości. - Co rozkaże król? Bogowie kroczą po ziemi, o Diosie, walczą między sobą i burzą domy. Gdzie jest król? Co chce, byśmy uczynili?

- Tak - potwierdził najwyższy kapłan Skarabeusza Popychającego Kulę Słońca. Poczuł, że oczekują od niego czegoś więcej. - W rzeczy samej - dodał - wasze wysokości zauważyli, że słońce chwieje się, ponieważ wszyscy Bogowie Słońca walczą o nie i... - Przesąpił z nogi na nogę. - Błogosławiony Skarabeusz dokonał strategicznego odwrotu i... tego... nieplanowo wylądował na mieście Hort. Kilka budynków powstrzymało jego upadek.

- I bardzo dobrze - wtrącił najwyższy kapłan Thrrpa, Woźnicy Rydwanu Słońca. - Albowiem, jak wszyscy wiedzą, mój pan jest prawdziwym bogiem...

Umilkł.

Dios dygotał. Jego ciało kołysało się wolno w przód i w tył. Wpatrywał się w pustkę. Ścisnął maskę tak mocno, że pozostawiał odciski palców w złocie, a wargi formowały słowa Rytuału Drugiej Godziny, który od tysięcy lat wypowiadano o tej porze.

- To chyba szok - stwierdził któryś z kapłanów. - Wiecie, że nigdy nie lubił zmian.

Pozostali jak najszybciej postanowili dowieść, że coś jednak mogą doradzić.

- Przynieście mu wody.
- Załóżcie mu na głowę papierową torbę.
- Złóżcie mu pod nosem kurczę w ofierze.

Zabrzmiał wysoki gwizd, w dali huknęła eksplozja i coś zasyczało. Do komnaty wsączyło się kilka strużek pary.

Kapłani wybiegli na taras, pozostawiając Diosa w szoku. Zobaczyli, że tłumy wokół pałacu wpatrują się w niebo.

- Zdaje się... - zawołał najwyższy kapłan Cephuta, Boga Sztućców, wierząc, że może spokojniej niż inni ocenić zaistniałą sytuację - ...że Thrrp się zdekoncentrował i uległ nagłemu atakowi Jehta, Przewoźnika Słonecznego Globu.

Coś zabrzęczało w oddali, jakby parę miliardów much wystartowało w panice, i ogromny mroczny cień przesunął się nad pałacem.

- Ale... - podjął kapłan Cephuta - wraca Skarabeusz... Tak, nabiera wysokości... Jeht jeszcze go nie widzi i spokojnie podąża w stronę południka... Ale oto wkracza Sessifet, Bogini Popołudnia! Co za niespodzianka, co za niespodzianka! Młoda bogini, która wprowadzie niewiele jeszcze osiągnęła, ale jakże jest obiecująca. Niezwykłe zagranie, panowie i eunuchy, i... tak! Skarabeusz traci szansę! Traci szansę!

Cienie tańczyły i wirowały na kamieniach tarasu.

- Ale... co to? Starsi bogowie, nie da się tego inaczej określić, współpracują przeciwko zarożumiałym nowicjuszom! Dzielna Sessifet trzyma się, wykorzystuje słaby punkt... Wygrywa! Teraz odbiega, odbiega, Gil i Skarabeusz chyba walczą ze sobą, ma czyste niebo i tak! Tak! Tak! Jest południe! Południe! Mamy południe!

Cisza. Kapłan uświadomił sobie, że wszyscy na niego patrzą..

Po chwili ktoś zabrał głos.

- Dlaczego krzyczałeś w ten papirus?

- Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło. Kapłanka Sarduk, Bogini Jaskiń, parsknęła pogardliwie.

- Przypuśćmy, że któryś by je upuścił? - warknęła.

- Ale... Ale... - Przełknął ślinę. - Przecież to niemożliwe, prawda? Wszyscy musieliśmy się przejeść albo za długo byliśmy na słońcu, albo co. Bo przecież każdy wie, że bogów nie ma... A słońce to płonąca kula gazu, prawda, i okrąża świat codziennie, a... a... a bogowie... Owszem, istnieje realna potrzeba, by ludzie wierzyli, nie zrozumcie mnie źle, ale...

Koomi, choć perfidne myśli brzęczały mu w głowie, miał lepszy refleks od kolegów.

- Brać go, chłopcy! - krzyknął.

Czterej kapłani chwycili pechowego czciciela sztucców za ręce i nogi, i zapewnili mu szybki transport na brzeg tarasu, przez balustradę i w mętne wody Djelu.

Plując, wypłynął na powierzchnię.

- Dlaczego to zrobiliście? - zapytał. - Wiecie przecież, że mam rację. Żaden z was tak naprawdę nie...

Wody Djelu leniwie otworzyły paszczę i kapłan zniknął, dokładnie w chwili, gdy wielki skrzydlaty Skarabeusz zabrzączał groźnie nad pałacem i odleciał w stronę gór.

Koomi otarł czoło.

- Niewiele brakowało - szepnął.

Koledzy pokiwali głowami, spoglądając na znikające kręgi na wodzie.

Całkiem nagle w Djelibeybi zabrakło miejsca na uczciwe zwątpienie. Zwątpienie mogło doprowadzić do tego, że coś uniesie wąpiącego w górę, po czym wyrwie mu ręce i nogi.

- Ehm... - odezwał się ktoś. - Ale Cephut będzie trochę zły, nieprawdaż...?

- Wszyscy wielbią Cephuta - krzyknęli chórem na wszelki wypadek.

- Nie widzę powodu - burczał stary kapłan, stojący trochę z boku. - Przeklęty artysta noża i widelca... . Chwycili go, wciąż protestującego, i cisnęli do rzeki.

- Wszyscy wielbią... - Urwali niepewnie. - A właściwie czym on był kapłanem?

- Bunu, Koziogłowego Boga Kóz? Chyba tak...

- Wszyscy wielbią Bunu, przypuszczalnie - zawołali zgodnie, gdy święte krokodyle płynęły do celu niczym łodzie podwodne.

Koomi wzniósł ręce.

Mówi się, że okazja tworzy człowieka. Koomi był człowiekiem, tworzonym przez okazje kręte i przykre. Pod jego łysą czaszką zaczynały już formować się pewne konkluzje, niczym duchy przez wieki uwięzione w kamieniu. Nie miał jeszcze pewności, czym są, ale ogólnie dotyczyły bogów, nowej ery, potrzeby stanowczej ręki u steru, być może również przeniesienia Diosa do wnętrza pierwszego z brzegu krokodyla. Sama myśl o tym sprawiała mu zakazaną rozkosz.

- Bracia! - zakrzyknął.

- Przepraszam bardzo... - wtrąciła z naciskiem kapłanka Sarduk.

- I siostry...

- Dziękuję.

- ...Cieszymy się!

Kapłani stali w całkowitym milczeniu. Tak radykalne rozwiązanie jak dotąd nie przyszło im do głowy. A Koomi patrzył na zwrócone ku sobie twarze i czuł dreszcz, jakiego nie doznał jeszcze nigdy w życiu. Byli śmiertelnie przerażeni i czekali, aż on... on!... powie im, co robić.

- Tak! - rzekł. - Gdyż w istocie godzina bogów...

- ...i bogiń...

- ...tak, i bogiń, nadeszła. Ehm.

I co? Kiedy już zaszedł tak daleko, to co właściwie każe im robić? I natychmiast pomyślał: to bez znaczenia. Pod warunkiem, że będę dostatecznie pewny siebie. Stary Dios zawsze ich pędził przed sobą, nigdy nie starał się prowadzić. Bez niego są jak zagubione owce.

- A zatem bracia... i siostry, oczywiście... musimy siebie zapytać, musimy siebie zapytać, o, tego... -Jego głos znowu nabrał mocy. - Tak, musimy siebie zapytać, dlaczego bogowie przybyli. A bez wątpienia przybyli dlatego, że nie byliśmy dostatecznie wytrwali w naszej wierze, ehm, że pragnęliśmy rzeźbionego cielca.

Kapłani spojrzeli po sobie. Naprawdę pragnęli? A właściwie jak się to robi?

- Tak. I co z ofiarami? Był czas, kiedy ofiara była ofiarą, a nie zabawą z kurami i kwiatami.

To zdanie wywołało atak kaszlu wśród słuchających.

- Czy mówimy tu o dziewicach? - upewnił się jeden z kapłanów.

- Ehem...

- A także o niedoświadczonych młodych chłopcach, ma się rozumieć - dodał szybko. Sarduk była jedną ze starszych bogiń i jej czcicielki zbierały się w niejasnych celach w świętych gajach. Na samą myśl, że spaceruje teraz

po świecie z rękami po łokcie we krwi, łzawiły mu oczy.

Serce Koomiego biło mocno.

- A niby dlaczego nie? - zapytał. - Wtedy wszystko było lepsze, prawda?

- Ale., ten, no... Myślałem, że skończyliśmy już z tym na dobre. Spadek liczby ludności i w ogóle...

Od strony rzeki rozległo się potężne chlupnięcie - to Tzut, Wężogłowy Bóg Górnego Djelu, wypłynął na powierzchnię i z powagą spojrzał na zebranych kapłanów. W chwilę potem Fhez, Krokodylogłowy Bóg Dolnego Djelu, wyskoczył spod wody i ambitnie spróbował przegryźć Tzuta na pół. Obaj zanurzyli się wśród rozprysków i niewielkiej fali przypływu, która zalała taras.

- A może liczba ludności spadła, ponieważ przestaliśmy składać w ofierze dziewice... obojga płci, naturalnie - zasugerował natychmiast Koomi.
- Pomyśleliście o tym?

Pomyśleli o tym. Następnie pomyśleli o tym jeszcze raz.

- Nie sądzę, żeby król się zgodził - odezwał się niepewnie jakiś kapłan.

- Król? - zawołał Koomi. - Gdzie jest król? Pokażcie mi króla! Spytajcie Diosa, gdzie się podział król!

Coś stuknęło o podłogę. Koomi z przerażeniem zobaczył złotą maskę, podskakującą i toczącą się kapłanom pod nogi. Rozbiegli się na boki jak kręgle.

Dios stanął w pełnym blasku słońca - niedawnego przedmiotu sporu. Twarz miał szarą z wściekłości.

- Król nie żyje - oznajmił.

Koomi zachwiał się pod strasznym ciśnieniem gniewu Diosa, ale bohatercko stawiał mu czoło.

- Więc jego następcą...

- Nie ma następcy.

Dios spojrzał w niebo. Niewielu ludzi może patrzeć prosto w słońce, ale pod tym jadowitym wzrokiem nawet ono mogłoby zadrzeć i się odwrócić. Oczy Diosy spoglądały wzdłuż straszliwego nosa niczym bliźniacze dalmierze.

- Tak sobie przychodzą, jakby to był ich kraj - powiedział, zwracając się do świata jako takiego. - Jak śmieli?

Koomi rozdziawił usta. Chciał zaprotestować, ale powstrzymał go ten kilowatowy wzrok. Szukał wsparcia u innych kapłanów, w tej chwili pilnie oglądających własne paznokcie albo zapatrzonych w posadzkę. Przekazywali oczywistą wiadomość: Koomi został sam. Chociaż, gdyby jakimś cudem wygrał to starcie umysłów, otoczą go ludzie zapewniający, że stali za nim przez cały czas.

- Przecież to jest ich kraj - wymamrotał.

- Co?

- To, ehem, to jest ich kraj, Diosie - powtórzy Koomi. Zaczynał tracić cierpliwość. - To bogowie, do licha!

- To nasi bogowie - syknął najwyższy kapłan. - My nie jesteśmy ich ludźmi. Są moimi bogami i nauczą się robić to, co się im rozkaże.

Koomi zrezygnował z frontalnego ataku. Nie potrafił wytrzymać tego szafirowego spojrzenia, wystać przed tym nosem jak topór bojowy, a przede wszystkim nie mógł liczyć na to, że zarysuje powierzchnię straszliwej prawości Diosy.

- Ale... - wykrztusił.

Dios machnął tylko drżącą dłonią.

- Nie mają prawa! - oznajmił. - Nie wydałem żadnych poleceń. Nie

mają prawa!!!

- Więc co teraz zrobimy? - spytał Koomi.

Dios nerwowo zaciskał i prostował palce. Czuł się tak, jak mógłby się czuć rojalista - prawdziwy rojalista, rojalista, który wkleja do albumu portrety całej rodziny królewskiej, rojalista, który złego słowa nie da na nich powiedzieć, przecież tacy byli wspaniali, a teraz nie mogą się bronić - gdyby nagle rodzina królewska wkroczyła mu do salonu i zaczęła przestawiać meble. Dios tęsknił za nekropolią, za chłodem i ciszą wśród starych przyjaciół, za chwilą snu, po której potrafi myśleć szybciej...

Koomi aż podskoczył. Niepokój Diosa był szczeliną, w którą - z należytą uwagą i ostrożnością - uda mu się wbić klin. Ale nie wolno używać młotka. Twarzą w twarz, Dios mógłby wygrać z całym światem.

Starzec znowu drżał.

- Czyja próbuję im mówić, jak mają prowadzić sprawy w krainie umarłych? - szepnął. - Więc i oni niech mnie nie pouczają, jak mam rządzić swoim królestwem.

Koomi zachował to wywrotowe oświadczenie dla dalszego prze-myślenia i delikatnie poklepał Diosa po ramieniu.

- Masz rację, oczywiście - powiedział. Dios przewrócił oczami.

- Mam? - upewnił się podejrzliwie.

- Jestem przekonany, że jako królewski minister znajdziesz jakiś sposób. Masz nasze pełne poparcie, o Diosie.

Koomi skinął ręką na kapłanów, którzy chórem się z nim zgodzili. Jeśli nie można już polegać na królach i bogach, zawsze można liczyć na starego Diosa. Nie było wśród nich żadnego, który nie wolałby nieokreślonego gniewu bogów od przygany najwyższego kapłana. Dios przerażał ich na tak wiele sposobów, że żadne nadprzyrodzone bóstwo nie mogło mu dorównać.

Dios sobie poradzi.

- I nie dajemy posłuchu tym szalonym pogłoskom o zniknięciu króla. Z pewnością są przesadzone i bezpodstawne - dodał Koomi.

Kapłani pokiwali głowami, jednak w umyśle każdego z nich nawet najmniejsze pogłoski rozwijały długie ogony wątpliwości.

- Jakim pogłoskom? - rzucił Dios półgębkiem.

- Oświeć nas zatem i wskaż ścieżkę, którą musimy podążać.

Dios zawahał się.

Nie wiedział, co robić. To było całkiem nowe doświadczenie. To była Zmiana.

Jedyne, o czym myślał, co zajmowało jego umysł, to słowa Rytuału Trzeciej Godziny, które wypowiadał o tej porze przez... jak długo? Za długo, za długo! Powinien już dawno udać się na spoczynek, ale chwila nigdy nie była odpowiednia, nie znalazł się nikt uzdolniony, zginęliby bez niego, królestwo by się zachwiało, zawiódłby wszystkich, więc przepływał przez rzekę... Zawsze zaklinał się, że to już ostatni raz, ale nigdy tego nie dotrzymał, gdy chłód ogarniał ciało, a dekady stawały się... dłuższe. A teraz, kiedy królestwo go potrzebuje, słowa Rytuału Trzeciej Godziny wypaliły się w ścieżkach mózgu i tłumią wszelkie próby myślenia.

- Ehm... - powiedział.

Ty Draniu gryzł z zadowoleniem. Teppic przywiązał go niedaleko do drzewka oliwnego, które właśnie doznawało śmiertelnego strzyżenia. Czasami wielbłąd przerywał, podnosił głowę i spoglądając na krążące nad miastem Efeb mewy, wystrzeliwał w ich stronę krótką, przerażająco skuteczną serię oliwkowych pestek.

Rozmyślał nad pewną interesującą koncepcją fizyki tauwymiarowej,

unifikującą czas, przestrzeń, magnetyzm, grawitację i - z jakichś powodów - brokuły. Okresowo wydawał odgłos przywodzący na myśl wybuchy w kamieniołomach, który jednak oznaczał tylko, że wszystkie żołądki działają doskonale.

Ptraci siedziała pod drzewem i karmiła żółwia liśćmi winorośli.

Białe ściany tawerny promieniowały żarem, ale, pomyślał Teppic, wyglądało tu całkiem inaczej niż w Starym Państwie. Tam nawet upał jest stary, a stęchłe i martwe powietrze ściska jak imadło; czuje się, że zrobione jest z wygotowanych stuleci. Tutaj orzeźwiała morska bryza, niosąca ostre kryształki soli i ekscytujące aromaty wina. Zresztą na aromatach się nie kończyło, gdyż Xenon pił już drugą amforę. Było to takie miejsce, gdzie sprawy podwijały rękawy i zaczynały się dziać.

- Wciąż nie rozumiem, co z tym żółwiem - powiedział z niejakimi trudnościami. Właśnie wypił pierwszy łyk efebiańskiego wina, które najwyraźniej oblepiło mu gardło.

- Całkiem proste - wyjaśnił Xenon. - Popatrz. Powiedzmy, że ta pestka oliwki będzie strzałą, a ta... - rozejrzał się z roztargnieniem - a ta ogłuszona mewa żółwiem. Tak? Teraz, kiedy wypuścisz strzałę, ona leci do me... do żółwia. Mam rację?

- Chyba tak, ale...

- Ale, przez ten czas, me... żółw przesunie się kawałek. Mam rację?

- Chyba tak - przyznał bezradnie Teppic. Xenon spojrzał na niego tryumfalnie.

- Czyli strzała musi lecieć trochę dalej, do miejsca, gdzie żółw jest w tej chwili. Tymczasem żółw przele... przeszedł jeszcze kawałek. Niedużo, przyznaję, ale nie musi być dużo. Mam rację? Zatem strzała ma trochę dłuższą drogę, ale sęk w tym, że zanim doleci do miejsca, gdzie żółw jest teraz, żółwia już tam nie ma. Czyli, jeśli tylko żółw się nie zatrzyma, strzała na pewno go nie trafi. Zbliża się coraz bardziej i bardziej, ale nie trafia. QED.

- Masz rację? - spytał odruchowo Teppic.

- Nie - odparł spokojnie Ibid. - Tuzin żółwich kebabów dowodzi, że się myli. Problem z moim przyjacielem polega na tym, że nie odróżnia postulatu od metafory ludzkiej egzystencji. Ani od dziury w ziemi.

- Wczoraj go nie dogoniła - burknął Xenon.

- Owszem, wiem. Ledwie naciągnąłeś cięciwę. Patrzyłem.

Zaczęli się kłócić od początku.

Teppic wpatrywał się w kubek z winem. Ci ludzie są filozofami, myślał. Sami mu powiedzieli. Dlatego ich umysły muszą być tak przestronne, że mieszczą idee, których nikt inny nie rozważałby nawet przez pięć sekund. Po drodze do tawerny Xenon wytłumaczył mu, na przykład, że logicznie niemożliwy jest upadek z drzewa.

Teppic opisał mu zniknięcie królestwa, choć nie zdradzał swojej w nim funkcji. Nie miał doświadczenia w takich sprawach, ale był niemal pewien, że królowie nieposiadający już królestw nie są zbyt popularni w krajach ościennych. Jednego czy dwóch takich widział w Ankh-Morpork - pozbawieni tronów monarchowie, uciekający przed swymi niebezpiecznymi nagle państwami na gościnne łono

Ankh. Zabierali ze sobą tylko ubrania na grzbiecie i kilka wozów klejnotów. Miasto witało serdecznie każdego - niezależnie od rasy, koloru, klasy czy wyznania - kto tylko w ogromnych ilościach wydawał pieniądze. Mimo to inhumacja nadmiarowych władców była stałym źródłem zleceń dla Gildii Skrytobójców. Zawsze w domu zostawał ktoś, kto wolał się upewnić, że zrzucony z tronu monarcha już taki pozostanie. Tak to bywa - dziś następca, jutro przestępca.

- Myślę, że zaplątaliśmy się w geometrię - powiedział z nadzieją. - Słyszałem, że w geometrii jesteście tu dobrzy - dodał - i może potraficie mi poradzić, jak tam wrócić.

- Geometria to nie moja dziedzina - odparł Ibid. - Jak pewnie wiesz.

- Przepraszam...

- Nie czytałeś moich „Pryncypiów rządu idealnego”?

- Obawiam się, że nie.

- A moje „Dialogi o konieczności historycznej”?

- Nie.

Ibid był załamany.

- Och - westchnął.

- Ibid jest powszechnie znanym autorytetem we wszystkim - wyjaśnił Xenon. - Oprócz geometrii. I dekoracji wnętrz. I elementarnej logiki.

Ibid spojrzał na niego gniewnie.

- A może ty? - spytał Teppic. Xenon osuszył kubek.

- Moja specjalność to niszczące badania aksjomatów - odparł. - Tobie potrzebny jest Ptagon. Bystry facet z kątami.

Przerwał im stukot kopyt. Kilku jeźdźców przemknęło z wielką szybkością obok tawerny i wjechało w kręte uliczki miasta. Wydawali się bardzo czymś przejęci.

Ibid wyjął z pucharu i odłożył na stół ogłuszoną mewę. Zamyślił się.

-Jeśli Stare Państwo naprawdę zniknęło... - zaczął.

- Zniknęło - potwierdził Teppic. - To nie jest coś, w czym można się pomylić.

- To znaczy, że nasza granica przylega do granicy Tsortu - rzekł z mocą Ibid.

- Słucham?

- Nic nie ma między nami - wyjaśnił filozof. - O bogowie... To znaczy, że będziemy musieli wydać wojnę.

- Dlaczego?

Ibid otworzył usta, zamknął je i zwrócił się do Xenona.

- Dlaczego to znaczy, że będziemy musieli wydać wojnę? -zapytał.

- Imperatyw historyczny - odparł Xenon.

- A tak. Wiedziałem, że to coś w tym rodzaju. Obawiam się, że jest nieunikniona. To straszne, ale tak już bywa.

Znowu zastukały kopyta i kolejny oddział jeźdźców wypadł zza rogu. Tym razem zmierzali w dół. Na głowach mieli zdobne w pióropusze hełmy efebiańskiej armii i krzyczeli coś z entuzjazmem.

Ibid poprawił się na ławie i założył ręce na piersi.

- To pewnie ludzie Tyrana - uznał, gdy oddział przejechał przez bramę miasta i pognął w głąb pustyni. - Wysła ich, żeby sprawdzić. To oczywiste.

Teppic naturalnie wiedział o wrogości dzielącej Tsort i Efeb. Stare Państwo ciągnęło z niej spore zyski, gwarantując kupcom obu stron dyskretne miejsce, gdzie mogli ze sobą handlować. Zabębnił palcami po stole.

- Nie walczyliście ze sobą od tysięcy lat - przypomniał. -W tamtych czasach byliście małymi krajami. To była drobnostka. Teraz jesteście wielcy. Ludzie mogą ucierpieć. Czy to was nie obchodzi?

- To kwestia dumy - odparł Ibid, lecz w jego głosie zabrzmiała niepewność. - Myślę, że nie mamy wyboru.

- Wszystko przez tę przeklętą drewnianą krowę czy co to było - dodał Xenon. - Nigdy nam tego nie wybaczili.

- Jeśli my ich nie zaatakujemy, oni zaatakują pierwsi.

- Właśnie. Dlatego lepiej wyprowadzić uderzenie odwetowe, zanim oni zdążą uderzyć.

Obaj filozofowie spoglądali po sobie z zakłopotaniem.

- Z drugiej strony - odezwał się Ibid - w czasie wojny trudno jest myśleć rozsądnie.

- To fakt - zgodził się Xenon. - Zwłaszcza zabitym. Zapadła nerwowa cisza, zakłócana jedynie głosem Ptraci, śpiewającej coś żółwiowi, i z rzadka piskiem trafionej mewy.

- Jaki dziś dzień? - zapytał w końcu Ibid.

- Wtorek - odparł Teppic.

- Wpadłem chyba na doskonały pomysł. Przyjdź na sympozjum. Odbywamy je co wtorek. Będą tam najtęższe umysły Efebu. Sprawa wymaga przemyślenia.

Zer tknął na Ptraci.

- Jednakże - dodał - twoja młoda kobieta nie może wziąć w nim udziału. Kobietom wstęp jest absolutnie zabroniony. Mózgi im się przegrzewają.

Król Teppicymon XXVII otworzył oczy. Piekielnie tu ciemno, pomyślał.

I uświadomił sobie, że słyszy bicie własnego serca, trochę przytłumione i dobiegające gdzieś z boku.

Wtedy sobie przypomniał.

Żył znowu. I tym razem żył w kawałkach.

Sam nie wiedział czemu, ale zawsze sądził, że kiedy człowiek trafia do krainy umarłych, składają go jakoś, jak któryś z modeli Grinjera.

Weź się w garść, chłopie, pomyślał. Tylko ty możesz złożyć się razem.

Dobrze, myślał dalej. Było przynajmniej sześć naczyń. Moje oczy są w którymś z nich. Najlepiej byłoby zdjąć pokrywkę, żebym widział, co robię.

To będzie wymagało działania ramion, nóg i palców. Trudna sztuka.

Ostrożnie wyciągnął rękę na zeszywniałych stawach, i zlokalizował coś ciężkiego. Miał wrażenie, że to coś może ustąpić, więc niezgrabnie podniósł drugą rękę, Oparł obok pierwszej i pchnął.

Huknęło z daleka i ogarnęło go wyraźne poczucie otwartości. Usiadł, trzeszcząc przy każdym ruchu.

Nadal ograniczały go ściany ceremonialnego sarkofagu, ale ku swemu zaskoczeniu odkrył, że jeden powolny ruch ręką zmiotł je jak kawałki papieru. To pewnie marynowanie i wypychanie, uznał. Dodają sił.

Wymacał drogę do brzegu płyty, przerwał na chwilę, próbując z przyzwyczajenia odchrząknąć, spuścił ciężkie nogi na ziemię i zrobił pierwszy niepewny krok nowo zmartwychwstałego.

Zdumiewająco trudno jest chodzić z nogami pełnymi siana, gdy mózg kieruje wszystkim ze słoja oddalonego o dziesięć stóp. Dotarł jednak aż do ściany i posuwał się wzdłuż niej, dopóki trzask nie zdradził, że trafił na półkę z kanopami. Po omacku zdjął pokrywkę pierwszej i delikatnie sięgnął do wnętrza.

To pewnie mózg, pomyślał z maniacką wesołością, bo słoma tak nie chlupie. Zebrałem myśli, haha.

Sprawdził jeszcze jeden czy dwa słoje, aż eksplozja światła odpowiedziała, że znalazł ten, w którym były oczy. Widział swą obandażowaną dłoń sięgającą w dół, rosnącą coraz bardziej... Ostrożnie wziął oczy.

To chyba najważniejsze kawałki, uznał. Reszta może poczekać. Może

kiedy trzeba będzie coś zjeść i tak dalej...

Odwrócił się i zobaczył, że nie jest sam. Obserwowali go Dii i Gern. Żeby wcisnąć się głębiej w kąt pokoju, musieliby się urodzić z trójkątnymi kręgosłupami.

- Aha. Witajcie, dobrzy ludzie - odezwał się król, świadom, że jego głos brzmi nieco głucho. - Tyle o was wiem... Chciałbym uścisnąć wam dłoń... - Spojrzał. - Chociaż akurat teraz obie mam zajęte.

- Gkkk - odpowiedział Gern.

- Moglibyście trochę mnie poskładać, prawda? - Król zwrócił się do Dila. - Nawiasem mówiąc, twoje ściegi trzymają doskonale. Dobra robota.

Zawodowa duma przełamała barierę grozy.

- Żyjecie, panie? - wykrztusił Dii.

- O to przecież chodziło, prawda?

Dii przytaknął. Właśnie o to. Zawsze wierzył, że to prawda. Chociaż nigdy się nie spodziewał, że zdarzy się rzeczywiście. Ale zdarzyło się, a pierwsze słowa, no, prawie pierwsze słowa, jakie padły, chwaliły jego pracę. Dumnie wypiął pierś. Nikt w gildii nie otrzymał jeszcze gratulacji od klienta.

- No i co? - zawołał do Gerna, którego łopatki raz po raz próbowały przekopać się przez ścianę. - Słyszałeś, co powiedziano twojemu mistrzowi?

Król znieruchomiał. Przyszło mu do głowy, że coś się tutaj nie zgadza. Oczywiście, kraina umarłych jest podobna do krainy żywych, tyle że lepsza, i z pewnością jest tam wielu służących i tak dalej. Ale wydawała się zbyt podobna do tego świata. I miał niemal pewność, że Dii i Gern nie powinni jeszcze tu trafić. Zresztą i tak go uczono, że ludzie pospolici mają własną krainę umarłych, gdzie czują się swobodniej, mogą spotykać innych ze swojej sfery, potrafią się zachować i mają właściwe towarzystwo.

- Chwileczkę - rzucił. - Chyba coś przeoczyłem. Nie jesteście martwi, prawda?

Dii nie od razu odpowiedział. Widział dziś takie rzeczy, że wcale nie był pewny. W końcu jednak zmuszony był przyznać, że prawdopodobnie jeszcze żyje.

- Więc co się dzieje? - zapytał król.

- Nie wiemy, o władco. Naprawdę. Wszystko się spełniło, o fontanno wód.

- To znaczy co?

- Wszystko!

- Wszystko?

- Słońce, o panie! I bogowie! Są wszędzie, o władco niebios!

- Weszliśmy tylną bramą - dodał Gern, który osunął się na kolana. - Wybacz nam, o panie sprawiedliwy, który powróciłeś, by przekazać nam swą wielką mądrość i w ogóle. Przepraszam za siebie i Glwendę, to była chwila, jak to się nazywa, szalonej namiętności, nie panowaliśmy nad sobą. I to właśnie ja...

Dii uciszył go machnięciem ręki.

- Przepraszam - zwrócił się do mumii władcy. - Czy moglibyśmy zamienić parę słów na osobności? Jak mężczyzna z...

- Z trupem? - podpowiedział król, żeby trochę go uspokoić. - Oczywiście.

Przeszli na drugi koniec komnaty.

- Chodzi o to, o łaskawy królu wszystkich... - zaczął Dii konspiracyjnym szeptem.

- Myślę, że możemy to sobie darować - przerwał mu król. - „Królu” zupełnie wystarczy.

- Chodzi więc o to... królu... - zaczął ponownie Dii, czując dreszcz radości, że traktują go jak równego. - Młody Gern uważa, że to wszystko jego wina. Powtarzałem mu wiele razy, że bogowie nie zadawaliby sobie tyle trudu z powodu jednego dorastającego chłopca z potrzebami, jeśli rozumiecie, królu, co mam na myśli. - Zastanowił się i dodał z nadzieją: - Nie zadawaliby sobie, prawdy?

- Coś takiego nie powinno nawet przyjść ci do głowy - zapewnił stanowczo król. - W przeciwnym razie nie mielibyśmy przez nich chwili spokoju.

- Tak samo mu tłumaczyłem. - Dii odetchnął z ulgą. - To dobry chłopak, królu, ale jego matka... Jest trochę dziwna, jeśli chodzi o religię. Nie mielibyśmy chwili spokoju, tak właśnie powiedziałem. Byłbym wdzięczny, królu, gdybyście zechcieli zamienić z nim parę słów, no wiecie, uspokoić go trochę...

- Z przyjemnością - zgodził się łaskawie władca. Dii przysunął się bliżej.

- Chodzi o to, królu, że ci bogowie, znaczy, nie są tacy, jak powinni. Przyglądaliśmy się im, królu. To znaczy, ja się przyglądałem. Wyszedłem na dach. Gern nie, bo wlaź pod ławę. Są nie tacy, królu.

- A co ci się nie podoba?

- Przede wszystkim są tutaj, królu. Tak być nie powinno. Znaczy, nie powinni tu przychodzić naprawdę. A oni tylko łożą dookoła, biją się między sobą i krzyczą na ludzi. - Rozejrzał się czujnie i dokończył: - Tak między nami, królu, to nie wyglądają na szczególnie inteligentnych.

Król pokiwał głową.

- A co robią kapłani? - zapytał.

- Widziałem, jak wrzucają się nawzajem do rzeki. Król znowu kiwnął głową.

- To chyba dobrze - doszedł do wniosku. - Wreszcie odzyskali rozsądek.

- Wiecie, co myślę, królu? - mówił dalej Dii. - Wszystko, w co wierzyliśmy, teraz się spełnia. I słyszałem jeszcze coś, królu. Dziś rano, tylko że to nie było rano, rozumiecie, bo słońce świeci ciągle tak samo, królu, i nie jest to przyzwoite słońce, ale w każdym razie dziś rano paru żołnierzy próbowało się wydostać drogą do Efebu. I wiecie, królu, co odkryli?

- Co odkryli?

- Że droga z kraju prowadzi do kraju. - Dii cofnął się o krok, by lepiej zilustrować tę sensacyjną wiadomość. - Weszli na górę, na skały, a potem nagle schodzili w dół drogą od Tsortu. Ona tak jakby zwija się w sobie. Jesteśmy zamknięci, królu. Zamknięci razem z bogami.

A ja jestem zamknięty we własnym ciele, pomyślał król. Wszystko, w co wierzymy, teraz się spełnia. A to, w co wierzymy, nie jest tym, w co myśleliśmy, że wierzymy.

Myślimy, że wierzymy w bogów mądrych, sprawiedliwych i potężnych, ale tak naprawdę wierzymy, że są jak nasz ojciec po ciężkim dniu pracy. Myślimy też, że wierzymy w krainę umarłych jako coś w rodzaju raju, ale tak naprawdę wierzymy, że jest tutaj i że idziemy tam we własnym ciele, a teraz ja w niej jestem i nigdy się nie wydostanę. Nigdy, nigdy.

- Co mój syn miał do powiedzenia w tej sprawie?

Dii odkaszlnął. A było to groźne kasznięcie. Hiszpanie używają odwróconego znaku zapytania, by zaznaczyć, że to, co zaraz usłyszymy, jest pytaniem. Takie kasznięcie zaznacza, że to, co za chwilę usłyszymy, jest pieśnią żałobną.

- Nie wiem, jak wam to powiedzieć, królu...

- No gadaj, człowieku!

- Mówią, królu, że on nie żyje. Mówią, że sam się zabił i uciekł.

- Zabił się?

- Przykro mi, królu.

- A potem uciekł?

- Podobno na wielbłądzie.

- Nasza rodzina jest bardzo aktywna na tamtym świecie, nieprawdaż? - zauważył król sarkastycznie.

- Słucham, królu?

- Chcę powiedzieć, że te dwa stwierdzenia są wzajemnie sprzeczne.

Twarz Dila przybrała uprzejmie tępy wyraz.

- To znaczy, że oba nie mogą równocześnie być prawdziwe - odpowiedział król.

- Ehem... - odparł Dii.

- Tak, ale ja jestem przypadkiem szczególnym - wyjaśnił król z kwaśną miną. - W tym królestwie wierzymy w życie po śmierci pod warunkiem wcześniejszej mumi...

Przerwał nagle.

Rzecz była zbyt straszna, by o niej myśleć. Myślał jednak przez dłuższą chwilę.

- Musimy coś na to poradzić - orzekł wreszcie.

- Chodzi o waszego syna, królu? - upewnił się Dii.

- Mniejsza o mojego syna. Nie zginął. Wiedziałbym coś o tym. Sam potrafi się o siebie zatroszczyć, w końcu jest moim synem. Martwię się o swoich przodków.

- Przecież oni umarli... - zaczął Dii.

Wspomniano już, że Dii miał bardzo słabo rozwiniętą wyobraźnię. W takiej pracy słabo rozwinięta wyobraźnia jest cechą niezwykle istotną. Ale oczyma duszy zobaczył panoramę piramid, rozciągającą się wzdłuż rzeki. Następnie oczy jego duszy zanurkowały i przeniknęły kamienne wrota, jakich nie pokonałby żaden złodziej.

Usłyszały drapanie.

Usłyszały uderzenia.

Usłyszały stłumione krzyki.

Król położył mu na ramieniu swą obandażowaną rękę.

- Wiem, że dobrze sobie radzisz z igłą, Dilu - rzekł. - Powiedz, czy równie dobrze radzisz sobie z młotem?

Kopolimer, najślynniejszy gawędziarz w historii, siedział na ławie i uśmiechał się promiennie do najtęższych umysłów świata, zebranych przy zastawionym stole. Teppic dodał kolejny element do swego zapasu świeżo zdobytej wiedzy. „Symposium” oznaczało herbatkę z nożem i widelcem.

- A więc... - odezwał się Kopolimer i zaczął opowieść o Wojnie Tsortiańskiej.

- Widzicie, zdarzyło się, że on zabrał ją ze sobą, a jej ojciec... nie stary król, to był ten poprzedni, ten z tym, no, jak mu było, ożenił się z taką dziewczyną spod Elharibu, miała zęza, jakże jej było, zaraz, zaczynało się na P. Albo na L. W każdym razie na jedną z tych liter. Jej ojciec miał wyspę w zatoce, chyba Papylos. Nie, skłamałem, to była Crinix. No i król, ten drugi król, zwołał armię i... Elenora, tak się nazywała. Miała zęza, jak wiecie. Ale była całkiem atrakcyjna, podobno. Kiedy mówię „ożenił się”, mam nadzieję, że nie muszę wam tego tłumaczyć. Wiecie, to było trochę nieoficjalne. Ehem.

No więc był tam ten drewniany koń, a oni dostali się do środka... Mówiłem wam o koniu? To był koń. Jestem prawie pewien, że koń. A może kurczak. Następnym razem zapomnę, jak się nazywam! To był pomysł tego, no, tego, co utykał. Tak. Utykał na nogę, znaczy. Wspominałem już o nim? Była taka bitwa. Nie, to chyba ta druga. Tak. W każdym razie ta drewniana świnią, demonicznie sprytny pomysł. Zrobili ją z tego, no, mam na końcu języka. Z drewna. Ale to, wiecie, było później. Bitwa! Byłbym zapomniawszy o bitwie. Tak. Niezła była bitwa. Wszyscy walili mieczami w tarcze i wrzeszczeli. A zbroja tego, jak mu było, lśniła jak lśniąca zbroja. Bitwa jak półtorej bitwy, ot co. Między tamtym... nie tym, co utykał, ale tym drugim, jak mu tam, z rudymi włosami. No wiecie. Taki wysoki, trochę seplenił. Zaraz, przypomniałem sobie, że on pochodził z innej wyspy. Nie ten. Ten drugi, co utykał. Nie chciał jechać, powiedział, że chyba oszalał. Oczywiście, że oszalał jak nie wiem co, zdecydowanie. Sami pomyślcie: drewniana krowa! Jak powiedział tamten, no, król, nie, nie ten król, ten drugi, zobaczył kozę i powiedział: „Lękam się Efebian, zwłaszcza kiedy są tak szaleni, że zostawiają wściekle wielką drewnianą trzodę pod drzwiami, trzeba przyznać, że to bezczelność, myślą chyba, że urodziłem się wczoraj; podpalcie to”. I oczywiście ten, no, wdarł się od tyłu i wszyscy poszli pod miecz; ale się śmiał! Wspominałem już, że miała zeza? Mówili, że jest piękna, ale ludzie mają różne gusta. Tak. W każdym razie tak się stało. I teraz, oczywiście, ten pierwszy... miał chyba na imię Melycanus i utykał... chciał wracać do domu i trudno się dziwić, siedzieli tam strasznie długo i lat mu nie ubywało. Dlatego wymyślił ten numer z drewnianym czymś. Tak. Skłamałem, Lavaeolus to ten z kolanem. Świetna bitwa, ta bitwa, możecie mi wierzyć. Umilkł, zadowolony z siebie.

- Doskonała bitwa - wymruczał jeszcze i z lekkim uśmiechem zapadł w drzemkę.

Teppic uświadomił sobie, że siedzi z otwartymi ustami. Zamknął je. Przy stole kilku obecnych ocierało oczy.

- Magia - stwierdził Xenon. - Czysta magia. Każde słowo jak frędzel na baldachimie Czasu.

- I jak pamięta każdy najmniejszy szczegół - szepnął Ibid. - Wszyściutko.

Teppic rozejrzał się i szturchnął siedzącego obok Xenona.

- Kim są wszyscy? - zapytał.

- Ibida już znasz. I Kopolimera. Ten tam to Jezop, najwspanialszy twórca bajek na świecie. A tam Antyfon, największy autor sztuk komicznych na świecie.

- Gdzie jest Ptagon? - zainteresował się Teppic. Xenon wskazał koniec stołu, gdzie ponury, sporo pijący mężczyzna usiłował określić kąt między dwoma bułeczkami.

- Później cię przedstawię - obiecał.

Teppic spoglądał wokół siebie na łyse czaszki i długie siwe brody, które sprawiały wrażenie oznaki urzędu. Jeśli ktoś miał łysą czaszkę i siwą brodę, dowodziło to zapewne, że to, co leży między nimi, aż tryska mądrością. Jedynym wyjątkiem był Antyfon, który wyglądał jak zrobiony z wieprzowiny.

To wspaniałe umysły, mówił sobie Teppic. To ludzie, którzy próbują zrozumieć, jak świat jest dopasowany - nie przez magię, nie przez religię, ale wciskając rozum w każdą znalezioną szczelinę i starając się ją poszerzyć.

Ibid uderzył w stół, prosząc o ciszę.

- Tyran wezwał do wojny z Tsortem - zawołał. - Rozważmy zatem pozycję wojny w republice idealnej. Niezbędna jest...

- Przepraszam, mógłbyś podać seler? - przerwał mu Jezop. - Dziękuję.

- ...idealna republika, jak już mówiłem, oparta na prawach podstawowych, które rządzą...

- I sól. Stoi ci koło łokcia.

- ...prawach podstawowych, właśnie, które rządzą wszystkimi ludźmi. Nie ulega jednak wątpliwości, że wojna... Czy mógłbyś przestać?

- To seler - wyjaśnił Jezop, chrupiąc z satysfakcją. - Nie ma na to rady.

Xenon przyjrzał się podejrzliwie temu, co miał na widelcu.

- Zaraz, to przecież mątwą - stwierdził. - Nie prosiłem o mątwę. Kto zamawiał mątwę?

- ...bez wątpienia - powtórzył Ibid, lekko podnosząc głos. - Bez wątpienia, jak sądzę...

- To chyba kuskus z jagnięciem - oświadczył Antyfon.

- Ty chciałeś mątwę?

- Zamawiałem maridę i dolmady.

- To ja zamawiałem jagnięcinę. Podaj, z łaski swojej.

- Nie pamiętam, żeby ktoś zamówił tyle chleba z czosnkiem - protestował Xenon.

- Niektórzy z nas usiłują rozważyć pewną koncepcję filozoficzną - rzucił ironicznie Ibid. - Ale nie chcielibyśmy ci przeszkadzać.

Ktoś rzucił w niego chlebem.

Teppic patrzył na to, co trzymał na widelcu. Owoce morza były w królestwie nieznane, a obiekt na talerzu miał za wiele przyssawek i dyszy, żeby zachęcać do jedzenia. Uniósł gotowany liść winorośli i był niemal pewien, że zobaczył, jak coś ucieka za oliwkę.

Aha. Warto zapamiętać: Efebianie robią wino ze wszystkiego, co zdołają wcisnąć do wiadra, a jedzą wszystko, co nie potrafi się z niego wydostać.

Widelcem przesuwiał jedzenie po talerzu. Część potrawy stawiała opór.

Filozofowie nie słuchali siebie nawzajem. I nie trzymali się tematu. Tak pewnie wygląda mokracja w działaniu.

Kawałek chleba przetoczył się po stole. Aha, i za bardzo się podniecają.

Zauważył siedzącego naprzeciw szczupłego człowieczka, przeżuwającego z godnością jakąś anonimową mackę. Poza Ptagonalem geometrą, który w tej chwili ponuro wyliczał promień swojego talerza, był jedyną osobą, nie wyjaśniającą swoich poglądów ile sił w płucach. Czasami notował coś na skrawku pergaminu i wsuwał go pod togę.

Teppic pochylił się w jego stronę. Na drugim końcu stołu Jezop, zachęcany pestkami oliwek i kawałkami chleba, zaczął długą bajkę o lisie, indyku, gęsi i wilku, którzy założyli się, kto dłużej wytrzyma pod wodą z ciężarami uwiązanymi do nóg.

- Przepraszam bardzo... - Teppic starał się przekrzyczeć gwar. - Kim jesteś?

Człowieczek popatrzył na niego skromnie. Miał ogromne uszy. W pewnym oświetleniu można by go wziąć za bardzo wąski dzban.

- Jestem Endos - przedstawił się.

- Dlaczego nie filozofujesz? Endos rozciął dziwnego mięczaka.

- Właściwie nie jestem filozofem - wyjaśnił.

- Ani dowcipnym dramatopisarzem, ani nikim takim?

- Obawiam się, że nie. Jestem Słuchaczem. Nazywają mnie Endos Słuchacz.

- To fascynujące - przyznał odruchowo Teppic. - A na czym to polega?

- Na słuchaniu.

- Słuchaniu?

- Za to mi płacą. Czasem kiwam głową. Albo się uśmiecham. Albo kiwam i uśmiecham się jednocześnie. Wiesz, zachęcająco. Oni to lubią.

Teppic poczuł, że powinien wygłosić jakiś komentarz.

- O rany - rzekł.

Endos skinął zachęcająco głową i uśmiechnął się w sposób sugerujący, że ze wszystkich rzeczy na świecie, jakie mógłby robić w tej chwili, nie ma nic tak fascynującego jak słuchanie Teppica. Chodziło chyba o jego uszy. Sprawiły wrażenie audialnej czarnej dziury, błagającej, by wypełnić ją słowami. Teppic poczuł nieprzepartą ochotę, by opowiedzieć Endosowi o swoim życiu, marzeniach i nadziejach...

- Założę się - powiedział - że płacą ci mnóstwo pieniędzy. Endos obdarzył go serdecznym uśmiechem.

- Wiele razy słuchałeś opowieści Kopolimera? Endos przytaknął i uśmiechnął się, choć w jego oczach pojawił się cień bólu.

- Przypuszczam - kontynuował Teppic - że twoje uszy po jakimś czasie rozwinęły ochronne szorstkie powierzchnie. Endos kiwnął głową.

- Mów dalej - zachęcił.

Teppic zerknął na Ptagonala, który w swojej taramasalacie smętnie kreślił kąty proste.

- Chętnie zostałbym tu i przez cały dzień słuchał, jak mnie słuchasz - zapewnił. - Ale muszę porozmawiać z tym człowiekiem.

- Zdumiewające - rzekł Endos, zanotował coś i zwrócił uwagę na rozmowę w dalszej części stołu.

Jeden z filozofów oświadczył, że chociaż prawda to piękno, jednakże piękno wcale nie musi być prawdą, i wybuchła bójka. Endos słuchał uważnie[24].

Teppic przeszedł wzdłuż stołu do miejsca, gdzie Ptagonali siedział pogrążony w nieutulonym żalu i w tej chwili zaglądał podejrzliwie pod warstwę ciasta.

Teppic zerknął mu przez ramię.

- Chyba coś się tam poruszyło - zauważył.

- Aha - rzekł geometra, zębami wyciągając korek z amfory. - Tajemniczy młody człowiek w czerni, z zaginionego królestwa.

- Miałem nadzieję, że pomożesz mi je odnaleźć. Słyszałem, że miałeś kilka bardzo niezwykłych idei.

- To musiało nastąpić - oświadczył Ptagonal. Wyjął dwa suwaki i starannie zmierzył ciasto. - Czy to stała? Jak ci się wydaje? Nieprzyjemna koncepcja.

- Słucham? - nie zrozumiał Teppic.

- Średnica mieści się w obwodzie. No wiesz. Powinna się zmieścić trzy razy. Tak można by pomyśleć. Ale czy naprawdę? Nie. Trzy przecinek jeden cztery jeden i mnóstwo innych cyferek. Nie ma końca małym łobuzom. Wiesz, jak mnie to denerwuje?

- Myślę, że denerwuje cię to nieopomiernie - odparł uprzejmie Teppic.

- Właśnie. Fakt ten mówi mi, że Stwórca używał nieodpowiednich kół. To nawet nie jest porządna liczba! Rozumiesz, trzy przecinek pięć można by uszanować. Albo trzy przecinek trzy. To by wyglądało jak należy.

Smętnie wpatrywał się w ciasto.

- Przepraszam, ale mówiłeś chyba, że to musiało nastąpić...

- Co? - spytał Ptagonal z głębin swego zasmucenia. - Pij! - zaproponował.

- Co musiało nastąpić? - podpowiedział Teppic.

- Nie ma żartów z geometrią, przyjacielu. Piramidy? Niebezpieczne zabawki. Sami się prosili o kłopoty. - Ptagonal sięgnął niepewnie po puchar z winem. - Niby jak długo, ich zdaniem, mogli je budować większe i większe?

Znaczy, ich zdaniem, skąd się brała ta energia? Przecież... - czknął - tam byłeś, prawda? Zauważyłeś, jakie tam wszystko wydaje się powolne?

- O tak - przyznał chłodno Teppic.

- To dlatego, że wysysają cały czas. Piramidy. I muszą go wypalić. Nazywają to flarami. Uważają, że ładnie wyglądają, ale one spalają ich czas!

- Wiem tylko, że powietrze sprawia wrażenie, jakby je ktoś wygotował w skarpecie. I nic się naprawdę nie zmienia, nawet jeśli nie zostaje takie samo.

- No właśnie. A powód jest taki, że to czas przeszły. Używają czasu przeszłego na nowo, bez przerwy. Piramidy zabierają nowy czas. A jeśli piramida nie może go wypalić, energia narasta... - Przerwał. - Przypuszczam - podjął - że w końcu ucieka pęknięciem. W przestrzeni.

- Byłem tam, zanim królestwo, no, zniknęło - wyjaśnił Teppic. - Zdawało mi się, że widziałem, jak piramida się obraca.

- No i widzisz. Prawdopodobnie przesunęła wymiary o dziewięćdziesiąt stopni - doszedł do wniosku Ptagonał pewnym głosem prawdziwie pijanego.

- To znaczy, że długość jest wysokością, a wysokość szerokością? Ptagonał pogroził mu drżącym palcem.

- Nienienie - zawołał. - Długość jest wysokością, wysokość głębokością, głębokość szerokością, a szerokość... - czknął - ...czasem. To też wymiar, rozumiesz? Czterech jest drani. A czas do nich należy. Dziewięćdziesiąt cosiów do pozostałych trzech. Stopni, znaczy się. Tylko że, tylko że nie może istnieć w tym świecie, więc to miejsce musiało tak jakby przeskoczyć kawałek w bok. Rozumiesz? W przeciwnym razie ludzie by się starzeli, chodząc w bok. - Zajrzał smętnie w głębie swego pucharu. - I w każde urodziny przybywałyby ci kolejna mila - dodał.

Teppic spojrział na niego przerażony.

- Tu właśnie masz czas i przestrzeń - mówił Ptagonal. - Gdybyś nie uważał, mógłbyś je całkiem poprzekręcać. Trzy przecinek jeden cztery jeden. Jak można nazwać taką liczbę?

- Brzmi okropnie...

- Zgadza się. Gdzieś... - Ptagonal zaczął chwiać się na ławie. - Gdzieś ktoś zbudował wszechświat z porządną, przyzwoitą wartością... - Rozejrzał się tępo. - Pij. Nie z jakąś przekłętą liczbą, która nigdy się nie kończy. Co to za...

- Chodziło mi o ludzi, którzy się starzeją od chodzenia!

- Nie wiem. Mógłbyś przejść się na spacer do miejsca, gdzie miałeś osiemnaście lat. Albo podbiec kawałek i sprawdzić, czy dobrze wyglądasz jako siedemdziesięcioletek. Ale podróże w poprzek, tak, to by była sztuka.

Ptagonal uśmiechnął się z roztargnieniem i bardzo wolno runął w swój posiłek, którego część odsunęła się szybko[25].

Teppic uświadomił sobie, że filozoficzny gwar nieco przycichł. Rozejrzał się i zauważył, że Ibid przemawia.

- To się nie uda - stwierdził wielki mąż. - Tyran nas nie posłucha. Zresztą... - zerknął na Antyfona - ..nie wszyscy jesteśmy jednego zdania.

- Trzeba udzielić lekcji tym przekłętym Tsortianom - rzekł surowo Antyfon. - Na tym kontynencie nie ma miejsca na dwa wielkie mocarstwa. Zresztą sami zaczęli, tylko dlatego, że wykradliśmy im królową. Młodość ma swoje prawa, trzeba ustąpić przed potęgą miłości...

Przebudził się Kopolimer.

- Źle zapamiętałeś - odezwał się łagodnie. - Wielka wojna wybuchła, ponieważ to oni wykradli naszą królową. Jakże miała na imię... Twarz, co tysiące wielbłądów wyprawiała, zaczęło się na A albo T, albo...

- Wykradli? - krzyknął Antyfon. - To dranie!

- Jestem prawie pewien - zastrzegł się Kopolimer.

Teppic osunął się na ławę obok Endosa Słuchacza. Endos nie skończył jeszcze jedzenia i miał minę człowieka, który postanowił chronić swój układ trawienny.

- Endosie...

Słuchacz starannie ułożył nóż i widelec po obu stronach talerza.

- Słucham?

- Oni wszyscy całkiem powariowali, prawda? - rzucił ze znużeniem Teppic.

- To niezwykle interesujące - przyznał Endos. - Mów dalej, proszę.

Dyskretnie sięgnął pod togę, wyjął skrawek pergaminu i podsunął delikatnie Teppicowi.

- Co to jest?

- Mój rachunek - wyjaśnił Endos. - Pięć minut Uważnego Słuchania. Większość moich klientów ma stałe konta, ale ty, jak rozumiem, jutro rano wyjeżdżasz.

Teppic zrezygnował. Wstał od stołu i wyszedł do chłodnego ogrodu, otaczającego cytadelę Efebu. Spomiędzy listowia wystawały białe marmurowe posągi starożytnych Efebian dokonujących bohaterskich czynów bez żadnej odzieży. Tu i tam dostrzegł figury tutejszych bogów. Trudno byłoby dostrzec różnicę. Teppic wiedział, że Dios często krytykował Efebian za posiadanie bogów wyglądających tak samo jak ludzie. Gdyby bogowie wyglądali jak wszyscy, zwykł mawiać, skąd ludzie by wiedzieli, jak ich traktować?

Teppicowi taki pomysł raczej się podobał. Według legendy efebiańscy bogowie byli całkiem jak ludzie, tyle że wykorzystywali swoją boskość dla osiągania rzeczy, z których ludzie na pewno by zrezygnowali. Ulubioną sztuczką efebiańskich bogów, o ile sobie przypominał, była przemiana w

jakieś zwierzę w celu zyskania względów wysoko postawionej kobiety. W pogoni za wybranką jeden z nich zmienił się podobno w złoty deszcz. Wszystko to kazało zadawać pytania dotyczące życia codziennego w wyszukany Efebie.

Znalazł Ptraci siedzącą pod topolą. Karmiła żółwia. Teppic przyjrzał mu się podejrzliwie na wypadek, gdyby był to jakiś bóg, próbujący swoich sztuczek. Żółw nie wyglądał na boga. Jeśli nawet nim był, to grał znakomicie.

Ptraci karmiła go liściem sałaty.

- Biedne małe stworzonko - powiedziała i podniosła głowę. - A, to ty - dodała obojętnie.

- Niewiele straciłaś. - Teppic usiadł na trawie. - To banda szaleńców. Kiedy wychodziłem, rozbijali talerze.

- To tradycyjne przy końcu efebiańskiego posiłku - oświadczyła Ptraci.

Teppic zastanawiał się chwilę.

- Dlaczego nie wcześniej? - spytał zdziwiony.

- Potem pewnie zaczną ptańczyć przy dźwiękach cytry. Myślę, że to jakiś owoc.

Teppic oparł głowę na rękach.

- Muszę przyznać, że świetnie mówisz po efebiańsku - zauważył.

- Dziękuję.

- Z minimalnym akcentem.

- Języki były częścią ptreningu - wyjaśniła. - A babka ptłumaczyła mi, że ślad obcego akcentu jest bardziej fascynujący.

- Nas uczyli tego samego - odparł Teppic. - Skrytobójca zawsze

powinien być odrobinę obcy, gdziekolwiek by się znalazł. W tym jestem dobry - dodał z goryczą.

Zaczęła masować mu grzbiet.

- Zeszłam do portu - wyznała. - Są tam te rzeczy, takie jak wielkie ptratwy, no wiesz, wielbłądy morza...

- Statki - domyślił się Teppic.

- Docierają wszędzie. Możemy wyruszyć, gdzie tylko zechcemy. Świat jest jak ta rzecz z perłami w naszej dłoni.

Teppic powtórzył jej, co mówił Ptagon. Nie wydawała się zaskoczona.

- Jak staw, do którego nie wpływa woda - uznała. - Dlatego każdy krąży i krąży wciąż w tej samej kałuży. Cały czas, w jakim żyjesz, został już przeżyty. Jest jak woda po kąpieli innych ludzi.

- Muszę tam wrócić. Jej palce znieruchomiały.

- Możemy wyruszyć, gdzie tylko zechcemy - powtórzyła. - Każde z nas ma zawód, moglibyśmy sprzedać wielbłąda. Pokazałbyś mi to Ankh-Morpork. Jest chyba ciekawe.

Teppic zastanowił się, jak podziła Ankh-Morpork na dziewczynę. A potem pomyślał, jak podziła Ptraci na Ankh-Morpork. Wyraźnie widział, że... że rozkwita. W Starym Państwie nie miała żadnej oryginalnej myśli, prócz tej, które winogrono wziąć do obrania. Odkąd jednak przekroczyła granicę, zmieniła się. Jej podbródek pozostał taki sam, wciąż był całkiem mały i - musiał przyznać - śliczny. Ale w jakiś sposób bardziej rzucał się w oczy. Dawniej patrzyła w ziemię, kiedy zwracała się do Teppica. Nadal, mówiąc, nie zawsze na niego patrzyła, ale to dlatego, że myślała o czymś innym.

Odkrył, że ma ochotę - bardzo delikatnie i bez żadnego nacisku - przypomnieć jej, że jest królem. Miał jednak przecucie, że odpowie, iż nie słyszała i czy mógłby uprzejmie powtórzyć, a kiedy na niego spojrzy, na

pewno nie zdoła tego zrobić.

- Możesz płynąć - powiedział. - Poradzisz sobie. Dam ci kilka adresów i nazwisk.

- A ty co zrobisz?

- Boję się nawet myśleć, co się dzieje w domu - odparł Teppic. - Powinienem jakoś temu zaradzić.

- Nie możesz. Po co próbować? Nawet jeśli nie chcesz być skrytobójcą, jest przecież wiele innych zajęć. I sam powiedziałaś: ten człowiek mówił, że nie można się tam przedostać. Nienawidzę piramid.

- Przecież na pewno zostali tam ludzie, o których się martwisz. Ptraci wzruszyła ramionami.

- Jeśli zginęli, nic na to nie poradzę - odparła. - A jeśli żyją, też nic na to nie poradzę.

Teppic przyglądał jej się z czymś w rodzaju lękliwego podziwu. Przedstawiła cudowne podsumowanie spraw, tyle że on nie mógł się zmusić do takiego myślenia. Przez siedem lat jego ciało przebywało daleko, ale krew trwała w królestwie tysiąc razy dłużej. Z pewnością chciał je opuścić. I na tym polegał problem. Powinno gdzieś być. Nawet gdyby unikał go przez całe życie, wciąż stanowiłoby rodzaj kotwicy.

- Paskudnie się z tym czuję - zapewnił. - Przykro mi. To całe wyjaśnienie. Muszę wrócić choćby na pięć minut, żeby powiedzieć: wiecie, już tu nie wrócę. To mi wystarczy. To wszystko chyba moja wina.

- Przecież nie ma drogi powrotnej! Będziesz tylko się włóczył, jak ci wygnani królowie, o których opowiadałaś. No wiesz, w wytartych płaszczach i wciąż żebrzący o jedzenie, chociaż na sposób arystokracji. Pomyśl o tym.

Poszli wolno ulicami zalanymi blaskiem zachodzącego słońca, w stronę portu. Wszystkie ulice w mieście prowadziły do portu.

Ktoś właśnie rozpalał stos w latarni morskiej. Latarnia, jeden z Więcej

Niż Siedmiu Cudów Świata, została wzniesiona według planów Ptagonala, wykorzystującego Złoty Podział i Pięć Zasad Estetyki. Niestety, zbudowano ją w niewłaściwym miejscu, gdyż postawiona we właściwym psułaby panoramę portu. Jednak marynarze powszechnie się zgadzali, że to przepiękna latarnia i miło jest na nią popatrzeć, czekając, aż ściągną statek ze skał.

W porcie tłoczyły się statki. Teppic i Ptraci omijali skrzynie i worki, aż dotarli do długiego, wygiętego falochronu. Z jednej strony panował spokój, z drugiej pienią się fale. Nad nimi płonęła latarnia.

Statki płynęły do miejsc, o których Teppic jedynie słyszał. Wiedział, że Efebianie są wielkimi kupcami. Mógłby wrócić do Ankh i odebrać dyplom. Wtedy świat rzeczywiście czekałby na niego jak mięczak, a Teppic miał przecież dość noży, by go otworzyć.

Ptraci wzięła go za rękę.

I nikt by go nie zmuszał, żeby ożenił się z własną krewną.

Miesiące spędzone w Djelibeybi wydawały się snem, jednym z tych powracających snów, o których nie można właściwie zapomnieć i które sprawiają, że bezsenność wydaje się atrakcyjną perspektywą. Tutaj zaś miał przed sobą przyszłość, rozwijającą się niczym dywan.

W takich chwilach potrzebny jest tylko znak, rodzaj książki z instrukcjami. Kłopot z życiem polega na tym, że nie ma okazji go przećwiczyć i od razu robi się to na poważnie. Wystarczy...

- Wielkie nieba! Teppic, prawda?

Głos dobiegał z wysokości kostek. Jakaś głowa wysunęła się nad nabrzeże, a tuż za nią przynależne jej ciało. Niezwykle bogato odziane ciało, któremu nie szczędzono wydatków na klejnoty, futra, jedwabie i koronki, pod warunkiem że wszystko, co do sztuki, było czarne.

Był to Chidder.

- Co teraz robi? - spytał Ptaclusp.

Jego syn ostrożnie wysunął głowę zza zrujnowanej kolumny i spojrzał na Sępiogłowego Boga Hata. - Obwąchuje wszystko - poinformował. - Myślę, że posąg mu się podoba. Powiedz szczerze, tato, po co kupowałeś coś takiego?

- To była sprzedaż wiązana. Poza tym myślałem, że ten styl zyska popularność.

- U kogo?

- Na przykład jemu się podoba.

Ptaclusp IIb zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na kanciaste okropieństwo, wciąż skaczące wśród ruin.

- Powiedz mu, że może go zabrać, byle sobie stąd poszedł - zaproponował. - Powiedz, że może go dostać po kosztach. Ptaclusp skrzywił się.

- Z bonifikatą - oznajmił. - Po obniżonej cenie, specjalnie dla naszych nadprzyrodzonych klientów.

Popatrzył na niebo. Ze swojej kryjówki w ruinach obozu budowniczych, z Wielką Piramidą buczącą im za plecami jak ogromny transformator, doskonale widzieli przybycie bogów. Z początku Ptaclusp odnosił się do nich dość obojętnie. Bogowie to dobrzy klienci, zawsze potrzebują świątyń i posągów; mógłby robić z nimi interesy, eliminując pośredników.

Dopiero potem przyszło mu do głowy, że bóg może być niezadowolony z produktu - co może się zdarzyć, na przykład tynk okaże się nie całkiem taki jak w specyfikacji albo róg świątyni osunie się z powodu nieprzewidzianych ruchomych piasków. Taki bóg nie przychodzi zwyczajnie do biura i

podniesionym głosem nie domaga się spotkania z kierownikiem. Nie. Bóg dokładnie wie, gdzie kto jest, i od razu przechodzi do rzeczy. W dodatku bogowie znani są z opóźniania płatności. Owszem, ludzie też, ale ludzie nie oczekują, żeby przed wyrównaniem rachunków dłużnik najpierw umarł.

Wzrok padł na drugiego syna, wymalowaną na de posągu sylwetkę z ustami znieruchomiałymi w zdumionym „O”. Ptaclusp podjął decyzję.

- Chyba mam już dość piramid - rzekł. - Przypomnij mi, chłopcze. Jeśli jakoś się stąd wydostaniemy, żadnych więcej piramid. Skostnieliśmy. Pora rozwinąć interes.

- Od wieków ci to powtarzam, tato! - zawołał Iib. - Mówiłem, parę porządných akweduktów będzie dla nas...

- Tak, tak. Pamiętam. Tak. Akwedukty. Wszystkie te łuki i w ogóle. Doskonale. Nie mogę sobie tylko przypomnieć, gdzie się wkłada sarkofag.

- Tato!

- Nie zwracaj na mnie uwagi, synu. Chyba tracę rozum. Nie mógł przecież naprawdę widzieć tam mumii i dwóch ludzi, niosących młoty...

Rzeczywiście, to był Chidder.

A Chidder miał statek.

Teppic wiedział, że dalej, na wybrzeżu, szeryf Al Khali mieszka w baśniowym pałacu Rhoxie, który podobno został w ciągu jednej nocy wzniesiony przez džinna, i trafił do mitów i legend ze względu na swój przepych[26]. „Nienazwana” była jak Rhoxie na wodzie, tylko bardziej. Jej projektant miał chyba kompleks winorośli, gdyż wszystkie złożone spiralne filary i kosztowne draperie udekorował winnymi gronami, pomalowanymi złotą farbą. Wykorzystał zresztą wszystko, by statek wyglądał mniej jak statek, a bardziej jak buduar skrzyżowany z bardzo podejrzanym typem

teatru.

Trzeba było wprawnego w odkrywaniu ukrytych detali oka skrytobójcy, by dostrzec, jak niewinnie przepych maskuje smukłość kadłuba, oraz że po dodaniu razem objętości kabin i ładowni, wciąż pozostawało bardzo dużo miejsca. Woda wokół tego, co Ptraci nazwała zaostrzonym końcem, marszczyła się dziwne, lecz absurdem byłoby podejrzenie, że tak wyraźnie handlowy statek ma ukrytą pod wodą ostrogę. Albo że zaledwie pięć minut pracy siekierą może zmienić ten nawodny alkazar w coś, co może uciec niemal przed wszystkimi, którzy pływają po wodzie, i sprawić, że tych kilku, którzy potrafią to dogonić, bardzo tego pożałuje.

- Robi wrażenie - przyznał Teppic.

- To wszystko tylko na pokaz - zapewnił Chidder.

- Tak, widzę.

- Chciałem powiedzieć, że jesteśmy biednymi kupcami. Teppic pokiwał głową.

- Zwykle mówi się: „biednymi, ale uczciwymi kupcami” - zauważył.

Chidder uśmiechnął się jak prawdziwy kupiec.

- Myślę, że na razie zostaniemy przy „biednych”. Ale mów, co u ciebie? Kiedy ostatnio się widzieliśmy, wyjeżdżałeś, żeby zostać królem w jakimś miejscu, o którym nikt nigdy nie słyszał. I kim jest ta piękna młoda dama?

- Ma na... - zaczął Teppic.

- Ptraci - powiedziała Ptraci.

- Jest pod... - zaczął Teppic.

- Z pewnością jest księżniczką królewskiej krwi - przerwał mu gładko Chidder. - Sprawi mi niezmierną przyjemność, jeśli zgodzi się... jeśli oboje się zgodzicie zjeść dzisiaj ze mną kolację. Prosta marynarska strawa, niestety,

ale radzimy sobie jakoś, radzimy.

- Ale nie efebiańska? - upewnił się Teppic.

- Okrętowe suchary, solone mięso, takie rzeczy - zapewnił Chidder, nie spuszczać wzroku z Ptraci. Nie spuszczał go zresztą od chwili, kiedy weszła na pokład.

Potem się zaśmiał. Był to stary, znajomy śmiech Chiddera, nie to, że pozbawiony wesołości, ale wyraźnie pod kontrolą wyższych ośrodków mózgowych.

- Cóż za niezwykle przypadek - zauważył. - Tym bardziej że odpływamy o świcie. Mogę wam zaproponować zmianę odzieży? Oboje wyglądacie na, hm... znużonych podróżą.

- Proste, marynarskie odzienie, jak przypuszczam - mruknął Teppic. - Jakie przystoi skromnemu kupcowi. Popraw mnie, jeśli się mylę.

W rzeczywistości Teppica odprowadzono do niewielkiej kajuty, wyposażonej starannie i bogato, jak złote jajo. Na łóżku czekały już liczne stroje. Lepsze trudno by znaleźć gdziekolwiek na brzegach Okrągłego Morza. Owszem, wszystkie wydawały się używane, ale dokładnie wyprane i fachowo pozszywane, tak że prawie nie było widać rozcięć po sztychach miecza. Teppic przyjrzał się hakom w ścianie i nieco jaśniejszym łątom na drewnie. Sugerowały, że kiedyś wisiały tu różne rzeczy, niedawno pospiesznie usunięte.

Wyszedł na wąski korytarz i spotkał Ptraci. Wybrała czerwoną dworską suknię, jakie były modne w Ankh dziesięć lat temu, z bufiastymi rękawami, szeroką krynoliną i krezą rozmiaru koła młyńskiego.

Teppic dowiedział się czegoś nowego: że atrakcyjne kobiety ubrane w kilka pasów gazy i parę łokci jedwabiu wyglądają jednak na bardziej godne pożądania niż okryte od stóp po szyję.

Ptraci zakręciła się na próbę.

- Tam jest mnóstwo podobnych rzeczy - oznajmiła. - Czy tak ubierają się kobiety w Ankh-Morpork? To jakby nosić na sobie dom. Można się spocić.

- Słuchaj, chodzi o Chiddera - szepnął z naciskiem Teppic. - To dobry chłopak i w ogóle, rozumiesz, ale...

- Jest bardzo uprzejmy - zgodziła się.

- No... Tak. Jest - westchnął zniechęcony Teppic. - To stary przyjaciel.

- Jak miło.

Ktoś z załogi zmaterializował się na końcu korytarza, skłonił się i wskazał im mesę. Zachowywał się jak stary sługa, choć wrażenie to psuła nieco siatka blizn na twarzy oraz kilka tatuaży, przy których ryciny z „Zamkniętego pałacu” wyglądałyby jak ilustracje podręcznika dla majsterkowiczów. Napinając bicepsy, potrafił robić z nimi takie rzeczy, że całe tawerny godzinami podziwiała zafascynowane. Nie wiedział jeszcze, że od najgorszych chwil życia dzieli go ledwie kilka minut.

- Naprawdę bardzo mi przyjemnie - zapewnił Chidder, nalewając wina. Skinął na człowieka z tatuażami. - Możesz podać supę, Alfonzie.

- Chiddy, chyba nie jesteś piratem? - zapytał wprost Teppic.

- To cię martwi? - Chidder uśmiechnął się leniwie. Nie tylko ta sprawa martwiła Teppica, jednak ona właśnie przebiła się na czołową pozycję. Kiwnął głową.

- Nie, nie jesteśmy piratami. Po prostu wolimy, hm, unikać biurokracji, jeśli to tylko możliwe. Sam wiesz. Chcemy zaoszczędzić ludziom kłopotu dowiadywania się o wszystko, co robimy.

- Ale wszystkie ubrania...

- Ach... Piraci często nas atakują. Właśnie dlatego ojciec kazał zbudować „Nienazwaną”. Zawsze ich zaskakuje. W dodatku ta działalność jest moralnie słuszna. Zabieramy ich statek, łupy, a więźniowie, jeśli są tacy,

zostają uratowani i dostarczeni do domu po cenach konkurencyjnych.

- A co robicie z piratami? Chidder zerknął na Alfonza.

- To zależy od perspektyw zatrudnienia - wyjaśnił. - Ojciec zawsze mówi, że kiedy szczęście odwróci się od człowieka, trzeba mu podać pomocną dłoń. Pod pewnymi warunkami, naturalnie. A jak ci idzie królowanie?

Teppic opowiedział. Chidder słuchał uważnie, kołysząc winem w kieliszku.

- Więc tak to wygląda - mruknął. - Słyszeliśmy, że szykuje się wojna. Dlatego odbijamy o świcie.

- Trudno mieć do ciebie pretensje.

- Nie; chcemy zorganizować handel. Z obydwoma stronami, oczywiście, ponieważ jesteśmy całkowicie bezstronni. Broń produkowana na tym kontynencie jest naprawdę wstrząsająca. Wręcz niebezpieczna. Też powinienes płynąć z nami. Jesteś bardzo cenną osobą.

- Nigdy w życiu nie czułem się bardziej bezwartościowy - wyznał ze smutkiem Teppic.

Chidder spojrzał na niego zdziwiony.

- Przecież jesteś królem!

- Niby tak, ale...

- Królem państwa, które formalnie wciąż istnieje, ale jest nieosiągalne dla śmiertelników?

- Niestety tak.

- I możesz wydawać prawa co do, na przykład, waluty i podatków?

- Chyba mogę, ale...

- I nie wierzysz, że jesteś cenny? Wielkie nieba, Tęp, nasi księgowi potrafią pewnie wymyślić pięćdziesiąt różnych sposobów, żeby... Ręce mi wilgotnieją na samą myśl o tym. Przede wszystkim ojciec poprosi chyba o przeniesienie tam naszego głównego biura.

- Chidder, przecież ci tłumaczyłem - przypomniał Teppic. - Wiesz dobrze. Nikt nie może się tam dostać.

- To bez znaczenia.

- Bez znaczenia?

- Owszem, ponieważ nasze biuro w Ankh przekształcimy w filię i będziemy płacić podatki tam, gdzie jest zarząd. Gdziekolwiek by to było. Potrzebujemy tylko oficjalnego adresu, sam nie wiem, Aleja Piramid albo coś w tym stylu. Posłuchaj mnie i niczego nie obiecuj, dopóki ojciec nie da ci miejsca w radzie nadzorczej. Zresztą jesteś królem, a to zawsze robi wrażenie.

Chidder mówił bez przerwy, a Teppic czuł, jak jego ubranie staje się coraz gorętsze.

Więc tak się to odbywa... Traci się królestwo i nagle jest warte więcej, bo staje się rajem podatkowym, a człowiek trafia do rady nadzorczej, cokolwiek to oznacza, i wszystko ma być w porządku...

Ptraci rozładowała sytuację, chwytając za ramię Alfonza, który akurat podawał bażanta.

- Kongres Przyjaznego Psa i Dwóch Małych Biskwitów! - zawołała, studiując skomplikowany tatuaż. - Rzadko się go dzisiaj spotyka. Czyż nie pięknie przedstawiony? Widać nawet jogurt.

Alfonz znieruchomiał, a potem się zarumienił. Czerwień rozlewała się po wielkiej, poznaczonej bliznami głowie niby wschód słońca na łańcuchu górskim.

- A co masz z drugiej strony?

Alfonz, który wyglądał, jakby wśród jego przeszłych zawodów znalazł się i taran oblężniczy, wymamrotał coś i bardzo zawstydzony pokazał jej rękę.

- To właściwie niestosowne dla dam... - wyszeptał. Piraci niczym ciekawy badacz odgarnęła ciemne włosy; Chidder przyglądał się jej z otwartymi ustami.

- Aha... Znam to - rzuciła swobodnie. - To ze „130 dni Pseudopolis”. Fizycznie niemożliwe.

Wypuściła rękę Alfonza i wróciła do jedzenia. Po chwili spojrzała na Teppica i Chiddera.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - powiedziała wesoło. - Rozmawiajcie.

- Alfonz, idź proszę i włóż jakąś koszulę - polecił chrapliwie Chidder.

Alfonz wycofał się. Wytrzeszczając oczy, patrzył na swoją rękę.

- Ehm... Co to ja, tego, mówiłem? - zastanowił się Chidder. - Przepraszam. Zgubiłem wątek. Ehm. Może jeszcze wina, Tęp?

Ptraci nie tylko wykoleiła pociąg jego myśli, ale także wyrwała tory, spaliła stacje i przetopiła mosty na złom. Dlatego też posiłek przesunął się do pasztetów, świeżych brzoskwiń, kandyzowanych morskich jeżowców i luźnych wspomnień o starych dobrych czasach w gildii. Te czasy mięły trzy miesiące temu, a zdawało się, że to całe życie. Zresztą trzy miesiące w Starym Państwie były całym życiem.

Po pewnym czasie Ptraci ziewnęła i poszła do swojej kajuty, pozostawiając dwóch przyjaciół z kolejną butelką wina. Chidder spoglądał za nią z lęklwym zachwytem.

- Czy tam, u ciebie, dużo jest takich jak ona? - zapytał.

- Nie wiem - przyznał Teppic. - Całkiem możliwe. Zwykle leżą po całym pałacu, machają wachlarzami i obierają winogrona.

- Jest zadziwiająca. Całe Ankh wzięłaby szturmem, wiesz? Z taką figurą i umysłem jak... - Chidder zawahał się. - Czy ona...? To znaczy, czy wy dwoje...?

- Nie - zapewnił Teppic.

- Jest bardzo atrakcyjna.

- Tak.

- Coś w rodzaju połączenia tancerki ze świątyni i piły taśmowej.

Wzięli kielichy i wyszli na pokład, gdzie nieliczne światła miasta bladły wobec blasku gwiazd. Woda była spokojna, gładka, niemal oleista.

Teppicowi powoli zaczynało się kręcić w głowie. Pustynia, słońce, dwie lśniące warstwy efebiańskiej retsiny na ściankach żołądka i butelka wina razem pokonywały jego synapsy.

- Muszę przyznać - wymamrotał, opierając się o reling - że dobrze sobie radzisz.

- Nie narzekam - odparł Chidder. - Handel jest całkiem ciekawy. Tworzenie rynków zbytu, rozumiesz. Ostra konkurencja w sektorze prywatnym. Powinieneś popłynąć z nami. Tu leży przyszłość, jak mawia mój ojciec. Nie wśród magów i królów, ale wśród ludzi interesu, którzy mogą ich wynająć. Bez urazy.

- Tylko my zostaliśmy. - Teppic spojrzał w głęb kieliszka. - Z całego królestwa. Ja, ona i wielbłąd, który cuchnie jak stary dywan. Starożytne królestwo zaginęło.

- Dobrze, że nie nowe - pocieszył go Chidder. - Przynajmniej częściowo się zamortyzowało.

- Nie masz pojęcia, jak tam jest... To jak cała wielka piramida. Ale odwrócona wierzchołkiem w dół, rozumiesz? Cała historia, przodkowie, wszyscy ludzie zbiegający się do mnie. Do mnie na samym dole.

Wziął od Chiddera butelkę i osunął się na zwój liny.

- Skłania do myślenia, co? - powiedział. - Wszędzie pełno jest takich zaginionych królestw i miast. Choćby Ee z Wielkiego Nefu. Całe państwa zniknęły. I gdzieś tam są. Może ludzie tam też zaczęli się paprać w geometrii? Jak myślisz?

Zachrapał.

Po chwili Chidder zatoczył się, upuścił butelkę za burtę - plusnęła; przez kilka sekund bąbelki zakłócały gładź wody - i chwiejnym krokiem ruszył do łóżka.

Teppic śnił.

W swoim śnie stał gdzieś wysoko, ale chwiał się, bo utrzymywał równowagę na ramionach swojej matki i ojca; niżej niewyraźnie dostrzegał swoich dziadków, a jeszcze niżej przodków ciągnących się daleko i na boki w ogromnej - tak jest - ogromnej ludzkiej piramidzie o podstawie przesłoniętej chmurami. Słyszał płynący w górę gwar poleceń i instrukcji.

Jeśli nic nie zrobisz, to jakby nigdy nas nie było.

- To tylko sen - powiedział sobie i wyszedł z niego do pałacu, gdzie niski, smagły człowieczek w przepasce biodrowej siedział na kamiennej ławie i jadł figi.

- Oczywiście, że to sen - zgodził się. - Cały świat jest snem Stwórcy. Wszystko to tylko sny, różne rodzaje snów. Mają ci coś przekazać. Na przykład: nie jedź homara tuż przed pójściem spać. Takie rzeczy. Miałeś już ten o siedmiu krowach?

- Tak. - Teppic rozejrzał się. Wyśnił całkiem niezłą architekturę. - Jedna z nich grała na puzonie.

- Za moich czasów paliła cygaro. To dobrze znany sen, dziedziczony po przodkach.

- A co oznacza?

Człowieczek wydłubał z ust pestkę.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Oddałbym prawą rękę, żeby się dowiedzieć. Przy okazji, chyba się jeszcze nie znamy. Jestem Khuft. Założyłem to królestwo. Dobra figa ci się przyśniła.

- Ty też mi się śnisz?

- No jasne. Mój słownik zawierał osiemset słów. Czy myślisz, że umiałbym tak rozmawiać? Jeśli spodziewasz się pomocnej rady od przodka, zapomnij o tym. To sen. Nie mogę ci powiedzieć nic, czego byś sam nie wiedział.

- Jesteś założycielem?

- Zgadza się.

- Myślałem... myślałem, że jesteś inny...

- Niby jak?

- No wiesz... jak na posągu... Khuft niecierpliwie machnął ręką.

- To tylko reklama - wyjaśnił. - No bo popatrz na mnie. Czy wyglądam patriarchalnie?

Teppic zmierzył go krytycznym spojrzeniem.

- Nie w tej przepasce - przyznał. - Jest trochę tego, podarta.

- Jeszcze długie lata można ją nosić - zaprotestował Khuft.

- Chociaż przypuszczam, że tylko tyle zdążyłeś chwycić, kiedy uciekałeś przed prześladowaniami. - Teppic chciał okazać zrozumienie.

Khuft sięgnął po kolejną figę i zerknął na niego z ukosa.

- A to niby jak? - zapytał znowu.

- Byłeś prześladowany - wyjaśnił Teppic. - Dlatego uciekłeś na pustynię.

- A, tak. Masz rację. Tak było. Prześladowali mnie z powodu wiary.

- To straszne. Khuft splunął.

- Jak nie wiem co. Wierzyłem, że ludzie nie zauważą gipsowych zębów u kupionych ode mnie wielbłądów, dopóki nie wyjadę z miasta.

Chwilę trwało, nim ta informacja dotarła do mózgu Teppica, jednak w końcu jej się udało - z mocą bloku betonu spadającego w ruchome piaski.

- Byłeś przestępcą? - nie dowierzał chłopiec.

- Przestępca to brzydkie słowo. Sam wiesz - rzekł chudy przodek. - Wolę „przedsiębiorca”. Wyprzedziłem swój czas i stąd kłopoty.

- I uciekłeś?

- Pozostawanie w okolicy nie byłoby dobrym pomysłem.

- I tak Khuft, pasterz wielbłądów, zgubił drogę w pustyni, i otworzyła się przed nim, jako dar Bogów, Dolina Płynąca Miodem i Mlekiem - zacytował głuchym głosem Teppic. - Zawsze myślałem, że to strasznie słodkie - dodał.

- Stałem tam, konając z pragnienia, wielbłądy Hałasowały jak wściekłe, rżały o wodę, a w następnej chwili: zziut, i jest dolina wielkiej rzeki, trzciny, hipopotamy, wszystko. Znikąd. Niemal mnie stratowały, tak się spieszyły do wody.

- Nie! To było inaczej! Bogowie doliny zlitowali się nad tobą i wskazali ci drogę, prawda?

Chłopiec umilkł, zaskoczony błagalnym tonem własnego głosu. Khuft parsknął.

- Ach tak? Przypadkiem potknąłem się na środku pustyni o sto mil rzeki, której nikt jakoś wcześniej nie zauważył? Łatwo przeoczyć sto mil rzecznej doliny na środku pustyni. Fakt, że nie zamierzałem zaglądać darowanemu wielbładowi w zęby, domyślasz się chyba. Sprowadziłem rodzinę i resztę chłopaków. Nie oglądałem się za siebie.

- W jednej chwili jej nie było, a w następnej już tak?

- Tak jest. Trudno uwierzyć, co?

- Nie - mruknął Teppic. - Właściwie nie. Khuft dźgnął go pomarszczonym palcem.

- Zawsze uważałem, że to wielbłądy wszystko załatwiły - oświadczył. - Uważałem, że tak jakby przywołały ją na miejsce, niby że tak jakby tam była potencjalnie, ale nie całkiem, potrzebowała odrobiny wysiłku, żeby się stać rzeczywista. Zabawne te wielbłądy.

- Wiem.

- Dziwniejsze niż bogowie. Coś się stało?

- Przepraszam - powiedział Teppic. - Wszystko to tak nagle na mnie spadło... No wiesz, myślałem, że pochodzimy z prawdziwego królewskiego rodu. Że jesteśmy bardziej królewscy niż ktokolwiek inny.

Khuft wydłubał pestkę figi spomiędzy dwóch poczerniałych pieńków, które -jako że tkwiły mu w ustach - prawdopodobnie były zębami. Potem splunął.

- To już zależy od ciebie - oznajmił i zniknął.

Teppic ruszył przez nekropolię; cienie piramid jak zęby piły sięgały w noc. Niebo było wygiętym ciałem kobiety, a bogowie stali na horyzoncie. Nie wyglądali jak bogowie, których od tysięcy lat malowano na ścianach. Wyglądali gorzej. Wyglądali na starszych od Czasu. W końcu prawie nigdy

nie mieszała się w sprawy ludzi. Choć przysłowiowe w tym względzie są inne istoty.

- Co mogę zrobić? Jestem tylko człowiekiem - powiedział głośno Teppic.

Ktoś odpowiedział: Nie cały ty.

Teppica obudziły wrzaski mew.

Alfonz miał już koszulę z rękawami i minę człowieka, który postanowił już nigdy, ale to nigdy jej nie zdejmować; pomagał kilku innym marynarzom rozwinać jeden z żagli „Nienazwanej”. Spojrzał w dół na Teppica w jego linowym łożu i skinął mu głową.

Płynęli. Teppic usiadł i zobaczył nabrzeże Efebu, przesuwające się wolno w szarym brzasku.

Wstał niepewnie, jęknął, złapał się za głowę, rozpędził i skoczył przez reling.

Heme Krona, właściciel stajni „Wielbłądy To Nasza Specjalność”, mrucząc pod nosem, obszedł Ty Drania dookoła. Obejrzał mu kolana. Na próbę kopnął lekko w stopę. Szybkim ruchem, który całkowicie Ty Drania zaskoczył, otworzył pysk i zbadał wielkie, żółte zęby. Potem szybko odskoczył.

Ze stosu w kącie wyjął sporą deskę, zanurzył pędzel w garnku czarnej farby i po chwili namysłu napisał TYLKO JEDEN WŁAŚCICIEL.

Po krótkim zastanowieniu dodał: MAŁY PRZEBIEG. Właśnie

malował ŚWIETNY BIEGACZ, kiedy Teppic wszedł chwiejnym krokiem i zdyszany oparł się o framugę. Kałuże wody formowały mu się wokół stóp.

- Przyszedłem po mojego wielbłąda - wysapał. Krona westchnęła.

- Wczoraj powiedziałaś, że wrócisz za godzinę - przypomniał.

- Muszę cię obciążyć za całonocne wyżywienie, zgadza się? Dodatkowo czesanie i czyszczenie stóp, pełna obsługa. Razem pięć cerców, emirze.

- Aha... - Teppic poklepał się po kieszeni. - Posłuchaj - rzekł.

- Wyjeżdżałem z domu w pośpiechu. I, rozumiesz, chyba nie mam przy sobie gotówki.

- Jasna sprawa, emirze. - Krona wrócił do deski. - Jak się pisze ROCZNA GWARANCJA?

- Obiecuję, że każę ci przysłać pieniądze - zapewnił Teppic.

Krona rzucił mu pogardliwe spojrzenie człowieka, który zna już wszystkie sztuczki: osły z nowym owłosieniem, słonie z gipsowymi kłami, wielbłądy z przyklejonymi garbami. I który zna mroczne głębie ludzkiej duszy, gdy przychodzi jej robić interesy.

- Wymyśl coś lepszego, radź - odpowiedział. - Na to nikt się nie nabierze.

Teppic sięgnął pod tunikę.

- Mogę ci dać ten cenny nóż - zaproponował. Krona rzucił tylko okiem i parsknął.

- Przykro mi, emirze. Nic tego. Nie ma zapłaty, nie ma wielbłąda.

- Mogę ci go podać ostrzem do przodu - oświadczył zrozpaczony Teppic, wiedząc, że zwykła groźba może doprowadzić do usunięcia go z gildii. Zdawał sobie także sprawę, że jak na groźbę,

nie była specjalnie udana. Gróźb nie było w programie szkoły gildii.

U Krony za to byli - siedzieli na balach słomy na tyłach stajni - dwaj potężni mężczyźni, którzy właśnie zaczęli przejawiać zainteresowanie rozmową. Wyglądali jak starsi bracia Alfonza.

Każdy warsztat czy przechowalnia pojazdów w multiversum ma takich ludzi. Nigdy właściwie nie są stajennymi, mechanikami, klientami czy obsługą. Ich funkcje są zawsze niejasne. Gryzą słomki albo palą papierosy, nie rzucając się w oczy. Gdyby było tam coś takiego jak gazety, pewnie by je czytali albo przynajmniej oglądali obrazki.

Zaczęli uważnie obserwować Teppica. Jeden z nich podniósł dwie cegły i zaczął podrzucać je niedbale.

- Jesteś jeszcze młody, widzę - rzekł łaskawie Krona. - Dopiero zaczynasz życie, emirze. Nie chcesz kłopotów.

Podszedł bliżej.

Wielka, kosmata głowa Ty Drania przesunęła się w jego stronę. W głębi umysłu kolumny cyfr raz jeszcze pomknęły w górę.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę odzyskać swojego wielbłąda - oświadczył Teppic. - To sprawa życia i śmierci.

Krona skinął na dwóch mężczyzn o nieokreślonych funkcjach.

Ty Draniu kopnął. Ty Draniu miał bardzo stanowcze opinie na temat ludzi pakujących mu ręce do pyska. Poza tym widział cegły, a każdy wielbłąd wie, co z tego może wyniknąć. To był dobry kopniak, z palcami szeroko rozsuniętymi, potężny i myląco powolny. Oderwał Kronę od ziemi i przerzucił go w sam środek augiaszowe-go stosu tego, co zostało po zamiataniu stajni.

Teppic podbiegł, mocno odbił się nogami od ściany, chwycił zakurzoną sierść Ty Drania i ciężko wylądował mu na grzbiecie.

- Bardzo przepraszam - zwrócił się do widocznej części Krony. -

Naprawdę każe wysłać ci pieniądze.

Ty Draniu kręcił się wkoło. Towarzysze Krony trzymali się z daleka od przecinających powietrze stóp wielkości talerzy.

Teppic pochylił się i syknął do machającego wściekle ucha:

- Wracamy do domu.

Pierwszą piramidę wybrali przypadkowo. Król spojrzał na kartusz przy wejściu.

- Błogosławiona jest Królowa Far-re-ptah - odczytał posłusznie Dii. - Władczyni Niebios, Pani...

- Babcia Pooney - powiedział król. - Może być. - Dostrzegł ich zdumione twarze. - Tak ją zawsze nazywałem, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Rozumiecie, nie umiałem wymówić Far-re-ptah. Bierzmy się do roboty. Przestańcie się gapić i rozwalcie wejście.

Gern niepewnie zważył w ręku młot.

- To przecież piramida, mistrzu - zwrócił się błagalnie do Dila. - Nie powinno się ich otwierać.

- A co proponujesz, chłopcze? Wbijemy nóż kuchenny w szczelinę i będziemy podważać?

- Zrób to, Gern - polecił Dii. - Tak będzie dobrze. Gern wzruszył ramionami, splunął w dłonie - które zresztą i bez tego były dostatecznie wilgotne - i uderzył.

- Jeszcze raz - rozkazał król.

Wielka kamienna płyta zadźwięczała trafiona młotem, ale była z

granitu, więc wytrzymała. W dół opadło kilka okruchów zaprawy, a potem wróciło echo, odbijając się tam i z powrotem wzdłuż martwych alejek nekropolii.

- Jeszcze raz.

Bicepsy Gerna poruszały się niczym żółwie w misce smaru.

Tym razem w odpowiedzi zabrzmiał huk, jaki mogło spowodować ciężkie wieko, spadające na kamienie bardzo daleko od wejścia.

Stali w milczeniu, nasłuchując cichego szurania z wnętrza piramidy.

- Mam uderzyć jeszcze raz, sire? - zapytał Gern.

Obaj zamachali rękami, żeby się nie odzywał.

Szuranie zbliżyło się.

I nagle ruszył kamień. Raz czy dwa się zaklinował, ale wciąż sunął powoli, obracając się wokół jednej krawędzi, tak że z drugiej strony pojawiła się ciemna szczelina. Dii zauważył ciemniejszy cień wśród czerni.

- Kto to? - zapytał cień.

- To ja, babciu - odparł król.

Cień stał nieruchomo.

- Co? Młody Pootle? - upewnił się podejrzliwie. Król unikał wzroku Dila.

- Tak, babciu. Przyszliśmy cię wypuścić.

- Kim są ci ludzie? - zapytał gniewnie cień. - Nic nie mam, młody człowieku - zwrócił się do Gerna. - Nie trzymam pieniędzy w piramidzie. I możesz odłożyć tę broń, wcale się nie boję.

- To słudzy, babciu - wyjaśnił król.

- Mają jakieś zaświadczenia? - upewniła się starsza dama.

- Ja za nich zaświadczam, babciu. Przyszliśmy cię wypuścić.

- Tłukłam się godzinami - poskarżyła się zmarła królowa, wychodząc na światło dnia. Wyglądała tak samo jak król, tyle że jej bandaże były bardziej szare i zakurzone. - W końcu musiałam się położyć. Nikt się o ciebie nie zatroszczy, kiedy już umrzesz... Dokąd idziemy?

- Wypuścić pozostałych - wyjaśnił król.

- Doskonały pomysł.

I królowa ruszyła krok w krok za wnukiem.

- Więc to jest kraina umarłych... - wymruczała. - Nie wygląda tu lepiej niż po tamtej stronie. - Szturchnęła Gerna pod żebro. - Ty też jesteś martwy, młody człowieku?

- Nie, psze pani - odparł uczeń tonem kogoś balansującego na linie ponad otchłanią szaleństwa.

- Umieranie nie jest tego warte, pamiętaj.

- Tak, psze pani.

Król przeszedł starożytnym chodnikiem do następnej piramidy.

- Tę znam - oznajmiła królowa. - Stała już za moich czasów. Król Ashk-ur-men-tep, Trzecie Imperium. Po co ten młot, młody człowieku?

- Mam nim uderzać w drzwi, psze pani - odparł Gern.

- Nie trzeba pukać. On zawsze jest w domu.

- Mój pomocnik chce rozbić pieczęcie, proszę pani - wtrącił usłużnie Dii.

- A ty kim jesteś? - chciała wiedzieć królowa.

- Nazywam się Dii, o królowo. Mistrz balsamista.

- Balsamista, tak? Parę moich ściegów wymaga poprawki.

- Będzie to zaszczyt i honor, o królowo.

- Owszem. Na pewno. - Skrzypiąc, odwróciła się do Gerna. - Wal, młody człowieku! - zawołała.

Zachęcony Gern machnął młotem, który przemknął po długim łuku, minął nos Dila i z dźwiękiem podobnym do głosu kuropatwy roztrzaskał pieczęć na kawałki.

To, co się wynurzyło, gdy opadł kurz, nie było ubrane według najnowszej mody. Bandaże zbrązowiały, zetlały, a Dii z profesjonalną troską zauważył, że zaczynają przecierać się na łokciach. Kiedy przemówiło, brzmiało to jak otwieranie starożytnych sarkofagów.

- Obudziłem się - powiedział. - Y nie było światła. Yest li to kraj umarłych?

- Jak się zdaje, nie - odparła królowa.

- Y to wszystko?

- Szkoda się męczyć z umieraniem, co? Starożytny władca pokiwał głową, ale ostrożnie, jakby się bał, że może mu odpaść.

- Coś - rzekł - zrobić z tym trzeba.

Odwrócił się do Wielkiej Piramidy i wyciągnął to, co kiedyś było ramieniem.

- Któż śpi tam? - zapytał.

- Właściwie to jest moja - wyjaśnił Teppicymon, podchodząc bliżej. - Chyba się jeszcze nie znamy, nie zostałem jeszcze złożony. Mój syn ją dla mnie zbudował. Wbrew moim życzeniom, możesz mi wierzyć.

- Yest to straszliwa rzecz - oświadczył starożytny król. - Czułem yey budowę. Nawet we śnie śmierci ją czułem, fest tak wielka, że świat można w niey złożyć.

- Chciałem być pochowany w morzu - westchnął Teppicymon. - Nienawidzę piramid.

- Wcale nie - zaprotestował Ashk-ur-men-tep.

- Wybacz, ale nienawidzę - zapewnił łagodnie król.

- Ależ wcale nie. Co czujesz teraz to ledwie delikatna niechęć. Kiedy poleżysz w takiej przez lat tysiąc - powiedział starożytny -wtedy zaczniesz poymować znaczenie nienawiści.

Teppicymon zadrżał.

- Morze - szepnął. - To najlepsze miejsce. W nim się rozpływasz.

Razem ruszyli do następnej piramidy. Gern prowadził; jego twarz była obrazem, prawdopodobnie namalowanym późną nocą przez artystę, który natchnienie kupował na receptę. Za nim szedł Dii z dumnie wypiętą piersią. Zawsze miał nadzieję, że zajdzie wysoko, i oto teraz spacerował z królami.

No, może raczej powłóczył nogami z królami.

Nastał kolejny piękny dzień na pustyni. Dni zawsze tu były piękne, jeśli pod tym określeniem rozumieć temperaturę jak w piekarniku i piasek, w którym można by piec kasztany.

Ty Draniu biegł szybko, głównie po to, żeby jak najkrócej dotykać stopami ziemi. Przez moment, kiedy wspinali się na wzgórza poza pociętą ścieżkami, porośniętą drzewami oliwkowymi oazą wokół Efebu, Teppic miał wrażenie, że widzi „Nienazwaną” jako maleńki punkcik na lazurowym morzu. Ale mógł to być tylko odbłysek słońca na fali.

A potem przekroczyli grzbiet i znaleźli się w krainie żółci i ochry. Przez chwilę jeszcze karłowate drzewka broniły się przed piaskiem, ale piasek zwyciężył i pomaszerował tryumfalnie naprzód, wydma za wydumą.

Pustynia była nie tylko gorąca, ale i cicha. Nie latały tu ptaki, nie słyszało się szelestu zajętych życiem stworzeń organicznych. Nocą brzęczały może owady, ale teraz tkwiły zakopane w piasku dla ochrony przed żarem. Żółte niebo i żółty piasek stały się komorą bezechową, w której dyszenie Ty Drania rozbrzmiewało jak odgłos maszyny parowej.

Teppic wiele się nauczył od dnia, gdy po raz pierwszy opuścił Stare Państwo, a właśnie miał się nauczyć czegoś jeszcze. Wszyscy specjaliści zgadzają się, że kiedy przekracza się rozpaloną pustynię, bardzo ważne jest noszenie kapelusza.

Ty Draniu wszedł w rozkołysany kłus, który dobry wielbłąd wyścigowy potrafi utrzymywać godzinami.

Po kilku milach Teppic zobaczył kolumnę pyłu za najbliższą wydumą. W chwilę później znalazł się na tyłach głównych sił armii efebianskiej; żołnierze otaczali pół tuzina bojowych słoni, a ich pióropusze powiewały w gorącym podmuchu. Dla zasady głośnymi okrzykami pozdrowili przejeżdżającego Teppica.

Słonie bojowe! Teppic jęknął. Tsort także używał słoni bojowych. Słonie bojowe były ostatnio w modzie. Nie nadawały się właściwie do niczego prócz rozdeptywania własnych żołnierzy, kiedy nieodmiennie wpadały w panikę, więc wojskowe umysły po obu stronach zareagowały na to hodowlą większych słoni. Słonie robiły wrażenie.

Z niewiadomych powodów większość słoni ciągnęła wielkie wozy wyładowane drewnem.

Jechali dalej, a słońce wznosiło się coraz wyżej, aż - i to było niezwykle - nad horyzontem zaczęły wirować niebieskie i fioletowe plamki.

Zdarzyło się jeszcze coś dziwnego: wielbłąd zdawał się biec po niebie. Być może zjawisko to miało związek z głośnym dzwonieniem w uszach

Teppica.

Powinien się zatrzymać? Ale wtedy wielbłąd może spaść...

Dawno minęło południe, gdy wreszcie Ty Draniu wbiegł chwiejnie w gorący cień skalnej przewieszki, jaka kiedyś znaczyła granicę doliny, i bardzo powoli osunął się na piasek. Teppic stoczył się z grzbietu.

Oddział Efebian spoglądał ponad wąskim pasem gruntu na podobny liczebnie oddział Tsortian po drugiej stronie. Od czasu do czasu, dla zachowania pozorów, któryś z nich wymachiwał włócznią.

Kiedy Teppic otworzył oczy, zobaczył nad sobą przerażające spiżowe maski pochylonych żołnierzy Efebu. Ich metalowe wargi zaciskały się w grymasie straszliwej pogardy. Lśniące brwi marszczyły się w śmiertelnym gniewie.

- Dochodzi do siebie, sierżancie - odezwał się któryś. Metalowa twarz, przywodząca na myśl wściekłość żywiołów, zbliżyła się i przesłoniła pole widzenia.

- Wyjechaliśmy sobie bez kapelusza. Zgadza się, synu? - zapytała serdecznym głosem, głucho rezonującym w metalowej puszcze. - Żeby jak najszybciej zmierzyć się z wrogiem, co?

Niebo kręciło się wokół Teppica, ale jedna myśl wypłynęła na patelnię umysłu, przechwyciła kontrolę nad strunami głosowymi i wychrypiła:

- Wielbłąd!

- Powinni cię zwolnić za takie traktowanie zwierzęcia. - Sierżant pogroził chłopcu palcem. - Nie widziałem jeszcze żadnego w takim stanie...

- Nie dawajcie mu pić!

Teppic usiadł gwałtownie; wielkie dzwony biły głośno, a gorące i ciężkie fajerwerki wybuchały pod czaszką. Głowy w hełmach zwróciły się ku sobie.

- Bogowie... Wielbłądy musiały mu zrobić coś strasznego -mruknęła jedna z nich.

Teppic wstał chwiejnie i zataczając się, poczłapał po piasku do Ty Drania, który usiłował rozwiązać skomplikowane równania, jakie pozwolą mu stanąć na nogach. Wywiesił język i nie czuł się dobrze.

Nieszczęśliwy wielbłąd nie jest wstydliwą istotą. Nie wysiaduje samotnie w barach nad drinkami. Nie dzwoni do starych przyjaciół, żeby się im wypłakać. Nie wpada w depresję, nie pisuje długich, smętnych poematów o Życiu i jakie jest okrutne, kiedy ogląda sieje z pustego mieszkania. Nie wie nawet, co to jest zgryzota.

Wielbłąd ma tylko parę płuc jak miechy i głos jak stado osłów rżniętych piłą łańcuchową.

Teppic szedł mimo ryku. Ty Draniu podniósł głowę i kręcił nią w jedną i w drugą stronę, wykonując triangulację. Przewracał dziko oczami, aż zdawało się, że patrzy na Teppica przez nozdrza.

Splunął.

Próbował splunąć.

Teppic chwycił uprząż i szarpnął mocno.

- No już, ty draniu - powiedział. - Tam jest woda. Czujesz ją. Musisz tylko wymyślić, jak się tam dostać.

Odwrócił się do żołnierzy. Przyglądali mu się z wyrazem zdumienia, z wyjątkiem tych, którzy nie zdjęli hełmów i przyglądali mu się z wyrazem metalicznego szaleństwa bojowego.

Teppic wyrwał któremuś bukłak, wyjął korek i wylał wodę na piasek, tuż przed drgającym nosem wielbłąda.

- Tam jest rzeka - syknął. - Wiesz, gdzie to jest, musisz tylko tam dojść.

Żołnierze rozejrzeli się nerwowo. Podobnie jak kilku Tsortian, którzy

podeszli, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Ty Draniu stanął na drżących nogach i zaczął obracać się wkoło.
Teppic ścisnął uprząż.

...niech d równe 4, myślał desperacko Ty Draniu. Niech a-d równe 90.
Niech nie-d równe 45...

- Potrzebny mi kij! - zawołał Teppic, mijając sierżanta. - One nigdy niczego nie rozumieją, dopóki nie przyłoży im się kijem! Dla wielbłąda to jak interpunkcja!

- Miecz może być?

-Nie!

Sierżant zawahał się i podał Teppicowi włócznię.

Chłopiec chwycił ją za grot, odzyskał równowagę, po czym z rozmachu uderzył w bok wielbłąda, wznosząc chmurę kurzu i sierści.

Ty Draniu znieruchomiał. Uszy obróciły mu się jak anteny radarowe. Potem, gdy Teppic chwycił go za sierść i podciągnął się na grzbiet, ruszył truchtem.

...Myśl fraktalami...

- Hej, jedziesz prosto na... - zaczął sierżant.

Zapadła cisza. I trwała bardzo długo.

Sierżant poruszył się niepewnie. Potem spojrzał za skałę, na Tsortian, i pochwycił wzrok ich dowódcy. Z tym niepotrzebującym słów zrozumieniem, cechującym wszystkich centurionów i sierżantów, ruszyli ku sobie wzdłuż skały, aż zatrzymali się przy ledwie widocznym pęknięciu.

Tsortiański sierżant przejechał po nim dłonią.

- Można by przypuszczać, że zostanie tu, no wiecie, wielbłądzia sierść

albo co... - powiedział.

- Albo krew - dodał Efebianin.

- To pewnie jedno z tych, no, niewytłumaczalnych zdarzeń.

- Aha. No tak, to by się zgadzało. Obaj wpatrywali się w kamień.

- Jak miraż - odpowiedział uprzejmie Tsortianin.

- Jeden z nich... no tak.

- Zdawało mi się też, że słyszałem mewę.

- To przecież bez sensu. Nie spotyka się ich tutaj. Tsortianin odchrząknął grzecznie i zerknął na swoich ludzi. Przysunął się bliżej.

- Przypuszczam, że reszta waszych wojsk będzie tu pewnie już wkrótce - powiedział.

Efebianin zrobił pół kroku do przodu, a kiedy się odezwał, mówił półgębkiem, gdy oczy najwyraźniej zajęte były oglądaniem kamieni.

- Zgadza się - potwierdził. - Wasi też, jeśli wolno spytać?

- Tak. I myślę, że będziemy musieli was zmasakrować, jeśli nasi zjawiają się tu pierwsi.

- Wcale się nie dziwię. U nas podobnie. Ale nie ma na to rady.

- Tak to już bywa - zgodził się Tsortianin. Efebianin pokiwał głową.

- Zabawny ten świat, jeśli się nad nim zastanowić.

- Trafiliście w sedno, nie ma co. - Sierżant poluzował napierśnik, zadowolony, że przez chwilę może odpocząć w cieniu. - Jak z racjami po waszej stronie? - zapytał.

- Och, wiecie, jak to jest. Nie można narzekać.

- Całkiem jak u nas.

- Bo jak się zacznie narzekać, to są jeszcze gorsze.

- Tak jak nasze. A nie macie przypadkiem fig po waszej stronie?
Zjadłbym figę.

- Przykro mi.

- Tak tylko spytałem.

- Mamy sporo daktyli, gdyby się wam na coś przydały.

- Dzięki, ale daktyli nam nie brakuje.

- Trudno.

Dwaj mężczyźni stali jeszcze przez chwilę, pogrążeni w myślach.
Potem Efebianin wcisnął na głowę hełm, a Tsortianin poprawił pas.

- No to tyle.

- No to tyle.

Wyprostowali ramiona, wysunęli podbródki i odmaszerowali. Po chwili wykonali zwrot i wymieniwszy najłżejszy z zakłopotanych uśmiechów, wrócili do swoich oddziałów.

CZĘŚĆ IV

Księga 101 godziwych rozrywek dla chłopców

Teppic spodziewał się...

...czego?

Może plaśnięcia ciała o skalę. A może, choć znalazło się to na samej granicy jego oczekiwań, widoku Starego Państwa.

Nie spodziewał się chłodnej, wilgotnej mgły.

Współczesna nauka wie doskonale, że istnieje o wiele więcej wymiarów niż klasyczne cztery. Naukowcy twierdzą, że te dodatkowe zwykle nie wpływają na normalny świat, gdyż są małe i zwinięte w sobie. Oznacza to, że wszechświat zawiera więcej cudów, niż możemy kiedykolwiek zrozumieć, albo też - co bardziej prawdopodobne - naukowcy wymyślają to wszystko w miarę potrzeby.

Multiversum wszakże pełne jest wymiarków, zaułków kreacji, gdzie istoty wyobraźni mogą brykać do woli, bez groźby zderzenia z poważną teraźniejszością. Czasami, kiedy dryfują przez dziury w rzeczywistości, naruszają nasze universum i stają się źródłem mitów, legend oraz oskarżeń o pijaństwo i zakłócanie porządku.

I do jednego z takich wymiarów wbiegł - przez trywialną pomyłkę w obliczeniach - Ty Draniu.

Legenda była niemal dokładna. Sfinks naprawdę czał się na granicy królestwa. Nie precyzowała tylko, o jakiej granicy mowa.

Sfinks jest istotą nierealną. Istnieje wyłącznie dlatego, że kiedyś ktoś go sobie wyobraził. Doskonale wiadomo, że w nieskończonym wszechświecie wszystko, co możemy sobie wyobrazić, musi gdzieś istnieć. A że wiele z tych rzeczy nie powinno się pojawiać w uporządkowanych ramach czasoprzestrzennych, zostają wepchnięte do bocznych wymiarów. Może to w pewnym stopniu wyjaśnić chroniczny zły humor Sfinksa, chociaż stworzenie z ciałem lwa, łonem kobiety i skrzydłami orła z pewnością cierpi na kryzys tożsamości i niewiele trzeba, żeby je rozzłościć.

Dlatego właśnie Sfinks wymyślił Zagadkę.

W najrozmaitszych wymiarach zapewniła mu ona przyzwoitą rozrywkę i niezliczone posiłki.

Teppic nie wiedział o tym, gdy prowadził Ty Drania przez fale mgły, ale chrzęszczące pod nogami kości dostatecznie wyraźnie informowały o zasadniczych szczegółach sytuacji.

Zginęło tu wielu ludzi. Rozsądnie byłoby zatem przyjąć, że ci ostatni widzieli szczątki wcześniejszych, a zatem posuwali się ostrożnie. I nic im to nie dało.

Czyli nie ma sensu się skradać. Poza tym niektóre majaczące we mgle skały miały bardzo niepokojące kształty. O tamta, na przykład, wyglądała zupełnie jak...

- Stój! - zawołał Sfinks.

Ciszę zakłócały jedynie opadające krople skondensowanej mgły i czasem syczenie Ty Drania, próbującego wyssać wilgoć z powietrza.

- Jesteś sfinksem - stwierdził Teppic.

- Nie sfinksem, ale Sfinksem - poprawił go Sfinks.

- O rany... W domu mamy mnóstwo twoich posągów. - Teppic spojrzał wyżej, a potem jeszcze wyżej. - Myślałem, że jesteś mniejszy - dodał.

- Ukorz się, śmiertelniku - przykazał Sfinks. - Stanałeś bowiem przed istotą mądrą i straszną. - Zamrugął. - Dobre są te posągi?

- Nie oddają ci sprawiedliwości - przyznał szczerze Teppic.

- Tak myślisz? Ludzie często źle przedstawiają nos. Podobno najlepszy mam prawy profil i... - Sfinksowi przyszło do głowy, że zbacza z zasadniczego tematu. Chrząknął surowo. - Zanim tędy przejdiesz, śmiertelniku - rzekł - musisz rozwiązać moją zagadkę.

- Dlaczego?

- Co? - Sfinks zamrugął. Nie był przygotowany na takie pytania. - Dlaczego? Dlaczego? Dlatego że... Hm... Dlatego, chwileczkę, tak, dlatego że jeśli nie, to odgryzę ci głowę. Tak, to chyba było to.

- Dobrze - zgodził się Teppic. - Jak ona brzmi? Sfinks odchrząknął z dźwiękiem, jakby pusta ciężarówka zawracała w kamieniołomie.

- Co rano chodzi na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?

Teppic rozważył problem.

- Trudna jest - mruknął po chwili.

- Najtrudniejsza.

- Urn.

- Nigdy nie zgadniesz.

- Aha.

- Czy mógłbyś zdjąć ubranie, póki myślisz? - poprosił Sfinks. - Nitki strasznie mi wchodzą w zęby.

- Nie chodzi o jakieś zwierzę, któremu odrastają nogi i które...

- Nie, to fałszywy trop.

- Hm...

- Nie masz najmniejszego pojęcia, prawda? - Sfinks wysunął pazury.

- Jeszcze się zastanawiam - przypomniał Teppic.

- Nie masz szans.

- To fakt.

Teppic spojrzał na szpony. To właściwie nie jest zwierzę drapieżne, pocieszał się. Stanowczo zostało nadmiernie wyposażone. Poza tym łono będzie mu przeszkadzać, nawet jeśli mózg nie będzie.

- Odpowiedź brzmi: „Człowiek” - oznajmił Sfinks. - A teraz nie próbuj walczyć, to wprowadza do krwi niesmaczne związki chemiczne. Teppic cofnął się przed groźną łapą.

- Zaraz, zaraz! - zawołał. - Jak to człowiek?

- To łatwe. Rankiem jako dziecko raczkuje, stoi na dwóch nogach w południe, a wieczorem jako starzec chodzi o lasce. Dobra jest, nie?

Teppic przygryzł wargę.

- Mówimy tu o jednym dniu? - spytał z powątpiewaniem. Zapadła długa, krępująca cisza.

- To jest to, jak mu, takie powiedzenie, no, metafora. - Sfinks jeszcze raz spróbował ataku.

- Zaraz, zaraz. Jedną chwilkę - zawołał Teppic. - Chcę wszystko

dokładnie wyjaśnić. To chyba uczciwe, prawda?

- Zagadka jest w porządku! Świetna zagadka. Opowiadam ją od pięćdziesięciu lat, od kociaka... - Zastanowił się. - Od pisklaka - poprawił.

- Bardzo dobra zagadka - zapewnił go Teppic. - Głęboka. Poruszająca. Całe ludzkie życie w jednym zdaniu. Ale musisz przyznać, że to wszystko nie zdarza się człowiekowi w jeden dzień.

- No nie - zgodził się Sfinks. - Ale w danym kontekście rzecz jest oczywista. Element dramatycznej metafory jest obecny we wszystkich zagadkach - dodał tonem kogoś, kto usłyszał to zdanie dawno temu i dość mu się podobało, choć nie aż tak, żeby nie zjeść jego autora.

- To prawda. Ale... - Teppic przykucnął i wygładził skrawek mokrego piasku - ...czy ta metafora jest wewnętrznie spójna? Powiedzmy, dla przykładu, że przeciętna długość życia człowieka wynosi siedemdziesiąt lat. Zgoda?

- Zgoda...

Sfinks mówił tonem człowieka, który wpuścił do domu akwizytora i teraz z żalem spogląda w przyszłość, gdyż bez wątpienia czeka go kupno polisy ubezpieczeniowej.

- Dobrze. Czyli... Czyli w południe będzie miał trzydzieści pięć lat, tak? Biorąc pod uwagę, że większość dzieci umie już chodzić w wieku roku, dwóch lat, wzmianka o czterech nogach nie odpowiada prawdzie. Przecież większą część poranka spędzamy na dwóch. Zgodnie z twoją analogią... - Przerwał i wykonał kilka obliczeń poręczną kością udową. - Zgodnie z twoją analogią na czterech nogach spędzamy tylko około dwudziestu minut zaraz po północy. Najwyżej pół godziny. Mam rację? Bądź uczciwy.

- No, niby tak...

- Na tej samej zasadzie nie będziesz używał laski o szóstej po południu, bo będziesz miał zaledwie, zaraz, pięćdziesiąt dwa lata. - Teppic pisał szybko. - Właściwie nie będziesz się rozglądał za jakimkolwiek sprzętem

ułatwiającym chodzenie co najmniej przed wpół do dziesiątej. Wszystko to przy założeniu, że całe życie upływa w ciągu jednego dnia, co jest, jak już zapewne wspomniałem, śmieszne. Przykro mi. Niby wszystko się mniej więcej zgadza, ale całość nie pasuje.

- No dobrze. - Sfinks był wyraźnie zirytowany. - Ale co ja mam z tym zrobić? Nie mam innych zagadek. Ta jedna zawsze mi wystarczała.

- Trzeba ją trochę przerobić i tyle.

-Jak to przerobić?

- Żeby była bardziej realistyczna.

- Hmm... - Sfinks poskrobał się szponem w grzywę. - Niech będzie - zgodził się bez przekonania. - Mógłbym, powiedzmy, zapytać: Co to jest, co chodzi na czterech nogach...

- Metaforycznie ujmując - wtrącił Teppic.

- Na czterech nogach, metaforycznie ujmując, rankiem, na dwóch nogach...

- Nazwanie tego rankiem to lekka przesada. To tuż po północy. Owszem, formalnie rzecz biorąc to już ranek, ale tak naprawdę ciągle jeszcze wczorajsza noc. Jak myślisz?

Wyraz paniki przemknął po obliczu Sfinksa.

- A jak ty myślisz? - wykrztusił.

- Spójrzmy, do czego doszliśmy, zgoda? Co, metaforycznie ujmując, chodzi na czterech nogach tuż po północy, na dwóch nogach przez większą część dnia...

- Pomijając wypadki - wtrącił Sfinks, rozpaczliwie chcąc pokazać, że też wnosi swój wkład.

- Dobrze, na dwóch nogach, pomijając wypadki, przynajmniej do

kolacji, po czym chodzi na trzech nogach...

- Słyszałem o ludziach, którzy używają dwóch lasek.

- Rzeczywiście. Co powiesz na to: a następnie chodzi dalej na dwóch nogach lub używając dowolnych urządzeń ułatwiających chodzenie, jakie sobie wybierze?

Sfinks przemyślał propozycję.

- Taak - przyznał z powagą. - To chyba wyczerpuje wszystkie możliwości.

- Więc? - spytał Teppic.

- Co więc? - nie zrozumiał Sfinks.

- Więc jaka jest odpowiedź.

Sfinks spojrzał na niego lodowato i odsłonił kły.

- Nic z tego - rzeki. - Nie złapiesz mnie na to. Bierzesz mnie za durnia? To ty masz podać odpowiedź.

- A niech to - mruknął Teppic.

- Myślałeś, że dam się nabrać, co?

- Przepraszam.

- Liczyłeś, że wszystko mi się pomiesza, prawda? - Sfinks uśmiechnął się.

- Zawsze warto spróbować.

- Nie mam do ciebie pretensji. Więc jaka jest odpowiedź? Teppic poskrobał się po nosie.

- Nie mam pojęcia - wyznał. - Chyba że... będę strzelał na ślepo,

rozumiesz... powiem: „Człowiek”. Sfinks spojrzał gniewnie.

- Byłeś tu już kiedyś, prawda? - zapytał oskarżycielskim tonem.

- Nie.

- W takim razie ktoś wypaplał, tak?

- Kto mógł wypaplać? Czy ktokolwiek zgadł rozwiązanie?

- Nie!

- Sam widzisz. Nie mogli mi powiedzieć. Pazury Sfinksa z irytacją zgrzytnęły o skałę.

- Chyba powinieneś już iść - warknął.

- Dziękuję - odparł Teppic.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś nikomu nie powtarzał. Proszę - dodał zimno Sfinks. - Nie psuj zabawy innym gościom.

Teppic wdrapał się na kamień, a potem na grzbiet Ty Drania.

- Możesz na mnie liczyć - obiecał i uderzył wielbłąda piętami. Nie mógł nie zauważyć, że Sfinks bezgłośnie porusza wargami, jakby próbował rozwiązać jakiś problem.

Ty Draniu przebiegł najwyżej dziesięć sążni, gdy za nimi rozległ się wściekły ryk. Chociaż raz zapomniał o etykiecie, nakazującej wielbładowi przynajmniej raz oberwać kijem, zanim cokolwiek zrobi. Wszystkie cztery stopy uderzyły o piasek i pchnęły.

Tym razem wyliczył prawidłowo.

Kapłani tracili cierpliwość.

Nie chodziło o to, że bogowie byli im nieposłuszni. Bogowie ich ignorowali. Jak zawsze zresztą. Wielkiego talentu wymagało przekonanie boga Djelibeybi, by był posłuszny. Kapłani musieli wykazywać się refleksem. Na przykład, kiedy ktoś zepchnął głaz z urwiska, szybka prośba do bogów, by upadł na ziemię, mogła z pewnością liczyć na spełnienie. Podobnie, bogowie gwarantowali zachód słońca i pojawienie się gwiazd. Każda modlitwa o to, by palmy rosły z korzeniami w ziemi i liśćmi u góry, była łaskawie wysłuchiwana. Ogólnie rzecz biorąc, każdy kapłan, któremu na tym zależało, mógł osiągnąć wysoki procent sukcesów.

Jednakże czym innym było ignorowanie przez bogów, gdy byli dalecy i niewidzialni, a czymś całkiem innym, gdy spacerowali po okolicy. Człowiek wychodził na durnia.

- Dlaczego nie słuchają? - powtarzał najwyższy kapłan Tęga, Koniogłowego Boga Rolnictwa. Ronił łzy. Ostatnio widziano Tęga, jak siedział na polu, wyrywał kukurydzę i chichotał.

Innym kapłanom nie wiodło się lepiej. Rytuały, pozbawione znaczenia przez czas, wypełniły atmosferę pałacu niebieskim dymem; upieczono tyle rozmaitej trzody, że można by zaradzić klęsce głodu, ale bogowie wciąż zachowywali się tak, jakby Stare Państwo było ich własnością, a jego mieszkańcy nędznymi owadami.

Tłum wciąż czekał przed pałacem. Religia rządziła krajem prawie przez siedem tysięcy lat. Przed oczami każdego z kapłanów przewijały się barwne obrazy tego, co się stanie, jeśli ludzie choćby przez moment pomyślą, że przestała rządzić.

- I tak Diosie - zakończył Koomi - zwracamy się do ciebie. Co każesz nam teraz czynić?

Dios siedział na stopniach tronu i ponuro wpatrywał się w podłogę. Bogowie nie słuchali. Wiedział to. Wiedział to najlepiej ze wszystkich. Tyle że nigdy nie miało to znaczenia. Człowiek wykonywał właściwe ruchy i znajdował odpowiedź. To rytuał był ważny, nie bogowie. Bogowie mieli

pełnić funkcję megafonu, bo w przeciwnym razie kogo ludzie zechcieliby słuchać?

Próbował myśleć rozsądnie, a jego dłonie wykonywały gesty Rytuału Siódmej Godziny - dłonie kierowane neuronowymi instrukcjami tak sztywnymi i niezmiennymi jak kryształ.

- Próbowaliście wszystkiego? - zapytał.

- Wszystkiego, co nam poradziłeś, o Diosie - potwierdził Koomi. Odczekał, aż większość kapłanów spojrzy na niego, po czym dodał nieco głośniej: - Gdyby był tu król, wstawiłby się za nami.

Pochwycił wzrok kapłanki Sarduk. Nie omówił z nią tego, zresztą co tu było do omawiania. Ale miał wrażenie, że znalazł w niej bratnią, przepraszam, siostrzaną duszę. Niezbyt lubiła Diosa, ale mniej od innych się go obawiała.

- Mówiłem wam, że król nie żyje - przypomniał Dios.

- Tak, słyszeliśmy. A jednak nigdzie nie ma ciała, o Diosie. Mimo to wierzymy ci, gdyż to wielki Dios przemawia; nie dajemy posłuchu złośliwym plotkom.

Kapłani milczeli. Złośliwe plotki także? A ktoś wspominał już przecież o pogłoskach, prawda? Stanowczo działa się coś podejrzanego.

- Zdarzało się to wiele razy w przeszłości - wtrąciła we właściwej chwili kapłanka. - Kiedy coś groziło królestwu albo rzeka nie wzbierała, król szedł wstawić się u bogów. Był wysyłany, by wstawić się u bogów.

Cień satysfakcji w jej głosie świadczył wyraźnie, że mówi o podróży w jedną stronę.

Koomi aż zadygotał z rozkoszy i grozy. O tak. To były czasy. Dawno temu kilka państw eksperymentowało z koncepcją króla ofiarnego. Kilka lat balów i rządów, potem ciach... i wolna droga dla kolejnej administracji.

- W czasie kryzysu mógłby wystarczyć wysoko urodzony minister

stanu - mówiła dalej kapłanka.

Dios podniósł głowę; twarz odbijała agonię jego ścięgien.

- Rozumiem - powiedział. - A kto wtedy będzie najwyższym kapłanem?

- Bogowie wybiorą - rzekł Koomi.

- Nie wątpię - mruknął kwaśno Dios. - Powątpiewam jedynie w mądrość ich wyboru.

- Umarły może przemówić do bogów w podziemnym świecie - oznajmiła kapłanka.

- Ale bogowie są tutaj - przypomniał Dios, walcząc z mrowieniem w nogach, upierających się, że o tej porze powinny kroczyć głównym korytarzem w drodze na Rytuał Pod Niebem. Jego ciało krzyczało o ukojenie za rzeką. A gdy już będzie za rzeką, nigdy tu nie powróci... Ale zawsze to sobie mówił.

- Pod nieobecność króla najwyższy kapłan pełni jego obowiązki. Czyż nie tak, Diosie? - zapytał Koomi.

Tak. Tak zostało zapisane. Niczego nie można zmienić, gdy już zostało zapisane. Sam to zapisał. Dawno temu.

Dios zwiesił głowę. To gorsze niż kanalizacja, gorsze niż wszystko. A jednak, jednak... Popłynąć za rzekę...

- Dobrze więc - oświadczył. - Mam tylko jedno ostatnie życzenie.

- Tak? - Głos Koomiego nabrał specyficznej barwy; był już głosem najwyższego kapłana.

- Chcę zostać złożony w... - zaczął Dios, ale przerwał mu pomruk tych kapłanów, którzy widzieli, co się dzieje po drugiej stronie. Wszystkie oczy zwróciły się ku dalekiej, mrocznej ziemi.

Brzegiem maszerowały legiony królów Djelibeybi.

Szli chwiejnie, ale szybko pokonywali teren. Były ich całe plutony, bataliony. Nie potrzebowali już Gemowego młota. - To ta marynata - mówił król, patrząc, jak pół tuzina przodków ręcznie wyrywa pieczęć z gniazda. - Wzmacnia mięśnie.

Niektórzy co bardziej starożytni popadali w przesadny entuzjazm i atakowali same piramidy. Potrafili nawet przesunąć kamienne bloki wyżej niż własny wzrost. Król wcale się im nie dziwił. To straszne być martwym i wiedzieć, że jest się martwym i uwięzionym w ciemności.

Nigdy nie wsadzą mnie do czegoś takiego, obiecał sobie.

Wreszcie, jak fala, dotarli do jeszcze jednej piramidy. Była nieduża, niska, ciemna, w połowie przykryta nawianym piaskiem. Ściany nie były nawet murowane, a składały się ze z grubsza tylko ociosanych głazów. Najwyraźniej powstała, zanim w królestwie dopracowano technikę budowlaną. Była ledwie czymś więcej niż stosem kamieni.

Wyryte w pieczęci na drzwiach, głębokie i kanciaste, hieroglify Królestwa Ur głosiły: KHUFT KAZAŁ MNIE ZBUDOWAĆ. PIERWSZY.

Kilku przodków stanęło dookoła.

- Ojej - mruknął król. - Nie posuwajmy się za daleko.

- Pierwszy - szepnął Dii. - Pierwszy w królestwie. Wcześniej nikogo tu nie było, tylko hipopotamy i krokodyle. Siedemdziesiąt wieków patrzy na nas z wnętrza tej piramidy. Starsza niż wszystko...

- Tak, tak, to prawda - przyznał Teppicymon. - Ale nie należy popadać w przesadę. Był człowiekiem, tak samo jak my.

- I Khuft, pasterz wielbłądów, spojrzał w dolinę... - zaczął Dii.

- Po siedmiu tysiącach lat zechce spojrzeć na nią po raz wtóry - oświadczył stanowczo Ashk-ur-men-tep.

- Mimo wszystko... - wtrącił król. - To rzeczywiście nieco...

- Wszyscy umarli są równi - przerwał Ashk-ur-men-tep. - Dalej, młody człeku. Przywołaj go.

- Kto? Ja? - zdziwił się Gern. - Ale on był Pierw...

- Tak, już o tym mówiliśmy - westchnął Teppicymon. - Działaj. Wszyscy się niecierpliwią. On też, jak przypuszczam.

Gern wzniósł oczy do nieba i zamachnął się młotem. I kiedy miał już zatoczyć nim łuk, wymierzony w pieczęć, Dii skoczył do przodu. Gern zakręcił się w miejscu w nadrywającym pachwiny wysiłku, by uniknąć przyłożenia młotem w głowę swego mistrza.

- Jest otwarta! - zawołał Dii. - Patrzcie! Pieczęć można odsunąć!

- Chcesz rzec, że on wyszedł?

Teppicymon podszedł i chwycił drzwi piramidy. Otworzyły się bez oporu. Potem zbadał kamienie pod nimi. Choć piramida była stara i niemal zasypana, ktoś zadał sobie trud, by oczyszczać prowadzącą do niej ścieżkę. A kamienie były wytarte, jakby przez wiele stóp.

Nie był to - z samej natury rzeczy - normalny stan piramidy. Cała koncepcja polegała wszak na tym, że kiedy ktoś już trafił do środka, to tkwił w środku.

Mumie obejrzały najwyraźniej często używane wejście i trzeszczały do siebie w zdziwieniu. Jeden z najstarszych, który ledwie trzymał się cało, wydał dźwięk jakby chrząszcz kołatek wreszcie pokonał gnijące drzewo.

- Co powiedział? - zainteresował się Teppicymon.

- Rzecz, iż jest to niesamowite - przetłumaczyła mumia Ashk-ur-men-tepa.

Zmarły król pokiwał głową.

- Zajrzę do środka - postanowił. - Wy dwaj, żywi, pójdziecie ze mną.

Dii zmartwiał.

- Daj spokój, człowieku - rzucił Teppicymon, otwierając drzwi.

- Bierz przykład ze mnie. Ja się nie boję. Pokaż, że jesteś mężczyzną. Jak my wszyscy.

- Ale musimy mieć światło - zaprotestował Dii. Najbliższe mumie cofnęły się gwałtownie, gdy Gern posłusznie wyjął z kieszeni pudełko z hubką i krzesiwem.

- Potrzebujemy czegoś, co się pali.

Mumie odstańczyły dalej, mrucząc coś do siebie.

- Tu są pochodnie - zawołał Teppicymon lekko stłumionym głosem. - Ale trzymaj ją ode mnie z daleka, chłopcze.

Piramida okazała się mała, bez labiryntu i pułapek: zwyczajny kamienny korytarz, prowadzący w górę. Przerażeni balsamiści, w każdej chwili oczekując, że zaatakuje ich bezimienna groza, podążyli za królem do pachnącej piaskiem, niewielkiej kwadratowej komory. Sklepienie było czarne od sadzy.

W środku nie znaleźli sarkofagu ani trumny, ani żadnej grozy nazwanej czy bezimiennej. Na środku podłogi, na wysuniętym bloku leżała poduszka i koc.

Ani jedno, ani drugie nie wyglądało na szczególnie wiekowe. Poczuli niemal rozczarowanie.

Gern wyciągnął szyję i rozejrzał się dookoła.

- Całkiem tu miło - uznał. - Wygodnie.

- Nie - rzekł Dii.

- Hej, panie królu, proszę tu popatrzeć! - Gern podszedł do ściany. - Tutaj! Ktoś tu coś wydrapywał. Proszę spojrzeć na te wszystkie kreski na całej ścianie.

- I na tej - zauważył król. - I na podłodze. Ktoś tu coś liczył. Każde dziesięć jest przekreślone, widzicie? Ktoś liczył jakieś rzeczy. Mnóstwo rzeczy.

Cofnął się.

- Jakie rzeczy? - Dii zajrzał mu przez ramię.

- Bardzo dziwne - wymruczał król i pochylił się. - Ledwie można odczytać inskrypcje pod spodem.

- Umiecie to przeczytać, panie królu? - zapytał Gern, okazując, zdaniem Dila, całkiem zbędny entuzjazm.

- Nie. To któryś ze starożytnych dialektów. Nie poznaję ani jednego błogosławionego hieroglifu. I chyba nie ma dziś wśród żywych nikogo, kto potrafiłby je odczytać.

- Ta straszne - stwierdził Gern.

- Rzeczywiście - westchnął król. Milczeli ponuro.

- Ale może spytalibyśmy kogoś z umarłych? - zaproponował Gern.

- Ee... Gern... - wykrztusił Dii i cofnął się o krok.

Król klepnął ucznia w plecy, aż ten zatoczył się do przodu.

- Znakomity pomysł! - zawołał. - Przyprowadzimy tu któregoś w najdawniejszych przodków. Tylko... - Zmartwił się. - To na nic. Nikt ich przecież nie zrozumie.

- Gern! - Dii coraz szerzej otwierał oczy.

- Nie, królu, to żaden problem. - Gern cieszył się nowo odkrytą wolnością myśli. - Z prostego powodu: przecież każdy kogoś rozumie i wystarczy ich poustawiać po kolei.

- Sprytny chłopak! Sprytny chłopak!

- Gern!

Obaj spojrzeli na Dila ze zdumieniem.

- Dobrze się czujecie, mistrzu? - spytał uczeń. - Bardzoście zbledli.

- Po... - jękał się Dii, zesztyniała z przerażenia.

- Co, mistrzu?

- Po... Popatrz na po...

- Chyba powinien się położyć - uznał król. - Znam takich jak on. Artystyczne typy. Bardzo nerwowi. Dii nabrał tchu.

- Popatrz na tę piekielną pochodnię, Gern! - krzyknął. Spojrzeli.

Bez Hałasu, zmieniając czarny popiół w suchą trzinę, pochodnia płonęła wstecz.

Stare Państwo rozciągało się przed Teppikiem i było całkiem nierealne.

Spojrzał na Ty Drania, który zanurzył pysk w strumyku i wydawał dźwięk jak ostatnia kropla w kartoniku soku[27]. Ty Draniu wyglądał całkiem realnie. W takim wyglądzie wielbłądy nie mają sobie równych. Ale pejzaż wydawał się mglisty i niepewny, jakby nie do końca się zdecydował, czy ma tu być, czy nie.

Z wyjątkiem Wielkiej Piramidy. Przysiadła niedaleko, realna jak

szpilka przykłuwająca motyla do gabloty. Udawało jej się wyglądać niezwykle wręcz materialnie, jakby wysysała materialność z otoczenia.

Wreszcie tu trafił. Czymkolwiek to było.

Jak można zabić piramidę?

I co się stanie, jeśli się uda?

Pracował, opierając się na hipotezie, że wtedy wszystko wskoczy na miejsce. W pulę utylizowanego czasu Starego Państwa.

Przez jakiś czas przyglądał się bogom. Zastanawiał się, czym właściwie są i dlaczego jakoś nie ma to znaczenia. Wydawali się nie bardziej rzeczywisci niż ziemia, po której stąpali, załatwiając własne, niezrozumiałe sprawy. Świat był niczym więcej niż snem, a Teppic miał wrażenie, że stracił zdolność zdziwienia. Gdyby obok przeszło siedem krów tłustych, nie zwróciłby na nie uwagi.

Dosiadł Ty Drania i ruszył wolno drogą. Pola po obu stronach były zdeptane.

Słońce wreszcie zachodziło: bogowie nocy i wieczoru zyskali przewagę nad bogami dnia, ale walka trwała długo. A jeśli pomyśleć o tym wszystkim, co teraz czeka słońce - zostanie zjedzone przez boginię, przewiezione łodzią pod światem i tak dalej - istniała spora szansa, że już się nie pokaże.

Teppic nie spotkał nikogo na dziedzińcu przed stajnią. Ty Draniu poczłapał spokojnie do boksu i delikatnie wyciągnął źdźbło siana. Wymyślił coś ciekawego na temat dystrybucji biwariantnych.

Teppic klepnął go w bok, unosząc jeszcze jedną chmurę kurzu, i wbiegł na szerokie schody, prowadzące do właściwego pałacu. Nie znalazł ani strażników, ani sług. Ani żywej duszy.

Wśliznął się do własnego pałacu jak złodziej w środku dnia. Najpierw skręcił do warsztatu Dila. Był pusty i wyglądał, jakby niedawno pracował tu

włamywacz o bardzo szczególnych gustach. Sala tronowa pachniała jak kuchnia, w dodatku taka, z której wszyscy kucharze uciekli w panice.

Pogięta złota maska władców Djelibeybi potoczyła się do kąta. Teppic podniósł ją i pchnięty nagłym impulsem, poskrobał ostrzem jednego ze swych noży. Złoto złuszczyło się, odsłaniając srebrzystoszary metal.

Tak podejrzewał. W kraju zwyczajnie zabrakłoby złota. Maskę wydawała się ciężka jak ołów, ponieważ była z ołowiu. Ciekawe, czy kiedykolwiek była złota, który z przodków dokonał zamiany i ile piramid tym opłacił. To prawdopodobnie znaczący symbol tego czy owego. Może nawet nie symbol czegośkolwiek, ale symbol sam w sobie.

Jeden ze świętych kotów schował się pod tronem. Kiedy Teppic wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać, położył uszy po sobie i parsknął. Przynajmniej to się nie zmieniło.

Wciąż nikogo. Teppic wyszedł na taras.

Tutaj stali ludzie: wielki, milczący tłum, w gasnącym, szarym świetle spoglądający za rzekę. Flotyła łodzi i promów odbijała właśnie od brzegu.

Powinniśmy budować mosty, pomyślał. Ale zawsze twierdziliśmy, że nie wolno zakuwać rzeki w kajdany.

Lekko przeskoczył balustradę, wylądował na ubitej ziemi i ruszył w stronę tłumy.

Wiara zebranych tu ludzi uderzyła go z pełną mocą.

Mieszkańcy Djelibeybi mieli może sprzeczne wyobrażenia na temat bogów, ale wiara w królów trwała niezachwianie od tysięcy lat. Teppic miał wrażenie, że wchodzi do kadzi alkoholu, że ten wlewa mu się do wnętrza, aż iskry strzelają z palców, że podnosi się w ciebie i zalewa umysł, niosąc nie wszechmoc, ale poczucie wszechmocy, silne wrażenie, że chociaż w tej chwili nie wie wszystkiego, kiedyś już wiedział i wkrótce dowie się znowu.

Tak samo czuł się w Ankh, kiedy dopadła go boskość. Ale wtedy była

ulotna. Teraz stałą na mocnym fundamencie prawdziwej wiary.

Usłyszał szelest i spojrzał w dół, na zielone pędy strzelające z suchego piasku wokół jego stóp.

Niech to kraina umarłych pochłonie, pomyślał. Naprawdę jestem bogiem.

To bardzo krępujące.

Przecisnął się przez tłum na sam brzeg i stanął w gęstniejącej kępie kukurydzy. Ludzie zauważyli; najbliżsi padali na kolana. Krąg nabożnie klękających rozszerzał się wokół Teppica jak fale na wodzie.

Przecież nie chciałem tego! Chciałem tylko, żeby ludziom łatwiej się żyło z kanalizacją. Chciałem coś zrobić z zaniedbanymi dzielnicami miejskimi. Chciałem, żeby czuli się swobodnie, chciałem zapytać, czy są zadowoleni z życia. Myślałem też, że szkoły to niezły pomysł, żeby nie padali na twarze i nie czcili kogoś tylko dlatego, że ma zielono koło nóg.

I chciałem jakoś poprawić architekturę...

Światło znikало z nieba, jakby rozżarzona stal stygła powoli; piramida wydawała się jeszcze większa niż poprzednio. Jeśli trzeba zaprojektować coś, co daje bardzo wyraźne wrażenie masy, piramida jest właściwym wyborem. Otaczały ją małe figurki, nierozpoznawalne w szarym zmierzchu.

Teppic rozejrzał się i wśród klęczącego tłumu zobaczył kogoś w mundurze straży pałacowej.

- Hej, ty! Wstawaj! - rozkazał.

Człowiek spojrzał na niego przerażony, ale wstał posłusznie.

- Co się tu dzieje?

- O królu, władco...

- Chyba nie mamy czasu - przerwał mu Teppic. - Wiem, kim jestem.

Chcę wiedzieć, co się tu wydarzyło.

- O królu, widzieliśmy chodzących umarłych! Kapłani popłynęli, żeby z nimi rozmawiać.

- Umarli chodzili?

- Tak, o królu.

- Mówimy o nieżywych ludziach?

- Tak, o królu.

- Aha. No cóż, dziękuję. To było treściwe. Niespecjalnie informacyjne, ale treściwe. Zostały jeszcze jakieś łodzie?

- Kapłani zabrali wszystkie, o królu.

Teppic widział, że tak jest w istocie. Mola pod pałacem, zwykle obstawione łodziami, były puste. Kiedy spojrzał na wodę, ta wypuściła dwoje oczu i paszczę, przypominając, że pływanie w Djelu jest czynnością tak rozsądną, jak przybijanie mgły do muru.

Zerknął na tłum. Każdy z obecnych przyglądał mu się wyczekująco, przekonany, że król wie, co należy zrobić.

Teppic stanął twarzą do rzeki, wyciągnął przed siebie ręce, złożył je, po czym rozsunął delikatnie.

Rozległ się chlupot i wody Djelu rozstały się przed nim. Ludzie westchnęli zdumieni, ale ich zdumienie było niczym wobec zaskoczenia kilkunastu krokodyli, próbujących nerwowo pływać w dziesięciu stopach powietrza.

Teppic zbiegł na brzeg i pobrał przez głębokie błoto, odskakując przed machającymi wściekle ogonami krokodyli spadających ciężko na dno.

Djel wznosił się po obu stronach jak dwie oliwkowe ściany, tak że Teppic biegi jak przez wilgotny, mroczny zaułek. Tu i tam leżały odłamki

kości, stare tarcze, połamane włócznie, wręgi łodzi. Przeskakiwał i omijał odpadki stuleci.

Tuż przed nim wielki krokodyl wypłynął sennie ze ściany wody, zwinął się wściekle w powietrzu i runął w błoto. Teppic nadepnął mu na paszczę i szedł dalej.

Z tyłu kilku co bystrzejszych obywateli, widząc przed sobą oszłamione potwory, zaczęło się rozglądać za kamieniami. Krokodyle były niekwestionowanymi władcami Djelu od czasów prehistorycznych, ale jeśli w ciągu kilku minut można by wyrównać trochę rachunki, z pewnością warto spróbować.

Ryki rzecznych potworów, rozpoczynających właśnie długą podróż, która doprowadzi je do damskich torebek, rozległy się za plecami Teppica, kiedy wychodził już na drugi brzeg.

Szereg przodków ciągnął się przez komorę, przez ciemny korytarz i dalej. Szepty wędrowały w obie strony: suchy odgłos, jakby wiatr szeleścił starymi papirusami. Dii leżał na piasku, a Gern chustką wachlował mu twarz.

- Co oni robią?

- Odczytują inskrypcję - wyjaśnił uczeń. - Powinniście to widzieć, mistrzu! Ten, który czyta, jest już właściwie...

- Tak, tak, wystarczy. Dii usiadł z wysiłkiem.

- Ma ponad sześć tysięcy lat! Jego wnuk go słucha i powtarza swojemu wnukowi, a ten swojemu...

- Tak, wszystko...

- A Khuft-także-Rzekł-do-Pierwszego, Co-Możemy-Ofiarować-Tobie, Który-Wskazałeś-Nam-Słuszną-Droge - powtarzał Teppicymon[28], stojący

na końcu szeregu. - A-Pierwszy-Przemówił, Zbuduj-dla-Mnie-Piramidę,
Bym-w-Niej-Spoczął, i-Zbuduj-ją-w-Tych-Wy-miarach, by-Była-Właściwa.
I-Tak-Się-Stało, a-Imię-Pierwszego-Brzmiało...

Ale imienia nie było. Tylko gwar podniesionych głosów, sprzeczek i
starożytnych przekleństw, sunących wzdłuż linii zasuszonych przodków
niczym iskra po prochowej ścieżce. Aż wreszcie dotarły do Teppicymona,
który eksplodował.

Sierżant efebiańskiej armii, pocący się spokojnie w cieniu, zobaczył to,
czego po części się spodziewał i w całości obawiał. Na horyzoncie pojawiła
się kolumna kurzu. Główne siły Tsortu dotarły na miejsce pierwsze.

Wstał, z miną zawodowca skinął głową swojemu odpowiednikowi po
drugiej stronie granicy, po czym spojrzał na garść ludzi służących pod jego
rozkazami.

- Potrzebny mi posłaniec, żeby tego, no... posłać wiadomość do miasta
- oznajmił.

Las rąk wystrzelił w górę. Sierżant wybrał młodego Promptera, o
którym wiedział, że tęskni za mamą.

- Biegnij jak wiatr - przykazał. - Chociaż pewnie nie muszę ci tego
mówić. A potem... potem...

Bezgłośnie poruszał wargami. Słońce przypiekało skały w gorącym,
wąskim przesmyku; kilka owadów brzęczało w przydrożnych kolczastych
krzewach. Na wojskowej akademii nie było ćwiczeń ze Słynnych Ostatnich
Słów.

Skierował spojrzenie w stronę domu.

- Posłańcze, powiedz Efebowi... - zaczął. Żołnierze czekali.

- Co? - zapytał po chwili Prompter. - Powiedzieć Efebowi co? Sierżant odprężył się, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze.

- Powiedz Efebowi: Co was zatrzymało? - odparł. Od ich strony horyzontu zbliżała się druga kolumna kurzu. Tak już lepiej. Jeśli ma tu być masakra, to powinny w niej uczestniczyć obie strony.

Przed Teppikiem rozciągało się miasto umarłych. Po Ankh-Morpork, jego niemal dokładnym przeciwieństwie (w Ankh nawet łóżka żyły), było to chyba największe miasto na Dysku. Ulice miało najwspanialsze, architekturę najbardziej majestatyczną i budzącą szacunek.

Co do liczby mieszkańców, nekropolia przewyższała inne miasta Starego Państwa, ale tutejsi rzadko wychodzili i nie było co robić w sobotnie wieczory.

Aż do dzisiaj.

Dzisiaj ulice były zatłoczone.

Ze szczytu wyglądnionego wiatrami obelisku Teppic spoglądał na przechodzące pod nim szare i brązowe, miejscami lekko zielonkawe armie. Królowie byli demokratami. Po opróżnieniu piramid, grupami wzięli się za pomniejsze grobowce i teraz nekropolia miała swoich kupców, swoją szlachtę, a nawet swoich rzemieślników. Co nie znaczy, że dało się ich odróżnić.

Wszyscy jak jeden trup zmierzali do Wielkiej Piramidy. Wyrastała jak wrzód nad mniejszymi, starszymi budowlami. I wszyscy wyglądali na bardzo czymś rozgniewanych.

Teppic zeskoczył lekko na szeroką, płaską powierzchnię mastaby, podbiegł na krawędź, przeskoczył na ozdobnego sfinksa - nie bez chwili wahania, ale ten akurat wydawał się całkiem nieruchomy - a stamtąd już

tylko rzut kotwiczka dzielił go od niższych poziomów piramidy schodkowej.

Sporne słońce przebijało promieniami milczący pejzaż, a Teppic skakał z posągu na posąg, zygzakując wysoko ponad sunącą w dole armią.

Gdzie stąpnął, zielone pędy pojawiały się na chwilę w pęknięciach starożytnych głazów, po czym wędły i znikwały.

To właśnie to, szeptała krew, opływając jego ciało. Tego się uczyłeś. Nawet Mericet nie mógłby ci nic zarzucić. Pędzić w cieniach ponad milczącym miastem, biec jak kot, znajdować chwytty tam, gdzie nawet gekon mógłby stracić głowę... A u celu - ofiara.

Owszem, ofiarą jest miliardtonowa piramida, podczas gdy do tej pory największym klientem inhumacji był Patricio, trzytętnarowy Despota Quirmu.

Jako drabiny użył monumentalnej iglicy, na której płaskorzeźbami utrwalono dokonania króla zmarłego przed czterema tysiącami lat. Pamięć o nim przetrwałaby dłużej, gdyby niesiony wiatrem piasek nie stał imienia władcy. Fachowo rzucona kotwiczka, zaczepiona o wyciągnięte palce dawno zapomnianego monarchy, umożliwiła lot po długim, łagodnym łuku, wprost na szczyt grobowca.

Biegąc, wspinając się, pospiesznie wbijając haki w pomniki zmarłych, Teppic wciąż zbliżał się do celu.

Punkciki światła wśród skał znaczyły linie przeciwnych armii. Choć wrogość obu imperiów trwała długo, oba przestrzegały pradażnej tradycji, zakazującej prowadzenia wojen nocą, w czasie zbiorów i podczas deszczu. Wojna jest dostatecznie poważna, by oszczędzać ją na specjalne okazje. Nierozsądny pośpiech redukuje ją do farsy.

Po zmroku z obu stron dobiegły odgłosy zawansowanych prac

ciesielskich.

Mówi się, że generałowie zawsze są gotowi jeszcze raz stoczyć ostatnią wojnę. Minęły tysiące lat od ostatniej wojny Tsortu z Efebem, ale generałowie mają dobrą pamięć i tym razem byli przygotowani.

Po obu stronach granicy nabierały kształtu drewniane konie.

- Poszedł - zameldował Ptaclusp IIb, zsuwając się po kamiennym rumowisku.

- Najwyższy czas - mruknął jego ojciec. - Pomóż mi zwinąć brata. Jesteś pewien, że nie zrobimy mu krzywdy?

- Jeśli zrobimy to ostrożnie, to nie poruszy się w czasie, to znaczy dla nas w poprzek. Czyli czas dla niego nie płynie, więc nic nie może mu się stać.

Ptaclusp wspomniał dawne czasy, kiedy budowanie piramid polegało na zwyczajnym układaniu jednego bloku na drugim, i trzeba było tylko pamiętać, żeby na wierzch kłaść mniej niż pod spód. A teraz oznaczało złożenie w kant jednego z synów.

- No dobrze - zgodził się niezbyt pewnie. - Ruszajmy stąd.

Wspiął się po gruzach i wysunął głowę akurat wtedy, gdy przednia straż umarłych wyłoniła się zza rogu najbliższej niewielkiej piramidy.

Jego pierwsza myśl brzmiała: to jest to. Przyszli z reklamacją.

Starał się, jak mógł. Nie zawsze łatwo jest trzymać się budżetu. Może nie każda belka dokładnie odpowiadała rysunkom, może jakość wewnętrznych tynków nie zawsze zgadzała się ze specyfikacją, ale...

Nie mogą wszyscy się skarżyć. Nie tylu naraz...

Ptaclusp IIb pojawił się obok. Szeroko otworzył usta.

- Skąd oni wszyscy się wzięli? - zapytał.

- Ty jesteś ekspertem. Ty mi wytłumacz.

- Wszyscy są umarli?

Ptaclusp przyjrzał się pierwszym szeregom.

- Jeśli nie, to niektórzy są ciężko chorzy - stwierdził.

- Uciekajmy!

- Gdzie? Na piramidę?

Wielka Piramida wyrastała za nimi, brzęcząc cicho. Ptaclusp spojrzał na nią niepewnie.

- Co się stanie dzisiaj wieczorem? - spytał.

- Słucham?

- No, czy ona... czy zrobi to, co zrobiła... jeszcze raz? IIb wytrzeszczył oczy.

- Nie wiem.

- A możesz sprawdzić?

- Tylko czekając. Nie jestem nawet pewien, co takiego zrobiła.

- Spodoba nam się to?

- Nie przypuszczam, tato. Ojej!

- Co takiego?

- Popatrz tam.

W stronę umarłych, kryjąc się za Koomim niczym ogon za kometa, szli kapłani.

We wnętrzu konia było gorąco i ciemno. A także ciasno. Czekali spoceni.

- Co teraz będzie, sierżancie? - dopytywał się młody Prompter.

Sierżant ostrożnie przesunął stopę. Panująca tu atmosfera nawet u sardynki wywołałaby atak klaustrofobii.

- No cóż, chłopcze... Znajdą nas, rozumiesz, i będą pod wrażeniem, więc pociągną nas do miasta, a kiedy zapadnie ciemność, wyskoczymy i wszyscy oni pójda pod miecz... Albo miecz spadnie na nich. Jedno albo drugie. A potem zdobędziemy miasto, spalimy je i posypiemy grunt solą. Pamiętasz chyba, chłopcze, pokazywałem ci w piątek.

- Aha.

Wilgoć ściekała z czół. Kilku ludzi próbowało układać listy do domu, kreśląc rysikami na topniejących woskowych tabliczkach.

- A co potem, sierżancie?

- Potem, chłopcze, wrócimy do domu jako bohaterowie.

- Aha.

Starsi żołnierze siedzieli spokojnie, wpatrzeni w drewniane ściany. Prompter wiercił się niespokojnie, wciąż czymś zmartwiony.

- Mama powiedziała, że mam wrócić z tarczą albo na niej, sierżancie - wyznał.

- Świetnie, mały. To się nazywa duch bojowy.

- Ale nic nam się nie stanie, prawda? Prawda, sierżancie? Sierżant wbił wzrok w duszną ciemność. Po chwili ktoś zaczął grać na harmonijce.

Ptaclusp odwrócił głowę i nagle jakiś głos tuż przy uchu szepnął:

- Jesteś budowniczym piramid, prawda? Jakaś postać przyłączyła się do nich w tej mysiej dziurze, postać ubrana w czerń i poruszająca się tak, że stąpanie kota brzmiałoby przy jej kroku jak orkiestra dęta.

Ptaclusp przytaknął, niezdolny wykrztusić słowa. Jak na jeden dzień, przeżył już dosyć wstrząsów.

- A więc ją wyłącz. Wyłącz natychmiast. I Ib przysunął się bliżej.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Mam na imię Teppic.

- Tak samo jak król?

- Tak. Właśnie tak jak król. A teraz ją wyłącz.

- To przecież piramida! - zaprotestował Ib. - Nie można wyłączyć piramidy!

- Więc zmuscie ją, żeby odpaliła.

- Próbowaliśmy wczoraj w nocy. - Ib wskazał strzaskany wierzchołek.
- Tato, odwiń Dwa-a.

Teppic przyjrzał się płaskiemu księgowemu.

- To coś w rodzaju plakatu, tak? - zapytał po chwili. Ib spojrzał pod nogi. Teppic dostrzegł ten ruch i także spuścił głowę: stał po kostki w zielonych pędach.

- Przepraszam - mruknął. - Nie mogę się ich pozbyć.

- To może być straszne - przyznał gorączkowo Iib. - Wiem, miałem kiedyś kurzajkę. Nie dało się jej ruszyć.

Teppic pochylił się nad popękanym wierzchołkiem.

- To coś. - Wskazał palcem. - Do czego to służy? Widzę, że jest pokryte metalem. Po co?

- Musi mieć ostry czubek dla flary - wyjaśnił Iib.

- I to wszystko? To złoto, prawda?

- Elektrum. Stop złota i srebra. Kamień szczytowy musi być zrobiony z elektrum.

Teppic oderwał folię.

- Nie jest cały z metalu - zauważył spokojnie.

- No tak - zająknął się Ptaclusp. - Więc... Odkryliśmy, że folia działa równie dobrze.

- A może być coś tańszego? Na przykład stal?

Ptaclusp machnął ręką. Ten dzień nie był udany, równowaga psychiczna stała się tylko dalekim wspomnieniem, ale wciąż pewne fakty uznawał za niepodważalne.

- Nie wytrzymałaby dłużej niż rok czy dwa - odparł. - Z powodu rosy i w ogóle. Straciłaby ostrość. Stal wystarcza najwyżej na dwieście, trzysta razy.

Teppic wsparł głowę na piramidzie. Była zimna i brzęczała; poprzez wibracje słyszał cichy, coraz wyższy odgłos. Wznosiła się nad nim wysoko. Iib mógłby wyjaśnić, że jej ściany są nachylone pod kątem 56° , a efekt zwany perspektywą powoduje, że wydaje się wyższa niż w rzeczywistości. Użyłby pewnie również słów takich jak kąt widzenia i wysokość wirtualna.

Czarny marmur był gładki jak szkło. Murarze dobrze wykonali swoją pracę. Szczeliny między płytami ledwie pozwalały na wciśnięcie noża. Ale pozwalały.

- A jeden raz? - zapytał.

Koomi w roztargnieniu obgryzał paznokcie. - Ogień - rzekł. - To ich zatrzyma. Są łatwopalni. Albo woda. Pewnie by się rozpuścili.

- Niektórzy niszczyli piramidy - przypomniał kapłan Jufa, Kobrogłowego Boga Papirusu.

- Ludzie zawsze powracają z martwych w fatalnym humorze -dodał inny.

Koomi z rosnącym zdumieniem obserwował nadciągającą armię.

- Gdzie jest Dios? - zapytał.

Stary najwyższy kapłan został wypchnięty przed grupę.

- Co mam im powiedzieć? - zapytał go Koomi.

Błędem byłoby stwierdzenie, że Dios się uśmiechnął. Nieczęsto musiał wykonywać taką czynność. Ale przy kącikach ust pojawiły mu się zmarszczki, a powieki do połowy przesłoniły oczy.

- Możesz im powiedzieć - odparł - że nowe czasy wymagają nowych ludzi. Możesz powiedzieć, że najwyższa pora ustąpić miejsca młodszemu, z nowymi pomysłami. I jeszcze, że są staromodni. Wszystko to im powiedz.

- Zabiją mnie!

- Czyżby aż tak im zależało na twoim wiecznym towarzystwie? Zastanawiam się.

- Wciąż jesteś najwyższym kapłanem!

- Dlaczego nie chcesz z nimi rozmawiać? - zapytał Dios. - Nie zapomnij dodać, że choćby wrzeszczeli i kopali, zostaną siłą wciągnięci w Wiek Kobry. - Wręczył Koomiemu swoją laskę. - Czy jak tam się nazywa to stulecie.

Koomi czuł na sobie spojrzenia zebranych braci i sióstr. Odchrząknął, poprawił szatę i spojrzał na mumie.

Wykrzykiwały coś - jedno słowo powtarzane bez przerwy. Nie rozpoznał go, ale chyba rozpałało w nich gniew.

Podniósł laskę, a rzeźbione drewniane węże wydały się niepokojąco żywe w słabym świetle słońca.

Bogów Dysku - co tutaj oznacza powszechnie uznanych bogów, którzy naprawdę istnieją w Dunmanifestin, wolno stojącej Walhalli na niewiarygodnie wysokiej centralnej górze Dysku, gdzie spędzają czas, obserwując nieważne wyczyny śmiertelników albo zbierając podpisy pod petycją mówiącą, że napływ Lodowych Gigantów wpłynął na obniżenie cen nieruchomości w niebiańskich regionach - otóż bogów Dysku zawsze fascynowała nieprawdopodobna zdolność ludzi do wypowiedzania niewłaściwych słów w niewłaściwych chwilach. Nie chodzi tu bynajmniej o takie proste pomyłki jak „To całkiem bezpieczne” albo „Te, które warczą, nie gryzą”, ale o krótkie i proste zdania, wtrącane w trudnej sytuacji z podobnym efektem, jaki wywołuje stalowy pręt upuszczony w wirnik sześćsetmegawatowej turbiny parowej przy trzech tysiącach obrotów na minutę.

Koneserzy ludzkiej skłonności do używania pedału gazu zamiast języka, zgadzają się, że po otworzeniu sędziowskich kopert, Hoot Koomi ze swym wspaniałym wystąpieniem „Opuszczenie to miejsce, ohydne cienie” będzie kandydatem w kategorii najgłupszego powitania wszech czasów.

Przedni szereg przodków zatrzymał się, popychany do przodu przez tych, którzy za ich plecami nie wiedzieli, co się stało.

Król Teppicymon XXVII, który za ogólną zgodą poprzednich dwudziestu sześciu Teppicymonów został ich rzecznikiem, kołysząc się, wyszedł naprzód i podniósł drżącego Koomiego za ramiona.

- Co powiedziałaś? - spytał.

Koomi zamknął oczy. Otwierał i zamykał usta, ale głos rozsądnie odmówił współpracy.

Teppicymon przysunął obandażowaną twarz do szpiczastego kapłańskiego nosa.

- Pamiętam cię -warknął. - Widziałem, jak włóczysz się po pałacu. Najpaskudniejszy kapelusz, jaki w życiu widziałem; tak sobie wtedy myślałem.

Spojrzał na pozostałych.

- Wszyscy jesteście kapłanami, tak? I przyszlście przeprosić, tak? Gdzie jest Dios?

Przodkowie postąpili o krok, mruczając głośno. Kiedy ktoś jest martwy od setek lat, nie ma skłonności do wielkodusznych gestów wobec ludzi, którzy zadbali, żeby dobrze się bawił. Pośrodku grupy wybuchło zamieszanie, gdy młodszy koledzy powstrzymywali króla Psam-nut-kha, który przez pięć tysięcy lat mógł oglądać tylko wewnętrzną powierzchnię pokrywy sarkofagu.

Teppicymon zwrócił się znów do Koomiego, który jakoś nigdzie nie odszedł.

- Ohydne cienie, tak?

- Ee... - odpowiedział Koomi.

- Postaw go. - Dios wyjął laskę z bezwładnych palców Koomiego. - Jestem Dios, najwyższy kapłan. Skąd się tu wzięliście?

Głos miał całkowicie spokojny i rozsądny; pobrzmiwały w nim tony

zatroskanej, ale niewątpliwej pewności siebie. Tego głosu faraonowie Djelibeybi słuchali przez tysiące lat, ten głos regulował upływ dni, nakazywał rytuały, rozcinał czas na starannie odmierzone fragmenty, tłumaczył ludziom wolę bogów. To był głos władzy; poruszył pradawne wspomnienia i sprawił, że zrobili zakłopotane miny i zaczęli przestępować z nogi na nogę.

Jeden z młodszych faraonów wyrwał się do przodu.

- Ty draniu - wychrypiał. - Pochowałeś nas i pozamykałeś kolejno, a sam żyłeś nadal. Ludzie myśleli, że imię przechodzi z pokolenia na pokolenie, ale to zawsze byłeś ty. Ile masz lat, Dios?

Zapadła cisza. Nikt nawet nie drgnął. Wiatr unosił obłoczki kurzu.

Dios westchnął.

- Nie chciałem tego - zapewnił. - Zawsze było tyle pracy. Nigdy nie wystarczało godzin. Wyznam, że nie zdawałem sobie sprawy, co się dzieje. Myślałem, że się odświeżam, nic więcej. Niczego nie podejrzewałem. Zauważałem mijające rytuały, ale nie lata.

- Pochodzisz z długowiecznej rodziny, co? - spytał ironicznie Teppicymon.

Dios wpatrywał się w niego, bezgłośnie poruszając ustami.

- Rodzina - szepnął w końcu. - Rodzina. Tak, musiałem przecież mieć rodzinę. Ale wiecie, zupełnie jej nie pamiętam. Pamięć odchodzi pierwsza. To dziwne, ale piramidy jej nie zachowują.

- I to mówi Dios, kronikarz przypisów do historii?

- Ach... - Najwyższy kapłan uśmiechnął się lekko. - Pamięć gaśnie w głowie. Ale jest przecież wszędzie wokół. Każdy zwój, każda księga...

- To przecież historia królestwa, człowieku!

- Tak. Moja pamięć.

Król uspokoił się trochę. Czysta lękliwa fascynacja łagodziła wściekłość.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Myślę... Myślę, że siedem tysięcy. Ale czasem wydaje mi się, że o wiele więcej.

- Naprawdę siedem tysięcy lat?

- Tak - potwierdził Dios.

- Jak człowiek może to wytrzymać? - zdumiał się król. Dios wzruszył ramionami.

- Siedem tysięcy lat mija po jednym dniu dziennie. Powoli, krzywiąc się z bólu, przyklęknął na jedno kolano i w drżących dłoniach podniósł laskę.

- O królowie - rzekł. - Zawsze żyłem tylko po to, by służyć. Nastąpiła długa chwila niezwykle krępującego milczenia.

- Zniszczymy piramidy - oznajmił Far-re-ptah, przeciskając się do przodu.

- Zniszczycie królestwo - orzekł Dios. - Nie mogę na to pozwolić.

- Jako mówca umarłych - odparł Far-re-ptah - oświadczam, że tylko wtedy będziemy wolni.

- Ale królestwo będzie wtedy tylko jeszcze jednym małym krajem - odparł Dios i ku swemu przerażeniu przodkowie dostrzegli łyżę w jego oczach. - Wszystko, co jest nam drogie, zostanie rzucone w fale czasu. Niepewne. Bez przewodnika. Zmienne.

- Więc niech samo próbuje szczęścia - zdecydował Teppicymon. - Odsuń się, Dios.

Dios podniósł laskę. Wężę wokół niej rozwinęły się i syknęły na króla.

- Nie ruszajcie się - rozkazał.

Czarna błyskawica uderzyła między przodków. Dios w zdumieniu spojrzał na laskę: nigdy przedtem tego nie robiła. Ale przez siedem tysięcy lat kapłani w głębi serca wierzyli, że laska Diosa potrafi władać tym i następnym światem.

W nagłej ciszy zabrzmiał cichy brzęk, jakby gdzieś wysoko ktoś wbił nóż między dwie płyty z czarnego marmuru.

Piramida pulsowała pod palcami, a marmur był śliski jak lód. Nachylenie nie pomagało we wspinaczce tak, jak tego oczekiwał.

Najważniejsze, powtarzał sobie, to nie patrzeć w górę ani w dół, ale prosto przed siebie, na marmur, dzieląc nieosiągalną wysokość na możliwe do pojęcia kawałki. Jak czas. W ten sposób przeżywamy nieskończoność: zabijamy ją, łamiąc na małe części.

Teppic słyszał krzyki w dole i raz zerknął przez ramię. Pokonał dopiero jedną trzecią wysokości, ale widział stąd tłum za rzeką: szarą masę z białymi plamami uniesionych twarzy. Bliżej błada armia umarłych stała naprzeciw szarej grupki kapłanów z Diosem na czele. Toczyła się jakaś dyskusja.

Słońce zawisło na horyzoncie.

Wyciągnął rękę, natrafił na kolejną szczelinę, znalazł chwyt...

Dios spostrzegł wyglądającego z gruzów Ptacluspa i posłał dwóch kapłanów, żeby go przyprowadzili. Ilb przyszedł z ojcem, niosąc pod pachą starannie zwiniętego brata. - Co robi chłopak? - zapytał Dios.

- O Diosie, powiedział, że odpali piramidę - odparł Ptaclusp.
- Jak może tego dokonać?
- Panie, mówił, że zanim słońce zajdzie, nakryje ją wierzchołkiem.
- Czy to możliwe? - Dios zwrócił się do architekta. I Ib zawahał się.
- Chyba tak.
- I co się wtedy stanie? Powrócimy do zewnętrznego świata?
- No... To zależy, czy efekt wymiarowy się zazębi, a także czy jest stabilny w każdym ze stanów, czy też przeciwnie, piramida działa jak napięta guma...

Zająknął się i umilkł pod groźnym spojrzeniem Diosa.

- Nie wiem - przyznał w końcu.
- Powrót do zewnętrznego świata - szepnął Dios. - Nie naszego świata. Naszym światem jest Dolina. Naszym jest świat porządku. Ludzie potrzebują porządku.

Podniósł laskę.

- To mój syn! - krzyknął Teppicymon. - Nie waż się niczego próbować! To król!

Szeregi przodków zafalowały, ale nie zdołały przełamać czaru.

- Ehem... Diosie - odezwał się Koomi. Dios odwrócił się, marszcząc brwi.

- Czyżbyś coś mówił? - zapytał groźnie.

- Tego... Bo jeśli to król, no, to ja... znaczy my... sądzimy, że może powinienś pozwolić mu skończyć. Nie sądzisz, że to dobry pomysł?

Laska Diosy podskoczyła i kapłani poczuli, jak zimne więzy unieruchamiają im ręce.

- Swoje życie ofiarowałem królestwu - rzekł Dios. - Oddawałem je wiele razy. Wszystko, czym jest, ja stworzyłem. Nie zawiodę go teraz. I wtedy zobaczył bogów.

Teppic przesunął się o kolejne kilka stóp i delikatnie sięgnął w dół, żeby wyrwać nóż z marmuru. To nie może się udać. Wspinaczka na nożach jest dobra na krótkie, trudne przejścia, a nawet wtedy źle widziana, gdyż sugeruje, że człowiek wybrał niewłaściwą trasę. Nie nadaje się do takich podejść, chyba że ma się nieograniczony zapas noży.

Raz jeszcze zerknął przez ramię, gdy na ścianie piramidy zamigotały dziwne, kanciaste cienie.

Od zachodzącego słońca, gdzie toczyli swoją wieczną sprzeczkę, powracali bogowie.

Zataczali się i potykali na polach i wśród trzciny. Zmierzali do piramidy. Choć niemal bezrozumni, zgadywali, czym jest. Może nawet pojmowali, co chce zrobić Teppic. Trudno było rozpoznać wyraz na ich zwierzęcych obliczach, ale wyglądało na to, że są bardzo zagniewani.

- Spróbujesz nad nimi zapanować, Dios? - zapytał król. - Powiesz im, że świat powinien być niezmienny? Dios spoglądał na stwory, które popychając się, brnęły przez rzekę. Miały zbyt wiele zębów, zbyt wiele wywieszonych języków. Te ich części, które były ludzkie, zapadały się w mule. Lwio-głowy Bóg Sprawiedliwości - Put, przypominał sobie Dios - używał wagi jak cepa, by pobić któreś z bóstw rzeki. Chefet, Psiogłowy Bóg Metalurgii, warczał i

bez wyboru atakował innych swoim młotem. Chefet, pomyślał Dios; bóg, którego stworzył, aby był dla ludzi przykładem w sztuce filigranu i drobnego piękna.

Przecież udało się. Wziął włóczęgów z pustyni i pokazał im wszystko, co pamiętał ze sztuk cywilizacji i tajemnic piramid. Ale to, co zaistniało, nie było tym, co sobie zaplanował.

Chefet, Chefet, myślał. Twórca pierścieni, tkacz metalu. A teraz wyrwał się nam z głów i patrzcie, jak paznokcie wyrastają mu w szpony...

Nie tak go sobie wyobrażałem.

- Stójcie! - zawołał. - Rozkazuję wam się zatrzymać! Będziecie mi posłuszni! Zmuszę was!

Są także niewdzięczni.

Król Teppicymon poczuł, że unieruchamiająca go moc słabnie - to Dios całą swoją uwagę poświęcił problemom eklezjastycznym. Zobaczył maleńką sylwetkę w połowie piramidy. Zobaczył, jak się zachwiała.

Pozostali przodkowie też to widzieli i jak jeden trup zgadli, co trzeba zrobić. Dios mógł zaczekać.

To właśnie jest rodzina.

Teppic usłyszał trzask pękającej rękocyści pod stopą i zawisł na jednej ręce. Nad sobą wbił jeszcze jeden nóż, ale... nie, nic z tego. Nie dosięgnie. Miał wrażenie, że ręce stały się krótkimi kawałkami mokrego powrozu. Jeśli rozłoży ramiona i nogi, może wyhamuje zjazd...

Spojrzał w dół i zobaczył, jak mumie zbliżają się do niego ogromną falą, załamującą się w górę.

Przodkowie zdobywali ścianę piramidy w milczeniu, jak winorośle; każdy nowy szereg stawał na ramionach poprzedniej generacji, a młodzi wspinali się po nich. Kościste palce chwyciły Teppica, a fala wspinaczy rozdzieliła się wokół niego, i teraz był na wpół popychany, na wpół ciągnięty coraz wyżej. Podobne do skrzypienia sarkofagów głosy rozlegały się wokół i dodawały otuchy.

- Dobra robota, chłopcze - sieknęła rozsypująca się mumia, podnosząc go na ramię. - Przypominasz mi mnie, jeszcze za życia. Do ciebie, synu.

- Mam go! - zawołał trup powyżej, bez wysiłku podnosząc Teppica na wyciągniętej ręce. - To się nazywa rodzinna współpraca, mały. Najlepsze życzenie od pra-pra-pra-pra-wuja, chociaż nie sądzę, żebyś mnie pamiętał. W górę!

Inni przodkowie wyprzedzali Teppica i podawali go sobie z rąk do rąk. Pradawne palce ścisnęły go jak stal i wносиły coraz wyżej. Piramida stała się węższa.

W dole Ptaclusp obserwował ich pilnie.

- Co za siła robocza - szepnął. - Przecież ci na dole podtrzymują cały ciężar.

- Tato - odezwał się Iib. - Lepiej uciekajmy. Bogowie są coraz bliżej.

Ptaclusp zignorował ostrzeżenie.

- Myślisz, że można by ich zatrudnić? Są martwi, więc nie braliby dużych pensji. I jeszcze...

- Tato!

- ...coś w rodzaju „Zbuduj to sam”...

- Mówiłeś, że żadnych więcej piramid, tato. Już nigdy. A teraz chodź!

Teppic wdrapał się na szczyt piramidy, podtrzymywany przez ostatnich dwóch przodków. Jednym z nich był jego ojciec.

- Nie sędę, żebyś miał okazję poznać swoją prababcię - powiedział, wskazując niższą obandażowaną postać. Skinęła Teppicowi głowę.

Chłopiec otworzył usta.

- Nie ma czasu - przerwała mu. - Świetnie sobie radzisz.

Zerknął na słońce, które - jak stary zawodowiec - tę właśnie chwilę wybrało, by opaść poniżej horyzontu. Bogowie przekroczyli rzekę i ich marsz spowalniała już tylko skłonność do przepychania się między sobą. Szli już między budowlami nekropolii. Kilkoro zebrało się w miejscu, gdzie został Dios.

Przodkowie wycofali się, zsunęli z piramidy tak szybko, jak przedtem się wspięli. Teppic został sam na paru stopach kwadratowych kamienia.

Błysnęły pierwsze gwiazdy.

Zobaczył białe sylwetki przodków, którzy rozbiegli się we własnych sprawach i z zadziwiającą prędkością sunęli w stronę szerokiej wstęgi rzeki.

Bogowie porzucili Diosa, tego dziwnego małego człowieczka z kijem i zgrzytliwym głosem. Najbliższy z nich, potwór z głową krokodyla, wbiegł na plac przed piramidą, zobaczył Teppica i wyciągnął łapę. Teppic szukał noża, zastanawiając się, który będzie odpowiedni na boga...

A wzdłuż Djelu piramidy zaczynały wypalać swoją skromną rezerwę nazbieranego czasu.

Kapłani i przodkowie uciekli, kiedy zadrżała ziemia. Nawet bogowie wyglądali na zaskoczonych. Ilb chwycił ojca za rękę i odciągnął od piramidy. - Chodź! - wrzeszczał mu do ucha. - Kiedy odpali, musimy być jak najdalej stąd. Inaczej będziesz się kładł do łóżka na wieszaku! Wokół nich kilka piramid zapaliło swe flary - cienkie, chwiejne, ledwie widoczne o zmierzchu.

- Tato! Mówiłem, że musimy uciekać!

Ptaclusp dał się ciągnąć po kamieniach, wciąż wpatrzony w ogromną sylwetkę Wielkiej Piramidy.

- Ktoś jeszcze tam został. Popatrz. - Wskazał palcem samotną postać na placu.

Ilb wytrzeszczył oczy.

- To tylko Dios, najwyższy kapłan - stwierdził. - Pewnie ma jakiś plan, ale lepiej nie mieszać się w sprawy kapłanów; czy już możemy iść?

Krokodylogłowy bóg odwrócił pysk w jedną i w drugą stronę, starając się skupić wzrok na Teppicu - a przecież nie mógł korzystać z dwuocznego widzenia. Z tak małej odległości jego ciało było lekko przejrzyste, jakby ktoś naszkicował wszystkie linie i znudził się, zanim przyszło do kolorowania. Bóg nadepnął na niewielki grobowiec i zmiażdżył go na proszek.

Nad Teppikiem zawisała łapa niczym grono kajaków z pazurami. Piramida drżała, a kamień pod stopami był ciepły, lecz rozsądnie nie przejawiał żadnej chęci do odpalenia.

Łapa opadała. Teppic przyklęknął i desperacko oburącz podniósł nad głową nóż.

Światło błysnęło na klindze i wtedy właśnie Wielka Piramida wystrzeliła flarę.

Z początku robiła to w absolutnej ciszy, posyłając w górę igłę oślepiającego ognia, który całe królestwo zmienił w szachownicę czarnego cienia i białego światła, ognia, który mógł obserwatorów zmienić nie tylko w słup soli, ale w pełny zestaw przypraw do wyboru. Ekspłodował jak sprężyna zegara słonecznego; cichy jak światło gwiazd i jaskrawy jak supernowa.

Dopiero kiedy przez kilka sekund zalewał nekropolię swoim niemożliwym blaskiem, nadszedł dźwięk, a był to dźwięk, który przewija się przez kości, wciska do wszystkich komórek ciała i próbuje, nie bez

sukcesów, wywrócić je na lewą stronę. Był zbyt potężny, by nazwać go hukiem. Istnieją dźwięki tak głośne, że nie pozwalają się usłyszeć, i to właśnie był jeden z nich.

W końcu zdecydował się opuścić skalę kosmiczną i stał się po prostu najgłośniejszym dźwiękiem, jaki ktokolwiek w życiu słyszał.

I nagle umilkł, wypełniając powietrze mrocznym, metalicznym brzękiem nieoczekiwanej ciszy. Światło zgasło, przetykając noc błękitem i fioletem powidoków. Nie była to cisza i ciemność konkluzji, ale przerwy, niby moment równowagi, gdy rzucona kula straciła już przyspieszenie, ale grawitacja nie zwróciła jeszcze na nią uwagi, więc przez jedną krótką chwilę myśli, że najgorsze już za nią.

Tym razem zapowiedzią był ostry gwizd z nieba i wir powietrza, który stał się lśnieniem, płomieniem, flarą z trzaskiem palącą się w dół, do piramidy, w masę czarnego marmuru. Palce błyskawic strzeliły na boki, uziemiając się w pomniejszych grobowcach, aż węże białego ognia przeskakiwały z piramidy na piramidę po całej nekropolii, a powietrze wypełnił smród palonego kamienia.

Pośrodku tej burzy ogniowej Wielka Piramida uniosła się kilka cali na strumieniu jasności, i obróciła o dziewięćdziesiąt stopni. Prawie na pewno był to szczególny rodzaj złudzenia optycznego, które zachodzi nawet wtedy, kiedy nikt nie patrzy.

Potem, z pozorną powolnością i niezwykłą powagą eksplodowała.

To niemal zbyt proste określenie. Oto, co się działo: rozpadła się z godnością na odłamki wielkości domów, dryfujące delikatnie coraz dalej od siebie, w absolutnym spokoju frunące nad nekropolią. Niektóre uderzały o inne piramidy, leniwie i jakby niechcący je niszcząc, a potem odbijały się w ciszy, aż orząc ziemię, hamowały za niewielkimi górami gruzu.

Dopiero wtedy zagrzmiął huk. I trwał bardzo długo.

Szary pył okrył królestwo.

Ptaclusp wyprostował się i ostrożnie ruszył przed siebie, macając drogę. Zatrzymał się, kiedy wpadł na kogoś. Zadrżał na samą myśl o istotach, które niedawno widział w tej okolicy, choć myśl ta nie przyszła mu łatwo, gdyż coś chyba uderzyło go w głowę...

- To ty, chłopcze? - zapytał.

- To ty, tato?

- Tak - zapewnił Ptaclusp.

- To ja, tato.

- Cieszę się, że to ty, synu.

- Widzisz coś?

- Nie. Tylko kurz i mgłę.

- Dzięki bogom. Już myślałem, że to ja.

- Ale to przecież ty, prawda? Sam mówiłeś.

- Tak, tato.

- Co z twoim bratem?

- Mam go w kieszeni, tato.

- To dobrze. Miejmy nadzieję, że nic mu się nie stało.

Szli wolno naprzód, omijając ledwie zauważalne kawały budowli.

- Coś wybuchło, tato - powiedział I Ib. - Myślę, że to piramida.

Ptaclusp potarł czubek głowy, gdzie dwie tony latającej skały zbliżyły się na jedną szesnastą cala do przygotowania go na złożenie w jednej z własnych piramid.

- To pewnie ten przeceniony cement, co go kupiłem od Mercaz Efebu...

- Myślę, że to coś gorszego niż słabe spojenia, tato. Myślę, że coś o wiele gorszego.

- Wyglądał jakby miał za dużo piasku...

- Powinieneś usiąść, tato - zaproponował delikatnie I Ib. - Tu masz Dwa-a. Trzymaj się go.

Ruszył dalej sam. Wspiął się na płytę z czegoś, co podejrzenie przypominało czarny marmur. Potrzebował, jak uznał po namyśle, kapłana. Powinni się przecież czasem na coś przydać i teraz nadeszła właściwa chwila, żeby któryś się znalazł. Dla pocieszenia, na przykład, albo żeby tłuc jego głową o kamień.

Zamiast kapłana znalazł kogoś na czworakach, kaszlącego głośno. Pomógł mu wstać... tak, to stanowczo był ktoś, I Ib obawiał się przez moment, że jednak coś... i usadził na kawale prawie na pewno marmuru.

- Jesteś kapłanem? - zapytał, grzebiąc wśród gruzu.

- Jestem Dii, mistrz balsamista - przedstawiła się postać.

- Ptaclusp I Ib, parakosmiczny archi... - I Ib uświadomił sobie nagle, że przez jakiś czas architekci nie będą tu popularni. Poprawił się szybko. - Jestem inżynierem. Dobrze się czujesz?

- Nie wiem. Co się stało?

- Myślę, że eksplodowała piramida.

- Czy zginęliśmy?

- Nie przypuszczam. W końcu chodzisz i rozmawiasz, prawda? Dii

drgnął.

- To o niczym nie świadczy, możesz mi wierzyć. Co to jest inżynier?

- Budowniczy akweduktów - wyjaśnił szybko I Ib. - Wchodzą w modę.

Dii wstał niezbyt pewnie.

- Chcę się napić - oznajmił. - Poszukajmy rzeki. Najpierw znaleźli Teppica.

Obejmował niewielki, ścięty kawałek piramidy, który przy lądowaniu wyrył średniej wielkości krater.

- Znam go - stwierdził I Ib. - To ten chłopak, który był na czubku piramidy. To śmieszne. Jak mógł przeżyć coś takiego?

- I dlaczego z kamienia wyrasta cała ta kukurydza? - zdziwił się Dii.

- Może kiedy jest się w samym środku tiary, działa jakiś rodzaj efektu...
- I Ib myślał głośno. - Taki obszar spokoju albo co... Jak w centrum wiru...

Odruchowo sięgnął po woskową tabliczkę, ale powstrzymał się. Człowiekowi nie było przeznaczone rozumienie rzeczy, którymi się zajmował.

- Zginął? - zapytał.

- Nie patrz na mnie - odparł Dii i odstąpił. W myślach wyliczał dostępne teraz dla siebie zawody. Tapicerka wydawała się obiecująca. Przynajmniej fotele nie wstają i nie chodzą za człowiekiem, który je wypchał.

I Ib pochylił się nad ciałem.

- Patrz, co on ma rękę! - zawołał, delikatnie odginając palce. - Kawałek stopionego metalu. Po co mu on?

...Teppic śnił.

Widział siedem krów tłustych i siedem krów chudych, a jedna z nich jeździła na rowerze.

Widział śpiewające wielbłądy, a pieśń wyrównywała zmarszczki rzeczywistości.

Widział palec piszący na ścianie piramidy: Wyjście jest łatwe. Powrót wymaga (ciąg dalszy na następnej ścianie)...

Obszedł piramidę do miejsca, gdzie palec kontynuował: wysiłku woli, ponieważ jest o wiele trudniejszy. Dziękuję za uwagę.

Teppic przemyślał to i przyszło mu do głowy, że coś jeszcze pozostało do zrobienia - coś, czego jeszcze nie robił. Nigdy wcześniej nie wiedział jak, ale teraz zrozumiał, że to tylko liczby ustawione w szczególny sposób. Wszystko, co magiczne, jest tylko metodą opisu świata słowami, których nie może zignorować.

Stęknął z wysiłku.

Przez chwilę miał wrażenie prędkości.

Dii i Iib rozejrzeli się niepewnie, gdy długie promienie światła błysnęły we mgle i zabarwiły pejzaż kolorem starego złota.

I weszło słońce.

Sierżant ostrożnie uchylił klapę w końskim brzuchu. Kiedy spodziewany rój włóczył się nie zmaterializował, rozkazał Prompterowi spuścić sznurową drabinkę, zszedł po niej i w porannym chłodzie spojrzał na pustynię.

Nowy rekrut podążył za nim i teraz przeskakiwał z nogi na nogę na piasku, który niemal mroził, ale w porze obiadu będzie parzył.

- Tam - rzekł sierżant. - Widzisz linie Tsortian, chłopcze?

- Wygląda mi to na szereg drewnianych koni, sierżancie -stwierdził Prompter. - Ten na końcu jest na biegunach.

- To na pewno oficerowie. Ha... Ci Tsortianie muszą nas uważać za prostaczków. - Sierżant potupał nogami, odetchnął kilka razy świeżym powietrzem i wrócił do drabinki.

- Wchodzimy, chłopcze! - zawołał.

- A po co musimy tam siedzieć? Sierżant zatrzymał się z nogą na szczeblu.

- Użyj zdrowego rozsądku, chłopcze. Przecież nie przyjdą tu i nie wciągną naszych koni do miasta, jeśli zobaczą nas na zewnątrz, prawda? To chyba jasne.

- Jest pan pewien, że przyjdą? - spytał Prompter. Sierżant zmarszczył brwi.

- Słuchajcie, żołnierzu - rzekł. - Każdy, kto jest tak dumny, by wierzyć, że pociągniemy mnóstwo ich koni pełnych żołnierzy do naszego miasta, z pewnością jest dostatecznie tępym, żeby pociągnąć nasze do swojego. QED.

- QED, sierżancie?

- To znaczy: włącz na tę przeklętą drabinkę. Prompter zasalutował.

- Proszę o zgodę na przeproszenie na moment, sierżancie!

- Przeproszenie kogo?

- Przeproszenie na moment - powtórzył zdesperowany Prompter. - Znaczy, w koniu jest strasznie ciasno, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Będziesz musiał się nauczyć trochę nad sobą panować, mój chłopcze, jeśli chcesz zostać w oddziałach konnych. Wiesz o tym?

- Tak, sierżancie - potwierdził smętnie Prompter.

- Masz minutę.

- Dziękuję, sierżancie.

Gdy zamknęła się nad nim klapa, Prompter podszedł do jednej z masywnych nóg konia i wykorzystał ją w celu, do którego nie była projektowana.

I kiedy patrzył swobodnie przed siebie, zatopiony w tej kontemplacji zeń, jaka możliwa jest tylko w takich chwilach, rozległo się ciche puknięcie i nagle otworzyła się przed nim cała rzeczna dolina.

Takie rzeczy nie powinny się zdarzać rozsądnym młodzieńcom. Zwłaszcza takim, którzy muszą sami prać swoje mundury.

Bryza od morza dmuchała w głąb królestwa, niosąc sugestię... nie, nie niosąc sugestii, ale raczej wrzeszcząc o soli, skorupiakach i nasłonecznionych plażach. Kilka dość zdziwionych morskich ptaków krążyło nad nekropolią, gdzie wiatr skradał się pomiędzy gruzami i pokrywał piaskiem pomniki starożytnych władców. Ptaki jednym ruchem jelita mówiły więcej, niż zdołał wyrazić Ozymandias.

Wiatr niósł też chłodny, przyjemny powiew. Ludzie naprawiający spowodowane przez bogów szkody odczuwali przemożną chęć, by wystawić do niego twarze, jak ryby w stawie odwracają się do strumienia czystej, świeżej wody.

Nikt nie pracował w nekropolii. Większość piramid straciła w eksplozjach górne poziomy i teraz stały, dymiąc lekko, jak niedawno wygasłe wulkany. Tu i tam na piasku leżały płyty czarnego marmuru. Jedna z nich o mało co nie ścięła sępiej głowy Hata, Boga Niespodziewanych Gości.

Przodkowie zniknęli. Nie zgłosił się nikt, kto chciałby ich szukać.

Koło południa od strony delty nadpłynął statek pod pełnymi żaglami. Nie był to zwykły statek. Zdawało się, że brnie w wodzie jak tłusty i bezbronny hipopotam, i dopiero kiedy ktoś obserwował go przez dłuższy czas, dostrzegał, że zadziwiająco szybko pokonuje odległość. Rzucił kotwicę przed pałacem.

Po chwili spuścił na wodę szalupę.

Teppic siedział na tronie i patrzył, jak życie w królestwie z wolna układa się znowu, niczym stłuczone zwierciadło, które posklejane odbija to samo stare światło na nowe i nieoczekiwane sposoby.

Nikt nie był pewien, na jakiej podstawie zasiadł na tronie, ale też nikt nie był zainteresowany jego zajęciem. Z ulgą wysłuchiwali poleceń wydawanych stanowczym, pewnym głosem. Zadziwiające, jakich rozkazów ludzie słuchają, jeśli tylko użyje się stanowczego, pewnego głosu. Tym bardziej że do takiego właśnie głosu królestwo było przyzwyczajone.

Poza tym wydawanie poleceń nie pozwalało na myślenie. O życiu, na przykład, albo co się stanie potem. Ale przynajmniej bogowie znowu odeszli w nieistnienie, dzięki czemu o wiele łatwiej będzie w nich wierzyć. No i trawa nie rosła mu już pod stopami.

Może uda mi się poskładać królestwo od nowa, myślał. Ale co potem z nim zrobię? Gdyby tylko udało się znaleźć Diosa... On zawsze wiedział, co robić. To była jego główna zaleta.

Strażnik przecisnął się do tronu przez grupę kapłanów i arystokracji.

- Przepraszam bardzo, wasz sire - powiedział. - Jakiś kupiec chce cię widzieć. Mówi, że to pilne.

- Nie teraz, człowieku. Delegaci armii tsortiańskiej i efebianańskiej przybywają tu za godzinę, a wiele spraw musimy przedtem załatwić. Nie

mogę przyjmować każdego sklepikarza, który akurat tędy przejeżdża. A co on właściwie sprzedaje?

- Dywany, wasz sire.

- Dywany?

Wkroczył Chidder, uśmiechnięty jak połówka arbuza. Za nim maszerowało kilku członków załogi. Przeszedł przez salę, zerkając na freski i kotary. Ponieważ był Chidderem, prawdopodobnie je wyceniał. Kiedy stanął przed tronem, wykreślał już pewnie podwójną linię pod łączną sumą.

- Miłe miejsce - pochwalił, zamykając w dwóch słowach nagromadzoną przez siedem tysięcy lat sztukę architektoniczną. -Nie zgadniesz, co nam się przytrafiło. Płynęliśmy sobie wzdłuż brzegu, aż tu nagle zjawiała się rzeka. W jednej chwili klify, w następnej delta. Zabawne, pomyślałem. Założę się, że gdzieś tam jest Teppic.

- Gdzie Ptraci?

- Pamiętałem, że skarżyłeś się na brak dawnych wygod, więc przyniosłem ci ten oto dywan.

- Pytałem, gdzie jest Ptraci.

Marynarze odsunęli się na boki, a uśmiechnięty Alfonz przeciął sznurki i pociągnął brzeg dywanu. Ten rozwinął się na podłodze. Wypadły z niego kłęby kurzu, mole, a na końcu Ptraci, która toczyła się jeszcze kawałek, aż uderzyła głową o but Teppica.

Pomógł jej wstać i spróbował strzepnąć kurz z włosów. Chwiała się lekko i nie zwracała na niego uwagi.

- Mogłam tam umrzeć! - krzyknęła do Chiddera bez tchu, czerwona ze złości. - Wiele innych stworzeń umarło, sądząc po zapachu! I jeszcze to gorąco!

- Mówiłaś, że coś takiego udało się królowej, jak jej, Ram-Jam-Hurrah czy jakoś inaczej - uspokajał ją Chidder. - Nie miej do mnie pretensji. W

domu wystarcza zwykle naszyjnik albo coś w tym stylu.

- Założę się, że miała przyzwoity dywan - burknęła Ptraci. - A nie coś, co przez pół roku leżało w brudnej ładowni.

- Miałaś szczęście, że w ogóle jakiś się znalazł. To był twój pomysł.

- Ila - rzekła Ptraci. Spojrzała na Teppica. - Dzień dobry - powiedziała.
- To miała być zaskakująca niespodzianka powitalna.

- Udała się - zapewnił z przekonaniem Teppic. - Naprawdę się udała.

Chidder leżał na sofie wystawionej na rozległą werandę pałacową, a trzy podręczne kolejno obierały dla niego winogrona. Dzban piwa stał w cieniu. Chidder uśmiechał się przyjaźnie.

W pobliżu, na kocu, Alfonz leżał na brzuchu i czuł się bardzo zakłopotany. Przełożona Kobiet odkryła, że poza tatuażami na ramionach, jego plecy są prawdziwą ilustrowaną historią egzotycznych praktyk, przyprowadziła więc dziewczęta, żeby się czegoś nauczyły. Alfonz krzywił się czasem, gdy jej wskazówka kłuła w jakiś wyjątkowo interesujący szczegół, a palce wcisnął głęboko w swoje wielkie, poznaczone bliznami uszy, aby nie słyszeć chichotów.

Na drugim końcu werandy, gdzie na podstawie niepisanej umowy wszyscy zostawili ich w spokoju, usiedli Teppic i Ptraci. Rozmowa nie szła im najlepiej.

- Wszystko się zmieniło - powiedział. - Nie chcę być królem.

- Ale jesteś królem - odparła. - Nie możesz tego zmienić.

- Mogę. Na przykład mogę abdykować. To całkiem proste. A kiedy już przestanę być prawdziwym królem, będę mógł sobie iść, gdzie zechcę. Skoro jestem królem, to słowo króla jest prawem, a zatem mogę abdykować. Jeśli

dekretem potrafimy zmieniać płeć, tym łatwiej zmienimy stanowisko. Znajdą jakiegoś krewnego do tej pracy. Muszę ich mieć dziesiątki.

- Do pracy? Zresztą mówiłeś, że jest tylko twoja ciotka.

Teppic zmarszczył brwi. Ciotka Cleph-ptah-re, jeśli się dobrze zastanowić, nie byłaby monarchą potrzebnym królestwu do nowego startu. Miała liczne niewzruszone poglądy w wielu kwestiach, jednak większość z nich dotyczyła obdzierania żywcem ze skóry ludzi, którzy jej się nie spodobali. Oznaczało to na początek prawie wszystkich w wieku poniżej trzydziestu pięciu lat.

- Na pewno znajdzie się ktoś inny - rzekł z przekonaniem. - To nie powinno być trudne, zawsze jakoś mieliśmy więcej arystokracji niż potrzeba. Wystarczy znaleźć kogoś, kto ma sny o krowach.

- Aha, ten o tłustych krowach i chudych krowach? - zapytała Ptraci.

- Tak. Jest rodowy.

- Jest irytujący. To wiem na pewno. Jedna stale się uśmiecha i gra na trombicie.

- Dla mnie wyglądało to jak puzon.

- To ceremonialna trombita. Wystarczy dobrze się przyjrzeć.

- Pewnie każdy widzi ją trochę inaczej. To nieistotne. - Westchnął i spojrzał na rozładunek „Nienazwanej”. Przywiozła chyba większą od oczekiwanej liczbę puchowych materacy, a po trapie schodziło kilku zdziwionych ludzi, dźwigających skrzynki z narzędziami i kawałki rur.

- To nie będzie łatwe - ostrzegła Ptraci. - Nie możesz przecież powiedzieć: „Wszyscy śniący o krowach, wystąp”. Ty by zdradziło twój plan.

- Ale nie mogę czekać, aż ktoś przypadkiem o tym wspomni, prawda? Bądź rozsądna - rzucił gniewnie. - Ilu ludzi akurat przy mnie powie: Wiesz co, miałem wczoraj taki śmieszny sen o krowach? To znaczy poza tobą.

Spojrżeli na siebie zaskoczeni.

- I jest moją siostrą? - nie dowierzał Teppic. Kapłani przytaknęli. Koomiemu pozostawili wytłumaczenie tego dokładniej. Przed chwilą spędził dziesięć minut z Przełożoną Kobiet, przeglądając zapisy.

- Jej matka była, tego, faworytą twojego zmarłego ojca - wyjaśnił kapłan. - Bardzo się interesował jej wychowaniem, jak wiesz, i tego... jak się zdaje... tak. Oczywiście, może być twoją ciotką, konkubiny nie radzą sobie dobrze z papierkową robotą. Ale najprawdopodobniej siostrą.

Patrzyła na niego ze łzami w oczach.

- To chyba żadna różnica, prawda? - szepnęła. Teppic zwiesił głowę.

- Owszem - powiedział. - Myślę, że to jest różnica. Naprawdę. - Podniósł wzrok. - Ale możesz być królową - dodał. Spojrzał groźnie na kapłanów. - Prawda? - oznajmił stanowczo.

Kapłani porozumieli się wzrokiem. Potem popatrzyli na Ptraci, która stała samotna i ramiona jej drżały. Słaba, wyszkolona w ceremoniach pałacowych, przyzwyczajona do słuchania poleceń...

Kiwnęli głowami.

- Będzie idealna - ocenił Koomi. Odpowiedział mu pomruk poparcia.

- No widzisz - pocieszył ją Teppic. Spojrzała na niego gniewnie. Cofnęła się.

- Będę się zbierał - oświadczył. - Niczego nie muszę pakować. Wszystko w porządku.

- Tak po prostu? - zdziwiła się. - To wszystko? Nie masz zamiaru niczego powiedzieć?

Zawahał się w połowie drogi do drzwi. Mógłbyś zostać, tłumaczył sobie. Ale nic by z tego nie wyszło, a skończyłoby się paskudnym bałaganem. W końcu pewnie podzielilibyś królestwo między nią i siebie. To, że los zetknął nas razem, nie znaczy jeszcze, że miał rację. Zresztą, trzeba iść naprzód.

- Wielbłądy są ważniejsze niż piramidy - powiedział. - Zawsze powinnaś o tym pamiętać.

Rzucił się do drzwi, gdy ona szukała czegoś, czym mogłaby w niego cisnąć.

Słońce bez żadnych żuków dotarło aż do południa. Koomi stanął u tronu niczym Sępiogłowy Bóg Hat. - Wasza Wysokość ucieszy się, zatwierdzając mnie na stanowisku najwyższego kapłana - powiedział.

- Co? - Ptraci siedziała z brodą wspartą na dłoni. Drugą ręką machnęła na niego. - A tak. Oczywiście. Bardzo dobrze.

- Po Diosie, niestety, nie znaleziono śladu. Sądzymy, że stał bardzo blisko Wielkiej Piramidy, kiedy... odpaliła. Ptraci wpatrywała się w przestrzeń.

- Mów dalej - poleciała.

- Oficjalna koronacja wymaga jeszcze pewnych przygotowań

- poinformował, chwytając złotą maskę. - Jednakże wasza łaskawość z zadowoleniem będzie nosić maskę władzy od teraz, jako że wiele spraw wymaga rozwiązania. Zerknęła na maskę.

- Nie włożę tego - oświadczyła spokojnie. Koomi uśmiechnął się.

- Wasza łaskawość z zadowoleniem będzie nosić maskę władzy - powtórzył.

- Nie - odparła Ptraci.

Uśmiech Koomiego wykrzywił się nieco w kącikach, gdy najwyższy kapłan zmagał się z nową koncepcją. Był przekonany, że Dios nigdy nie miewał takich kłopotów.

Rozwiązał problem, omijając go. Omijanie dało mu dobrą pozycję w życiu i nie zamierzał teraz z niego rezygnować. Ostrożnie położył maskę na stołku.

- Jest Pierwsza Godzina - oznajmił. - Wasza wysokość zechce poprowadzić Rytuał Ibisa, a potem łaskawie udzielić audiencji dowódcom militarnym Tsortu i Efebu. Obaj proszą o zgodę na przemarsz ich wojsk przez królestwo. Wasza wysokość odmówi. O Drugiej Godzinie nastąpi...

Ptraci wyprostowała się i zabębniła palcami po poręczach tronu. Potem nabrała tchu.

- Mam zamiar wziąć kąpiel - rzuciła. Koomi zachwiał się lekko.

- Jest Pierwsza Godzina - powtórzył, niezdolny do wymyślenia czegoś innego. - Wasza wysokość zechce poprowadzić...

- Koomi!

- Tak, o szlachetna królowo?

- Zamknij się.

- .. .Rytuał Ibisa... - jęknął Koomi.

- Jestem pewna, że potrafisz go poprowadzić. Wyglądasz na człowieka, który sam załatwia swoje sprawy. Od razu widać - dodała zgryźliwie.

- ...dowódcy Tsortu...

- Powiedz im... - zaczęła Ptraci i urwała. - Powiedz im - powtórzyła już spokojniej - że mogą przejść. Niejeden albo drugi, ale obaj, rozumiesz. Obaj.

- Ale... - Rozumowanie Koomiego dogoniło wreszcie jego słuch. - Ale wtedy obaj trafią na przeciwną stronę.

- Tak jest. A później możesz zamówić parę wielbłądów. W Efebie jest kupiec, który może je sprzedać. Tylko najpierw obejrzyj im zęby. Aha, i poproś jeszcze kapitana „Nienazwanej”, żeby mnie odwiedził. Zaczął mi tłumaczyć, co to jest „wolny port”.

- W kąpielu, o królowo? - spytał słabym głosem Koomi.

Nie mógł nie zauważyć, jak głos jej się zmieniał z każdym wypowiedzianym zdaniem, jak powłoka wychowania złuszczała się pod palnikiem dziedzictwa.

- Nic w tym złego - mruknęła. - I dopilnuj kanalizacji. Jak rozumiem, rury są najważniejsze.

- Na ośle mleko? - zapytał Koomi, teraz już całkiem zagubiony na pustyni[29].

- Zamknij się, Koomi.

- Tak, o królowo - odparł żałośnie kapłan. Chciał zmian. Ale też chciał, żeby wszystko zostało tak jak dawniej.

Słońce bez niczyjej pomocy zsunęło się do horyzontu. Dla pewnych ludzi dzień okazał się całkiem udany. Czerwone promienie oświetlały trzech męskich członków rodu Ptacluspów, pochylonych nad planami...

- To się nazywa most - wyjaśnił Ilb.

- Coś podobnego do akweduktu? - upewnił się Ptaclusp.

- Raczej na odwrót. Woda płynie dołem, a my chodzimy górą.

- Oj... królowi... królowej się to nie spodoba. Rodzina królewska zawsze była przeciwna skuwaniu świętej rzeki kajdanami mostów, tam i tym podobnie.

Ilb uśmiechną! się tryumfalnie.

- Sama to zasugerowała - oznajmił. - A nawet łaskawie spytała, czy zadbam o miejsca, z których ludzie mogliby rzucać kamieniami w krokodyle.

- Tak powiedziała?

- Powiedziała: duże, kanciaste głazy.

- A niech mnie... - szepnął Ptaclusp. - Dobrze się czujesz? - spytał drugiego syna.

- Świetnie, tato.

- Żadnych... - Ptaclusp zastanowił się. - Żadnych bólów głowy ani nic?

- W życiu nie czułem się lepiej - zapewnił Ila.

- Bo nie spytałeś o koszt - wyjaśnił Ptaclusp. - Pomyślałem, że może wciąż czujesz się pła... słabo.

- Królowa zechciała łaskawie poprosić, żebym zajął się królewskimi finansami - odparł Ila. - Mówi, że kapłani nie potrafią dodawać.

Niedawne przeżycia nie pozostawiły na nim żadnych śladów, z wyjątkiem pozazdrosczenia godnej skłonności do myślenia prostopadłego do wszystkich pozostałych. Teraz siedział cały w uśmiechach, a jego umysł konstruował już tabele taryf, opłat portowych i złożony system podatku od wartości dodanej, który wkrótce miał nieprzyjemnie zaszokować kupców z Ankh-Morpork.

Ptaclusp myślał o milach dziewiczego Djelu bez żadnego mostu. Pod ręką miał masę ociosanego kamienia - miliony ton. I nigdy nie wiadomo, może na któryś z tych mostów znajdzie się miejsce na jeden czy drugi

posąg. Miał taki w zanadru.

Objął synów za ramiona.

- Chłopcy - rzekł z dumą - to naprawdę wygląda kwantowo.

Zachodzące słońce świeciło też na Dila i Gerna, choć w tym wypadku czyniło to pośrednio, przez szyb oświetleniowy w pałacowej kuchni. Trafili tu bez żadnych konkretnych powodów. Po prostu pusty warsztat wyglądał bardzo ponuro.

Kucharze omijali ich, rozpoznawali bowiem otaczający obu balsamistów obłok nieprzeniknionego smutku. Zresztą ten zawód nigdy nie przyciągał towarzystwa i nawet w najlepszych czasach balsamiści z trudem zawierali znajomości. A kucharze musieli przecież szykować bankiet koronacyjny.

Siedzieli obaj wśród krzątania i spoglądali w przyszłość nad dzbanem piwa.

- Myślę - odezwał się Gern - że Glwenda przekona jakoś ojca.

- Dobrze trafiłeś, chłopcze - mruknął ze znużeniem Dii. - W tym jest przyszłość. Ludziom zawsze będzie potrzebny czosnek.

- Potwornie nudny ten czosnek - oświadczył Gern z niezwykłą u siebie irytacją. - I nie poznaje się nowych ludzi. To właśnie lubiłem w naszej pracy. Wciąż nowe twarze.

- Nie będzie więcej piramid - stwierdził bez gniewu Dii. - Tak powiedziała. Wykonaliście dobrą robotę, mistrzu Dilu, powiedziała, ale zamierzam wciągnąć ten kraj, choćby się bronił, w nowy Wiek Nietoperza.

- Kobry - poprawił Gern.

- Co?

- To Wiek Kobry. Nie Nietoperza.

- Wszystko jedno - burknął Dii.

Spoglądał smętnie w głąb swego kufła. W tym cały problem, uznał. Trzeba się nauczyć pamiętać, jakie mamy stulecie.

Zerknął na tacę kanapek. Były ostatnio modne. Każdy o nich... Podniósł oliwkę i obrócił ją w palcach.

- Warn pewnie trudniej jest rzucić dawną pracę - dodał Gern i osuszył kufel. - A założę się, że byliście dumni, mistrzu... to znaczy Dilu. No wiecie, kiedy wasze szwy tak świetnie trzymały.

Nie spuszczać wzroku z oliwki, Dii jak we śnie sięgnął do pasa i chwycił jeden z małych nożyków do szczególnie trudnych operacji.

- Pewnie było wam przykro, kiedy wszystko się skończyło - ciągnął Gern.

Dii odwrócił się, żeby mieć lepsze światło. Oddychał ciężko, całkowicie skoncentrowany.

- Ale poradzicie sobie - mówił Gern. - Najważniejsze, to o tym nie myśleć.

- Odłóż gdzieś tę pestkę - rzucił Dii.

- Słucham?

- Odłóż gdzieś tę pestkę!

Gern wzruszył ramionami i wyjął mu ją z palców.

- Dobrze. - Głos aż wibrował; Dii znalazł nowy cel. - A teraz podaj mi czerwoną paprykę...

Słońce świeciło też na deltę, maleńką nieskończoność trzcin i piasku, gdzie Djel składał muł całego kontynentu. Ptaki brodzące szukały pożywienia w zielonym labiryncie łądyg, a miliardy komarów zygzakowały nad mętną wodą. Tutaj przynajmniej czas zawsze upływał, a delta dwa razy dziennie oddychała świeżą, czystą wodą przypływu.

Właśnie teraz nadchodzi; jego spieniony wierzchołek sączy się między trzcinami.

Tu i tam rozwijają się starożytne bandaże, falują przez chwilę jak niewiarygodnie stare węże, po czym bez wielkich ceremonii rozpuszczają się bez śladu.

TO NIEZGODNE Z REGUŁAMI.

- Przepraszamy. To nie nasza wina. ILU WAS TAM JEST? - Obawiam się, że ponad tysiąc trzystu.

NO DOBRZE. USTAWCIE SIĘ PORZĄDNIK W KOLEJCE.

Ty Draniu przyglądał się pustemu żłobowi. Reprezentował sobą podmatrycę w uogólnionej wiązce „siana”, mieszczącej dowolne wartości pomiędzy zerem a K W środku nie było siana. Mógł nawet zawierać jego wartość ujemną, ale dla pustego żołądka różnica między zerem siana i minus-sianem nie była specjalnie istotna.

Nieważne, jak długo przeliczał, zawsze otrzymywał taki sam wynik.

Było to równanie klasycznej prostoty. Reprezentowało pewną elegancję, której jednak w obecnej sytuacji nie potrafił należycie docenić.

Ty Draniu czuł się wykorzystywany i źle traktowany. Nie było w tym jednak nic dziwnego, gdyż jest to normalny stan wielbłądniego umysłu. Klęczał cierpliwie, a Teppic pakował juki.

- Ominiemy Efeb - rzekł Teppic, zwracając się do wielbłąda. - Pojedziemy nad Okrągłe Morze, choćby do Quirmu, albo przekroczymy Ramtopy. Tam jest ciekawie. Może nawet rozejrzemy się za jakimiś zaginionymi miastami? To by ci się spodobało, co?

Błędem jest próba rozweselenia wielbłąda. Równie dobrze można by wrzucać bezy do czarnej dziury.

Brama stajni otworzyła się nagle. Stanął w niej kapłan. Wyglądał na zdenerwowanego. Kapłani ostatnio wykonywali wiele poleceń, do których nie byli przyzwyczajeni.

- Ehm... - zaczął. - Jej wysokość rozkazuje ci nie opuszczać królestwa.

Odchrząknął.

- Czy będzie odpowiedź? - zapytał. Teppic rozważył sprawę.

- Nie - odpowiedział. - Raczej nie.

- W takim razie powiem jej, że zjawisz się przy niej natychmiast, dobrze? - spytał kapłan z nadzieją.

- Nie.

- Tobie łatwo tak mówić - mruknął skwaszony kapłan i odszedł. Kilka minut później na jego miejscu stanął mocno zaczerwieniony Koomi.

- Jej wysokość żąda, byś nie opuszczał królestwa - oznajmił. Teppic dosiadł Ty Drania i lekko trzepnął go kijem.

- Ona nie żartuje - ostrzegł Koomi.

- Jestem tego pewien.

- Wiesz przecież, że będzie musiała rzucić cię świętym krokodylom.

- Ostatnio jakoś ich nie widuję. Jak się miewają? - Teppic uśmiechnął się i jeszcze raz klepnął wielbłąda.

Wyjechał na ostry blask słońca i ruszył ulicami po ubitej ziemi, którą czas zmienił w powierzchnię twardszą niż kamień. Spacerowało tu wielu ludzi i żaden nie zwrócił na niego uwagi.

To było cudowne uczucie.

Przejechał wolno drogą do granicy i nie zatrzymał się, póki nie stanął na urwisku. Dolina rozpościerała się za nim szeroko. Gorący pustynny wiatr szeleścił w krzakach syfacji, kiedy uwiązał Ty Drania w cieniu, wspiał się wyżej na skałę i spojrzał za siebie.

Dolina była stara, bardzo stara. Można by wręcz uwierzyć, że istniała pierwsza i przyglądała się, jak wokół niej powstaje reszta świata. Teppic położył się z głową wspartą na rękach.

Oczywiście, uczyniła się starą. Przez tysiące lat delikatnie usuwała nurty przyszłości. A teraz zmiana trafiła ją niczym ziemia trafiająca jajko.

Wymiary są prawdopodobnie bardziej skomplikowane, niż przypuszczają ludzie. Zapewne czas także. A zapewne i ludzie, choć ludzie bywają bardziej przewidywalni.

Obserwował obłok kurzu wznoszący się przed pałacem, sunący przez miasto, przez wąską szachownicę pól uprawnych, znikający na moment w kępie palm niedaleko urwiska i pojawiający się znowu u stóp zbocza. Zanim jeszcze cokolwiek zobaczył, wiedział, że gdzieś tam w środku jest rydwan.

Zsunął się na dół i usiadł przy drodze. Rydwan pojawił się wreszcie, zahamował kawałek dalej, zawrócił z trudem w wąskim przesmyku i podjechał bliżej.

- Co będziesz robił? - krzyknęła Ptraci, wychylając się przez barierkę.

Teppic skłonił się.

- I żadnych takich - warknęła.

- Lubisz być królową? Zawahała się.

- Tak - przyznała w końcu. - Lubię...

- Oczywiście - zgodził się Teppic. - Masz to we krwi. W dawnych czasach ludzie walczyliby jak tygrysy. Bracia przeciwko siostrom, kuzyni przeciwko wujom... Potworne.

- Ale przecież nie musisz odchodzić! Jesteś mi potrzebny!

- Masz doradców - przypomniał spokojnie Teppic.

- Nie o to mi chodziło - mruknęła. - Zresztą jest tylko Koomi, i jest marny.

- Masz szczęście. Ja miałem Diosa, a on był dobry. Koomi świetnie się nada. Wiele się nauczysz, nie słuchając, co ma do powiedzenia. Daleko można zejść z niekompetentnymi doradcami. Poza tym jestem pewien, że Chidder ci pomoże. Ma mnóstwo pomysłów.

Zarumieniła się.

- Przedstawił kilka, kiedy byliśmy na statku.

- Sama widzisz. Wiedziałem, że między wami wybuchnie to jak pożar...

Krzyki, płomienie, uciekający ludzie...

- A ty wracasz do pracy skrytobójcy? - spytała złośliwie.

- Chyba nie. Inhumowałem piramidę, panteon i całe stare królestwo. Warto chyba spróbować czegoś innego. Przy okazji, nie zauważyłaś przypadkiem zielonych pędów, wyrastających wszędzie, gdzie stąpniesz?

- Nie. To przecież bzdura.

Teppic odetchnął. A zatem wszystko się skończyło.

- Nie pozwól, żeby trawa rosła ci pod stopami - poradził. - To bardzo ważne. A nie widziałaś ostatnio jakichś mew?

- Mnóstwo ich dzisiaj lata. Nie zauważyłeś?

- Tak. To chyba dobrze.

Ty Draniu przysłuchiwał się jeszcze chwilę tej szczególnej cichnącej, urywanej rozmowie między dwojgiem ludzi przeciwnej płci, którzy myślą o czymś zupełnie innym. Z wielbłędami jest łatwiej. Samica musi tylko sprawdzić metodologię samca.

Ucałowali się po bratersku, jeśli wielbłąd może osądzać takie rzeczy. Decyzja została podjęta.

W tym miejscu Ty Draniu stracił zainteresowanie i postanowił raz jeszcze zjeść swoje śniadanie.

POCZĄTEK...

W dolinie panował spokój. Rzeka o dziewiczych jeszcze brzegach wiała się leniwie między kępami trzciny i papirusu. Hipopotamy wynurzały się z głębiny i zanurzały znowu niczym jaja we wrzątku.

Wilgotną ciszę przerywał z rzadka plusk ryby albo syk krokodyla.

Przez długi czas Dios leżał w błocie. Nie był pewien, skąd się tu wziął ani dlaczego jedna połowa jego ubrania jest porwana, a druga - nadpalona. Niewyraźnie przypominał sobie głośny Hałas i uczucie wielkiej prędkości, choć równocześnie stał nieruchomo.

W tej chwili nie oczekiwał żadnych odpowiedzi. Odpowiedzi implikują pytania, a pytania nigdy do niczego dobrego nie prowadzą. Pytania psują wszystko. Błoto było chłodne i kojące; na razie nie musiał wiedzieć nic więcej.

Zachodziło słońce. Nocne drapieżniki podchodziły do Diosa i jakiś zwierzęcy instynkt podpowiadał im, że nie jest wart kłopotów, jakie przyniesie odgryzienie mu nogi.

Słońce wzeszło ponownie. Gęgały czaple. Mgła wypłynęła znad wody i zniknęła, gdy niebo zmieniło barwę z błękitnej na szarą.

Czas toczył się dla Diosa z cudownym brakiem wydarzeń, aż nagle obcy głos przerwał ciszę, wykonując coś w rodzaju cięcia jej na kawałki zardzewiałym nożem.

Dźwięk ten przypominał ryk osła rżniętego piłą łańcuchową. Był tym dla melodii, czym pudełko daktyli jest dla motocrossu. Mimo to, kiedy włączyły się inne głosy, podobne, ale odmienne, w rozmaitych poszarpanych tonacjach i popękanych nutach, ogólny efekt okazał się dziwnie atrakcyjny. Kusił. Pociągał. Zasysał.

Hałas osiągnął szczyt, jedną czystą nutę stworzoną z ciągu dysharmonii. A potem, na ułamek sekundy głosy rozbiegły się, każdy po innym wektorze...

Drgnęło powietrze, zamigotało słońce.

Na dalekich wzgórzach pojawiło się kilkanaście wielbłądów, wychudzonych i zakurzonych, pędzących w stronę wody. Ptaki poderwały się spomiędzy trzcin. Leniwe jaszczury zsuwały się cicho z piasku. Po chwili brzeg stał się masą wzburzonego mułu, gdy stwory o wielkich kolanach przepychały się z nosami w wodzie.

Dios usiadł i spostrzegł leżącą obok laskę. Była trochę przypalona, ale cała. Zauważył coś, na co nigdy przedtem nie zwrócił uwagi. Przedtem? Było jakieś przedtem? Z pewnością był sen, coś w rodzaju snu...

Oba węże trzymały w pyskach własne ogony.

Ze wzgórz, za wielbłędami, prowadząc za sobą obdartą rodzinę, schodził mały, smagły człowieczek z kijem w ręku. Wyglądał na zgrzanego i bardzo zdziwionego.

Wyglądał właściwie jak ktoś, komu przyda się dobra rada i rozsądny przewodnik.

Dios znów spojrzał na laskę. Wiedział, że jest bardzo ważna. Ale nie pamiętał, dlaczego. Pamiętał tylko, że jest ciężka, a jednocześnie trudno ją odłożyć. Bardzo trudno odłożyć. Lepiej wcale jej nie podnosić, uznał.

Albo może podnieść tylko na chwilę, żeby im wytłumaczyć, dlaczego bogowie i piramidy są takie ważne. Potem ją odłoży. Na pewno.

Westchnął, poprawił resztki swej szaty, by dodać sobie godności, i wspierając się na lasce, wyszedł im naprzeciw.

[1] Na przykład zakopanie w piasku i złożenie w nim jaj.

[2] Prawa do oddychania, na początek.

[3] Dost. „Dziecię Djel”.

[4] Była to jednak całkiem spora żaba. Przedostała się do kanałów wentylacyjnych i przez długie tygodnie nie pozwoliła nikomu zasnąć.

[5] Mówi się, że życie w Ankh-Morpork jest tanie. To, oczywiście, poważna pomyłka. Życie bywa czasem bardzo kosztowne; to śmierć można dostać za darmo.

[6] Nadymacz otrzymywany jest z głębinowej ryby najeżki, *Singularis minutia gigantica*, która odstrasza wrogów, nadymając się do rozmiaru wielokrotnie przewyższającego normalny. Podany człowiekowi zmusza każdą komórkę ciała do próby zwiększenia objętości około 2000 razy. Efekt jest nieodmiennie śmiertelny i bardzo głośny.

[7] Brama Gildii Skrytobójców jest zawsze otwarta. Mówi się, że to dlatego, iż Śmierć nigdy nie zamyka interesu, ale prawdziwym powodem jest to, że zawiasy zardzewiały przed wiekami i nikt jakoś nie postarał się ich oczyścić.

[8] Niedoletnie wino powstaje z winogron należących do specyficznej odmiany flory - roślin zeszłorocznych - rosnącej tylko w silnym polu magicznym. Normalne rośliny rosną po zasadzeniu, natomiast rośliny zeszłoroczne odwrotnie. I chociaż niedoletnie wino wywołuje oszołomienie tak jak zwykle, jednak jego działanie na system trawienny wywołuje niezwykłą reakcję, której skutkiem jest przesunięcie nieuniknionego kaca w przeszłość, do punktu o kilka godzin poprzedzającego moment wypicia wina. Stąd zresztą wzięło się powiedzenie „przez cierpienie do gwiazd”.

[9] Kiedy Gildia Złodziei w Roku Agresywnego Leniwca ogłosiła strajk generalny, liczba przestępstw wzrosła dwukrotnie.

[10] Jedna z dwóch** legend o powstaniu Ankh-Morpork mówi, że dwaj osieroceni bracia, którzy zbudowali miasto, zostali odnalezieni i wykarmieni przez hipopotama (dosł. *orjeple*, choć niektórzy historycy uważają, że chodzi o błędne tłumaczenie słowa *orejaple*, oznaczającego rodzaj przeszklonej szafki, w której trzyma się drinki). Osiem heraldycznych hipopotamów stoi szeregiem na moście, głowami w stronę morza. Mówi się, że jeśli kiedykolwiek zagrozi miastu niebezpieczeństwo, uciekną.

** Druga legenda, zwykle pomijana przez mieszkańców, mówi, że w jeszcze dawniejszych czasach, aby przetrwać zesłany przez bogów potop, grupa mędrców zbudowała ogromną łódź. Zabrali do niej po parze każdego gatunku zwierząt żyjących wówczas na Dysku. Po kilku tygodniach zwały nawozu zaczęły grozić zatopieniem łodzi. Mędrcy - tak głosi legenda - przechylili ją na burtę i nazwali to miejsce Ankh-Morpork.

[11] Jak wiele kultur nadrzecznych, Djelibeybi nie przejmowało się takimi trywialnymi drobiazgami jak lato, wiosna czy zima. Kalendarz królestwa opierał się wyłącznie na potężnym pulsie Djelu. Stąd trzy pory roku: Pora Zbiorów, Pora Wylewu i Pora Siewu. Jest to podział logiczny, łatwy do zapamiętania i praktyczny, przyjmowany z niechęcią jedynie przez kwartety wokalne**.

** Ponieważ człowiek czuje się idiotycznie, śpiewając „Dziewczyny, bądźcie dla nas dobre na Porę Wylewu”. Dlatego.

[12] Dosł. „Dhar-ret-kar-mon”, czyli „ścinki stopy”. Niektórzy uczeni uważają, że chodzi raczej o „Dar-rhet-kare-mun”, dosł. „dmuchawa do zdzierania farby”.

[13] Szambonurek: budowniczy i czyściciel doiów kloacznych. Profesja bardzo ceniona w Ankh-Morpork, gdzie poziom wód gruntowych zwykle pokrywa się z poziomem samego gruntu. Zawód ten cieszy się powszechnym szacunkiem. W każdym razie, kiedy idzie szambonurek, wszyscy ustępują mu z drogi, przechodząc na drugą stronę ulicy.

[14] Chrapliwy szept podczas pracy jest źle widziany, gdyż na budowie się nie śpi, a tym bardziej nie chrapie.

[15] Dosł. „Kiedyś znów tu będę”.

[16] Konieczne jest tu pewne wyjaśnienie. Gdyby obcy ambasador na dworze św. Jakuba przybrał się (w szczerym zamiarze okazania szacunku) w melonik, miecz, półpancerz z wojny domowej, saskie

portki i jakobińską fryzurę, wywołałby podobną reakcję.

[17] Młodszy skrytobójcy, zwykle ubodzy, mają bardzo zdecydowane poglądy na temat moralności bogactwa - do czasu kiedy staną się starszymi skrytobójcami, zwykle bardzo bogatymi. Wtedy zaczynają nabierać przekonania, że niesprawiedliwość ma jednak swoje zalety.

[18] Rzeźbiarze musieli w pełni wykorzystywać swoją wyobraźnię. Zmarły król obdarzony był wieloma wspaniałymi cechami, jednakże dokonywanie bohaterskich czynów do nich nie należało. Jego wyniki to: Liczba wrogów rozbitych w puch pod kołami jego rydwanu: 0. Liczba tronów zdeptanych butem: 0. Liczba razy, kiedy opasywał świat jako kolos: 0. Jednak z drugiej strony: Rządy terroru: 0. Liczba razy, kiedy jego własny tron został zdeptany butami najeźdźców: 0. Rewolucje: 0. Kosztowne krucjaty, w których brał udział: 0. Jego życie zakończyło się wynikiem remisowym, ze wskazaniem na króla.

[19] Nigdy nie ufaj gatunkowi, który ciągle się uśmiecha. Na pewno coś knuje.

[20] Znany jako największy wielbłądzi matematyk wszech czasów. Odkrył matematykę przestrzeni ośmiowymiarowej, leżąc z zamkniętymi nozdrzami podczas gwałtownej burzy piaskowej.

[21] Efekt uzyskiwany przez destylację jąder niewielkiej nadrzewnej odmiany niedźwiedzia w wymiocinach wieloryba, z dodatkiem garści różanych piątków. Ta wiedza prawdopodobnie nie poprawiłaby Teppicowi nastroju.

[22] To oczywiście bardzo luźne tłumaczenie, jako że Ptaclusp nie znalazł słów oznaczających „lód”, „szyby samochodowe” czy „hotele”. Jednakże *zygzak*, *orzeł*, *orzeł*, *amfora*, *linia falista*, *kaczka* tłumaczy się dosłownie jako „prasa do okryć nóg barbarzyńców”.

[23] Dla tych, którzy nie dysponują taką logiczną podbudową, najszybszym zwierzęciem** na Dysku jest wyjątkowo neurotyczna Wieloznaczna Puzuma, która porusza się tak szybko, że w polu magicznym Dysku osiąga prędkość podświetlną. To znaczy, że kiedy ktoś zobaczy puzumę, już jej tam nie ma. Większość samców puzumy ginie młodo z powodu ostrego zapalenia stawu skokowego, wywołanego bardzo szybkim bieganiem za samicami, których tam nie ma i - oczywiście - osiaganiem masy samobójczej, zgodnie z teorią względności. Reszta ginie od zasady nieoznaczoności Heisenberga, ponieważ niemożliwe jest, by równocześnie wiedziały, kim są i gdzie są. Powoduje to naprzemienną utratę koncentracji, co oznacza, że puzuma osiąga poczucie tożsamości jedynie w stanie spoczynku - zwykle około pięćdziesięciu stóp w rumowisku, jakie pozostało z góry, z którą przed chwilą zderzyła się z prędkością podświetlną. Plotka głosi, że puzuma jest wielkości lamparta i ma wyjątkowe futro w czarno-białą kratę. Jednakże egzemplarze zbadane przez mędrców i filozofów Dysku skłaniają raczej do stwierdzenia, że w stanie naturalnym puzuma jest płaska, bardzo cienka i martwa.

** Najszybszym owadem na Dysku jest mól książkowy oznaczony numerem .303. Wyewoluowali w magicznych bibliotekach, gdzie konieczna jest duża szybkość jedzenia, pozwalająca uniknąć wpływu radiacji taumatycznych. Dorosły mól książkowy .303 potrafi przegryźć się przez półkę książek tak szybko, że rykoszetuje od ściany.

[24] Rola Słuchaczy nigdy nie została właściwie doceniona. Wiadomo jednak, że ludzie zwykle nie

słuchają. Czas, kiedy mówi ktoś inny, wykorzystują, by się zastanowić, co powiedzą potem. Prawdziwi Słuchacze zawsze cieszyli się szacunkiem wśród kultur oralnych i byli cenieni ze względu na wielką rzadkość i wartość. Bardów i poetów można dostać po dziesięciu za krowę, ale dobrego Słuchacza trudno znaleźć, a w każdym razie trudno znaleźć dwukrotnie.

[25] Mylił się. Natura nie znosi zakłóceń wymiarowych, więc oddziela je sprawnie, żeby nie denerwowały ludzi. Natura, trzeba przyznać, nie znosi wielu rzeczy, w tym próżni, statków o nazwie „Marie Celeste” i kluczy dociskowych do wiertarek elektrycznych.

[26] Jest zatem potocznie nazywany Pałacem Dżinna.

[27] No wiecie. Ta, do której nie można dosięgnąć słomką.

[28] Choć nie od razu, oczywiście, ponieważ wiadomości zmieniają się w miarę powtarzania. Niektórzy z przodków nie potrafili poprawnie wymawiać stów, inni chcieli pomóc i dopowiadali to, co uznawali za pominięte. Wiadomość, jaką początkowo otrzymał Teppicymon, zaczynała się od słów „Przykuta do łóżka, ciotka cierpiała pragnienie”.

[29] Cywilizacja używająca mniej precyzyjnego języka powiedziałaaby po prostu „zagubiony”.